

stephen king

PERWERSYJNA EROTYCZNA GRA ZMIENIA SIĘ W HORROR...

gra geralda



Stephen King

Gra Gerarda

Gerald's Game

Przełożył: Tomasz Wyżyński

Wydanie oryginalne: 1992

Wydanie polskie: 1995

TMN

Książkę tę dedykuję z wyrazami miłości i podziwu,

Sześciu dobrym kobietom:

Margaret Spruce Morehouse

Catherine Spruce Graves

Stephanie Spruce Leonard

Anne Spruce Lebreer

Tabithie Spruce King

Marcelli Spruce

1

W szumie październikowego wiatru Jessie słyszała od czasu do czasu lekki stukot nie domkniętych drzwi na tyłach domu. Jesienią framugi pęczniały od wilgoci i drzwi trzeba było zatrzaskiwać. Tym razem o nich zapomnieli. Zastanawiała się, czy nie poprosić Geralda, żeby poszedł i je zamknął, nim zaczną na dobre, bo inaczej zwariuje od tego stukotu. Zaraz jednak pomyślała, że w tej sytuacji zabrzmiałoby to wyjątkowo śmiesznie. Zepsułaby zupełnie nastrój.

Jaki nastrój?

Dobre pytanie. I w chwilę potem, gdy Gerald przekręcił kluczyk w drugim zamku i usłyszała nad lewym uchem cichy szczeł, zdała sobie sprawę, że wcale nie zależy jej na podtrzymywaniu nastroju. Oczywiście to właśnie dlatego w ogóle zauważyła, że drzwi są nie domknięte. Gry erotyczne z kajdankami już dawno przestały ją podniecać.

Jednakże nie można było tego powiedzieć o Geraldzie. Miał na sobie tylko szorty i Jessie nie potrzebowała unosić wzroku na jego twarz, by widzieć, iż owa gra cieszy się jego nie słabnącym zainteresowaniem.

Kompletny idiotyzm – pomyślała, choć czuła, że to jeszcze nie wszystko. Była także trochę przerażona. Nie miała ochoty się do tego przyznać, lecz musiała.

– Dajmy dziś spokój, dobrze?

Zawahał się na moment, marszcząc lekko brwi, a następnie przeszedł przez pokój do komody po lewej stronie drzwi do łazienki. Po drodze się rozchmurzył. Obserwowała go, leżąc na łóżku z rozpostartymi, uniesionymi ramionami; przywodziła na myśl piękną Fay Wray, skrzepowaną i czekającą na King Konga. Gerald przykuł ją dwiema parami kajdanek do mahoniowych słupków po obu stronach zagłówka. Łańcuszki kajdanek miały długość około piętnastu centymetrów. Niewiele.

Gerald położył kluczyki na blacie komody – dwa leciutkie stuknięcia; słuch Jessie był wyjątkowo wyostrzony jak na śródkowe popołudnie – i odwrócił się z powrotem ku żonie. Wysoko nad jej głową na białym suficie sypialni kołysały się i tańczyły refleksy słońca w tafli jeziora.

– Co ty na to? Jakby przestało mnie to już bawić. (*A zresztą nigdy szczególnie nie bawiło* – dodała w duchu.)

Uśmiechnął się szeroko. Miał nalaną różową twarz i kruczoczarne włosy z głębokimi zakolami, a ten specyficzny uśmiech zawsze wywoływał w Jessie coś, co niezbyt jej się podobało. Nie potrafiłaby określić, co to właściwie takiego, ale...

Oczywiście, że potrafisz. Wygląda jak idiota. Przecież widzisz: im bardziej szczyrzy zęby, tym jest głupszy, a każdy centymetr uśmiechu to spadek ilorazu inteligencji o dziesięć punktów. Kiedy twój genialny mąż, błyskotliwy prawnik pracujący w renomowanej kancelarii adwokackiej, uśmiecha się najszerszej, jak umie, przypomina debila zatrudnionego jako szatniarz.

Spostrzeżenie okrutne, ale niedalekie od prawdy. Dobrze – tylko jak powiedzieć własnemu mężowi, prawie po dwudziestu latach małżeństwa, że jeśli szczyrzy zęby za szeroko, wygląda, jakby cierpiał na lekki kretynizm?! Odpowiedź jest prosta: nic się nie mówi. Jego normalny uśmiech, z zaciśniętymi wargami, to zupełnie inna sprawa – śliczny, ciepły i pocziwy; Jessie przypuszczała, że to właśnie on skłonił ją kiedyś do tego, by w ogóle zacząć chodzić z Geraldem. Kojarzył się z uśmiechem jej ojca, gdy przed kolacją, popijając dżin z tonikiem, opowiadał rodzinie śmieszne historyjki o swojej pracy.

Ale nie tym razem. Teraz Gerald bezwstydnie szczyrzył zęby w sposób, który najwyraźniej rezerwował na takie okazje. Pewnie mu się wydaje, że uśmiecha się jak dzika bestia, a może pirat. Jednakże dla Jessie, leżącej z wykręconymi do tyłu ramionami i ubranej wyłącznie w skąpe majteczki, był to grymas zwykłego idioty. Nie... upośledzonego umysłowo. Ale przecież Gerald nie miał w sobie nic z lekkomyślnego donżuana z jednego z magazynów pornograficznych, nad którymi onanizował się jako samotny, grubawy niedorostek; był adwokatem z tęgą, różową twarzą i zakolami, które wciąż posuwały się do tyłu – nieubłagana zapowiedź całkowitego wyłysienia... Po prostu prawnikiem z przednią częścią szortów wyrzuszającą się pod naporem czegoś twardego. Wyrzuszającą się zresztą dość lekko.

Wielkość jego erekcji nie była jednak najważniejsza. Najważniejsze było to, że szczyrzył zęby. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę, co znaczyło, iż nie wziął jej słów poważnie. To jasne, że powinna była protestować; w końcu na tym właśnie polegała gra.

– Geraldzie? Ja naprawdę nie żartuję.

Rozdziawił usta jeszcze szerzej. Ukazały się kolejne drobne ząbki rekina palestry, ząbki całkowicie niegroźne; jego iloraz inteligencji znów spadł o dwadzieścia albo trzydzieści punktów. I ciągle nic do niego nie docierało.

Jesteś pewna?

Była. Nie potrafiła jeszcze czytać w nim jak w książce – podejrzewała, że aby dojść do tego stanu, potrzeba znacznie więcej niż siedemnastu lat małżeństwa – ale zwykle miała niezłe pojęcie o tym, co się dzieje w jego głowie. Gdyby okazało się inaczej, bardzo by ją to zdziwiło.

Skoro to prawda, dziubdziuniu, to dlaczego on ciebie nie rozumie? Jak może nie widzieć,

że nie jest to po prostu nowa scenka w starej farsie erotycznej?

Jessie zmarszczyła lekko brwi. W jej głowie zawsze rozlegały się głosy – domyślała się, że wszyscy słyszą coś takiego, choć zazwyczaj o tym nie mówią, podobnie jak o czynnościach wydalniczych – a większość z nich wydawała się starymi znajomymi, bezpiecznymi niczym ranne pantofle. Ten jednak był nowy – i nie miał w sobie nic bezpiecznego. Był mocny; brzmiała w nim młodość i energia. A także niecierpliwość. Znów się odezwał, odpowiadając na własne pytanie:

Nie chodzi o to, że cię nie rozumie; rzecz w tym, dziubdziuniu, że czasami po prostu nie chce rozumieć.

– Geraldzie, doprawdy, nie mam dziś ochoty. Przynies z powrotem kluczyki i uwolnij mnie. Zrobimy to inaczej. Wejść na ciebie, dobrze? Albo możesz leżeć spokojnie z rękami pod głową, a ja się wszystkim zajmę, no wiesz.

Na pewno chcesz to zrobić? – spytał nowy głos. – Czy jesteś zupełnie pewna, że chcesz się kochać z tym mężczyzną?

Jessie zamknęła oczy, jakby mogła w ten sposób uciszyć ten głos. Gdy znów je otworzyła, Gerald stał u stóp łóżka, a przednia część jego szortów przypominała sterzący bukszpryt jachtu pełnomorskiego. No, może raczej dziób plastikowej łódeczki puszczonej przez dziecko na stawie. Rozdziawił usta jeszcze szerzej, aż ukazały się zęby trzonowe, te ze złotymi plombami. Jessie zdała sobie sprawę, że ten kretyński uśmiech nie budzi w niej zwykłej niechęci, tylko pogardę.

– Uwolnię cię... jak będziesz bardzo, ale to bardzo grzeczna. Potrafisz być bardzo, ale to bardzo grzeczna, Jessie?

Tandeta – zauważył kolejny rzeczowy głos. – Tandeta do kwadratu.

Gerald wetknął kciuki za gumkę szortów, tak że wyglądał przez chwilę jak absurdalna karykatura rewolwerowca. Gacie zjechały w dół bardzo szybko, gdy już się precyzyjnie poza tłuściutkie pośladki.

I – *voilà*, wszystko na wierzchu! Nie była to przerażająca machina erotyczna, z którą Jessie zetknęła się po raz pierwszy jako nastolatka na kartach „Fanny Hill”, lecz coś potulnego, różowiutkiego i obrzezanego – całkiem zwyczajny kutasik, mający niewiele więcej niż dziesięć centymetrów długości. Dwa albo trzy lata temu, w czasie jednego z rzadkich wypadów do Bostonu, Jessie widziała film pod tytułem „Brzuch architekta”. W porządku – pomyślała – *teraz oglądam „Penis adwokata”*. Musiała przygryźć wewnętrzną stronę policzków, żeby nie parsknąć śmiechem. Nie byłoby to w tym momencie roztropne.

I wówczas przyszła jej do głowy pewna myśl, która odebrała jej jakąkolwiek ochotę do śmiechu. Przecież to proste! Gerald nie wiedział, że ona mówi poważnie, bo Jessie Burlingame, jego żona, siostra Maddy i Willa, córka Toma i Sally Mahoutów, bezdietna, tak naprawdę w ogóle dlań nie istniała.

Wraz z cichym metalicznym szczęknięciem kluczyków w zamkach kajdanek Jessie

zniknęła. Magazyny przygodowe z okresu dojrzewania zostały zastąpione przez stos czasopism pornograficznych w dolnej szufladzie biurka, czasopism, w których kobiety ubrane tylko w sznury pereł kłęczały na niedźwiedzich skórach, a od tyłu brali je mężczyźni o tak potężnych narządach seksualnych, że te należące do Geralda wydawały się przy nich wręcz mikroskopijne. Na wewnętrznych stronach okładek owych czasopism oprócz ogłoszeń podających telefony, pod którymi można porozmawiać na świńskie tematy, znajdowały się także reklamy nadymanych partnerek o szczegółach anatomicznych rzekomo zgodnych z rzeczywistością – koncept, który budził w Jessie szczególne zdziwienie. Wyobraziła sobie te napompowywane lale z różową skórą, komiksowymi ciałami bez zmarszczek i pustymi twarzami, i doznała czegoś w rodzaju zdumionego olśnienia. Nie był to horror – niezupełnie – w głowie Jessie błysnęło światło, a pejzaż, który wydobyło z mroku, wydawał się na pewno bardziej przerażający niż ta kretyńska gra czy to, że tym razem zajmują się nią w domku letniskowym nad jeziorem długo po odejściu lata.

Wszystkie te myśli nie przytępiły w najmniejszym stopniu słuchu Jessie. Tym razem usłyszała piłę łańcuchową warczącą gdzieś daleko w lesie – może nawet w odległości siedmiu, ośmiu kilometrów. Bliżej, na jeziorze Kashwakamak, nur ociągający się z corocznym odlotem na południe wznosił swój obłąkańczy krzyk ku błękitnemu październikowemu niebu. Jeszcze bliżej, na północnym brzegu, zaszczekał pies. Było to brzydkie, zgrzytliwe szczekanie, lecz wydało się Jessie dziwnie uspokajające. Oznaczało, że nie są tu zupełnie sami, nawet w połowie października. Poza tym słychać było tylko drzwi; stukające o framugę, obluzowane niczym stary ząb w dziąśle przeżartym przez skorbut. Jessie czuła, że gdyby musiała słuchać ich przez dłuższy czas, postradałaby zmysły.

Gerald, nagi z wyjątkiem okularów na nosie, uklęknął na łóżku i zaczął się czołgać w jej stronę. Jego oczy wciąż błyszczały.

Przyszło jej do głowy, że to właśnie ten błysk kazał jej dalej uczestniczyć w grze, długo po zaspokojeniu początkowej ciekawości. Minęło wiele lat, odkąd Gerald spoglądał na nią takim gorączkowym wzrokiem. Nie była brzydka – nie przytyła i miała ciągle niezłą figurę – lecz i tak coraz mniej się nią interesował. Uważała, iż częściowo winny jest alkohol – pił teraz znacznie więcej niż wtedy, gdy się pobrali – ale wiedziała, że to nie wszystko. „Zażyłość jest matką pogardy”, tak to chyba brzmi, prawda? Rzekomo nie dotyczy to zakochanych, przynajmniej wedle poetów romantycznych czytanych na kursie literatury angielskiej, ale po ukończeniu studiów Jessie odkryła, że istnieją pewne sfery życia, o których John Keats i Percy Shelley nie napisali nigdy ani słowa. Poza tym obaj zmarli oczywiście w znacznie młodszym wieku niż ten, jaki osiągnęli państwo Burlingame.

Tu i teraz nie miało to zresztą większego znaczenia. Ważne było może to, że Jessie uczestniczyła w grze dłużej, niż naprawdę chciała, bo podobał jej się ten gorący błysk w oczach Geralda. Czuła się dzięki niemu młoda, ładna i kusząca. Ale...

...ale jeśli myślałaś, że patrzy w ten sposób właśnie na ciebie, to się pomyliłaś,

dziubdziuniu. A może oszukiwałaś siebie samą? I może powinnaś wreszcie zdecydować – zdecydować raz na zawsze – czy chcesz dalej znosić to upokorzenie. Bo czy nie czujesz się upokorzona?

Jessie westchnęła. Owszem. Trochę tak.

– Geraldzie, ja naprawdę mówię poważnie.

Podniosła głos i po raz pierwszy błysk w jego oczach przygasł lekko. Dobrze. Słyszał, co się do niego mówi, przynajmniej z pozoru. Więc może wszystko jest jeszcze w porządku. Nie wspaniale, bo od chwili gdy można było utrzymywać, że jest wspaniale, minęło dużo czasu, ale – w porządku. Nagle błysk znów się pojawił, a zaraz potem ukazał się ten sam kretyński uśmiech.

– Dam ci nauczkę, moja krnąbrna pięknotko! – powiedział Gerald. Naprawdę to powiedział, wymawiając słowo „pięknotko” tonem dziedzica z tandetnego wiktoriańskiego melodramatu.

Więc niech to zrobi. Po prostu niech to zrobi i będzie po wszystkim.

Z tym akurat głosem była znacznie bardziej oswojona, zamierzała więc posłuchać jego rady. Nie wiedziała, czy Gloria Steinem zaaprobowałaby takie postępowanie i miała to w nosie; rada wydawała się atrakcyjna dzięki swojej absolutnej praktyczności. Niech to zrobi, a jak zrobi, to zrobi. *Quod erat demonstrandum.*

Nagle dłoń Geralda – pulchna dłoń o krótkich palcach, równie różowa jak fałda na czubku jego kutasika – wysunęła się do przodu i chwyciła ją za pierś, aż w Jessie coś pękło niczym zanadto naprężone ścięgno. Gwałtownie szarpnęła biodrami i tułowiem, strząsając tę rękę.

– Daj spokój, Geraldzie! Otwórz te kretyńskie kajdanki i uwolnij mnie. Przestało mnie to bawić już w marcu, gdy jeszcze leżał śnieg. Nie jestem podniecona, czuję się śmieszna.

Tym razem na pewno usłyszał. Przekonało ją o tym to, że błysk w jego oczach natychmiast zgasł, niczym płomyk świecy zdmuchnięty przez wiatr. Domyśliła się, że w końcu dotarły do niego dwa słowa: „kretyński” i „śmieszny”. Był otyłym wyrostkiem w grubych okularach, który pierwszy raz w życiu umówił się na randkę w wieku osiemnastu lat – rok po przejściu na ścisłą dietę i rozpoczęciu ćwiczeń gimnastycznych w celu zrzucenia nieapetycznych zwałów sadła. Gdzieś na drugim roku studiów Gerald uznał swoje życie za „mniej więcej opanowane” (jakby życie – a przynajmniej jego życie – było wierzgającym koniem, którego należy ujeździć), ale Jessie wiedziała, że koszarne lata spędzone w gimnazjum pozostawiły w nim pokłady głębokiej pogardy dla samego siebie i podejrzliwości względem innych.

Sukces w roli adwokata (i małżeństwo z nią; ono także odegrało swoją rolę, może nawet decydującą) jeszcze bardziej przywróciły mu wiarę i szacunek do samego siebie, lecz Jessie przypuszczała, iż niektóre koszmary nigdy nie zniknąły. Gdzieś w podświadomości Geralda starsi chłopcy ciągle nabijali się z niego w czytelni internatu, kpiąc, że potrafi się tylko

onimizować na myśl o dziewczętach, a niektóre słowa – na przykład „kretyński” i „śmieszny” – przypominały mu okres pobytu w gimnazjum, jakby to było wczoraj... Tak przynajmniej podejrzewała. Psycholodzy bywają często niewiarygodnymi, wprost celowymi głupcami, jednakże mają absolutną rację, podkreślając straszliwą trwałość pewnych wspomnień. Żerują one na umyśle człowieka niczym ohydne pijawki, a właściwe słowa – na przykład „kretyński” i „śmieszny” są w stanie momentalnie je ożywić, zmienić w wijącą się gorączkowo masę robactwa.

Jessie czekała na ukłucie wstydu, że zadała Geraldowi cios poniżej pasa, i poczuła zadowolenie – a może po prostu ulgę – gdy ukłucie się pojawiło. *Chyba mam już dość tej komedii* – pomyślała i zaraz przyszła jej do głowy następna refleksja: może ona też ma własne preferencje erotyczne, a skoro tak, to gra z kajdankami na pewno do nich nie należy. Czowała się poniżona. Poniżała ją cała ta sytuacja. Owszem, kilku pierwszym próbom – z jedwabnymi chustkami – towarzyszyło pewne zażenowane podniecenie i ze dwa razy miała więcej niż jeden orgazm, co zdarzało jej się wyjątkowo rzadko. Tak czy owak, istniały przykre efekty uboczne i nie kończyło się wyłącznie na upokorzeniu. Po każdej z owych wczesnych odmian gry Geralda dręczyły ją koszmary. Budziła się z krzykiem, złana potem, z mocno zaciśniętymi pięściami wepchniętymi głęboko między nogi. Pamiętała jeden taki sen, choć wspomnienie było odległe, zamazane: grała nago w krokieta i raptem zgasło Słońce.

Nieważne, Jessie, to może poczekać do jutra. Teraz musisz go przekonać, by cię uwolnił.

Tak. Bo nie była to ich gra, lecz wyłącznie jego gra. Uczestniczyła w niej tylko dlatego, że jemu na tym zależało. A to nie przemawiało już do Jessie.

Nad jeziorem znów zabrzmiał samotny krzyk nura. Kretyński, wyczekujący uśmiech Geralda ustąpił miejsca wyrazowi ponurego niezadowolenia. *Zepsułaś mi zabawkę, dziwko!* – mówiła jego mina.

Jessie przyłapała się na tym, że wspomina ostatni raz, gdy miała okazję dobrze się przyjrzeć temu wyrazowi na jego twarzy. W sierpniu Gerald przyniósł skądś broszurkę na kredowym papierze i pokazał, co sobie wymarzył, a ona powiedziała, że owszem, skoro chce kupić porsche, to naturalnie nic nie stoi na przeszkodzie, z pewnością stać ich przecież na porsche, jednakże ona uważa, że powinien raczej opłacić ubezpieczenie zdrowotne w Forest Avenue Health Club, co i tak planuje zrobić już od dwóch lat.

– Nie pasujesz w tej chwili do porsche. – Mówiąc to, zdawała sobie sprawę, że nie jest to uwaga zbyt delikatna, ale też czuła, że doprawdy nie pora na delikatność. A zresztą wytrącił ją do tego stopnia z równowagi, że miała w nosie to, czy go urazi. Zdarzało się to ostatnio coraz częściej i przerażało ją, ale nie wiedziała, co z tym począć.

– O co ci właściwie chodzi? – spytał oziębłe. Zwykle nawet nie próbowała odpowiadać na takie pytania, bo dawno już się przekonała, że są prawie zawsze retoryczne. Sprowadzały się do prostego podtekstu: *Denerwujesz mnie, Jessie. Nie uczestniczysz w grze.*

Ale wówczas – może było to mimowolne preludium do obecnej sytuacji – postanowiła

zignorować podtekst i jednak odpowiedzieć:

– Chodzi o to, Geraldzie, że tej zimy, czy kupisz porsche czy nie, skończysz czterdzieści sześć lat... no i nie zrzucisz tych piętnastu kilo nadwagi.

Okrutne, owszem, ale mogła się przecież zachować brutalniej: opisać obraz, jaki stanął jej przed oczami, gdy spojrzała na fotografię sportowego samochodu na okładce połyskliwej broszury wręczonej przez Geralda. W okamgnieniu ujrzała grubiutkiego chłopczyka z różową buzią i rzednącymi włosami wtłoczonego w nadmuchiwany basen ogrodowy.

Gerald wyrwał jej broszurę z dłoni i wymaszerował bez słowa z pokoju. Nie poruszali odtąd tematu porsche, ale Jessie często wyczuwała, że mąż ciągle o nim myśli, gdy spogląda na nią tym swoim urażonym, poważnym wzrokiem.

W tej chwili widziała w jego oczach jeszcze większy wyrzut.

– Mówiłaś, że to fajne. To twoje własne słowa: „Fajny pomysł”.

Czy rzeczywiście to powiedziała? Chyba tak. Cóż, był to błąd. Drobne przejęzyczenie, nic więcej, poślizgnięcie się na skórcie od banana. Jasne. Tylko jak wytłumaczyć to mężowi, który wygląda jak Baby Huey, z pyskiem ociekającym śliną, szykujący się do awantury?

Nie miała pojęcia, więc spuściła oczy – i zobaczyła coś, co bardzo jej się nie spodobało. Malutki Geralda – w jego przypadku malutki dosłownie i w przenośni – nie wykazywał żadnych oznak wzdęcia. Do malutkiego najwyraźniej nie dotarło, że dziś nic z tego nie będzie.

– Geraldzie, ja po prostu...

– ...nie mam na to ochoty? No cóż, to zupełnie nowa śpiewka, co? Zwolniłem się dziś z pracy. A jak spędzimy tu noc, jutro rano też będę nieobecny. – Przez chwilę namyślał się z posępną miną, po czym powtórzył: – Sama mówiłaś, że to fajny pomysł.

Jessie, niczym stary pokerowy wyga, zaczęła przeglądać ze znużeniem swój arsenał wymówek: *Tak, ale rozboleła mnie głowa; Tak, ale mam te cholerne nieprzyjemne skurcze przedmiesiączkowe; Tak, ale jestem kobietą, więc wolno mi zmienić zdanie; Tak, ale teraz, gdy jesteśmy zupełnie sami w tej głuszy, boję się ciebie, ty brutalu, ty dzika bestio* – kłamstw odwołujących się do złudzeń Geralda albo do jego próżności (często jedno mieszało się z drugim), lecz nim zdążyła wybrać kartę, jakąkolwiek kartę, odezwał się nowy głos. Pierwszy raz przemówił tak głośno i Jessie zdała sobie z fascynacją sprawę, że w świecie realnym jest on taki sam jak w jej głowie: mocny, suchy, energiczny, opanowany.

Wydawał się również dziwnie znajomy.

– Racja, chyba rzeczywiście to powiedziałam, ale przyszło mi do głowy, że fajnie będzie wyrwać się tu z tobą tak jak kiedyś, nim zrobiłeś się sztywny jak reszta twoich ważnych kolegów. Moglibyśmy trochę się pokochać, a potem posiedzieć razem na werandzie i posłuchać ciszy. Albo pograć trochę w scrabble po zachodzie słońca. Czy to źle, że zmieniłam zdanie, Geraldzie? Jak myślisz? Powiedz, bo naprawdę mnie to interesuje.

– Ale przecież sama mówiłaś...

W ciągu ostatnich pięciu minut usiłowała dać mu na różne sposoby do zrozumienia, że chce się uwolnić od tych przeklętych kajdanek, a on wciąż jeszcze ich nie zdjął. Jej zniecierpliwienie ustąpiło miejsca furii.

– Mój Boże, przestało mnie to bawić prawie natychmiast po tym, jak się zaczęło, i wyczułbyś to, gdybyś nie był taki cholernie tępy!

– Twój jęczyczek... Twój cięty, sarkastyczny jęczyczek... Czasami mam go już po dziurki w nosie...

– Geraldzie, jeśli się przy czymś uprzesz, to nie znaczy, że musisz to natychmiast dostać. Czy to moja wina?

– Nie lubię, jak tak mówisz, Jessie. Kiedy mówisz takie rzeczy, przestaję cię zupełnie lubić.

Sytuacja stawała się coraz koszmarniejsza, ale Jessie najbardziej przerażało, że dzieje się to tak szybko. Nagle poczuła się bardzo zmęczona i przypomniał jej się fragment piosenki Paula Simona: „Nie chcę tej zwariowanej miłości”. Brawo, Paul. Może jesteś niski, ale nie głupi.

– Wiem, że mnie nie lubisz. I dobrze, że nie lubisz, tylko że w tej chwili mówimy o kajdankach, a nie o tym, jak bardzo mnie lubisz albo nie lubisz, gdy zmieniam zdanie. Masz mi je natychmiast zdjąć, słyszysz?!

Nie słyszał, zdała sobie sprawę z narastającym lękiem. Naprawdę nie słyszał. Zupełnie za nią nie nadążał.

– Jesteś po prostu taka piekielnie niekonsekwentna, taka piekielnie sarkastyczna! Kocham cię, Jess, ale nie znoszę tych twoich przeklętych fochów. Zawsze ich nienawidziłem.

Otarł z nadąsaną miną pąsowe wargi i popatrzył na nią ze smutkiem – biedny, oszukany Gerald, mający na karku kobietę, co wyciągnęła go do pierwotnego lasu, a później uchyliła się od wypełnienia swoich powinności seksualnych. Biedny, oszukany Gerald, który wyraźnie nie miał najmniejszego zamiaru iść do komody przy drzwiach łazienki po kluczyki od kajdanek.

Niepokój Jessie przemienił się w coś nowego – w pewnym sensie niezależnie od jej woli. Stał się mieszaniną wściekłości i strachu, jaką odczuła tylko raz w życiu. Gdy miała mniej więcej dwanaście lat, jej brat Will połaskotał ją podczas przyjęcia urodzinowego. Widziały to wszystkie jej przyjaciółki i wszystkie się roześmiały. *Cha, cha, cha, jakie to zabawne, nie mogę!* Jessie jednak nie było do śmiechu.

Will śmiał się najgłośniej, wprost pękał ze śmiechu – zgięty wpół, z dłońmi opartymi na kolanach i włosami opadającymi na twarz. Działo się to w jakiś rok po pojawieniu się „Beatlesów”, toteż nosił oczywiście długie włosy. Najwyraźniej zasłoniły mu Jessie i nie miał pojęcia, jaka jest wściekła – a zwykle bardzo dobrze wyczuwał nawet najdrobniejsze zmiany jej nastroju i humoru. Śmiał się do rozpuku, aż w Jessie wezbrała taka spieniona złość, iż musiała coś zrobić, bo czuła, że inaczej po prostu pęknie. Zacisnęła małą piąstkę i uderzyła

swojego ukochanego braciszka prosto w usta, gdy uniósł w końcu głowę, by na nią popatrzeć. Po ciosie przewrócił się do tyłu jak kręgiel i krzyknął przeraźliwie.

Później Jessie usiłowała sobie wmówić, że Will krzyknął bardziej ze zdumienia niż z bólu, ale dobrze wiedziała, nawet w wieku dwunastu lat, że to nieprawda. Zrobiła mu krzywdę, wielką krzywdę. Rozcięła mu obie wargi, dolną w jednym miejscu, a górną w dwóch, i zrobiła mu wielką krzywdę. Dlaczego? Bo postąpił głupio? Ale miał wtedy tylko dziewięć lat – były to jego dziewiąte urodziny – a w tym wieku wszyscy chłopcy są głupi. Nie, nie chodziło o jego głupotę. Bała się po prostu, bała się, że jeśli nie zrobi czegoś z tą ohydą zieloną pianą wściekłości i wstydu, to wówczas – *tak, zgasi ona Słońce* – zwyczajnie eksploduje. Prawda, z którą zetknęła się tego dnia po raz pierwszy, przedstawiała się następująco: w Jessie znajdowała się studnia, woda w studni była zatruta i łaskocząc siostrę, William spuścił do studni wiadro, a następnie wyciągnął je pełne szlamu i wijących się robaków. Nienawidziła go za to i chyba właśnie dlatego go uderzyła. Przeraziła się tego, co wydobył z głębin. Teraz, po tylu latach, odkrywała, że ciągle ją to przeraża. – lecz także ciągle doprowadza do furii.

Nie zgasisz Słońca! – pomyślała, nie mając zielonego pojęcia, co to ma znaczyć. – *Prędzej zdechnę, niż ci pozwolę!*

– Nie zamierzam z tobą dyskutować, Geraldzie. Przynies po prostu kluczyki od tych zasranych kajdanek i uwolnij mnie!

I wówczas powiedział coś, co tak ją zdumiało, że z początku w ogóle nie zrozumiała, o co chodzi:

– A jak tego nie zrobię?

Najpierw zauważyła, że mówi zmienionym głosem. Zwykle przemawiał szorstko, opryskliwie i władczo, jakby chciał powiedzieć: „Ja tu rządę, i mamy wszyscy piekielne szczęście, że tak jest, co?”, tym razem odezwał się głucho, mruczącym tonem, jakiego jeszcze nie słyszała. W jego oczach znów zapalił się błysk – ten ukradkowy gorący błysk, który niegdyś doprowadzał ją do takiego podniecenia, jakby miał siłę stu jupiterów. Nie widziała dobrze oczu Geralda – były tylko szparkami w fałdach powiek i zasłaniały je okulary w złotej oprawce – ale błysk pojawił się znowu. O tak, znowu.

I jeszcze to dziwne zachowanie Pana Malutkiego. Pan Malutki wcale się nie zmniejszył. W istocie rzeczy wydawał się większy niż kiedykolwiek, choć prawdopodobnie należało to przypisać wyobraźni Jessie.

Tak sądzisz, dziubdziuniu? Ja nie.

Przetrawiała owe spostrzeżenia, aż wreszcie wróciła do ostatniego zdumiewającego pytania Geralda: „A jak tego nie zrobię?” Tym razem oprócz tonu głosu dotarło do niej znaczenie słów, a gdy wreszcie w pełni je zrozumiała, poczuła, że wściekłość i strach jeszcze się wzmogły. Gdzieś w głębi wiadro znów zjeżdżało w dół, po kolejną porcję szlamu – po błotnistą wodę zanieczyszczoną mikroorganizmami równie zabójczymi jak jadowite żmije.

Kuchenne drzwi uderzyły we framugę, a w lesie znów odezwał się pies, jakby jeszcze się przybliżył. Jego szczekanie miało w sobie coś rozziewającego, rozpaczliwego. Gdyby Jessie słuchała go zbyt długo, na pewno dostałaby migreny.

– Posłuchaj mnie, Geraldzie – usłyszała swój nowy, mocny głos i jednocześnie zdała sobie sprawę, że mógł on wybrać lepszy moment, by przerwać milczenie (była przecież sama na sam z mężem na odludnym północnym brzegu jeziora Kashwakamak, przykuta kajdankami do łóżka i odziana tylko w skąpe nylonowe majteczki), lecz mimo to prawie wbrew własnej woli przyłapała się na tym, że go podziwia. – Słuchasz mnie jeszcze? Wiem, że w ostatnich czasach rzadko zwracasz uwagę na to, co mam do powiedzenia, ale tym razem naprawdę musisz mnie wysłuchać. No więc... słuchasz mnie w końcu?!

Kłęczał na łóżku, spoglądając na nią w taki sposób, jakby była nieznanym dotąd gatunkiem owada. Jego policzki, pokryte siecią drobnych czerwonych żyłek (nazywała je piętnem alkoholowym), były prawie fioletowe. Na czole miał podobną ciemną plamę o tak wyraźnym zarysie, że wyglądała jak znamię.

– Tak – odpowiedział swoim dziwnym, mrużącym głosem, a brzmiało to jak przeciągłe „Ta-a-a-k”. – Słucham cię, Jessie. O tak, słucham z najwyższą uwagą.

– Dobrze. Wobec tego idź do komody i przynieś kluczyki. Najpierw uwolnij mi prawą rękę, a później lewą. – Zagrzechotała łańcuszkami. – Jeśli natychmiast to zrobisz, odbędziemy mały, normalny, bezbolesny stosunek płciowy, po czym wrócimy do naszego normalnego, bezbolesnego życia w Portland.

Bezsensownego życia – pomyślała. – Opuściłaś jeden przymiotnik. Normalnego, bezbolesnego, bezsensownego życia w Portland. Może była to prawda, a może Jessie po prostu przesadzała (okazało się, że przykucie kajdankami do łóżka czyni człowieka skłonny do teatralnych zachowań), lecz zapewne dobrze, że pominęła to słowo – ot, tak na wszelki wypadek. Ten nowy, rzeczowy głos był jednak w miarę dyskretny. I zaraz, jakby chciała sama sobie zaprzeczyć, usłyszała pulsującą w nim wściekłość.

– Ale jak będziesz dalej mnie denerwował, pojedę stąd prosto do swojej siostry, dowiem się nazwiska adwokatki, która reprezentowała ją podczas rozwodu, i zadzwonię do niej! Nie żartuję! Nie chcę dłużej uczestniczyć w tej farsie!

I nagle zdarzyło się coś niewiarygodnego, zupełnie nieoczekiwanego: Gerald znów zaczął szczerzyć zęby! Jego uśmiech, wypełzający powoli na twarz, kojarzył się trochę z łodzią podwodną, która po długiej, niebezpiecznej podróży wpłynęła wreszcie na znajome wody i wynurza się na powierzchnię. Jednakże nie to było najbardziej niewiarygodne. Najbardziej niewiarygodne było to, że tym razem nie wyglądał już jak nieszkodliwy półgłówek. Przypominał raczej groźnego maniaka seksualnego.

Znów wyciągnął rękę, pogłaskał Jessie po lewej piersi, a później ścisnął ją boleśnie. Zakończył te karesy uszczypnięciem w brodawkę, czego nigdy dotąd nie robił.

– Przestań! To boli!

Skinął głową z namaszczeniem i uznaniem, które dziwnie kontrastowały z jego przerażającym uśmiechem.

– To cudowne, Jessie. Ta twoja gra. Mogłabyś być aktorką. Albo zawodową prostytutką. I to wysokiej klasy! – Zawahał się, po czym dodał: – Uważam to oczywiście za komplement.

– O czym ty, do licha, gadasz? – Dobrze wiedziała. W tej chwili bała się już naprawdę. W sypialni pojawiło się zło; wirowało wokół niczym czarny dziecinny bąk.

Ale była też w dalszym ciągu wściekła – równie wściekła jak w dniu, gdy Will ją połaskotał. Gerald się roześmiał.

– O czym mówię?! Przez chwilę dałem się na to wszystko nabrać. Właśnie o tym mówię. – Położył dłoń na jej prawym udzie. Kiedy znów się odezwał, przemawiał energicznym i zdumiewająco rzeczowym tonem. – A teraz, czy sama rozsuniesz dla mnie nogi, czy mam to zrobić na siłę? A może to także część gry?

– Wypuść mnie!

– Tak... jak będzie po wszystkim. – Wysunął gwałtownie do przodu drugą rękę. Tym razem uszczypnął Jessie w prawą pierś, i to tak mocno, że poczuła małe białe igielki bólu biegnące wzdłuż boku do prawego biodra. – No, rozłóż te swoje śliczne nóżki, krnąbrna pięknotko!

Przyjrzała, mu się uważniej i odkryła coś strasznego: wiedział. Zdawał sobie sprawę, że Jessie naprawdę nie ma już na to ochoty. Wiedział, ale postanowił nie wiedzieć. Czy człowiek ma prawo tak postępować?!

No pewnie – odparł rzeczowy głos. – Jak się jest genialnym specem od prawa handlowego w największej kancelarii adwokackiej między Bostonem a Montrealem, wie się to, co się chce wiedzieć, i nie wie się tego, czego się nie chce wiedzieć. Myślę, że popadłaś w poważne tarapaty, kochana. Takie tarapaty, które mogą doprowadzić do rozpadu małżeństwa. Lepiej zaciśnij zęby i zamknij oczy, bo myślę, że czeka cię cholernie przykre przeżycie.

Ten uśmiech. Ten wstrętny, podły uśmiech.

Udaje, że nic nie wie. I to tak dobrze, że później zgodzi się nawet na badanie wykrywaczem kłamstwa. „Myślałem, że to część gry – stwierdzi, obrażony i zdziwiony. – Naprawdę tak myślałem”. A jeśli Jessie zacznie się upierać i gniewać, Gerald skorzysta w końcu z najstarszego argumentu, chowając się za nim niczym jaszczurka w szczelinie w skale: „Było ci przyjemnie. Sama wiesz, że to prawda. Czemu się do tego nie przyznasz?” Udaje Greka! Wie, ale i tak chce zrobić swoje. Przykuł ją do łóżka, ona zaś sama mu w tym pomagała, a teraz, o kurwa, nie owijajmy tego w bawełnę, zamierza ją zgwałcić, naprawdę zgwałcić, gdy tymczasem drzwi uderzają o framugę, szczeka pies, warczy piła łańcuchowa i słychać krzyki nura nad jeziorem. Naprawdę chce to zrobić. Tak, chłopcy – heja-heja-ho! – nie mieliście jeszcze pod sobą żadnej cipki, dopóki nie skakała jak kokoszka na gorącym ruszcie! A jeśli Jessie rzeczywiście pojedzie do Maddy po zakończeniu tego upokarzającego epizodu, Gerald wszystkiemu zaprzeczy, stwierdzi, że wcale jej nie zgwałcił.

Położył na udach Jessie swoje różowe dłonie i zaczął rozsuwać jej nogi. Nie opierała się zanadto, na razie była jeszcze zbyt przerażona i zdumiona tym, co się dzieje.

I to jest odpowiednie podejście – odezwał się inny, bardziej znajomy głos. – Po prostu leż spokojnie i pozwól mu się wyprztykać. Cóż to w końcu takiego? Robił to już tysiące razy i jakoś od tego nie umarłaś. Nie zapominaj, że minęło dobrych kilka lat, odkąd przestałaś być wstydliwą panienką.

A co by się stało, gdyby nie posłuchała rady tego głosu? Jaki miała wybór?

Jakby w odpowiedzi, stanął jej przed oczami przerażający obraz. Wyobraziła sobie, że składa zeznania przed trybunałem rozwodowym. Nie wiedziała, czy w stanie Maine istnieją w dalszym ciągu takie trybunały, jednakże nie wpłynęło to w najmniejszym stopniu na wyrazistość wizji. Ujrzała samą siebie ubraną w elegancki kostium od Donny Karan i jedwabną brzoskwińową bluzkę. Kolana miała skromnie złączone, leżała na nich jej mała biała torebka. Wyobraziła sobie, jak mówi sędziemu, wyglądającemu niczym świętej pamięci Harry Reasoner, że owszem, to prawda, z własnej woli pojechała z Geraldem do domku letniskowego, że owszem, pozwoliła przykuć się do łóżka dwiema parami kajdanek marki „Kreig”, również z własnej woli, że owszem, uprawiali już takie gry miłosne, choć nigdy w domku nad jeziorem.

Tak, Wysoki Sądzie. Tak.

Tak, tak, tak.

Gerald w dalszym ciągu rozsuwał jej nogi, a Jessie usłyszała samą siebie zeznającą przed sędzią kojarzącym się z Harrym Reasonerem. Opowiadała, jak zaczęli od jedwabnych apaszek, jak nie miała nic przeciwko temu, jak przeszli przez etapy chustek, sznurów i kajdanek, choć prędko znudziła ją ta gra. Budziła jej niesmak. Taki niesmak, że pewnej niedzieli w październiku przejechała z Geraldem sto trzydzieści pięć kilometrów dzielące Portland od jeziora Kashwakamak, taki wstręt, że znów pozwoliła się przykuć jak pies do łóżka, takie obrzydzenie, że nosiła tylko parę nylonowych majteczek, tak cienkich, że można by przez nie czytać ogłoszenia w „New York Timesie”. Sędzia uwierzy w to wszystko i będzie głęboko współczuł. Oczywiście, że tak. Kto by jej nie współczuł? Wyobraziła sobie, jak siedzi na miejscu dla świadków i mówi: „Tak, byłam przykuta kajdankami do łóżka i nie miałam na sobie nic oprócz skąpej bielizny z seks-shopu, ale zmieniłam w ostatniej chwili zdanie, a Gerald wiedział o tym, więc to gwałt”.

O tak, sędzia na pewno uwierzy. Można się założyć.

Ocknęła się z tego przerażającego snu na jawie, zorientowawszy się, że Gerald ściąga majteczki. Klęczał między jej nogami, z twarzą tak pełną namysłu, jakby właśnie zamierzał przystąpić do egzaminu do izby adwokackiej, a nie pojąć żonę wbrew jej woli. Ze środka mięsistej dolnej wargi ściekała mu na podbródek strużka białej śliny.

Pozwól mu to zrobić, Jessie. Pozwól mu się wyprztykać. Sperma padła mu na mózg, podobnie jak im wszystkim. Kiedy się wyprztyka, znów będziesz mogła się z nim dogadać.

Dasz sobie z nim radę. Więc nie rób chryi – po prostu leż spokojnie i czekaj, aż wyrzuci ją ze swojego organizmu.

Rada była dobra i Jessie chyba by jej posłuchała, gdyby nie poczuła w sobie obecności kogoś nowego. Ten bezimienny gość uważał najwidoczniej, że zwykła doradczyni Jessie – głos, który Jessie nazwała po latach Dobrą Żoną Burlingame – jest kompletną idiotką. Jessie wciąż jeszcze mogła pozwolić, by wszystko potoczyło się swoją koleją, gdy nagle zdarzyły się dwie rzeczy naraz: zdała sobie sprawę, że choć jest przykuta kajdankami do łóżka, ma wolne nogi, i w tej samej chwili spostrzegła, że z brody Geralda spadła kropelka śliny. Dyndała mu przez chwilę na podbródku, wydłużając się, po czym spadła Jessie na brzuch, tuż nad pępkiem. Doznanie to miało w sobie coś znajomego i ogarnęło ją przerażająco silne poczucie *deja vu*. Wydało jej się, że pokój nagle pociemniał, jakby okna i świetlik zastąpiono okopconymi szybami.

To jego sperma! – pomyślała, choć doskonale wiedziała, że to nieprawda. – *To jego przeklęta sperma!*

Zareagowała nie tyle na zachowanie Geralda, ile na nienawistne uczucie, jakie eksplodowało w głębi jej umysłu. Nie towarzyszyła temu absolutnie żadna refleksja – ogarnęła ją po prostu instynktowna, paniczna odraza kobiety, która zdała sobie sprawę, że w jej włosy zaplątał się nietoperz.

Podkurczyła nogi, aż jej unoszące się kolano przeleciało tuż koło wysuniętego podbródka Geralda, po czym rozprostowała je niczym tłoki maszyny. Podeszwa i palce prawej stopy trafiły w jego podbrzusze, pięta lewej zaś w sztywno sterczący penis i jądra, wiszące pod nim niczym biały, dojrzały owoc.

Gerald odchylił się do tyłu, a jego pośladki opadły na tłuste, bezwłose łydki. Uniósł głowę w stronę świetlika i białego sufitu, na którym podrygiwały odbłyски słońca, i wydał z siebie piskliwy, charczący okrzyk. W tejże chwili na jeziorze znów odezwał się nur, co stworzyło diaboliczny kontrast; Jessie miała wrażenie, że to jeden samiec lituje się nad drugim.

Oczy Geralda nie były już zwężone ani lśniące, lecz szeroko otwarte, błękitne jak przejrzyste niebo (pragnienie ujrzenia tego nieba nad pustym, jesiennym jeziorem skłoniło Jessie do przyjęcia propozycji Geralda, gdy zadzwonił z kancelarii i powiedział, że rozprawę odroczone, tak że mogliby spędzić popołudnie w domku letniskowym, a może nawet przenocować), i malował się w nich wyraz takiej męki, że Jessie prawie nie mogła na to patrzeć. Na szyi sterczały po bokach straszliwie napięte ścięgna. *Ostatni raz widziałam coś takiego owego deszczowego lata, gdy przestał uprawiać ogród i przerwucił się na szkocką* – pomyślała Jessie.

Jego krzyk cichł. Wyglądało to trochę tak, jakby ktoś dysponujący specjalnym pilotem do zdalnego sterowania Geraldem zmniejszył powoli natężenie dźwięku. Oczywiście nie istniał żaden pilot. Gerald krzyczał niezwykle długo, może nawet pół minuty, i po prostu tracił

oddech. *Musiąło go strasznie zboleć* – pomyślała Jessie. Czerwone plamy na policzkach i czole Geralda stawały się powoli fioletowe.

Zrobiłaś to! – zawołała wstrząśnięta Dobra Żona Burlingame. – *Naprawdę, naprawdę to zrobiłaś!...*

Cholernie celny strzał, nie? – rzekł z namysłem nowy głos.

Kopnęłaś własnego męża w jaja! – wrzasnęła Dobra Żona. – *Czy miałaś do tego prawo, na Boga?! Czy wolno ci nawet żartować na ten temat?!*

Jessie знаła odpowiedź na to pytanie, a przynajmniej tak jej się zdawało. Kopnęła męża, bo zamierzał ją zgwałcić i twierdzić później, że nic się nie stało, że uprawiali nieszkodliwą grę miłosną i doszło do drobnego nieporozumienia. „Winna jest gra – powiedziałyby, wzruszając ramionami. – Gra, nie ja. Jeśli chcesz, możemy przestać w nią grać”. Wiedziałyby oczywiście, że Jessie za żadną cenę nie zgodziłaby się więcej na przykucie do łóżka. Nie, tym razem postanowił wreszcie jej pokazać, kto tu jest panem. Zdawał sobie sprawę z sytuacji i zamierzał ją wykorzystać do ostatecznych granic.

Czarny bąk, którego Jessie wyczuła w pokoju, wymknął się spod kontroli, jak się tego obawiała. Gerald wciąż wyglądał, jakby krzyczał, choć z jego wykrzywionych, rozciągniętych warg nie wydobywał się żaden dźwięk (przynajmniej taki, jaki Jessie mogłaby usłyszeć). Jego twarz tak nabrzmiała od krwi, że gdzieś tam stała się prawie czarna, a pod starannie wygoloną skórą na szyi pulsowała wściekle żyła – a może tętnica? Wyglądała, jakby miała za chwilę pęknąć, i Jessie poczuła ukłucie straszliwej trwogi.

– Geraldzie? – spytała cichym, nieśmiałym głosem dziewczynki, która stłukła cenny wazon na przyjęciu urodzinowym przyjaciółki. – Nic ci nie jest?

Pytanie głupie, niewiarygodnie głupie, lecz znacznie łatwiejsze niż to, które rzeczywiście chciałyby zadać: „Bardzo cię boli, Geraldzie? Myślisz, że możesz umrzeć?”

Oczywiście, że nie umrze – odezwała się nerwowo Dobra Żona Burlingame. – *Sprawiałaś mu straszny ból i powinno być ci przykro, ale nie umrze. Nikt nie umrze.*

Wykrzywione wargi Geralda w dalszym ciągu drżały bezgłośnie, lecz nie odpowiedział na pytanie Jessie. Prawą rękę położył na brzuchu, lewą zaś podtrzymywał zmiażdżone jądra. Nagle obie dłonie uniosły się i spoczęły tuż nad brodawką jego lewej piersi. Spoczęły niczym para tłustych różowych ptaków, zbyt zmęczonych, by kontynuować lot. Jessie widziała zarys nagiej stopy – swojej własnej nagiej stopy – ukazujący się na krągłym brzuchu męża. Czerwona plama na różowym ciele miała w sobie coś oskarżycielskiego.

Wydychał powietrze, albo próbował to zrobić, roztaczając wokół siebie kwaśny odór zgniłej cebuli. *Ostatnie tchnienie* – pomyślała Jessie. – *Dolne dziesięć procent płuc to domena ostatniego tchnienia, czy nie tak nas uczyli w szkole na biologii? Tak, chyba tak. Wydawszy je, człowiek albo mdleje, albo...*

– Geraldzie! – zawołała ostrym, karcącym tonem. – Oddychaj, Geraldzie!

Oczy wyszły mu z orbit niczym błękitne szklane kulki i zdołał wciągnąć niewielki haust

powietrza. Wykorzystał je, by wypowiedzieć ostatnie słowo – tylko jedno, choć przecież wydawał się niekiedy wręcz stworzony ze słów.

– ...serce...

To wszystko.

– Geraldzie! – Tym razem Jessie mówiła zaszokowanym tonem zrzędlivej nauczycielki, starej panny, która przyłapała jednego z młodszych uczniów na podkasywaniu jej spódnicy, by pokazać kolegom majtki z zajaczkami. – Geraldzie, przestań się wyglupiać i oddychaj, do cholery!

Nie odetchnął. Zamiast tego oczy stanęły mu w słup, aż ukazały się żółtawe białka. Wystawił język i zacharczał. Z jego zwiotczałego penisa trysnął strumień parującego ciemnego moczu, opryskując uda Jessie niezdolnie gorącymi kropelkami. Jessie wydała z siebie przeciągły, przeszywający okrzyk. Tym razem nie zdawała sobie sprawy, że szarpie za kajdanki, podkulając niezgrabnie nogi i usiłując się odsunąć jak najdalej od męża.

– Przestań! Przestań, bo spadniesz z...

Za późno. Było za późno, nawet jeśli ją słyszał, w co zresztą powątpiewała. Przechylił się do tyłu poza skraj łóżka i zadziały prawa grawitacji. Gerald Burlingame, z którym Jessie jadła ongiś ciastka w łóżku, runął na plecy z podkurczonymi kolanami i głową opuszczoną na piersi, niczym dziesięcioletni niezgrabiasz próbujący zaimponować kolegom na basenie. Jego czaszka uderzyła z trzaskiem w twardą drewnianą podłogę i Jessie znowu krzyknęła. Kojarzyło się to trochę z olbrzymim jajkiem rozbijanym o krawędź kamiennego naczynia. Oddałaby wszystko, by tego nie słyszeć.

Później zapadła cisza, przerywana tylko odległym warkotem piły łańcuchowej. Przed wybałuszonymi oczyma Jessie otwierała się wielka bezbarwna róża. Płatki rozkładały się powoli, a gdy otoczyły ją niczym pokryte pyłem skrzydła ogromnej szarej ćmy, zasłaniając na pewien czas świat, jednym wyraźnym uczuciem była ulga.

2

Wydawało jej się, że jest w długim, chłodnym korytarzu pełnym białej mgły, pochylonym pod ostrym kątem, podobnie jak korytarze, którymi zawsze chodzili bohaterowie filmów takich jak „Koszmar z Elm Street” albo seriali telewizyjnych w rodzaju „Strefy mroku”. Była naga i dokuczalo jej zimno, a ponadto bolały ją mięśnie – zwłaszcza mięśnie pleców, szyi i barków.

Muszę się stąd wydostać albo marny mój los – pomyślała. – Bolą mnie już mięśnie od mgły i wilgoci. (Chociaż wiedziała, że to nie mgła ani wilgoć.) Poza tym z Geraldem dzieje się coś złego. Niezbyt dobrze pamiętam, co mu się stało, ale myślę, że mógł zachorować. (Chociaż wiedziała, że słowo „zachorować” nie jest dokładnie tym, o które chodzi.)

Jednakże, co najdziwniejsze, jakaś inna część Jessie tak naprawdę nie chciała uciec z tego zamglonego korytarza wyłożonego białymi kafelkami. Ta właśnie część przekonała ją, że jeśli tu pozostanie, będzie się czuła znacznie lepiej. A jak wyjdzie, to pożałuje. Wobec tego postanowiła na razie zostać.

Na koniec zbudziło ją szczekanie psa. Było ono wyjątkowo brzydkie, głuche i dudniące, chwilami jednak przechodziło w zgrzytliwy pisk. Kiedy zwierzę zaczynało piszczeć, miało się wrażenie, że wymiotuje ostrymi szczapami drewna. Jessie słyszała je już, choć czułaby się lepiej – znacznie, znacznie lepiej – gdyby mogła nie pamiętać kiedy, gdzie ani co się wówczas działo.

W każdym razie szczekanie psa skłoniło Jessie do poruszenia się – lewa noga, prawa noga, słoma, siano – i nagle przyszło jej do głowy, że widziałyby przez mgłę wyraźniej, gdyby otworzyła oczy. Nie zobaczyła żadnego upiornego korytarza z filmu „Strefa mroku”, lecz sypialnię domku letniskowego na północnym krańcu jeziora Kashwakamak – obszar znany jako Notch Bay. Domyśliła się, skąd pochodzi uczucie zimna: miała na sobie tylko cieniutkie majteczki; szyja i barki bolały ją zaś dlatego, że była przykuta kajdankami do łóżka, a jej pupa obsunęła się, gdy straciła przytomność. Żadnych korytarzy wyłożonych kafelkami, żadnej wilgotnej mgły. Rzeczywisty okazał się tylko pies, ciągle szczekający jak szalony. Wydawało się, że jest całkiem blisko domu. Gdyby usłyszał go Gerald...

Wzdrygnęła się na myśl o Geraldzie, a przez jej skurczone bicepsy i mięśnie barków przebiegły iskierki bólu. Ciarki rozpląnęły się w okolicy łokci i Jessie, choć ledwo

rozbudzona, zdała sobie z przerażeniem sprawę, że nie czuje zupełnie przedramion i dłoni; równie dobrze mogły być drewnianymi protezami.

To będzie bolało – pomyślała i nagle wszystko stanęło jej znów przed oczyma, zwłaszcza Gerald spadający na głowę z łóżka. Jej mąż leżał na podłodze, martwy albo nieprzytomny, a ona zastanawiała się nad tym, jakie to przykre, że ma zdrętwiałe ręce. Gdzie są granice ludzkiego egoizmu?

Jeśli nie żyje, to tylko jego wina – odezwał się rzeczowy głos. Usiłował dodać jeszcze kilka innych banałów, ale Jessie go uciszyła. W swoim obecnym stanie, ciągle półprzytomna, miała jaśniejszy wgląd w głębsze pokłady własnej pamięci i nagle przypomniała sobie, czyj to głos – nieco nosowy, ostry, stale oscylujący na granicy sarkazmu. Należał do jej koleżanki z akademika w czasach studenckich – Ruth Neary. Teraz, gdy Jessie to odkryła, stało się to zupełnie zrozumiałe. Ruth nigdy nie owijała niczego w bawełnę, a jej rady często szokowały naiwną dziewiętnastoletnią współlokatorkę z pokoju w Falmouth Foreside... co niewątpliwie było celem koleżanki, może nawet w pełni uświadomionym. Ale Ruth miała dobre serce; Jessie nigdy nie wątpiła, że wierzy w sześćdziesiąt procent tego, co mówi, i że robiła ze czterdzieści procent rzeczy, do których się przyznaje. A może nawet więcej, gdy w grę wchodziły sprawy związane z seksem. Ruth Neary, pierwsza poznana przez Jessie kobieta, która za nic w świecie nie chciała golić sobie nóg ani pach, która dla kawału napełniła raz truskawkową pianką odwanianą sanitariaty poszewkę od poduszki należącą do pewnej nieprzyjemnej koleżanki z piętra, która z zasady uczestniczyła we wszystkich mityngach studenckich i chodziła na każdą eksperymentalną sztukę teatralną. „Jak nic im nie wychodzi, dziubdziuniu, jakiś przystojny facet zwykle zdejmuje z siebie ubranie – oznajmiła zdumionej, lecz zafascynowanej Jessie po powrocie z przedstawienia zatytułowanego «Syn papugi Noego». – Oczywiście nie zawsze, ale bardzo często. Mam wrażenie, że właśnie po to studenci piszą i grają sztuki; żeby móc się rozbierać publicznie”.

Jessie nie myślała o Ruth od wielu lat, a teraz odezwała się ona w jej głowie, udzielając bezcennych rad, podobnie jak za dawnych czasów. Cóż, czemu nie? Któż miałby lepiej się nadawać na doradcę ludzi cierpiących na stany nerwicowe i zaburzenia emocjonalne niż Ruth Neary, która po ukończeniu uniwersytetu stanowego New Hampshire przeżyła trzy lata małżeństwa, dwie próby samobójcze i cztery kuracje odwykowe, wywołane uzależnieniem od alkoholu i narkotyków? Dobra stara Ruth, kolejny modelowy okaz, skupiający w sobie problemy, z jakimi boryka się niegdysiejsze Pokolenie Miłości w trakcie trudnej adaptacji do wieku średniego.

– Jezu, tylko tego mi trzeba, piekielny Abaddonie! – rzekła Jessie i własny głuchy, zachrypnięty głos przeraził ją bardziej niż brak czucia w dłoniach i przedramionach.

Usiłowała się podciągnąć i przyjąć z powrotem pozycję siedzącą, jaką zajmowała przed upadkiem Geralda (czy ten potworny trzask przypominający odgłos rozbijanego jajka stanowił część snu? – modliła się, żeby tak było), a gdy w ogóle się nie poruszyła, zapomniała

o Ruth w nagłym przypiływie paniki. Znów poczuła w mięśniach łaskoczące ciarki, ale na tym się skończyło. Jej ramiona wisiały ciągle nieco z tyłu, nieruchome, pozbawione czucia, kojarzące się z workami kartofli. Lekkie oszołomienie minęło – panika okazała się znacznie skuteczniejsza od soli trzeźwiących – a serce Jessie uderzyło mocniej, lecz to wszystko. Na chwilę stanął jej przed oczyma wyrazisty obraz z jakiejś książki historycznej czytanej dawno temu: krąg śmiejących się ludzi, którzy naigrawali się z kobiety stojącej pod pręgierzem, z głową i rękami w dybach. Zgarbiła się jak wiedźma w bajce, a włosy opadające jej na twarz przywodziły na myśl całun pokutny.

Nazywa się Dobra Żona Burlingame i ukarali ją za zrobienie krzywdy mężowi – pomyślała Jessie. – Ukarali Dobrą Żonę, bo nie mogą dostać w swoje ręce kobiety, która naprawdę ponosi winę za zrobienie mu krzywdy... Kobiety, której głos brzmi jak głos mojej dawnej koleżanki z akademika.

Ale czy krzywda to właściwe słowo? Czyż nie jest możliwe, że Jessie przebywa w sypialni z trupem? Czy nie jest również możliwe, iż z wyjątkiem jakiegoś psa ten kraniec jeziora Kashwakamak jest całkowicie pusty? Że jeśli Jessie zacznie krzyczeć, to odpowie jej tylko nur? Tylko on i nikt więcej?

Myśl ta skojarzyła jej się z „Krukiem” Poego i spowodowała, że Jessie zdała sobie jasno sprawę z tego, co się dzieje, w co się wpakowała, i nagle ogarnęła ją straszliwa, bezrozumna trwoga. Przez mniej więcej dwadzieścia sekund (gdyby ją spytać, jak długo trwał ów atak paniki, powiedziałaaby, że co najmniej trzy minuty, a prawdopodobnie raczej około pięciu) znajdowała się w jej niepodzielnym władaniu. Gdzieś w głębi tliła się ciągle iskra rozsądku, lecz Jessie była zupełnie bezsilna – patrzyła z lękiem na kobietę miotającą się na łóżku, uderzającą głową w obie strony w geście totalnej negacji, chłostaną po policzkach przez własne włosy, wydającą ochryple, przerażone krzyki.

Położył temu kres ostry, szklisty ból u podstawy karku, tuż ponad miejscem, gdzie zaczyna się lewy bark. Kurcz mięśnia, i to potworny. Jęcząca Jessie oparła głowę o mahoniowe deseczki tworzące zagłówek łóżka. Nadwężony mięsień zastygł skurczony, twardy jak kamień. To, że czuła teraz nieprzyjemne ciarki biegające po przedramionach i dłoniach, nie miało większego znaczenia w porównaniu ze straszliwym bólem barku, a odchylenie głowy do tyłu powodowało jeszcze mocniejsze napięcie skurczonego mięśnia.

Poruszając się instynktownie, w ogóle nie myśląc, Jessie oparła stopy o prześcieradło, uniosła pośladki i wierzgnęła nogami. Jej łokcie zgięły się i nacisk na barki i ramiona zelżał. Po chwili straszliwy kurcz mięśnia trójgłowego jał ustępować. Wyrzuciła z sykiem powietrze, wydając przeciągłe, ochryple westchnienie ulgi.

Na zewnątrz wiał wiatr – najwyraźniej znacznie przybrał na sile – szumiąc w koronach sosen na stoku między domem a jeziorem. W kuchni (która równie dobrze mogłaby się znajdować w innym wszechświecie), uderzały o framugę niedomknięte drzwi: puk-puk, puk-puk, puk-puk, puk-puk. Były to jedyne dźwięki, poza tym panowała cisza. Pies przestał

szczekać, przynajmniej na razie, i umilkły ryki piły łańcuchowej. Nawet nur zrobił sobie przerwę na kawę.

Wyobraziwszy sobie pana nura robiącego przerwę na kawę, może siedzącego przy stoliku i flirtującego z paniami nurami, Jessie wydała z siebie ochrypy rechot. W mniej przykrych okolicznościach można by pewnie go nazwać śmiechem. Rozproszył on resztki paniki, a choć Jessie ciągle się bała, przynajmniej znów panowała nad swoimi myślami i czynami. Po niedawnym epizodzie pozostał także nieprzyjemny metaliczny posmak na języku.

To adrenalina, dziubdziuniu, hormon wydzielany przez twój organizm, gdy zaczynasz krzyczeć i drapać pazurami. Jeśli ktokolwiek cię zapyta, czym jest panika, teraz już wiesz: to amnezja emocjonalna, po której czujesz się tak, jakbyś ssala garść miedziaków.

Jessie swędziały przedramiona, a ciarki dotarły wreszcie do palców. Zacisnęła kilkakrotnie pięści, krzywiąc się z bólu. Słyszała przy tym cichy grzechot kajdanek o słupki łóżka i zastanawiała się przez moment, czy ona i Gerald nie postradali przypadkiem rozumu – z pewnością tak to teraz wyglądało, choć nie miała wątpliwości, że podobnym grom erotycznym oddają się codziennie tysiące ludzi na całym świecie. Czytała nawet, że istnieją dewianci, którzy wieszają się, by powiększyć swoją przyjemność – rośnie ona jakoby, gdy dopływ krwi do mózgu powoli ustaje. Tego typu informacje tylko utwierdzały ją w mniemaniu, że penis to dla mężczyzn nie tylko dar, lecz również przekleństwo.

Ale skoro była to rzeczywiście tylko gra (tylko gra i nic więcej), dlaczego Gerald musiał kupić prawdziwe kajdanki? Ciekawe pytanie, co?

Może, ale nie to jest chyba w tej chwili najważniejsze, nie sądzisz, Jessie? – spytała Ruth Neary. Doprawdy zdumiewające, iloma rzeczami naraz może się zajmować ludzki umysł. Jakaś część Jessie zaczęła nagle się zastanawiać, co w tej chwili dzieje się z Ruth, której nie widziała od dziesięciu lat. Ostatnio kontaktowały się trzy lata temu. Otrzymała wówczas pocztówkę przedstawiającą młodego człowieka w czerwonej aksamitnej marynarce i koszuli z żabotem. Młody człowiek rozdziawił usta i wysunął sugestywnie język. **MÓJ KSIĄŻĘ UMIE SIĘ WYJEZYCZYĆ** – głosił podpis pod zdjęciem. „Dowcipy Nowej Epoki – pomyślała wtedy Jessie. – Wiktorianie mieli Anthony’ego Trollope’a, stracone pokolenie – H. L. Menckena, a my – tylko nieprzyzwoite pocztówki i żarty rodem z naklejek na zderzaki samochodów: UWAGA! PIRAT DROGOWY!”

Pocztówka, wysłana w Arizonie, o czym świadczył rozmazany stempel pocztowy, informowała, że Ruth przyłączyła się do komuny lesbijek. Jessie nieszczególnie się tym zdziwiła, przyszło jej nawet do głowy, że jej stara przyjaciółka, która bywała wściekle irytująca lub zdumiewająco, nostalgicznie urocza (niekiedy jednocześnie), znalazła może wreszcie swoje właściwe miejsce na wielkiej planszy do gry w życie.

Schowała pocztówkę Ruth do lewej górnej szuflady biurka, gdzie trzymała różne niepotrzebne stare listy, na które miała zapewne nigdy nie odpowiedzieć, i od tamtej pory nie myślała więcej o koleżance z akademika – o Ruth Neary, która marzyła o motocyklu Harleya-

Davidsona, choć nie umiała sprawnie obsługiwać najprostszej skrzyni biegów w samochodzie, nawet w obłaskawionym fordzie pinto Jessie, która po trzech latach studiów na uniwersytecie stanowym New Hampshire potrafiła zablądzić na kampusie, która zawsze płakała jak bóbr, gdy przez roztargnienie przypaliła coś na kuchence. Przytrafiało jej się to zresztą tak często, że graniczyło z cudem, iż nigdy nie podpaliła pokoju czy wręcz całego akademika. Jakie to dziwne, że pewny siebie, rzeczowy głos rozlegający się w głowie Jessie należał właśnie do Ruth.

Znów zaczął szczekać pies. Nie zbliżył się, lecz również nie oddalił. Jego właściciel nie polował na kaczki, to pewne; żaden myśliwy nie brałby na polowanie takiego hałaśliwego stworzenia. Ale skoro pies towarzyszy na spacerze swojemu panu, jak to możliwe, że od ostatnich pięciu minut szczeka z tego samego miejsca?

Bo przedtem miałaś rację – szepnęła myśl Jessie. – *Nie ma żadnego pana.* Nie był to głos Ruth ani Dobrej Żony Burlingame i z pewnością nie głos, który Jessie wyobrażała sobie jako własny, był on bardzo młody i bardzo załęczony. I podobnie jak głos Ruth, brzmiał dziwnie znajomo. – *To po prostu bezpański pies, zwykły przybłąda. Nie pomoże ci, Jessie. Nie pomoże żadnej z nas.*

Taka ocena sytuacji mogła być jednak zbyt pesymistyczna. W końcu Jessie nie miała pewności, że to bezpański pies, prawda? I dopóki jej nie zdobyła, nie chciała w to wierzyć.

– Jak ci się to nie podoba, pozwij mnie do sądu – rzekła głuchym, ochryłym głosem.

Poza tym pozostawał jeszcze problem Geralda. Panika i ból spowodowały, że Jessie prawie zapomniała o mężu.

– Geraldzie? – Jej głos ciągle brzmiał niewyraźnie, obco. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz: – Geraldzie!

Nic. Zero. Żadnej odpowiedzi.

To wcale nie znaczy, że jest martwy, więc nie wariuj, kobieto, nie zaczynaj nowych szaleństw.

Jessie nie wariowała i nie zamierzała zaczynać nowych szaleństw. Tak czy owak, czuła mdłości narastające w brzuchu, kojarzące się z jakąś straszliwą nostalgią. To, że Gerald nie odpowiadał, nie znaczyło jednak, że nie żyje; mógł być po prostu nieprzytomny.

Najprawdopodobniej jest martwy – odezwała się Ruth Neary. – *Nie chcę psuć ci humoru, Jess, ale przecież nie słyszysz jego oddechu, prawda? Nieprzytomni ludzie zwykle głośno oddychają, wciągają ze świstem powietrze, chrapią i tak dalej, nie?*

– Skąd wiesz? – spytała Jessie, ale było to niemądre. Ruth wiedziała, bo przez większą część gimnazjum uczestniczyła z entuzjazmem w sekcjach zwłok i doskonale orientowała się, jak oddychają umarli: otóż w ogóle nie oddychają. Ruth nauczyła się tego w miejskim szpitalu w Portland, ale ten głos wiedziałby o tym, nawet gdyby nie wiedziała tego Ruth, bo głos należał w istocie do Jessie. Musiała stale sobie o tym przypominać, bo tak doskonale imitował inne osoby.

Jak głosy, które słyszałaś wcześniej – mruknął znajomy dziecięcy głosik. – Głosy, które słyszałaś po dniu, gdy zgasło Słońce.

Ale Jessie nie chciała o tym myśleć. Nie zamierzała o tym myśleć. Czyż nie miała już i tak dość kłopotów?

A jednak Ruth trafiła w sedno: ludzie, którzy stracili przytomność, zwłaszcza wskutek mocnego uderzenia w głowę, pochrapują i rżęzą. Czyli że...

– Prawdopodobnie nie żyje – odezwała się głucho Jessie. – W porządku, nie zamierzam się sprzeczać.

Pochyliła się ostrożnie w lewo, pamiętając o mięśniu u podstawy szyi, którego skurcz przysporzył jej niedawno tyle piekielnego bólu. Kiedy łańcuszek prawych kajdanek zaczął się napinać, Jessie zobaczyła różowe, pulchne ramię i połowę dłoni – w istocie dwa palce. Była to prawa ręka Geralda; poznała to po braku obrączki na środkowym palcu. Dostrzegła białe, wypolerowane paznokcie. Gerald był zawsze bardzo próżny, gdy chodziło o pielęgnację dłoni i paznokci. Do tej chwili nie zdawała sobie w ogóle sprawy, do jakiego stopnia próżny. Śmieszne, jak mało czasami się widzi i rozumie, choć człowiek myśli, że wie już wszystko.

Chyba tak, ale muszę ci powiedzieć jedno, dziubdziuniu: lepiej zamknij oczy, bo nie chcę nic więcej widzieć. Rzeczywiście, nic więcej.

Ale zamknięcie oczu było luksusem, na który Jessie nie mogła sobie w tej chwili pozwolić.

Poruszając się dalej z przesadną ostrożnością, by nie urazić szyi i barku, Jessie wychyliła się tak daleko w lewo, jak pozwalał łańcuszek. Nie zmieniła zanadto pozycji, co najwyżej o pięć czy siedem centymetrów – lecz jej pole widzenia powiększyło się na tyle, że zobaczyła część bicepsu Geralda, część prawego barku i niewielki fragment głowy. Nie była pewna, ale zdawało jej się, że na granicy rzednących włosów widać kropelki krwi. Teoretycznie nie dawało się wykluczyć, że to tylko wyobraźnia. Miała nadzieję, że to tylko wyobraźnia.

– Geraldzie? – szepnęła. – Słyszysz mnie, Geraldzie? Proszę, powiedz coś!

Żadnej odpowiedzi. Żadnego ruchu. Znowu poczuła to samo głębokie nostalgiczne przerażenie, które wzbierało w niej i wzbierało niczym krew sącząca się z nie opatrzonej rany.

– Geraldzie! – szepnęła jeszcze raz.

Dlaczego szepcesz? On nie żyje. Mężczyzna, który zrobił ci kiedyś niespodziankę, zabierając cię na weekendową wycieczkę na Arubę – pomyśl tylko, Arubę! – a podczas jednego z przyjęć sylwestrowych nosił na uszach twoje pantofelki z wężowej skóry, ten mężczyzna nie żyje. Więc dlaczego szepcesz, do cholery?!

– Geraldzie! – Tym razem wykrzyknęła jego imię. – Obudź się, Geraldzie!...

Echo własnego krzyku omal nie wywołało kolejnego ataku paniki, połączonego z szaleńczym miotaniem się na łóżku; potworny był nie brak reakcji ze strony Geralda, tylko to, że Jessie zdała sobie sprawę, iż panika jest wciąż blisko, wciąż bardzo blisko, że nieustannie

okrąża jej świadomość, cierpliwa niczym drapieżnik skradający się wokół ogniska kobiety, która z jakiegoś powodu oddaliła się od przyjaciół i zabłądziła w głębi mrocznego lasu.

Nie zabłądziłaś – rzekła Dobra Żona Burlingame, ale Jessie nie miała do niej zaufania. Jej samokontrola wydawała się lipna, a racjonalizm powierzchowny. – *Dobrze wiesz, gdzie jesteś.*

Owszem, Jessie wiedziała. Znajdowała się na krańcu krętej, porytej koleinami drogi, która odchodziła od Bay Lane w odległości trzech kilometrów na południe. Pokrywał ją kobierzec opadłych liści, żółtych i czerwonych, po których jechała samochodem razem z Geraldem; stanowiły one niemy dowód, że droga ta, prowadząca do brzegu jeziora Kashwakamak w rejonie Notch Bay, była prawie nie uczęszczana w ciągu trzech tygodni, odkąd liście zaczęły żółknąć i opadać. Na tym krańcu jeziora stały niemal bez wyjątku domki letniskowe i prawdę mówiąc droga mogła być nie używana nawet od początku września. Do autostrady numer sto siedemnaście, przy której znajdowało się kilka domów zamieszkałych przez cały rok, było stąd w sumie siedem kilometrów, najpierw piaszczystą drogą, a potem Bay Lane.

Jestem sama, przykuta kajdankami do łóżka, a mój mąż leży martwy na podłodze. Mogę krzyczeć aż do usranej śmierci, i tak nikt mnie nie usłyszy. Facet z piłą łańcuchową jest co najmniej pięć kilometrów stąd – może nawet po drugiej stronie jeziora? Pies chyba mógłby mnie usłyszeć, ale to prawie na pewno przybędą. Gerald nie żyje, szkoda – nawet jeśli go zabiłam, zrobiłam to niechcący – ale przynajmniej się nie męczył, biedaczyna. Ja niestety będę się męczyła, jeśli w Portland nikt nie zacznie się o nas martwić, a jak na razie jest to mało prawdopodobne...

Nie powinna myśleć takich rzeczy, przywoływała tylko lęk. Jeżeli nie zajmie umysłu czymś innym, wnet ujrzy tępe, przerażone oczy paniki. Nie, absolutnie nie powinna myśleć takich rzeczy. Panika była wściekłym zwierzęciem, które nie dawało się odpędzić, gdy już raz się pojawiło.

Ale może właśnie na to zasługujesz – rozległ się nagle zaczepny, rozgorączkowany głos Dobrej Żony Burlingame. – *Może zasługujesz. Naprawdę go zabiłaś, Jessie. Nie oszukuj się, bo ci na to nie pozwolę. Z pewnością nie był w zbyt dobrej formie i wcześniej czy później i tak by się to stało – atak serca w biurze, a może w aucie, wieczorem podczas powrotu do domu: trzymałby w ręku papierosa i zamierzał go zapalić, a za nim zatrąbiłaby ogromna przegubowa ciężarówka, by ustąpił jej miejsca, zjeżdżając na prawą stronę. Ale ty nie mogłaś na to poczekać, prawda? O nie, nie ty, nie ukochana córeczka Toma Mahouta. Nie mogłaś po prostu leżeć i czekać, aż wstrzyknie w ciebie spermę, co? Dewiza Jessie Burlingame, wielkiej feministki, brzmi: „Żaden mężczyzna nie zakuje mnie w kajdany”. Musiałaś kopnąć go w jaja, prawda? I na dodatek musiałaś to zrobić, gdy jego wskaźnik bezpieczeństwa przekroczył wyraźnie czerwoną kreskę. Przestańmy się bawić w kotka i myszkę, kochana: zamordowałaś go. Więc może zasługujesz, by leżeć przykuta do łóżka. Może...*

– E tam, pierdoły! – przerwała Jessie. Z niewymowną ulgą spostrzegła, że z jej warg wydobywa się cudzy głos, głos Ruth. Niekiedy (cóż... może bliższe prawdy byłoby słowo „często”) nienawidziła głosu Dobrej Żony, nienawidziła i jednocześnie się bała. Dobra Żona zachowywała się często głupawo i kapryśnie, lecz potrafiła również okazywać taką siłę woli, że trudno było jej się przeciwstawić.

Dobra Żona zawsze skwapliwie upominała Jessie, a to że kupiła brzydką sukienkę, a to że zamówiła złe potrawy na sierpniowe przyjęcie wydawane co roku przez Geralda dla kolegów z kancelarii oraz ich żon (tyle że tak naprawdę przyjęcie wydawała Jessie; Gerald stał po prostu w środku salonu, uśmiechał się i cały splendor spadał na niego). To Dobra Żona zawsze nalegała, by Jessie zrzuciła pięć kilo nadwagi. Nie przestawała zrzędzić, nawet gdy Jessie sterczały już żebra. „Nie zwracaj uwagi na żebra! – biadoliła z udawaną trwogą. – Popatrz na swoje cycki, stara! A jeśli to za mało, żebyś się przeraziła, przyjrzyj się swoim udom!”

– Co za pierdoły! – powtórzyła Jessie, starając się mówić jeszcze bardziej zdecydowanym tonem, lecz jej głos zdrzął lekko i wcale jej się to nie podobało. Wcale a wcale. – Wiedział, że mówię poważnie... Doskonale wiedział. Więc kto jest winny: on czy ja?

Ale czy to rzeczywiście prawda? W pewnym sensie tak: Gerald świadomie zignorował to, co zobaczył na jej twarzy i usłyszał w głosie, bo zepsułoby mu to zabawę. Jednakże z drugiej strony Jessie czuła, że nie pokrywa się to zupełnie z prawdą, bo od ostatnich dziesięciu czy dwunastu lat wspólnego pożycia Gerald prawie nigdy nie traktował jej poważnie. Doprowadził do perfekcji umiejętność niezwracania uwagi na to, co Jessie mówi, chyba że zapraszała go na posiłki lub przekazywała zaproszenie na jakieś wieczorne przyjęcie. Zachowywał się inaczej jedynie wtedy, gdy czyniła nieprzyjemne komentarze na temat jego otyłości lub nadużywania alkoholu. Docierały do niego uwagi Jessie i nie podobały mu się one, lecz przyjmował je z filozoficznym spokojem, jako że wynikały z pewnego mitycznego naturalnego porządku: ryby pływają, ptaki latają, żony gderają.

Więc czego się właściwie spodziewała po tym mężczyźnie? Że powie: Oczywiście, kochanie, natychmiast cię uwolnię, a poza tym serdeczne dzięki za poruszenie mojego sumienia?

Tak, w głębi duszy, gdzie pozostała na zawsze małą dziewczynką o jasnym spojrzeniu, naiwnie spodziewała się właśnie czegoś takiego.

Piła łańcuchowa, która wyła i porykiwała już od długiego czasu, nagle znów umilkła. Pies, nur, a nawet wiatr również umilkły, przynajmniej na razie, i panująca cisza wydawała się tak gęsta i namacalna jak dziesięcioletni kurz w nie zamieszkanym domu. Jessie nie słyszała warkotu samochodów ani ciężarówek, nawet w oddali. Głos, który odezwał się w jej głowie, należał tylko do niej.

O mój Boże! – powiedział. – O mój Boże! Jestem zupełnie sama. Zupełnie sama.

3

Jessie zacisnęła mocno powieki. Sześć lat temu przeszła pięciomiesięczną nieudaną terapię, ale ukryła to przed Geraldem, bo wiedziała, że będzie się z niej naśmiewał... i prawdopodobnie martwił, jakie sekrety zdradza. Jessie skarżyła się, że cierpi wskutek stresów, a Nora Callighan, jej terapeutka, nauczyła ją prostej techniki relaksacyjnej.

Większość ludzi kojarzy liczenie do dziesięciu z Kaczorem Donaldem, który usiłuje zapanować nad nerwami – twierdziła – ale tak naprawdę daje ono człowiekowi możliwość wyregulowania swoich zegarów emocjonalnych, a jeśli ktoś nie potrzebuje tego przynajmniej raz na dzień, ma prawdopodobnie znacznie poważniejsze problemy niż ty czy ja.

Ten głos był również wyraźny – na tyle wyraźny, że na twarzy Jessie pojawił się nostalgiczny uśmiezek.

Lubiłam Norę. Bardzo ją lubiłam.

Czy Jessie zdawała sobie wówczas z tego sprawę? Z lekkim zdziwieniem zorientowała się, że tak naprawdę nie pamięta, podobnie jak nie pamięta, dlaczego przestała odwiedzać Norę we wtorkowe popołudnia. Chyba z powodu nawału zajęć – fundusz samorządowy, schronisko dla bezdomnych przy Court Street, nowa zbiórka pieniędzy na bibliotekę. Zresztą przerwanie terapii było zapewne najlepszym rozwiązaniem. Jeśli nie zakreśli się gdzieś granicy, terapia ciągnie się bez końca, aż wreszcie pacjent i terapeuta udają się razem na wielką sesję grupową w niebie.

Nieważne – policz po prostu do dziesięciu, zaczynając od nóg. Dokładnie tak, jak cię nauczyła Nora.

Dobrze, czemu nie?

Jeden to nogi, długie i smukłe. Cóż, wcale nie takie długie – Jessie miała zaledwie metr siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i dość wydłużony tułów – lecz Gerald utrzymywał, że wyjątkowo mu się podobają. Zawsze ją to śmieszyło, choć mówił najzupełniej szczerze. Nie zauważał jakoś jej kolan, kanciastych jak sęki na jabłoni, i tłustych ud.

Dwa to pośladki, jędrne, wypukłe.

Wypukłe, owszem, lecz bynajmniej nie jędrne; także tłustawe, no i te niezbyt apetyczne rozstępy.

Trzy to paluszki, kształtne i wiotkie.

Co do tej kształtności również można mieć wiele zastrzeżeń – były stanowczo za krótkie, a i ich proporcje pozostawiały wiele do życzenia.

Cztery to łono, ciasne i słodkie.

Dość dowcipne – wielu mogłoby uznać, że trochę zanadto dowcipne – ale niezbyt mądre. Jessie uniosła nieco głowę, jakby zamierzała spojrzeć na swoje łono, lecz nie otworzyła oczu. Nie musiała patrzeć, by je widzieć, koegzystowała z nim już od bardzo dawna. Między jej nogami znajdował się trójkąt rudawych kręconych włosów, w których kryła się wąska szpara, równie piękna jak kiepsko zagojona blizna. Trudno uwierzyć, że owe głębokie fałdy skóry otoczone krzyżującymi się mięśniami mogły się stać źródłem mitów, lecz miały z pewnością status mityczny dla zbiorowej świadomości mężczyzn – była to przecież zaczarowana dolina, prawda? Zagroda, gdzie prędzej czy później znajdują schronienie nawet najdziksze jednorożce.

– Co za pierdoły! – westchnęła z uśmiechem, lecz nie otworzyła oczu.

Nie, nie były to tylko pierdoły. Szpara ta stanowiła odwieczny przedmiot pożądania mężczyzn – przynajmniej tych o orientacji heteroseksualnej – ale budziła także ich niewytłumaczalną pogardę, nieufność i nienawiść. W ich żartach nie zawsze odzywał się ów mroczny gniew, lecz od czasu do czasu wypływał na wierzch, bolesny jak jątrząca się rana: „Jak brzmi definicja kobiety? Układ biologiczny utrzymujący przy życiu cipę”.

Przestań, Jessie! – rozkazała Dobra Żona Burlingame. W jej głosie brzmiała irytacja i niesmak. – *Natychmiast przestań!*

Cholernie dobry pomysł, zdecydowała Jessie i znów skupiła się na wyliczance Nory. Pięć oznaczało ramiona (zbyt kościste), sześć policzki (zbyt pulchne), a siedem piersi, które sama Jessie uważała za najładniejszy element swego ciała. Podejrzewała jednak, że Gerald nie przepada za jasnoblękitnymi śladami żył pod skórą – nie widać ich było na piersiach wystrzałowych pańienek z czasopism pornograficznych. Pańienkom z czasopism nie rosły także drobne włoski wokół brodawek.

Osiem oznaczało szyję (która wyglądała niegdyś nieźle, lecz w ciągu ostatnich paru lat zrobiła się stanowczo za chuda), dziewięć biodra (za szerokie), a dziesięć...

Zaczekaj! Zaczekaj, do jasnej cholery! – wściekle przerwał rzeczowy głos. – *Cóż to znowu za idiotyczna gra?!*

Jessie zacisnęła mocniej powieki, przerażona odrębnością owego głosu i pulsującym w nim gniewem. Nie brzmiał on jak głos dochodzący z głębi jej własnego umysłu, ale ktoś z zewnątrz – obcy demon pragnący opętać Jessie, podobnie jak demon Pazuzu opętał małą dziewczynkę w „Egzorcycie”.

Nie chcesz odpowiedzieć? – spytała Ruth Neary, alias Pazuzu. – *W porządku, może to trochę zbyt skomplikowane. Wobec tego zadam ci naprawdę proste pytanie, Jess: kto zmienił kiepsko zrymowaną, głupią wyliczankę Nory Callighan w mantrę nienawiści do samej siebie?*

Nikt – odparła pokornie Jessie i od razu zrozumiała, że rzeczowy głos nigdy się z tym nie

zgodzi, więc dodała: – *Dobra Żona Burlingame. To ona.*

Nie, nie ona – odpowiedziała natychmiast Ruth, wyraźnie zdeglustowana ową głupawą próbą obarczenia winą kogoś innego. – *Dobra Żona to głupia gąska, a w tej chwili strasznie się boi, lecz w głębi duszy jest uczciwa i miała zawsze czyste intencje, w przeciwieństwie do tego, kto zniekształcił wyliczankę Nory, Jessie. Nie widzisz tego? Czy rzeczywiście...*

Nic nie widzę, bo mam zamknięte oczy – odrzekła Jessie drżącym, dzieciennym głosem. O mało nie otworzyła oczu, ale coś jej podszeptało, że zmieni to sytuację na gorsze, a nie na lepsze.

Kto to był, Jessie? Kto ci wmówił, że jesteś brzydka i nic nie warta? Kto doszedł za ciebie do wniosku, że twoją bratnią duszą i księciem z bajki jest Gerald Burlingame, i to na długo przed tym, nim poznałaś go na przyjęciu wydanym przez Partię Republikańską? Kto zdecydował, że nie tylko go potrzebujesz, lecz także na niego zasłużyłaś?

Straszliwym wysiłkiem woli Jessie wyrzuciła ze swego umysłu wszystkie prześladowające ją majaki. Znow zaczęła recytować mantrę, tym razem wypowiadając ją na głos:

– Jeden to nogi, długie i smukłe, dwa to pośladki, jędrne, wypukłe, trzy to paluszki, kształtne i wiotkie, cztery to łono, ciasne i słodkie. – Nie pamiętała reszty rymowanki (nie było zresztą czego żałować, zawsze podejrzewała, że Nora sama ją skleciła i zapewne zamierzała opublikować w jednym z popularnych czasopism psychologicznych, które leżały na stoliku w jej poczekalni) i dlatego ciągnęła bez rymów: – Pięć to ramiona, sześć to policzki, siedem to piersi, osiem to szyja... – Umilkła, by nabrać tchu, i z ulgą spostrzegła, że serce bije jej już trochę wolniej. – Dziewięć to biodra, dziesięć to oczy. Oczy, otwórzcie się!

Rozchyliła powieki i ujrzała jasno oświetloną sypialnię, która wydała jej się jakoś dziwnie nowa i – przynajmniej w tej chwili – prawie tak sympatyczna jak wówczas, gdy spędziła tu z Geraldem pierwsze lato. Dawno temu, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku; niegdyś brzmiało to jak data z filmu science fiction, lecz teraz było czymś w rodzaju dziejów starożytnych.

Popatrzyła na szare drewniane ściany, na wysoki biały sufit pokryty pełgającymi refleksami słońca na jeziorze i dwa duże okna, po jednym z każdej strony łóżka. Okno po lewej wychodziło na zachód; widać było z niego taras i łagodne zbocze opadające ku oszałamiająco błękitnej toni. Z okna po prawej rozciągał się mniej romantyczny widok podjazdu i szarego mercedesa Jessie, mającego osiem lat i stopniowo przegrywającego z rdzą, której pierwsze maleńkie bąble zaczęły już wychodzić spod lakieru koło zderzaków.

Po przeciwnej stronie wisiał na ścianie nad toaletką oprawiony w ramki batik z wizerunkiem motyla i Jessie przypomniała sobie bez zdziwienia, że dostała go od Ruth na trzydzieste urodziny. Nie widziała z tej odległości mikroskopijnego podpisu wyhaftowanego czerwonym jedwabiem, ale wiedziała, że tam jest: „Neary, 1983”.

Niedaleko od motyla (i zupełnie do niego nie pasując, choć Jessie nie zebrała się nigdy na odwagę, by wytknąć to mężowi) wisiał na lśniącym haku ozdobny kufel Geralda, pamiętka po

bractwie studenckim „Alpha Gamma Rho”. „Alfa” nie była najekskluzywniejszą z korporacji uniwersyteckich – członkowie konkurencyjnych stowarzyszeń nazywali ją „Alfa Dup Sto” – ale Gerald nosił zawsze z perwersyjną dumą jej szpilkę do krawata, wieszał kufel na ścianie i co roku degustował nim piwo, gdy w czerwcu przyjeżdżali po raz pierwszy do domku letniskowego. Obserwując ową ceremonię, Jessie zastanawiała się niekiedy (i to na długo przed dzisiejszymi wydarzeniami), czy wychodząc za Geralda była przy zdrowych zmysłach.

Powinnam się za niego zabrać – pomyślała ze znużeniem. – Nie zrobiłam tego i mam za swoje.

Na krześle koło drzwi do łazienki wisiała kusa, pikantna spódnica-spodnie i bluzka bez rękawów, które Jessie nosiła w tym wyjątkowo ciepłym dniu, na klamce od łazienki dyndał stanik. Na prześcieradło i nogi Jessie padał jasny pas popołudniowego słońca, zmieniając jej delikatny meszek na udach w morze złotych drucików; nie jaskrawy kwadrat oświetlający sam środek łóżka o pierwszej po południu, nie prostokąt widoczny o drugiej – lecz szeroki pas, który wnet miał się zmienić w pasek. I chociaż cyfrowy budzik wmontowany w radio na komodzie zepsuł się wskutek awarii prądu (pokazywał stale dwunastą w południe, mrugając niestrudzenie niczym neon uliczny), Jessie domyśliła się, że zbliża się czwarta. Niebawem słoneczny pas zacznie się zsuwać z łóżka; w kątach sypialni oraz pod niskim stolikiem przy ścianie zbiorą się cienie. A kiedy pas zmieni się w nić, najpierw sunąc po podłodze, a później wspinając się na przeciwległą ścianę i jednocześnie blednąc, cienie popelzną przez sypialnię niczym rozlewające się czarne kleksy pożerające stopniowo światło. Słońce chyliło się już ku zachodowi, za godzinę, najwyżej półtorej, zacznie się ściemniać, a w czterdzieści minut później zapadnie zmrok.

Myśl o zmroku nie wywołała paniki – przynajmniej jeszcze nie – ale Jessie poczuła ogarniający ją smutek i jej serce wypełnił lęk. Ujrzała w wyobraźni samą siebie przykutą kajdankami do łóżka, z martwym Geraldem na podłodze, i przyszło jej do głowy, że drwal z piłą łańcuchową wróci do żony i dzieci w jasno oświetlonym domu, że pies pogna gdzieś w las, a ona będzie tu dalej leżeć, sama z trupem, mając za towarzysza tylko tego przekłętego nura na jeziorze – tylko jego i nikogo więcej.

Państwo Jessie i Gerald Burlingame, spędzający razem ostatnią długą noc.

Spoglądając na pamiątkowy kufel i batik z motylem, tak do siebie nie przystające, że godziła się je tolerować tylko w domku letniskowym, pomyślała, iż łatwo snuć refleksje o przyszłości i równie łatwo (choć znacznie mniej przyjemnie) rozważać możliwe wersje przyszłości. Prawdziwą trudność sprawia dopiero stawienie czoła teraźniejszości; przyszło jej do głowy, że musi się wreszcie na to zdobyć. Jeśli tego nie zrobi, ta okropna sytuacja stanie się prawdopodobnie jeszcze okropniejsza. Nie miała żadnych szans, by ktoś pojawił się w domku niczym *deus ex machina* i wyciągnął ją z kabały, w którą się wpakowała. Było to przykre, ale gdyby zdołała się uwolnić sama, odniosłaby pewną korzyść: nie przeżyłaby wstydu, że leży prawie naga, gdy tymczasem rozkuwa ją jakiś zastępca szeryfa, pytając, co

się u licha stało, i przyglądając się pięknemu białemu ciału młodej wdówki; wszystko jednocześnie.

A zarazem niepokoiły ją dwie inne rzeczy. Wiele by dała, by móc o nich nie myśleć, choćby przez pewien czas, lecz po prostu nie mogła. Musiała iść do toalety i chciało jej się pić. W tej chwili potrzeba wydalenia płynu była silniejsza od potrzeby jego uzupełnienia, ale to właśnie narastające pragnienie szczególnie ją martwiło. Nie męczyła się jeszcze z tego powodu, ale gdyby nie zdołała się uwolnić z kajdanek i pójść do łazienki, mogło się to wkrótce zmienić, i to w sposób, którego wołała sobie nie wyobrażać.

Byłoby zabawne, gdybym umarła z pragnienia sto pięćdziesiąt metrów od dziewiątego co do wielkości jeziora w stanie Maine – pomyślała i potrząsnęła głową. Nie znajdowała się obok dziewiątego co do wielkości jeziora w stanie Maine, co wobec tego miała na myśli? Oczywiście jezioro Dark Score, gdzie jeździła z bratem i siostrą przed tylu laty. Przed pojawieniem się głosów. Przed...

Ucięła tę myśl. Ucięła bezwzględnie. Już od dawna nie myślała o jeziorze Dark Score i nie zamierzała zacząć teraz, w kajdankach czy bez kajdanek. Lepiej już myśleć o pragnieniu.

O czym tu myśleć, dziubdziuniu? To sprawa psychosomatyczna i tyle. Chce ci się pić, bo wiesz, że nie możesz wstać i się napić. To jasne jak słońce.

Ale nie było to jasne jak słońce. Jessie pokłóciła się z mężem i zadała mu dwa szybkie kopniaki, co wywołało reakcję łańcuchową, która doprowadziła w końcu do jego śmierci. Ona sama przeżyła szok hormonalny, a jednym z najpospolitszych objawów szoku jest właśnie pragnienie. Miała chyba szczęście, że nie zaschło jej jeszcze bardziej w ustach, przynajmniej na razie, a poza tym...

Może mogłabyś jakoś zaspokoić pragnienie...

Gerald zawsze pedantycznie przestrzegał ustalonych zwyczajów, a jednym z nich było stawianie szklanki wody na półce nad łóżkiem. Jessie obróciła głowę, spojrzała w prawo i – owszem – zobaczyła wysoką szklankę wody z niewielkim skupiskiem topiących się kostek lodu na powierzchni. Szklanka stała niewątpliwie na podstawce, by nie pozostawić śladu na półce – oto właśnie cały Gerald, tak dbały o drobnostki. Na powierzchni szkła widać było kropelki wody.

Spojrzawszy na nie, Jessie poczuła pierwszy gwałtowny przyływ pragnienia. Oblizła wargi. Przesunęła się w prawo, na ile pozwolił łańcuszek kajdanek na lewym nadgarstku. Miał on zaledwie piętnaście centymetrów długości, lecz znalazła się już na połowie łóżka należącej do męża. Poruszając się odsłoniła kilka ciemnych plamek po lewej stronie prześcieradła. Patrzyła na nie przez chwilę pustym wzrokiem, po czym przypomniała sobie, jak Gerald w przedśmiertnych mękach opróżnił pęcherz. Później spojrzała prędko z powrotem na szklankę, stojącą na okrągłej tekturce, prawdopodobnie reklamówce jakiegoś snobistycznego piwka, pewnie Becka albo Heinekena.

Wyciągnęła rękę do góry, bardzo powoli, pragnąc, by łańcuszek okazał się dostatecznie

długi. Niestety. Czubki jej palców zatrzymały się przeszło pięć centymetrów od szklanki. Poczula znowu pragnienie – lekki skurcz gardła, leciutkie łaskotanie języka.

Jeśli nikt nie przyjdzie albo nie wymyślę do jutra rana sposobu uwolnienia się, nie będę miała siły nawet spojrzeć na tę szklankę.

Pobrzmiewał w tym chłodny rozsądek, przerażający sam w sobie. Ale przecież Jessie nie mogła nie uwolnić się do jutra rana. Sama taka myśl wydawała się śmieszna. Zwariowana. Idiotyczna. Niewarta rozważania. Całkowicie...

Przestań! – odezwał się rzeczowy głos. – *Po prostu przestań!* – Jessie usłuchała.

Musiała się pogodzić z faktem, że nie jest to w ogóle śmieszne. Nie chciała przyjąć ani nawet wziąć pod uwagę możliwości, że tutaj umrze – było to naturalnie idiotyczne, ale gdyby nie odkurzyła starej, zardzewiałej maszyny do myślenia i nie puściła jej w ruch, mogła tu spędzić długie, niewygodne godziny.

Długie, niewygodne... i być może bolesne – rzekła nerwowo Dobra Żona. – *Ale ból będzie aktem pokuty, prawda? W końcu sama jesteś sobie winna. Mam nadzieję, że nie jestem nużąca, ale gdybyś po prostu pozwoliła mu się wyprztykać...*

– Jesteś nużąca, Dobra Żono – przerwała Jessie. Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przedtem mówiła w ten sposób do któregoś ze swoich głosów wewnętrznych.

Zastanawiała się, czy traci zmysły. Doszła do wniosku, że tak czy owak gówno ją to obchodzi, przynajmniej na razie.

Znów zamknęła oczy.

4

Tym razem nie wyobraziła sobie własnego ciała, ale cały pokój. Oczywiście, wciąż znajdowała się w jego centrum, o tak – Jessie Mahout Burlingame, nie mająca jeszcze czterdziestu lat, wciąż w miarę szczupła, mierząca sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważąca pięćdziesiąt sześć kilogramów, z szarymi oczyma i kasztanowatymi włosami (siwiznę, która pojawiła się jakieś pięć lat temu, zamaskowała szamponem koloryzującym i była prawie pewna, że Gerald nie ma o niej pojęcia). Jessie Mahout Burlingame, która wpakowała się w kabałę, nie bardzo wiedząc jak ani dlaczego. Jessie Mahout Burlingame, bezdzietna wdowa przykuta do łóżka dwiema parami policyjnych kajdanek.

Skupiła na nich wyobraźnię, marszcząc z namysłem czoło.

Stalowe kółka połączone piętnastocentymetrowymi łańcuszkami w gumowych koszulkach, z symbolami M-17 wybitymi w okolicy zamków. Dawniej, gdy gra była jeszcze czymś nowym, Gerald tłumaczył Jessie, że można regulować zacisk kółek na nadgarstkach, bo zamykające je stalowe pałaki mają specjalne karby. Poza tym dawało się także skracać łańcuszki, lecz Gerald nastawiał je zawsze na maksymalną długość, tak by nie sprawiać Jessie bólu.

Czemu nie, do cholery?! – pomyślała w tej chwili. – W końcu była to tylko gra... prawda, Geraldzie? – Lecz nagle przyszło jej do głowy pytanie, które zadała sobie wcześniej, i znów zaczęła się zastanawiać, czy Gerald uważał to tylko za grę.

Jak brzmi definicja kobiety? – zaszeptał inny głos, głos z kosmosu, z ciemnej studni w umyśle Jessie. – *Układ biologiczny utrzymujący przy życiu cipę.*

Odejdź – pomyślała Jessie. – *Nie pomagasz mi.*

Ale głos z kosmosu nie usłuchał.

Po co kobieta ma usta i pizdę? – spytał. – *Żeby mogła jednocześnie sikać i jęczeć. Inne pytania, mała?*

Nie. Wziąwszy pod uwagę niepokojąco surrealistyczny charakter odpowiedzi, Jessie nie miała innych pytań. Obróciła dłonie w stalowych kółkach. Zachnęła się, czując, jak cienka skóra na nadgarstkach ociera się nieprzyjemnie o metal, ale ból był nieznaczny i ręce obróciły się w miarę łatwo. Gerald wierzył, a może i nie wierzył, że kobieta to układ biologiczny utrzymujący przy życiu cipę, lecz nie zacisnął kajdanek na tyle mocno, by zadawały ból, a

zresztą Jessie nigdy by się na to nie zgodziła (lub tak przynajmniej sobie wmawiała, ale na razie żaden z głosów wewnętrznych nie próbował tego kwestionować). Mimo to kajdanki nie dawały się zsunąć; były za ciasne.

A może nie?

Szarpnęła lekko na próbę. Stalowe kółka ześlizgnęły się o kilka centymetrów, po czym utknęły, natrafiwszy na rozszerzające się kości na granicy nadgarstka i dłoni.

Szarpnęła mocniej. Ból przybrał nieco na sile. Nagle przypomniała sobie, jak tatuś przytrzasnął kiedyś rękę Maddy drzwiczkami starego samochodu kombi, gdy nie zorientował się, że nagle postanowiła wysiąść z jego strony. Ależ wrzasnęła! Złamała sobie jakąś kość – Jessie nie pamiętała jej nazwy – a później z dumą pokazywała gips i mówiła: „Zerwałam sobie także tylne wiązadło”. Jessie i Will uznali to za zabawne, bo tylne wiązadło skojarzyło im się w jakiś sposób z tyłkiem. Roześmieli się, bardziej ze zdumienia niż pogardy, a obrażona Maddy becząc wyleciała z pokoju poskarżyć się mamusi.

Tylne wiązadło – pomyślała Jessie, celowo ciągnąc jeszcze mocniej pomimo narastającego bólu. – *Tylne wiązadło, kości nadgarstka i śródreżca. Nieważne. Wyślizgnij się lepiej z tych kajdanek, dziubdziuniu, a później niech lekarze się martwią, co z tobą zrobić.*

Powoli, stopniowo zwiększała nacisk, marząc, by kajdanki się zsunęły. Gdyby prześlizgnęły się jeszcze trochę dalej – zapewne wystarczyłoby pół centymetra, co najwyżej centymetr – przedostałyby się poza kostny występ i Jessie miałyby do czynienia z bardziej miękką, ustępliwą tkanką. Na to przynajmniej liczyła. Naturalnie w kciukach również były kości, lecz nie zamierzała martwić się nimi zawczasu.

Pociągnęła mocniej, otwierając usta i szczerząc zęby w grymasie bólu i wysiłku. Jej bicepsy zbieleły i napięły się. Czoło, policzki, a nawet niewielkie wgłębienie pod nosem pokrył pot.

Wysunęła język i zlizwała go, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Czuła okropny ból, ale to nie on spowodował, że zrezygnowała. Rozluźniła mięśnie, gdyż zrozumiała po prostu, że nie zdobędzie się już na większy wysiłek, a kajdanki nie ruszyły się ani o milimetr. Iskierka nadziei, że zdoła je po prostu zsunąć, rozbłysła na moment i zgasła.

Jesteś pewna, że dałaś z siebie wszystko? A może tylko wmawiasz to w siebie ze strachu przed bólem?

– Nie – odpowiedziała, wciąż nie otwierając oczu. – Dałam z siebie wszystko, naprawdę.

Jednakże powątpiewający głos nie zniknął, bardziej wyczuwany niż słyszany, niczym dalekie echo w głębi labiryntu.

Na nadgarstkach – w miejscach, gdzie wgryzła się stal, Jessie miała w tej chwili głębokie białe ślady – u nasady kciuka, na wierzchu dłoni, na delikatnych błękitnych żyłach pod skórą – a jej ręce pulsowały bólem, choć uwolniła je od ciężaru ciała, unosząc ramiona i chwytając jedną z poziomych desek nad głową.

– O rany! – rzekła drżącym, słabym głosem. – To nie takie łatwe...

Czy dała z siebie wszystko? Czy rzeczywiście?

Nieważne – pomyślała, spoglądając na lśniące refleksy słońca na suficie. – *Nieważne i powiem ci dlaczego: jeśli zdołam pociągnąć jeszcze mocniej, obydwu moim dłoniom przydarzy się to, co spotkało Maddy, gdy ojciec przytrzasnął jej lewą rękę drzwiczkami od samochodu: kości zaczną się łamać, więzadła popękają jak gumki, a stawy eksplodują niczym gliniane gołąbki na strzelnicy. W tej chwili leżę na łóżku w kajdankach i chce mi się pić; jeśli przeszarżuję, będę leżeć na łóżku w kajdankach, z połamanymi nadgarstkami, które zaczną puchnąć. Myślę sobie tak: Gerald umarł, nim zdążył mnie zerznąć, ale i tak zerznął mnie na amen.*

W porządku, co jeszcze można zrobić?

Nic – odpowiedziała Dobra Żona Burlingame słabym głosem kobiety o krok od całkowitego załamania nerwowego.

Jessie czekała, aż odezwie się drugi głos – głos Ruth. Tak się nie stało. Ruth radośnie pływała po kawiarni wraz z resztą nurów. Tak czy owak jej zniknięcie zmusiło Jessie do samodzielnego myślenia.

Więc dobrze, myśl samodzielnie – rzekła w duchu. – *Czy teraz, gdy się przekonałaś, że kajdanek nie da się zsunąć, możesz wymyślić inny sposób, by się z nich uwolnić?*

Każda para składa się z dwóch stalowych kolek – odezwał się z wahaniem dziewczęcy głosik, dla którego Jessie nie wymyśliła jeszcze imienia. – *Usiłowałaś zsunąć je z rąk i nie udało się... ale co z kółkami przypiętymi do łóżka? Myślałaś o nich?*

Jessie wcisnęła głowę w poduszkę i wygięła plecy w łuk, by spojrzeć na zagłówek. Prawie nie spostrzegła, że widzi go do góry nogami. Nie było to największe z łóżek dostępnych na rynku, lecz i tak przewyższało rozmiarami normalne łoże małżeńskie. Miało jakąś zabawną nazwę – reklamowano je chyba jako tak zwany „model dworski” – ale z wiekiem Jessie coraz trudniej zapamiętywała takie idiotyzmy; nie wiedziała, czy przypisać to zdrowemu rozsądkowi, czy postępującej sklerozie. Tak czy owak, łóżko, na którym leżała, w sam raz nadawało się do uprawiania miłości, lecz było ciut za małe, by wygodnie spać na nim we dwoje.

Zresztą wcale im to nie przeszkadzało, bo od ostatnich pięciu lat sypiali we własnych pokojach, zarówno tutaj, jak i w willi w Portland. Była to decyzja Jessie, nie Geralda; znużyło ją jego chrapanie, z każdym rokiem coraz głośniejsze. Gdy gościli z rzadka kogoś, kto zostawał na noc, Jessie spała z Geraldem w tym pokoju i okropnie się męczyła, lecz zwykle dzielili łóżko tylko wtedy, gdy się kochali. W istocie rzeczy Jessie nie zaczęła sypiać osobno dlatego, że Gerald chrapał – była to tylko dyplomatyczna wymówka. Prawdziwa przyczyna miała związek z doznaniem węchowymi. Jessie nie przepadała za zapachem męża; z początku wydawał jej się on przykry, a później wstrętny. Nawet jeśli Gerald wziął prysznic przed pójściem do łóżka, już o drugiej nad ranem z porów jego skóry poczynał się wydobywać odór szkockiej whisky.

Aż do wiosny tego roku schemat wyglądał następująco: coraz pospieszniejsze stosunki, po których następowała krótka drzemka (nawiasem mówiąc, ulubiony moment Jessie), a później Gerald brał prysznic i odchodził. Jednakże w marcu zaszły pewne zmiany. Gry z apaszkami i kajdankami – zwłaszcza z tym drugim – sprawiały Geraldowi taką satysfakcję, jakiej nie dawał mu nigdy klasyczny seks, i często zapadał później obok Jessie w głęboki sen. Nie miała nic przeciwko temu; były to tylko krótkie epizody, a Gerald pachniał normalnym potem, nie zaś przetrawioną szkocką whisky. Oprócz tego prawie wcale nie chrapał.

Ale wszystkie te sesje z apaszkami i kajdankami odbywały się w willi w Portland – pomyślała. – W lipcu i w sierpniu, gdy kochaliśmy się w domku letniskowym nad jeziorem – niezbyt często, owszem, lecz były przecież takie dni – wszystko wyglądało stereotypowo: Tarzan na górze, Jane na dole. Jeszcze nigdy nie uprawialiśmy tutaj tej gry. Ciekawe dlaczego?

Może z powodu okien, wysokich i trudnych do zasłonięcia. Nigdy nie zastąpili zwykłych szyb odblaskowymi, choć Gerald bez przerwy o tym mówił aż do... no cóż...

Aż do dzisiaj – dokończyła Dobra Żona i Jessie błogosławiła jej takt. – Tak, masz rację, chyba z powodu okien. Gerald nie miał ochoty, żeby Fred Laglan czy Jamie Brooks przyjechali zaprosić go na golfa i zobaczyli, jak przelatuje panią Burlingame, przykutą do łóżka policyjnymi kajdankami. Prawdopodobnie szybko by się to rozeszło. Fred i Jamie to oczywiście mili goście...

Dwaj kretyni w średnim wieku – wtrąciła kwaśno Ruth.

...ale to tylko ludzie i nie powstrzymaliby się od plotek. Poza tym jest coś jeszcze, Jessie...

Jessie nie pozwoliła jej skończyć. Nie była to myśl, którą chciałyby usłyszeć wypowiedzianą miłym, lecz beznadziejnie pruderyjnym głosem Dobrej Żony.

Niewykluczone, że Gerald nigdy nie proponował jej zakucia w kajdanki w domku letniskowym w obawie, by nie przyszedł mu do głowy jakiś zwariowany pomysł. Jaki? Cóż – pomyślała – *dajmy na to, że w głębi duszy naprawdę sądził, iż kobieta to układ biologiczny utrzymujący przy życiu cipę, a jednocześnie jakaś jego częśćka (z braku lepszego określenia nazwijmy ją jego „lepszą stroną”) trochę się tego wstydzila. Mógł się obawiać, że sytuacja wymknie się spod kontroli. W końcu czy tak się nie stało?*

Trudno było się z tym nie zgodzić. Sytuacja z pewnością wymknęła się spod kontroli – Jessie nie potrafiłaby wymyślić lepszego określenia.

Czuła przez chwilę nostalgiczny smutek i siłą woli powstrzymała się od spojrzenia na leżącego Geralda. Nie wiedziała, czy żałuje zmarłego męża, lecz zdawała sobie sprawę, że nie pora w tej chwili na takie myśli. A jednak miło jest mieć kilka dobrych wspomnień o mężczyźnie, z którym się spędziło tyle lat; wspomnienie Geralda śpiącego u jej boku po akcie miłosnym było z pewnością miłe. Nie przepadała za apaszkami i nienawidziła kajdanek, lecz lubiła patrzeć, jak zapada w sen, lubiła patrzeć, jak wygładzają się zmarszczki na jego tęgiej różowej twarzy.

Cóż, w pewnym sensie śpi w tej chwili u mojego boku, prawda?

Zachnęła się, a jej uda, oświetlone wąskim promieniem słońca, pokryły się gęsią skórką. Odrzuciła tę myśl – a przynajmniej próbowała – i zaczęła oglądać z powrotem zagłówek.

Słupki wystawały nieco poza krawędzie łóżka; Jessie miała rozpostarte ramiona, lecz nie odczuwała szczególnej niewygody, zwłaszcza że piętnastocentymetrowe łańcuszki dawały pewną swobodę ruchów. Między słupkami biegły cztery poziome deski, również mahoniowe, ozdobione prostym, acz gustownym ornamentem z falistych linii. Gerald zasugerował raz, by kazać wyrzeźbić na środku górnej deski inicjały G.J.B – znał rzemieślnika z Tashmore Glen, który chętnie by się tego podjął – lecz Jessie czym prędzej wybiła mu z głowy ów pomysł. Wydał jej się pretensjonalny i dziecinny, kojarzył się z serduszkami przebitym strzałą wyciętym scyzorykiem na szkolnej ławce.

Na ścianie nad łóżkiem wisiała półka, umieszczona na tyle wysoko, by nikt nie rąbnął w nią głową siadając nagle na łóżku. Znajdowała się na niej szklanka wody, dwie tanie powieści (pozostałość z wakacji), a po stronie Jessie kilka kosmetyków. One także walały się tam od wakacji i zapewne już wyschły. Cholerna szkoda; nic bardziej nie podtrzymałoby na duchu kobiety zakutej w kajdanki niż trochę różu do twarzy o barwie świeżego wiejskiego poranka. Wszystkie czasopisma kobiece by to potwierdziły.

Uniosła powoli dłonie, trzymając ramiona pod szerokim kątem, aby nie zawadzić o spód półki, i popatrzyła na bok, na kajdanki. Stalowe kółka zostały przypięte do zagłówka pomiędzy drugą a trzecią deską od góry. Kiedy uniosła zaciśnięte pięści, jakby wyciskała niewidzialną sztangę, kółka posunęły się po słupkach i zatrzymały na drugiej desce. Gdyby zdołała ją wyrwać, a później zrobić to samo z pierwszą, mogłaby po prostu zdjąć kółka ze słupków. *Voila.*

Prawdopodobnie zbyt proste, by było prawdziwe, dziubdziuniu, ale możesz przecież spróbować. Ot, tak, dla zabicia czasu.

Chwyliła poziomą rzeźbioną deskę, która uniemożliwiała zsuniecie kółek ze słupków. Zaczerpnęła głęboko tchu, wstrzymała oddech i szarpnęła. Jedno mocne szarpnięcie wystarczyło, by się przekonać, że w ten sposób również nic nie działo – przypominało to próbę wyciągnięcia stalowego pręta zbrojeniowego z betonowej ściany. Deska ani drgnęła.

Mogę ją szarpać przez dziesięć lat i nawet jej nie poruszę, a cóż dopiero wyrwę ze słupków – pomyślała i puściła deskę, a jej ramiona zawisły z powrotem na łańcuszkach. Wydała z siebie cichy zrozpaczony okrzyk. Zabrzmiał jak krakanie wrony zdychającej z pragnienia.

– Co robić? – spytała refleksów słońca na suficie i w końcu rozpląkała się, kapitulując przed rozpaczą i strachem. – Co, do licha, robić?!

Jakby w odpowiedzi znów rozległo się szczekanie psa, tym razem tak blisko, że przerażona Jessie krzyknęła. Miała wrażenie, że pies znajduje się tuż za wschodnim oknem, na podjeździe.

5

Pies nie stał na podjeździe – podszedł nawet bliżej. Jego cień na asfalcie sięgał prawie przedniego zderzaka mercedesa, co oznaczało, że zwierzę jest na ganku z tyłu domu. Jego wydłużony, groteskowy cień przywodził na myśl jakiegoś monstrualnego, zniekształconego mutanta i Jessie natychmiast go znenawidziła.

Nie bądź taką cholerną idiotką! – upomniała się w duchu. – *Wygląda w ten sposób, bo jest zachód słońca. Otwórz usta i krzyknij, dziewczyno, ten pies nie musi być przecież bezpański!*

Słusznie, gdzieś niedaleko mógł się kręcić właściciel, choć Jessie niespecjalnie na to liczyła. Domyślała się, że psa zwabił na tyły domu kubel na śmieci przykryty drucianym wiekiem i stojący tuż za drzwiami. Gerald nazywał go niekiedy przynętą na szopy pracze; tym razem jednak kubel zwabił psa – prawie na pewno bezpańskiego. Wyglodzonego kundla, który miał pecha.

Mimo to musiała jednak spróbować.

– Hej! – krzyknęła. – Hej, jest tam kto?! Potrzebuję pomocy! Jest tam kto?!

Szczekanie natychmiast ustało. Pająkowaty, zniekształcony cień psa skulił się gwałtownie, obrócił, zaczął poruszać... po czym znów znieruchomiał. Jadąc samochodem z Portland, Jessie i Gerald jedli sandwicze, duże ociekające oliwą kanapki z salami i serem, a natychmiast po przybyciu do domku Jessie zawinęła resztki w papier i wyrzuciła do kubła. Psa zwabiła na pewno apetyczna woń oliwy i mięsa; niewątpliwie to również owa woń powstrzymała go przed natychmiastowym czmychnięciem do lasu, gdy tylko rozległ się krzyk Jessie. Głód okazał się silniejszy aniżeli zwierzęcy instynkt.

– Ratunku! – wrzasnęła rozpaczliwie Jessie. Jakaś część jej umysłu usiłowała ją ostrzec, że popełnia błąd, że tylko nadweręży sobie gardło i powiększy pragnienie, ale ten racjonalny, ostrzegawczy głos nie miał żadnej szansy. Jessie poczuła zapach własnego strachu – ostry i równie nieodparty jak woń kanapek dla psa – i błyskawicznie doprowadziło ją to do stanu, który nie był po prostu paniką, lecz rodzajem przejściowego szaleństwa. – RATUNKU! NIECH MI KTOŚ POMOŻE! RATUNKU! RATUNKU! RATUUUUUUNKU!...

Głos załamał jej się wreszcie i obróciła głowę w prawo, tak daleko, jak tylko mogła. Wybałuszyła oczy, zmierzwiłone kosmyki włosów przykleiły jej się do policzków i czoła. Lęk

przed tym, że ktoś odnajdzie ją naga, przykutą kajdankami do łóżka, z martwym mężem leżącym na podłodze, przestał odgrywać jakąkolwiek rolę. Nowy atak paniki przypominał swego rodzaju zaćmienie umysłu – zaćmił jasne światło rozumu i nadziei, pozwalając Jessie dostrzec najokropniejsze z rysujących się możliwości: głód, obłąd wywołany odwodnieniem, drgawki, śmierć. Nie była Heather Locklear ani Victorią Principal, nie znajdowała się na planie horroru kręconego dla amerykańskiej telewizji kablowej. Nie było kamer, świateł ani reżysera, który zawołałby: „Cięcie!” Wszystko działo się naprawdę i gdyby nie nadeszła pomoc, mogło się dziać dopóty, dopóki Jessie przestanie istnieć jako forma życia. Nie tylko nie martwiła się już swoim skąpym strojem, lecz osiągnęła taki stan ducha, że powitałaby z radością Maury’ego Povicha oraz ekipę telewizyjną „A Current Affair”.

Lecz nikt nie odpowiedział na jej rozpaczliwe krzyki – ani strażnik leśny robiący obchód, ani wścibski farmer włóczący się z psem (i być może chcący się przekonać, który z sąsiadów uprawia małe poletko marihuany wśród szumiących sosen), a już z pewnością nie Maury Povich. Realny był tylko długi, dziwnie nieprzyjemny cień, przywodzący na myśl tajemnicze skrzyżowanie psa i pająka na cieniotkich, chybotliwych nóżkach. Jessie, ciągle rozdygotana, zaczerpnęła głęboko powietrza i usiłowała zapanować nad swoim umysłem. Gardło miała wysuszone, a nos zapchany i wilgotny od płaczu.

Co dalej?

Nie wiedziała. Czuła rozczarowanie, na razie zbyt dojmujące, by wymyślić coś konstruktywnego. Całkowicie pewne wydawało się tylko jedno: pies nie ma żadnego znaczenia, postoi po prostu przez jakiś czas na ganku i odejdzie, gdy zrozumie, że nie zdoła wydobyć z kubła tego, co go zwabiło. Jessie jęknęła głucho i zamknęła oczy. Spod rzęs sączyły jej się łzy i spływały powoli po policzkach. W promieniach wieczornego słońca wyglądały jak krople złota.

Co dalej? – spytała znowu. Wiatr szumiący w koronach sosen trząsał lekko drzwiami do kuchni. – *Co dalej, Dobra Żono? Co dalej, Ruth? Co dalej, moje wszystkie kosmiczne przyjaciółki i zauszniczki? Czy którakolwiek z was – którakolwiek z nas – ma jakiś pomysł? Chce mi się pić, chce mi się sikać, mój mąż nie żyje i jest ze mną tylko bezdomny pies, którego idea rajy sprowadza się do trzech nie dojedzonych kanapek z salami z baru Amato w Gorham. Wnet się przekona, że nigdy nie dotrze do źródła owych rajskich zapachów i odejdzie. Więc... co dalej?*

Nikt nie odpowiedział. Wszystkie głosy wewnętrzne umilkły. Przygnębiło to Jessie – przynajmniej dotrzymywały jej towarzystwa – ale panika również minęła, pozostawiając tylko metaliczny posmak w ustach.

Prześpię się trochę – pomyślała, zdumiona, że wchodzi to w ogóle w rachubę. – *Prześpię się trochę, a jak się obudzę, może przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł. Przynajmniej uwolnię się na pewien czas od lęku.*

Maciupenie kurze łapki w kącikach zamkniętych oczu Jessie i dwie głębsze zmarszczki

między brwiami zaczęły się wygładzać. Poczuła, że się odpręży, płynie w powietrzu. Z ulgą zanurzyła się we śnie, pozwalającym uwolnić się na moment od autoobserwacji. Szumiący wiatr wydawał się daleki, a nie milknący stukot drzwi o framugę jeszcze odleglejszy: puk-puk, puk-puk...

Jej oddech, który w miarę, jak zapadała w drzemkę, stawał się coraz głębszy i powolniejszy, zatrzymał się nagle. Otworzyła gwałtownie oczy. W pierwszej chwili dezorientacji, wyrwana ze snu, czuła tylko zdziwienie i złość: prawie udało jej się zasnąć, niech to szlag trafi, a później te przeklęte drzwi...

Co z tymi przeklętymi drzwiami? Co się stało?

Te przeklęte drzwi nie uderzyły jak zwykle dwa razy we framugę, a Jessie usłyszała charakterystyczne drapanie psich pazurów na podłodze, jakby sama powołała te pazury do życia w swojej wyobraźni. Bezpański pies wszedł do domu przez nie zamknięte drzwi. Znajdował się w sieni.

Reakcja Jessie była natychmiastowa i jednoznaczna.

– Wynoś się! – wrzasnęła do psa, nie zdając sobie sprawy, że jej nadwierzony głos stał się tubalny i ochryply. – Wynoś się, skurwysynu, słyszysz?! Wynoś się z mojego domu!

Umilkła, dysząc spazmatycznie i otwierając szeroko oczy. Cała jej skóra była jak naelektryzowana i Jessie czuła lekkie łaskotanie. Zdawała sobie mgliście sprawę, że zjeżyły jej się włoski na karku. Senność zniknęła jak zdmuchnięta.

Usłyszała przestraszone szuranie pazurów na podłodze, a później zapadła cisza. *Musiałam go wypłoszyć. Prawdopodobnie wymknął się z powrotem przez drzwi. Przecież taki bezpański pies na pewno boi się ludzi i domów.*

Nie jestem taka pewna, kochanie – odezwała się Ruth z dziwnym powątpiewaniem w głosie. – *Nie widzę jego cienia na podjeździe.*

Naturalnie, że nie widzisz. Prawdopodobnie obszedł dom i popędził do lasu. Albo nad jezioro. Śmiertelnie się przeraził i uciekł, gdzie pieprz rośnie. Czyż nie brzmi to rozsądnie?

Ruth nie odpowiedziała. Ani Dobra Żona, choć w tej chwili Jessie z radością usłyszałaby głos jednej z nich.

– Wypłoszyłam go – rzekła. – Na pewno.

Lecz ciągle leżała bez ruchu, wytężając słuch i słysząc tylko szum krwi we własnych uszach. Przynajmniej na razie.

6

Nie wypłoszyła psa.

Bał się on rzeczywiście ludzi i domów, lecz Jessie nie doceniła jego rozpaczliwego położenia. Jego dawne imię – Prince – brzmiało w tej chwili niczym szydercze przezwisko. Tej jesieni, podczas długiej, głodnej wędrówki wokół jeziora Kashwakamak napotkał już bardzo wiele kubłów na śmieci, takich jak w domku letniskowym Burlingame'ów, i szybko zrezygnował z salami, sera i oliwy. Woń była cudowna, lecz gorzkie doświadczenia nauczyły Prince'a, że nigdy nie wydobędzie tych przysmaków.

Lecz istniały także inne zapachy; pies czuł je za każdym razem, gdy wiatr uchylał tylne drzwi. Były one wprawdzie słabsze niż te dochodzące z kubła, a ich źródło znajdowało się wewnątrz domu, lecz wydawały się zbyt apetyczne, by je ignorować. Prince spodziewał się, że prawdopodobnie odpędzą go krzyżący ludzie, którzy zaczną go gonić i kopać swoimi dziwnymi twardymi nogami, ale przeraźliwy głód, jaki czuł, okazał się silniejszy od strachu. Tylko jedno mogłoby go powstrzymać, lecz jak dotąd nie zdawał sobie sprawy z istnienia broni palnej. Miało się to zmienić w sezonie polowań na jelenie, ale zaczynał się on dopiero za dwa tygodnie, i najgorszą rzeczą, jaką Prince potrafił sobie w tej chwili wyobrazić, byli krzyżący ludzie z twardymi raniącymi nogami.

Prześlizgnął się przez drzwi, uchylone przez wiatr, i podążył w głąb sieni... lecz niezbyt daleko. Gdyby tylko wyczuł niebezpieczeństwo, natychmiast rzuciłby się do ucieczki.

Wiedział, że w domu mieszka sokoluda; spostrzegła ona jego obecność, bo krzyknęła, ale w jej uniesionym głosie nie zabrzmiał gniew, tylko strach. Prince czekał, by do krzyków sokoludy dołączyły krzyki psoluda, a gdy to nie nastąpiło, gdy nie pojawił się tupot biegnących stóp, wyciągnął łeb do przodu i zaczął wachać stęchłe powietrze w domku.

Z początku skręcił w prawo, w stronę kuchni. To właśnie stamtąd dochodziły apetyczne wonie przedostające się przez drzwi. Bardzo przyjemne wonie: masło orzechowe, krakersy, rodzynki, płatki zbożowe (zapach ten dochodził z kredensu – głodna mysz polna wygryzła dziurę w dnie jednego z pudełek).

Zrobił krok w tę stronę, po czym przekręcił łeb, by się przekonać, czy nie skrada się ku niemu jakiś psolud – ludzie najczęściej wrzeszczeli, lecz bywali także podstępni. Korytarz biegnący w lewo okazał się pusty, ale dobiegał stamtąd znacznie silniejszy zapach, który

spowodował, że żołądek Prince'a skurczył się od straszliwego głodu.

Ruszył w tym kierunku, z płonącymi szaleństwem ślepiami, pełnymi żączy, ze zmarszczonym pyskiem, z nerwowo unoszącą się górną wargą, spod której błyskały białe kły. Z jego pęcherza trysnął strumień gorącej uryny, która uderzyła w deski podłogi; pies oznaczał w ten sposób korytarz – a przeto również cały dom – jako swoje terytorium. Dźwięk ten był tak cichy i krótkotrwały, że Jessie w ogóle go nie usłyszała.

Pies wyczuł krew. Jej woń była mocna, lecz zła. W końcu śmiertelny głód przeważał szalę – musiał wkrótce coś zjeść albo zdechnąć. Prince podążył powoli korytarzem w stronę sypialni. Zapach stawał się coraz mocniejszy. Była to krew, owszem, ale zła krew. Należała do psoluda. Mimo to jej woń, zbyt smakowita i kusząca, by się jej wyrzec, wsączyła się do mózgu przybłądy. Ruszył do przodu, a gdy zbliżył się do drzwi sypialni, zaczął warczeć.

7

Jessie usłyszała szuranie psich pazurów i zrozumiała, że pies jest ciągle w domu i że podchodzi coraz bliżej. Krzyknęła rozdzierająco. Wiedziała, iż jest to prawdopodobnie najgorsza rzecz, jaką można w tej sytuacji zrobić. Klóciło się to z podstawową zasadą, by pod żadnym pozorem nie okazywać lęku potencjalnie niebezpiecznemu zwierzęciu, lecz nie mogła nic na to poradzić. Zbyt dobrze rozumiała, co zwabiło bezpańskiego psa do sypialni.

Podciągnęła nogi, próbując oprzeć się plecami o drewniany szczyt łóżka, i ani na chwilę nie spuszczała z oczu drzwi na korytarz. Nagle usłyszała warczenie i poczuła, że jej jelita stają się gorącą płynną masą.

Przyblęda znieruchomiał na progu. Zbierały się tam już cienie i Jessie widziała tylko niewyraźny kształt na podłodze – nie był to duży pies, lecz również nie pudelek ani jamnik. W mroku lśniły dwa żółtopomarańczowe ślepie.

– Precz! – wrzasnęła. – Precz! Wynoś się! Nie jesteś... nie jesteś tu mile widziany! – Co za idiotyczna uwaga... ale co w tych okolicznościach nie zabrzmiałoby idiotycznie? *Za chwilę poproszę go, żeby przyniósł kluczyki z komody* – pomyślała.

Ciemny kształt na progu poruszył się lekko – pies zaczął machać ogonem. W sentymentalnej powieści dla dziewcząt znaczyłoby to zapewne, iż pomylił głos kobiety na łóżku z głosem swojej ukochanej, lecz dawno zmarłej pani, jednakże Jessie nie miała takich złudzeń. Psy machają ogonami nie tylko ze szczęścia; podobnie jak koty robią to również, kiedy nie mogą się na coś zdecydować i ciągle usiłują ocenić sytuację. Krzyki Jessie nie zrobiły na psie większego wrażenia, bał się po prostu wkroczyć do słabo oświetlonego pokoju. Przynajmniej na razie.

Prince miał się jeszcze wiele nauczyć o broni palnej, lecz dostał już wiele twardych lekcji w ciągu półtora miesiąca, jakie upłynęło od ostatniego dnia sierpnia. Wówczas to pan Charles Sutlin, adwokat z Braintree w stanie Massachusetts, porzucił go w lesie; wolał pozostawić go na pastwę losu, niż wrócić z nim do domu i zapłacić połączony stanowy i miejski podatek od psów w wysokości siedemdziesięciu dolarów. Charles Sutlin uważał, że siedemdziesiąt dolarów to bardzo wysoka opłata za zwykłego kundla. Stanowczo za wysoka. Owszem, zaledwie w czerwcu Sutlin kupił sobie motorówkę za kilkanaście tysięcy dolarów i gdyby porównać jej cenę z wysokością podatku za psa, jego skąpstwo mogłoby się wydać śmieszne

– oczywiście, że mogłoby, lecz nie o to w istocie chodziło. Rzecz w tym, że motorówka była zakupem zaplanowanym. Sutlin marzył o niej od przeszło dwóch lat. Natomiast psa nabył pod wpływem impulsu przy stoisku z warzywami w Harlow. Nigdy by tego nie zrobił, gdyby nie jego córka, która zakochała się w szczeniaku od pierwszego spojrzenia.

– Kup mi go, tatusiu! – zawołała, wyciągając rączkę. – Ma taką śliczną białą łatkę na nosie i stoi zupełnie sam jak małe książętko!

Wobec tego kupił szczeniaka – nikt nie mógł mu zarzucić, że nie potrafi uszczęśliwić swojej córeczki – ale siedemdziesiąt doliców (a może nawet sto, gdyby Prince’a zaliczono do klasy B, czyli dużych psów) to mnóstwo forsy, gdy mowa o kundlu bez strzępka rodowodu. Za dużo forsy, doszedł do wniosku pan Sutlin, kiedy zbliżyła się pora wyprowadzki z domku letniskowego nad jeziorem. Poza tym zawiezenie psa z powrotem do Braintree na tylnym siedzeniu saaba sprawiłoby przecież mnóstwo kłopotu – wszędzie zostałyby jego wstrętne kłaki, mógłby nawet z wymiotować na tapicerkę albo zrobić kupę. Sutlin zastanawiał się nad kupieniem klatki, ale najtańsza kosztowała aż dwadzieścia dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów. A zresztą pies taki jak Prince nie byłby szczęśliwy w klatce. Potrzebował wolności, swobody w królestwie lasów i jezior północy. *Wystarczy na niego spojrzeć, ma serce włóczęgi* – skonstatował Sutlin ostatniego dnia sierpnia, gdy zatrzymał samochód na pustym odcinku Bay Lane i wyrzucił psa na drogę z tylnego siedzenia samochodu. Oczywiście Sutlin nie był głupcem, w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że chce tylko uspokoić własne sumienie, lecz mimo to ów pomysł szalenie przypadł mu do smaku, a gdy wrócił do samochodu i odjechał zostawiwszy osowiałego Prince’a na poboczu drogi, pogwizdywał melodyjkę z musicalu „Born Free”, niekiedy wtrącając kilka linijek tekstu: „Booorn freeeee... to follow your heaaaart!” Spał tej nocy dobrze, w ogóle nie myśląc o Prinsie (chwilowo noszącym jeszcze to imię), który z kolei spędził bezsenną, głodną noc skulony pod obalonym drzewem, drżąc z zimna i skomląc ze strachu, gdy w lesie pohukiwała sowa lub skradało się jakieś zwierzę.

Pies, którego Charles Sutlin wyrzucił z auta, pogwizdując melodyjkę z „Born Free”, stał teraz na progu sypialni domku letniskowego Burlingame’ów (domek Sutlinów znajdował się po drugiej stronie jeziora i obie rodziny nie utrzymywały kontaktów towarzyskich, choć przez ostatnie kilka lat spotykały się na miejscowej przystani, wymieniając niedbałe pozdrowienia). Stał z opuszczonym łbem, szeroko otwartymi oczyma i najeżoną sierścią. Nie zdawał sobie sprawy, że warczy – całą uwagę skupił na pokoju. W jakiś pierwotny, instynktowny sposób rozumiał, że zapach krwi wnet przeważy jego ostrożność. Jednakże najpierw powinien się upewnić, czy to nie pułapka. Nie chciał, by zaskoczyli go ludzie o kanciastych, zadających ból nogach, ciskający weń twardymi kawałkami ziemi.

– Precz! – próbowała krzyknąć Jessie, lecz jej głos zabrzmiał słabo i nieprzekonująco. Nie zdoła krzykiem skłonić psa do odejścia; ten sukinsyn w jakiś sposób wyczuł, że kobieta nie może wstać z łóżka i że nic mu nie grozi.

To niemożliwe – pomyślała. – Zaledwie trzy godziny temu siedziałam w samochodzie, opięta pasem bezpieczeństwa, słuchałam kaset magnetofonowych z nagraniami „Rainmakers” i myślałam, że w razie gdybyśmy postanowili spędzić noc nad jeziorem, warto by sprawdzić, co grają w kinach w Mountain Valley. Mój mąż nie żyje? Przecież jeszcze tak niedawno śpiewaliśmy razem z Bobem Wakenhorstem: „One more summer, one more chance, one more stab at romance”. Oboje znaliśmy tekst, bo to fantastyczna piosenka, więc jak to możliwe, że Gerald nie żyje? Jak to się stało, że wszystko tak nagle się zmieniło? Przepraszam, ale... na pewno przyśnił mi się po prostu jakiś koszmar. To zbyt absurdalne, by było prawdziwe.

Prince, z którym ongiś bawiła się uszczęśliwiona ośmioletnia Catherine Sutlin (przynajmniej dopóki nie dostała na urodziny lalki o imieniu Marnie i nie straciła zainteresowania), był półkrwi labradorem, półkrwi collie – mieszańcem, lecz bynajmniej nie kundlem. Kiedy Sutlin zostawił go pod koniec sierpnia na Bay Lane, pies ważył czterdzieści kilogramów i miał lśniąca, zdrową sierść w ładnym czarnobrazowym odcieniu (z charakterystycznym białym krawatem collie i łatką w dolnej części pyska). W tej chwili schudł o połowę, sterczały mu żebra, a pod skórą tłukło się gorączkowo serce. Lewe ucho miał przecięte prawie na pół. Sierść była pozbawiona połysku, zmierzwiona i brudna. Przez jeden z kłębów biegła zygzakiem na poły zagojona różowa blizna, pamiątka po panicznej ucieczce pod ogrodzeniem z drutu kolczastego, a z pyska, niczym karykatura kocich wąsów, sterczało kilka ułamanych kolców jeżozwierza. Przed paroma dniami Prince znalazł pod kłodą martwego samca, ale dał spokój, gdy w nos wbiły mu się pierwsze igły. Był głodny, lecz nie zdesperowany.

W tej chwili już się to zmieniło. Jego ostatni posiłek składał się z kilku zgniłych ochłapów wygrzebanych z torby ze śmieciami znalezionej w rowie przy autostradzie numer sto siedemnaście. Było to dwa dni temu. Pies, który szybko nauczył się aportować czerwoną piłeczkę Catherine Sutlin, gdy turlała ją przez salon do holu, zdychał w tej chwili z głodu.

Owszem, ale tutaj – właśnie tutaj, na podłodze, w polu widzenia! – leżały niezliczone kilogramy świeżego mięsa, tłuszczu i kości pełnych pysznego szpiku. Istny dar Boga Bezpańskich Psów.

Niegdysiejszy ulubieniec Catherine Sutlin zbliżał się do zwłok Geralda Burlingame’a.

8

To nie może się zdarzyć – rzekła w duchu Jessie. – To absolutnie wykluczone, więc się uspokój.

Powtarzała te słowa, dopóki górna część ciała psa nie zniknęła za lewą stroną łóżka. Zaczął jeszcze szybciej machać ogonem, a później rozległ się dźwięk, który Jessie rozpoznała – odgłos chleptania z kałuży w gorący letni dzień. Nie, nie był to odgłos chleptania. Brzmiał bardziej szorstko, przypominał raczej lizanie. Jessie wpatrywała się w prędko poruszający się ogon i nagle ujrzała w wyobraźni to, co zasłaniał skraj łóżka. Bezpański pies ze zmierzwioną, brudną sierścią i znużonymi, czujnymi ślepiami zlizywał krew z rzednących włosów Geralda.

– NIEEE! – Uniosła pośladki i przekreśliła nogi na lewo. – ODCZEP SIĘ OD NIEGO! WYNOŚ SIĘ STĄD! – Wiergnęła rozpaczliwie, a jej pięta przeszorowała po wystającym kręgosłupie psa.

Odsunął się natychmiast i unióś łeb, otworzywszy ślepie tak szeroko, że widać było delikatne kręgi białek. Rozwarł pysk i w czerwonym wieczornym świetle zaśniły pajęczko cienkie nitki śliny, przywodząc na myśl złotą przędzę. Nagle rzucił się w stronę nagiej stopy Jessie, kłapiąc zębami. Cofnęła ją z wrzaskiem, ratując palce nóg i czując na skórze gorący psi oddech. Znow podwinęła nogi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, nie zważając na rozpaczliwe protesty mięśni w zanadto naprężonych ramionach, nie czując bólu stawów obracających się opornie w panewkach.

Pies trzymał łeb zwrócony na nią jeszcze przez chwilę, ciągle warcząc i posyłając groźne spojrzenia. *Powinniśmy zawrzeć umowę – mówiły jego ślepie. – Ty robisz swoje, ja swoje. Taka jest umowa. Zgadzasz się? Lepiej się zgódź, bo jak nie, to cię załatwię. Poza tym on nie żyje – wiesz o tym równie dobrze jak ja, więc po co ma się marnować, skoro zdycham z głodu?*

Tobie grozi to samo. Wątpię, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale myślę, że dojdiesz do tego samego wniosku, i to szybciej, niż przypuszczasz.

– WYNOŚ SIĘ! – wrzasnęła Jessie. W pozycji kucznej, z rozpostartymi ramionami, naprawdę przypominała Fay Wray na ołtarzu ofiarnym w głębi dżungli, a jej postawa – uniesiona głowa, sterczące piersi, cofnięte barki pobielale z wysiłku i głębokie trójkątne cienie u podstawy szyi – upodabniała ją do pozującej modelki z czasopisma

pornograficznego. Brakowało jednak obowiązkowego wyduęcia warg, świadczącego o rozbuchanym erotyzmie; Jessie miała wyraz twarzy kobiety na pograniczu obłądu. – WYNOŚ SIĘ STĄD!

Pies powarkiwał jeszcze przez chwilę. Później, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że wierzgnięcie się nie powtórzy, przestał się nią interesować i znów opuścił łeb. Tym razem nie rozległo się ani chleptanie, ani lizanie. Zamiast tego Jessie usłyszała głośne mlaśnięcie, które przywodziło na myśl entuzjastyczne pocałunki składane ongiś przez jej brata Willa na policzku babci Joan podczas niedzielnych wizyt.

Mlaskanie powtarzało się przez długie sekundy, lecz było dziwnie przytłumione, jakby ktoś naciągnął psu na łeb poszewkę od poduszki. Jessie, prawie w pozycji siedzącej, z głową muskającą półkę nad łóżkiem, widziała jedną z pulchnych stóp Geralda oraz jego prawe ramię i dłoń. Stopa podrygiwała, jakby Gerald przytupywał w takt żywej melodii – na przykład „One More Summer” w wykonaniu „Rainmakers”.

Tkwiąc w tej pozycji widziała psa lepiej, mogła dostrzec jego nogi, korpus oraz szyję. Widziałaby także pysk, gdyby był uniesiony. Nie był. Pies opuścił łeb, sztywno zaparłszy tylne nogi o podłogę. Nagle rozległ się głuchy odgłos darcia – odgłos kojarzący się ze smarkaniem, jakby ktoś przeziębiony pociągał nosem. Jessie jęknęła.

– Przestań, błagam cię! Czy nie mógłbyś przestać?!

Pies nie zwracał na nią uwagi. Niegdyś siadał koło stołu podczas posiłków i zebrał o jedzenie, a jego ślepia i pysk zdawały się śmiać, jednakże owe dni, podobnie jak dawne imię, należały już do zamierzchłej przeszłości. W tej chwili sprawy stały tak, jak stały. Kto chce przeżyć, nie może sobie pozwolić na uprzejmość czy dobre serce. Nie jadł od dwóch dni, a miał przed sobą posiłek; w pokoju przebywała wprawdzie sukoluda, która nie chciała, by się pożywił (dawno minęły dni, gdy ludzie głaskali go ze śmiechem po łbie, nazywali „dobrym psiuniem” i nagradzali plasterkami boczku), lecz jej nogi były małe i miękkie, a nie twarde i bolesne, a głos świadczył, że jest bezbronna...

Warknięcia Prince’a zmieniły się w przytłumione stękanie i na oczach Jessie ciało Geralda zaczęło podrygiwać razem z jego stopą; z początku poruszało się tylko w tę i z powrotem, ale później zaczęło z wolna przesuwać się w stronę drzwi.

Uspokój się, Geraldzie! – pomyślała dziko Jessie. – *Przecież nie zamierzasz tańczyć z psem, co?!*

Prince nie zdołałby poruszyć Geralda, gdyby leżał on na dywanie, ale w połowie września Jessie kazała zapastować podłogi. Bill Dunn, opiekujący się domkiem pod nieobecność Burlingame’ów, zaangażował ekipę sprzątaczy, którzy wykonali wspaniałą robotę. Chcieli, by właścicielka doceniła ją podczas następnej wizyty, toteż zwinęli dywan i umieścili w składziku przy wejściu; kiedy Gerald jał sunąć po lśniącej podłodze, ślizgał się równie gładko jak John Travolta w „Gorączce sobotniej nocy”. Pies również się ślizgał, lecz jakoś sobie radził, pomocne mu były długie, brudne pazury, które pozostawiały głębokie, nierówne rysy

w miękkim wosku, gdy cofał się z zębami zatopionymi w bezwładnym ramieniu Geralda.

Nie widzę tego. To nie dzieje się naprawdę. Zaledwie kilka godzin temu słuchaliśmy „Rainmakers”, a Gerald ściszył magnetofon i powiedział, że myśli o wybraniu się w tę sobotę do Orono na mecz piłkarski. Uniwersytet Michigan przeciwko Uniwersytetowi Baltimore. – Pamiętała, że mówiąc drapał się w prawe ucho. – Więc jak to możliwe, że nie żyje, że leży na podłodze sypialni i ciągnie go za rękę pies?

Pożyczka na głowie Geralda rozsypała się – prawdopodobnie dlatego, że pies zlizywał z niej krew – ale okulary ciągle tkwiły mocno na nosie. Jessie widziała jego półprzymknięte, szkliste oczy spoglądające spomiędzy nabrzmiątych powiek na blednące refleksy słońca na suficie. Twarz Geralda wciąż pokrywały ohydne sinoczerwone plamy, jakby nawet po śmierci gniewał się na Jessie za to, że kapryśnie zmieniła decyzję. *(Czy uważał to za kaprys? Ależ tak!)*

– Puść go – zwróciła się do psa, ale jej głos był łagodny, smutny i pozbawiony siły. Prince ledwo zastrzygł uszami i nawet się nie zatrzymał. Po prostu dalej ciągnął mężczyznę ze zmierzwioną pożyczką i zsiniałą twarzą. Nie wyglądał on już jak tańczący Gerald – bynajmniej. Był to tylko Martwy Gerald, ślizgający się po podłodze sypialni z psimi zębami wbitymi w sflaczałe bicepsy.

Z pyska psa zwisał oderwany kawałek skóry. Jessie usiłowała sobie wmówić, że wygląda jak tapeta, lecz na tapetach nie ma zwykle – przynajmniej ona nie widziała – pieprzyków ani śladów po ospie. Patrzyła teraz na różowy, tłusty brzuch Geralda, z pępkiem przypominającym otwór wlotowy małokalibrowej kuli. Jego penis podrygiwał i tańczył wśród ciemnych włosów, a pośladki ślizgały się po deskach z upiornym szelestem.

Jessie, wprost duszącą się ze strachu, ogarnęła nagle ślepa wściekłość, tak gwałtowna, że miała wrażenie, jakby w jej głowie rozbłysła oślepiająco jasna błyskawica. Przyniosło jej to pewną ulgę – wręcz ucieszyło. Gniew nie mógł jej w niczym pomóc, ale stanowił antidotum na narastające poczucie nierealności całej sytuacji.

– Ty świnió! – rzekła cichym, drżącym głosem. – Ty tchórzliwa, podła gnido!

Chociaż nie mogła dosięgnąć półki po stronie Geralda, zorientowała się, że gdy obróci lewy nadgarstek w stalowym kółku i skieruje dłoń do tyłu, jest w stanie przesunąć nią po krótkim odcinku półki po swojej stronie. Nie mogła obrócić głowy i zobaczyć, czego dotyka – półka znajdowała się tuż za jej polem widzenia – lecz było to w istocie zupełnie nieważne. Dość dobrze się orientowała, co na niej leży. Przebierała tam i z powrotem palcami, muskając tubki z kosmetykami, przesuwając kilka ku ścianie i strącając inne. Niektóre wylądowały na łóżku, część odbiła się i spadła na podłogę. Żadna z nich nawet w przybliżeniu nie przypominała tego, czego Jessie szukała. Zacisnęła palce na pojemniczku kremu do twarzy „Nivea” i łudziła się przez chwilę, że się nadaje, ale była to tylko reklamówka, zbyt mała i lekka; nie zraniłaby psa, nawet gdyby zrobiono ją ze szkła, a nie z plastiku. Jessie odstawiła pojemniczek z powrotem na półkę i macała dalej.

Wyciągnąwszy rękę na maksymalną odległość, natrafiła na zaokrąglony szklany przedmiot, największy, jaki dotychczas znalazła. Przez chwilę nie wiedziała, co to takiego, aż nagle doznała olśnienia. Kufel wiszący na ścianie nie był jedyną pamiątką Geralda po bractwie „Alpha Gamma Rho”; natknęła się na drugą. Była to popielniczka, a Jessie nie domyśliła się tego natychmiast jedynie dlatego, że z reguły stała ona po Geraldowej stronie półki, tuż koło szklanki z wodą. Ktoś – może pani Dahl, sprzątaczką, a może sam Gerald – przesunął ją na stronę Jessie, może podczas odkurzania, a może chcąc zrobić miejsce dla czegoś innego. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Popielniczka była pod ręką i nadawała się w sam raz.

Jessie zacisnęła palce na zaokrąglonym brzegu, wyczuwając dwa wgłębienia – miejsca na papierosy. Chwyliła popielniczkę, wychyliła rękę jak najdalej do tyłu i machnęła nią do przodu. Miała szczęście: wypuściła popielniczkę z ręki dokładnie w chwili, gdy łańcuszek się napiął. Wszystko odbyło się całkiem spontanicznie – szukała pocisku, znalazła go i rzuciła, nim sparaliżowała ją refleksja nad tym, jak nieprawdopodobne jest, by kobieta, która otrzymała na studiach ocenę niedostateczną z łucznictwa, trafiła popielniczką psa z odległości pięciu metrów, będąc na dodatek przykuta kajdankami do łóżka.

Ale trafiła. Popielniczka obróciła się w locie, aż na moment ukazała się na niej dewiza „Alfa Gamma Rho”, łacińskie słowa oznaczające służbę, postępek i odwagę wypisane wokół pochodni. Jessie nie mogła ich odczytać z tej odległości, ale też nie potrzebowała. Popielniczka jęła wykonywać kolejny obrót, lecz nim go zakończyła, uderzyła w napięte, kościste barki zwierzęcia.

Pies zaskomlał ze strachu i bólu, a Jessie poczuła przypływ gwałtownego prymitywnego tryumfu. Otworzyła szeroko usta, chcąc się uśmiechnąć, lecz raczej wyszczerzyła zęby. Zawyla szaleńczo, wyginając plecy w łuk i prostując nogi. Znow nie zdawała sobie sprawy z bólu rozciągających się ścięgien i wykręcanych stawów – jej ramiona nie były już tak giętkie jak wtedy, gdy skończyła dwadzieścia lat. Ból miał się pojawić dopiero później, teraz ogarnęła ją dzika, ekstatyczna radość z celnego rzutu i czuła, że jeśli w jakiś sposób jej nie wyrazi, to po prostu pęknie. Zaczęła tupać nogami w materac i zakołysała się w obydwie strony, po policzkach i skroniach chłostały ją mokre od potu włosy, a na szyi wystąpiły nabrzmiące żyły, Przypominające grube druty.

– Cha-cha-cha! – zawołała. – Trafiłam cię! Cha-cha-cha!

Uderzony pies przysiadł gwałtownie na tylnych łapach, a później, gdy popielniczka odbiła się od niego i roztrzaskała na podłodze, odskoczył o kilka kroków. Położył uszy po sobie, słysząc zmianę w tonie głosu sukoludy. W tej chwili nie brzmiał w nim strach, tylko tryumf. Sukoluda wstanie niedługo z łóżka i zacznie go kopać swoimi twardymi łapami, zada mu okropny ból, podobnie jak inni ludzie w przeszłości. Musiał uciekać.

Obrócił łeb, by się przekonać, czy droga ucieczki ciągle stoi otworem, i w tejże chwili znow chwycił nosem niebiański zapach świeżej krwi i mięsa. Straszliwy głód skręcił mu z

powrotem kiszki i Prince zaskomlał niespokojnie. Targały nim dwa sprzeczne uczucia i na podłogę trysnął kolejny strumyczek gorącej uryny. Woń własnego moczu – woń świadcząca o chorobie i słabości, a nie o sile i odwadze – jeszcze powiększyła jego frustrację i zamęt. Zaczął znowu ujadać.

Słyszając ów ostry, nieprzyjemny dźwięk, Jessie zachnęła się – chętnie zatkałaby sobie uszy, gdyby mogła – a Prince wyczuł w pokoju pewną zmianę. Woń sukoludy znów się zmieniła. Groźny zapach osłabł, choć dopiero co się pojawił, i pies jął się domyślać, iż uderzenie w grzbiet nie musi wcale oznaczać, że za chwilę nadejdą następne ciosy. Pierwsze uderzenie było zresztą bardziej zaskakujące niż bolesne. Zrobił na próbę drobny krok w stronę wyciągniętego ramienia, które wypuścił z pyska... w stronę intensywnej, fascynującej woni krwi i mięsa. Obserwował przy tym uważnie sukoludę. Mógł się pomylić, kiedy z początku ocenił, że sukoluda jest nieszkodliwa lub bezbronna, a może jedno i drugie; powinien zachować wielką ostrożność.

Leżąc na łóżku, Jessie zaczęła sobie mgliście zdawać sprawę, że bołą ją barki, czuła ostre pieczenie w gardle, a przede wszystkim zrozumiała, że chociaż trafiła psa popielniczką, nie opuścił on pokoju. W pierwszym upajającym przyływie tryumfu wydawało jej się oczywiste, że czmychnie z podwiniętym ogonem, a przecież nie uciekł. Co gorsza, znów się zbliżał. Ostrożnie, owszem, mając się na baczności, a jednak się zbliżał. Jessie czuła, jak gdzieś w jej wnętrzu pulsuje nabrzmiały zielony wrzód pełen trucizny – gorzkiej, śmiercionośnej niczym szale. Bała się, że jeśli wrzód pęknie, ona sama zadusi się własną bezsilną wściekłością.

– Wynoś się, sukiny! – odezwała się do psa chrapliwym głosem, w którym zaczynała już pobrzmiwać panika. – Wynoś się albo cię zabiję! Nie wiem jak, ale przysięgam na Boga, że cię zabiję!

Pies znów się zatrzymał, spoglądając na nią głęboko zaniepokojonym wzrokiem.

– Dobrze, wobec tego posłuchaj – ciągnęła Jessie. – Słuchaj uważnie, bo nie cofnę się przed niczym. Absolutnie niczym. – Znów zaczęła krzyczeć, choć jej głos niekiedy się załamywał, przechodząc w ochryply szept: – Zabiję cię! Zabiję! Przysięgam, że cię zabiję, WIEC SIĘ WYNOŚ!

Pies, którego mała Catherine Sutlin ochrzciła imieniem Prince, spojrzał na sukoludę, na mięso, na sukoludę i znów na mięso. Wreszcie podjął decyzję, którą ojciec Catherine nazwałby kompromisem. Pochylił łeb, ciągle nie spuszczać Jessie z oczu, i chwycił zębami poszarpaną masę mięśni, ścięgien i tłuszczu, która była ongiś prawym bicipsem Geralda Burlingame'a. Później szarpnął do tyłu, warcząc. Ramię Geralda uniosło się, jego bezwładna dłoń zdawała się wskazywać mercedesa stojącego pod wschodnim oknem na podjeździe.

– Przestań! – wrzasnęła Jessie. Jej zdarty głos coraz częściej się załamywał i krzyki przechodziły w falset. – Nie masz jeszcze dość?! Po prostu zostaw go w spokoju!

Bezpański pies nie zwracał na nią uwagi. Potrząsał szybko łbem w obie strony, podobnie jak wtedy, gdy Cathy Sutlin szarpała się z nim dla zabawy, próbując wyrwać mu z paszczy

gumową piłeczkę. Tym razem jednak nie była to zabawa. Oddzielał mięso od kości, a z jego pyska bryzgały kropelki śliny. Wypielęgnowana dłoń Geralda zataczała w powietrzu dzikie kręgi. Kojarzył się z dyrygentem, usiłującym zmusić orkiestrę do przyśpieszenia tempa.

Jessie znów usłyszała głucho chrząknięcie i nagle poczuła, że za chwilę zwymiotuje.

Nie, Jessie! – zawołała ze strachem Ruth. – *Nie wolno ci tego zrobić! Zapach wymiocin może spowodować, że weźmie się za ciebie!... WEŹMIE SIĘ ZA CIEBIE!!!*

Jessie wykrzywiła boleśnie twarz, usiłując zapanować nad torsjami. Rozległ się odgłos darcia i mignął jej obraz psa – stał zaparty przednimi łapami o podłogę i trzymał w pysku długi elastyczny pas złożony z ciemnoczerwonych włókien.

Natychmiast zacisnęła powieki. Spróbowała zasłonić dłońmi twarz, zapominając na chwilę, że jest w kajdankach. Jej ręce zatrzymały się przynajmniej sześćdziesiąt centymetrów od siebie, zabrzęczały łańcuszki. Jęknęła z rozpaczą. Brzmiało to jak kapitulacja.

Znów usłyszała odgłosy ciamkania i darcia, po czym nastąpiło kolejne radosne cmoknięcie. Nie otworzyła oczu.

Bezpański pies jął się cofać w stronę drzwi do sieni, nie spuszczać ślepi z sukoludy na łóżku. W pysku trzymał duży lśniący ochłap, kawałek Geralda Burlingame'a. Gdyby sukoluda na łóżku próbowała go odebrać, zamierzał stanowczo się przeciwstawić. Nie był w stanie myśleć – przynajmniej nie w ludzkim znaczeniu tego słowa – jednakże jego skomplikowany system instynktów skutecznie zastępował myślenie i pies rozumiał, że to, co zrobił, jest czymś monstrualnym i niewybaczalnym, ale nie jadł już od wielu dni. Pozostawił go w lesie człowiek, który wrócił do domu pogwizdując melodyjkę z „Bom Free”. Prince zdychał z głodu. Gdyby sukoluda spróbowała odebrać mu posiłek, zamierzał walczyć.

Zerknął na nią po raz ostatni, zobaczył, że nie stara się wstać z łóżka, i odwrócił się. Zaniósł mięso do sieni i położył się na brzuchu, trzymając je mocno łapami. Na chwilę zerwał się wiatr, który uchylił, a później zatrzęsnał drzwi. Pies zerknął krótko w tę stronę i zrozumiał instynktownie, że w razie potrzeby może pchnąć drzwi pyskiem i uciec. Upewniwszy się co do tego, zaczął jeść.

9

Mdłości stopniowo minęły. Jessie leżała na wznak z zaciśniętymi powiekami, czując bolesne pulsowanie w ramionach. Narastało powolnymi falami i z przerażeniem domyślała się, że to dopiero początek.

Chcę zasnąć – odezwał się głosik małej dziewczynki, w tej chwili wstrząśnięty i zalękniony. Nie obchodziła go logika ani to, co możliwe lub niemożliwe. – *Prawie spałam, gdy przyszedł zły pies, a teraz chcę znowu zasnąć.*

Jessie było jej serdecznie żal. Rzecz w tym, że nie czuła już senności. Widziała przed chwilą, jak pies wyrywa kawał ciała jej męża, i wcale nie chciało jej się spać.

Tak naprawdę chciało jej się pić.

Otworzyła oczy i zobaczyła Geralda – groteskową postać leżącą na zapastowanej podłodze sypialni. Oczy miał ciągle otwarte, wpatrywał się wściekle w sufit, lecz okulary przekrzywiły się, a jedno ramiączko wchodziło do ucha zamiast opierać się o małżowinę. Głowa Geralda obróciła się na bok pod tak niezwykłym kątem, że pulchny policzek prawie dotykał lewego barku. Między prawym ramieniem a prawym łokciem ziała ciemnoczerwona wyrwa z poszarpanymi białymi brzegami.

– Wielki Boże! – wymamrotała Jessie. Odwróciła szybko wzrok i spojrzała przez zachodnie okno. Oślepiło ją światło – zaczynało już zmierzchać – i zamknęła z powrotem oczy, patrząc na przyływy i odpływy czerwieni i czerni, gdy jej serce tłoczyło strumyczki krwi przez zaciśnięte powieki. Po chwili spostrzegła, że oglądane przez nią fantomy regularnie się powtarzają. Przypominało to nieco obserwację pierwotniaków na czerwono zabarwionym szkiełku pod mikroskopem. Owe powtarzające się powidoki wydały jej się ciekawe i kojące. Nie potrzeba geniuszu, by rozumieć, jak w takich okolicznościach mogą działać na człowieka regularne kształty. Kiedy ze wstrząsającą nagłością walą się w gruzy wszystkie ustalone struktury czyjegoś życia, należy znaleźć coś, czego można się trzymać, coś racjonalnego, a zarazem przewidywalnego. Jeśli jedyną taką rzeczą jest uporządkowany przepływ krwi w cienkiej warstwie skóry między gałkami ocznymi a zachodzącym paździenikowym słońcem, trzeba się z tym pogodzić i jeszcze podziękować. Bo jeśli nie znajdzie się niczego, czego można się trzymać, co jest przynajmniej trochę racjonalne, obce elementy nowego porządku świata doprowadzą człowieka do szaleństwa.

Elementy na przykład takie jak dźwięki dochodzące w tej chwili z sieni. Dźwięki wydawane przez brudnego, wygłodzonego psa, pożerającego ramię mężczyzny, który zaprosił cię na twój pierwszy film Bergmana, zabrał do wesołego miasteczka w Old Orchard Beach, uspokajał w dużym wagoniku kołyszącym się w powietrzu jak wahadło, a później śmiał do łez, gdy powiedziałaś, że chcesz się przejechać jeszcze raz. Mężczyzny, który niegdyś kochał się z tobą w wannie, aż prawie krzyczałaś z rozkoszy. Mężczyzny, którego ciało przesuwano się w tej chwili w psim przelyku. Obce elementy.

– Dziwne czasy, mamusiu – rzekła Jessie. – Doprawdy, bardzo dziwne. – Mówiła kraczącym, ochryłym głosem. Zapewne lepiej byłoby po prostu się zamknąć i dać gardłu odpocząć, lecz gdy w sypialni panowała cisza, słyszała żywą istotę – panikę, ciągle obecną, ciągle skradającą się wokół na dużych miękkich łapach, szukającą okazji, wyczekującą, aż Jessie przestanie się mieć na baczości. Jednakże nie panowała zupełna cisza. Piła łańcuchowa umilkła na dobre, lecz nur wciąż krzyczał od czasu do czasu, a wiatr wzmógł się przed nocą i drzwi uderzały o framugę coraz głośniejsze i częściej.

Do tego słyhać było oczywiście psa żerującego na mężu Jessie. Kiedy Gerald stał w kolejce w barze Amato, by odebrać kanapki i zapłacić, Jessie wstąpiła do centrum handlowego Michauda kilka kroków dalej. U Michauda ryby były zawsze dobre – prawie tak świeże, że skakały, jak mawiała babka Jessie. Kupiła wspaniały filec z soli, by go usmażyć, gdyby postanowili zostać w domku na noc. Sola idealnie się nadawała, albowiem Gerald, który gdyby pozostawił go samemu sobie, żyłby wyłącznie na diecie złożonej z befsztyków i smażonych kurczaków (urozmaiconych niekiedy smażonymi pieczarkami mającymi dostarczyć niezbędnych mikroelementów), o dziwo twierdził, że lubi ten gatunek ryby. Kupując ją, Jessie zupełnie nie przeczuwała, że wkrótce sam zostanie pożarty.

– Prawdziwa dżungla, dziecino – powiedziała zdartym, ochryłym głosem i zdała sobie sprawę, że Ruth Neary nie tylko odzywa się w jej głowie, w istocie rzeczy sama mówiła już głosem Ruth, która za czasów studenckich żyła na diecie złożonej prawie wyłącznie z whisky i papierosów Marlboro.

Nagle, jakby Jessie potarła magiczną lampę, odezwał się twardy, rzeczowy głos.

Pamiętasz tę piosenkę Nicka Lowe, którą słyszałaś zeszłej zimy w WBLM, gdy wracałaś do domu z warsztatów garncarskich? Tę, co cię tak rozśmieszyła?

Jessie pamiętała. Nie chciała, lecz pamiętała. Była to piosenka Nicka Lowe zatytułowana „Mój miły był niedźwiadkiem (a dziś jest psim obiadkiem)”, cynicznie żartobliwa medytacja o samotności śpiewana przy akompaniamencie zupełnie nieodpowiedniej, radosnej melodii. Owszem, zeszłej zimy brzmiało to zabawnie jak cholera, Ruth miała rację, lecz teraz nie było już takie zabawne.

– Przestań, Ruth! – wykrakała. – Jeśli zamierzasz głądzić w mojej głowie, miej przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby się ze mną nie drażnić.

Drażnić się z tobą?! Jezu, dziubdziuniu, wcale się z tobą nie drażnię! Próbuję cię

obudzić!

Wcale nie śpię! – odparła gderliwie Jess. Na jeziorze znów krzyknął nur, jakby przyznawał jej rację. – *Częściowo dzięki tobie!*

O nie! Śpisz już od bardzo dawna! Jak dzieje się coś złego, to co robisz, Jess? Mówisz sobie: „Och, nie ma się czym martwić, to po prostu zły sen. Takie rzeczy zdarzają się od czasu do czasu, to nic wielkiego, jak tylko przewrócę się na plecy, wszystko będzie dobrze”. Właśnie to robisz, biedne małe głupiątko! Właśnie to!

Jessie otworzyła usta, by odpowiedzieć – takie bezczelne uwagi nie mogły pozostać bez odpowiedzi, choćby miała suche usta i bolące gardło, czyż nie – lecz nim zdołała zebrać myśli, wtrąciła się Dobra Żona Burlingame.

Jak możesz mówić takie okropności?! Jesteś potworna! Odejdź!

Rzeczowy głos Ruth zmienił się w cyniczny, szczekliwy śmiech, a Jessie pomyślała, jakie to dziwne – straszliwie dziwne – gdy słyszy się we własnej głowie fałszywy głos przyjaciółki, która dawno temu odeszła Bóg wie dokąd.

Odejść? Chciałabyś tego, prawda? Tere-fere, ecie-pecie, ukochana córeczka tatusia. Jak tylko zbliżasz się trochę do prawdy, jak tylko zaczynasz podejrzewać, że sen to może nie sen, uciekasz.

To śmieszne.

Doprawdy? A co się przydarzyło Norze Callighan?

Wstrząśnięta Dobra Żona zamilkła na chwilę, podobnie jak własny głos Jessie, i w owej ciszy pojawił się dziwny, znajomy obraz: krąg ludzi, głównie kobiet, które śmiały się i wytykały palcami małą dziewczynkę stojącą pod pręgierzem, z głową i rękami w dybach. Trudno ją było zobaczyć, bo panował mrok – powinno być jasno, lecz z jakichś powodów i tak panował mrok – jednakże twarz dziewczynki byłaby niewidoczna, nawet gdyby świeciło słońce. Zakrywały ją opadające włosy, przywodzące na myśl całun pokutny, choć trudno było uwierzyć, że zrobiła coś naprawdę strasznego, bez wątplenia nie miała więcej niż jakieś dwanaście lat. Na pewno nie ukarano jej za wyrządzenie krzywdy mężowi. Ta córka Ewy nie mogła mieć jeszcze pierwszej miesiączki, a cóż dopiero męża. *Nie, to nieprawda* – przemówił nagle głos dobiegający z głębszych pokładów umysłu Jessie, melodyjny, lecz mimo to przerażająco potężny, niczym śpiew wieloryba. – *Zaczęła miesiączkować, gdy miała dziesięć i pół roku. Może właśnie o to chodzi? Może wyczuł krew, tak samo jak pies w drzwiach? Może to go podnieciło?*

– Zamknij się! – krzyknęła Jessie, czując ogarniające ją szaleństwo. – Zamknij się, nie mówmy o tym!

A skoro już mowa o zapachach, czy pamiętasz tamten drugi zapach? – spytała Ruth. Jej głos stał się ostry, pełen namiętności, kojarzył się z głosem poszukiwacza złota, który natrafił wreszcie na długo tropioną żyłę kruszcu. – *Mineralny zapach soli i skóry potartej miedzią...*

Nie mówmy o tym, powiedziałam!

Jessie – wobec tej nowej groźby – leżała na łóżku z mięśniami napiętymi pod chłodną skórą, zapomniawszy zarówno o swojej sytuacji, jak i o martwym mężu, przynajmniej na razie. Czowała, że Ruth lub jakaś odrębna częśćka jej samej, w której imieniu przemawiała Ruth, zastanawia się, czy rozwijać ten temat. Kiedy postanowiła jednak tego nie robić (przynajmniej nie bezpośrednio), zarówno Jessie, jak i Dobrej Żonie wyrwało się westchnienie ulgi.

W porządku, porozmawiamy zamiast tego o Norze – zaproponowała Ruth. – O Norze, twojej terapeutce i powiernicze, z którą zaczęłaś się spotykać, gdy rzuciłaś malowanie, bo niektóre obrazy cię przerażały. Nawiasem mówiąc, może przypadkiem, a może nie, działo się to akurat wtedy, gdy Gerald przestał interesować się tobą seksualnie, a ty zaczęłaś wąchać kołnierzyki jego koszul, zastanawiając się, czy nie pachną perfumami. Pamiętasz Norę, prawda?

Nora Callighan była wścibską suką! – warknęła Dobra Żona.

– Nie – wymamrotała Jessie. – Nora miała dobre intencje, nie wątpię w to, choć zawsze posuwała się krok za daleko. Zadawała o jedno pytanie za wiele.

Podobno bardzo ją lubiłaś. Czy sama tego nie powiedziałaś?

– Chcę przestać myśleć – odezwała się Jessie drżącym, niepewnym tonem. – Chcę przestać słyszeć głosy i rozmawiać z nimi. To wariactwo.

Cóż, lepiej nas słuchaj – rzekła posepnie Ruth – bo nie uciekniesz przed nami w taki sposób, jak uciekałaś przed Norą... i przede mną, jeśli już mam być szczerą.

Nigdy przed tobą nie uciekałam, Ruth! – zaprzeczyła z oburzeniem Jessie, lecz jej słowa zabrzmiały niezbyt przekonująco. Oczywiście, że uciekła. Spakowała manatki i wyniosła się z obskurnego, lecz urządzonego z fantazją pokoju w akademiku. Nie zrobiła tego, bo Ruth zaczęła zadawać zbyt wiele niewygodnych pytań – pytań o dzieciństwo, o jezioro Dark Score, o to, co się zdarzyło podczas wakacji letnich tuż po pierwszej miesiączce Jessie. Nie, tylko zła przyjaciółka wyniosłaby się z takich powodów. Jessie nie wyprowadziła się, bo Ruth zaczęła zadawać pytania, wyprowadziła się, bo nie przestała ich zadawać, gdy Jessie o to poprosiła. Ruth nie postąpiła jak prawdziwa przyjaciółka, widziała magiczną linię nakreśloną przez Jessie, lecz mimo to świadomie ją przekroczyła. Podobnie jak Nora Callighan wiele lat później.

Oprócz tego sama myśl o ucieczce wydawała się śmieszna, prawda? Jessie była przecież przykuta kajdankami do łóżka.

Nie obrażaj mnie, sprytna cipko – odezwała się Ruth. – Nie jestem taka głupia. Twój umysł nie został zakuty w kajdany i obie o tym wiemy. Ciągle możesz uciec, jeśli chcesz, ale radzę ci – dobrze radzę – nie rób tego, bo jestem twoją jedyną szansą. Jeśli będziesz tak po prostu spokojnie leżeć i udawać, że to zły sen, wywołany spaniem na lewym boku, umrzesz w tych betach. Czy tego właśnie pragniesz? Czy to tak ma wyglądać twoja nagroda za to, że żyjesz w kajdanach od czasu, gdy...

– Nie chcę o tym myśleć! – wrzasnęła Jessie do pustego pokoju.

Ruth umilkła na chwilę i Jessie już miała nadzieję, że się od niej odczepiła, lecz okazało się to niestety nieprawdą, dawna przyjaciółka szarpała ją dalej jak wściekły pies.

Daj spokój, Jess, prawdopodobnie wolałabyś przyjąć, że zwariowałaś, niż grzebać w tym starym grobie, ale tak naprawdę nie zwariowałaś i dobrze o tym wiesz. Jestem tobą, Dobra Żona jest tobą... wszystkie jesteśmy tobą. Mam całkiem niezłe pojęcie o tym, co zaszło nad jeziorem Dark Score w dniu, gdy reszty rodziny nie było w domu, i wcale nie jestem ciekawa twojej wersji wydarzeń. W istocie interesuje mnie jedno: czy jest w tobie jakaś częśćka – częśćka, o której nic nie wiem – która chce jutro o tej porze spotkać się z Geraldem w psim brzuchu? Pytam dlatego, że nie wygląda to dla mnie na lojalność – już raczej na szaleństwo.

Po policzkach Jessie znów ciekły łzy, ale nie wiedziała, czy dlatego, że zaczęła wreszcie świadomie brać pod uwagę możliwość śmierci, czy dlatego, że po raz pierwszy od co najmniej czterech lat pomyślała o domku letniskowym nad jeziorem Dark Score i o tym, co się zdarzyło w dniu, gdy zgasło Słońce.

Pewnego razu o mało się nie wygadała na zebraniu kobiecej grupy terapeutycznej. Było to na początku lat siedemdziesiątych, a do uczestnictwa w sesjach namówiła ją koleżanka z pokoju w akademiku. Jessie chodziła na nie chętnie, przynajmniej jakiś czas; sprawiały wrażenie stosunkowo nieszkodliwych – po prostu kolejny akt zdumiewającego, barwnego karnawału, jakim były studia w college’u. Pierwsze dwa lata studiów, pełne szaleństw, wycieczek i rozrywek, wydawały się Jessie cudowne, zwłaszcza że rolę jej przewodniczki po owym świecie pełnił ktoś taki jak Ruth Neary; nieustraszona odwaga wydawała się wówczas czymś naturalnym, a sukces nieuniknionym. Żaden pokój w akademiku nie mógł się obejść bez plakatu Petera Maxa, a jeśli komuś znudzili się „Beatles” – zresztą nikomu się nie nudzili – słuchał „Hot Tunny” albo „MC5”. Wszystko wydawało się zbyt jaskrawe, nierzeczywiste niczym świat oglądany w stanie gorączki, która nie jest na tyle wysoka, by zagrażać życiu. W istocie rzeczy owe pierwsze dwa lata były czymś w rodzaju pijanego snu.

Pijany sen zakończył się na pierwszym spotkaniu kobiecej grupy terapeutycznej. Jessie odkryła tam upiorny szary świat, który zdawał się zapowiadać dorosłą przyszłość, należąca do lat osiemdziesiątych, a zarazem dawało się w nim słyszeć szepty o ponurych sekretach dzieciństwa, pogrzebanych żywcem w latach sześćdziesiątych... lecz bynajmniej nie martwych. W salonie plebanii w Neuworth zebrało się dwadzieścia kobiet: niektóre zajęły miejsca na starej kanapie, inne zerkały z cieni rzucanych przez uszy wielkich, pozarywanych foteli, większość siedziała po turecku na podłodze – nierówny krąg złożony z dwudziestu kobiet w wieku od dwudziestu do czterdziestu paru lat. Na początku sesji brały się za ręce i spędzały chwilę w milczeniu. Później Jessie słuchała upiornych opowieści o gwałtach, kazirodztwie, maltretowaniu fizycznym. Nigdy w życiu nie zapomni spokojnej, ładnej blondyneczki, która podciągnęła sweter, żeby pokazać stare blizny po oparzeniach papierosem na dolnej stronie piersi.

Dla Jessie Mahout skończył się wówczas karnawał. Skończył? Nie, niezupełnie. Było tak, jakby pozwolono jej zerknąć na moment poza fasadę karnawału i ujrzeć szare, puste jesienne pola, ujrzeć nie upiększoną prawdę: niedopałki, zużyte prezerwatywy oraz kilka śmiechu wartych dyplomów uznania leżących w wysokiej trawie i czekających, aż porwie je wiatr albo przysypie zimowy śnieg. Zobaczyła ten niemy, głupi, sterylny świat, ukryty za cienkimi płóciennymi dekoracjami, które oddziaływały go od rozjarzonych neonami ulic, zgiełku dyskotek, śmiejących się koleżanek, i ogarnęło ją przerażenie. Myśl, że w przyszłości czeka ją tylko to, tylko to i nic więcej, wydawała się makabryczna, podobnie jak nieznośna świadomość, iż przeszłość jest w istocie taka sama – niedoskonale ukryta za połatany, tandetnymi dekoracjami jej własnych zafałszowanych wspomnień.

Pokazawszy dolne części piersi, ładna blondyneczka obciągnęła sweter i wytłumaczyła, że nie mogła powiedzieć rodzicom, co jej zrobili przyjaciele brata podczas weekendu, gdy rodzice wyjechali do Montrealu, bo mogłoby wtedy wyjść na jaw, co robił z nią w ciągu ostatniego roku brat, a rodzice nigdy, przenigdy by w to nie uwierzyli.

Głos ładnej blondyneczki był równie spokojny jak twarz, a ton całkowicie racjonalny. Kiedy skończyła, zapadło przerażone milczenie – chwila gdy Jessie poczuła, że coś w niej pęka, gdy usłyszała sto widmowych głosów wewnętrznych krzyczących jednocześnie z nadzieją i trwogą – aż wreszcie odezwała się Ruth:

– Dlaczego nie mieliby ci uwierzyć?! – spytała ostro. – Jezu, Liv, przecież przypalali cię papierosami! Miałaś oparzenia, czyli mogłaś wszystko udowodnić! Dlaczego nie mieliby ci uwierzyć?! Nie kochali cię?!

– *Tak* – pomyślała Jessie. – *Tak, kochali, ale...*

– Tak – odpowiedziała blondyneczka. – Kochali mnie. Ciągle mnie kochają. Ale mój brat Barry był ich oczkiem w głowie.

Siedząc koło Ruth, podpierając czoło drżącą dłonią, Jessie szepnęła:

– A poza tym matka by tego nie przeżyła.

Ruth odwróciła się w jej stronę.

– Co ty... – zaczęła, a blondyneczka, ciągle nie płacząc, ciągle niesamowicie spokojna, rzekła:

– Poza tym gdyby matka się dowiedziała, nie przeżyłaby tego.

I wówczas Jessie poczuła, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, eksploduje jak bomba. Zerwała się z brzydkiego, masywnego fotela, o mało go nie przewracając, i wybiegła pędem z pokoju. Zdawała sobie sprawę, że wszyscy na nią patrzą, lecz nic jej to nie obchodziło. Ich myśli nie miały żadnego znaczenia. Ważne było to, że Słońce zgasło, samo Słońce, i gdyby się przyznała, tylko dobry Bóg mógłby sprawić, by jej nie uwierzono. Gdyby był akurat w złym nastroju, wszyscy by uwierzyli... i nawet jeśli matka przeżyła, rodzina rozleciałaby się na kawałki jak zgniły melon wysadzony w powietrze laską dynamitu.

Więc musiała wybiec z pokoju do kuchni i gdyby tylne drzwi nie okazały się zamknięte,

czmychnęłaby natychmiast na dwór. Ruth pobiegła za nią, wołając, żeby się zatrzymała: „Stój Jessie, stój!” Posłuchała, ale tylko dlatego, że te cholerne drzwi okazały się zamknięte. Dotknęła czołem zimnego, ciemnego szkła, zastanawiając się przez moment – tak, i to całkiem serio – czy nie przebić szyby głową i nie podciąć sobie gardła, byle tylko unicestwić tę okropną szarą wizję przyszłości i przeszłości, lecz w końcu po prostu się odwróciła i osunęła na podłogę, chwytając się za gołe nogi tuż pod minispódniczką, przyciskając czoło do podkulonych kolan i zamykając oczy. Ruth usiadła obok i objęła ją ramieniem, kołysząc do przodu i do tyłu, uspokajając jak dziecko, gładząc po włosach, zachęcając, by się tego pozbyła, by to z siebie wyrzuciła, by to wypłuła, by to wyrzygała.

Teraz, leżąc w domku letniskowym nad brzegiem jeziora Kashwakamak, Jessie zastanawiała się, co się stało z tą niezdolną do płaczu, niesamowicie spokojną blondyneczką, która opowiedziała o swoim bracie Barrym i jego kumplach – młodych ludziach uważających, że kobieta to po prostu układ biologiczny utrzymujący przy życiu cipę i że napiętnowanie rozżarzonym żelazem to w pełni sprawiedliwa kara dla dziewczyny, która mniej lub bardziej chętnie pieprzy się ze swoim bratem, lecz nie chce się pieprzyć z jego kumplami. Zastanawiała się też, co ona sama tak naprawdę powiedziała Ruth, gdy siedziały oparte plecami o zamknięte drzwi kuchni i obejmowały się ramionami. Jediną rzeczą, którą zapamiętała, były słowa: „Nie przypalał mnie, nie przypalał, nie zrobił mi krzywdy”. Ale musiało być tego więcej, bo pytania zadawane uparcie przez Ruth zmierzały wyraźnie do jednego: jeziora Dark Score i dnia, gdy zgasło Słońce.

W końcu opuściła Ruth, by nic jej nie powiedzieć... podobnie jak później opuściła Norę. Wzięła błyskawicznie nogi za pas – Jessie Mahout Burlingame, znana także jako Fenomenalna Imbirowa Dziewczyna, która przeżyła dzień, gdy zgasło Słońce, a teraz leżała przykuta kajdankami do łóżka i nie mogła już dłużej uciekać.

– Ratunku! – odezwała się do pustej sypialni. Od chwili, gdy przypomniała sobie tamtą drobną blondynkę z niesamowicie spokojną twarzą i głosem, ze starymi okrągłymi bliznami na ślicznych piersiach, nie była w stanie przestać o niej myśleć; rozumiała oczywiście, iż nie był to spokój, lecz fundamentalny dystans wobec straszliwej rzeczy, jaka jej się przytrafiła. Twarz blondynki zlała się w pewien sposób z jej własną twarzą, a gdy Jessie się odezwała, mówiła drżącym, pokornym głosem ateisty, któremu odebrano wszystko oprócz ostatniej desperackiej modlitwy. – Ratunku, błagam!...

Bóg nie odpowiedział, lecz odezwała się ta cząstka Jessie, która najwyraźniej potrafiła mówić tylko udając Ruth Neary. Głos brzmiał w tej chwili łagodnie... lecz nie budził wielkich nadziei.

Spróbuję, ale musisz mi pomóc. Wiem, że jesteś gotowa na ból fizyczny, ale czy także na bolesne myśli?... Co ty na to?

– Nie chcę myśleć – odrzekła drżącym głosem i przyszło jej do głowy, że mówi tonem Dobrej Żony Burlingame. – Chcę... cóż... uciec.

I musisz uciszyć w sobie Dobrą Żonę – ciągnęła Ruth. – To ważna część twojej osoby, Jessie, ważna część nas wszystkich, ale za długo już się szarogęsi i nigdy nie poradzi sobie z tą sytuacją. Zgadzasz się ze mną?

Jessie nie chciała się sprzeczać na ten temat. Była zbyt zmęczona. W miarę, jak zbliżał się zachód słońca, światło wpadające przez okno stawało się stopniowo coraz bardziej czerwone i gorące. Szumiał wiatr, a na werandzie od strony jeziora szeleściły liście; weranda była teraz pusta, bo wszystkie meble złożono na przechowanie w dużym pokoju. Szumiały sosny, tylne drzwi uderzały o framugę, pies ucichł, ale zaraz znów zaczął ciamkać, mlaskać i żuć.

– Tak mi się chce pić – rzekła ponuro Jessie.

W porządku, od tego powinniśmy zacząć.

Jessie obróciła głowę w drugą stronę, aż poczuła na lewej stronie szyi ostatnie ciepłe promienie słońca, a wilgotne włosy opadły jej na policzek. Wreszcie otworzyła oczy. Zorientowała się, że patrzy prosto na szklankę wody Geralda, a z jej gardła wyrwał się natychmiast suchy, rozkazujący okrzyk.

Najpierw musisz zapomnieć o psie – powiedziała Ruth. – Pies je, żeby żyć, a ty musisz pić, żeby żyć.

– Nie wiem, czy potrafię zapomnieć – odparła Jessie.

Chyba tak, kochanie, jestem tego pewna. Skoro potrafisz zapomnieć o tym, co się zdarzyło, gdy zgasło Słońce, potrafisz zapomnieć o wszystkim.

Przez chwilę prawie sobie przypomniała i zrozumiała, że tak, może to zrobić, jeśli zechce. Tajemnica tego dnia nigdy nie utonęła w jej podświadomości, jak to się działo z takimi sekretami w serialach telewizyjnych i melodramatach, w najlepszym razie Jessie pochowała ją w płytkim grobie. Była to swego rodzaju wybiórcza amnezja, zależna całkowicie od woli. Gdyby Jessie chciała sobie przypomnieć, co się zdarzyło w dniu, gdy zgasło Słońce, to nic nie stało na przeszkodzie.

I nagle, jak na zawołanie, Jessie ujrzała oczyma duszy przeraźliwie wyrazistą wizję: dłoni odziana w rękawicę kuchenną obraca w kopających płomieniach niewielkiego ogniska szklaną szybkę trzymaną szczypcami do serwowania pieczeni.

Zesztywniała na łóżku i siłą woli odepchnęła od siebie ten obraz.

Postawmy sprawę jasno – pomyślała. Miała wrażenie, że mówi do głosu Ruth, lecz nie była tego zupełnie pewna, nie była już pewna niczego. – Nie chcę pamiętać, rozumiesz? Wydarzenia tamtego dnia nie mają żadnego związku z dniem dzisiejszym. To dwie różne rzeczy. Zbieżności są tylko pozorne: dwa jeziora, dwa domki letniskowe, dwa przypadki...

...sekrety-cisza-ból-krzywda...

erotycznego oszustwa, ale wspomnianie tego, co się zdarzyło w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku nie pomoże mi w tej chwili, tylko przysporzy nowych cierpień. Więc dajmy już spokój temu tematowi, dobrze? Zapomnijmy o jeziorze Dark Score.

– Co mówisz, Ruth? – spytała cicho Jessie, a jej wzrok spoczął na batikowym motyłu po

przeciwniej stronie sypialni. Na chwilę stanął jej przed oczami inny obraz – mała dziewczynka, czyjaś słodka Kruszyna, czująca słodki aromat wody po goleniu i patrząca w niebo przez zakopconą szybkę – po czym natychmiast litościwie zniknął.

Spoglądała jeszcze przez chwilę na motyla, chcąc się przekonać, że stare wspomnienia naprawdę ją opuściły, a później popatrzyła z powrotem na szklankę wody Geralda. Nie do wiary, ale na wierzchu pływało ciągle kilka kostek lodu, choć w ciemniejszym pokoju utrzymywało się jeszcze ciepło popołudnia.

Jessie pozwoliła spojrzeniu osunąć się po szklance, pochłaniając wzrokiem chłodne kropelki wody na jej powierzchni. Nie widziała podstawki, bo zasłaniała ją półka, lecz nie musiała jej widzieć, by wyobrazić sobie ciemne, rozszerzające się kręgi wilgoci zbierające się u podstawy, gdy kropelki płynu ściekały po szkle i tworzyły na dole niewielkie jezioro.

Jessie wysunęła czubek języka i oblizła górną wargę, lecz pozostała ona sucha.

– Chcę pić! – wrzasnął przerażony, rozkazujący głosik małej dziewczynki, czyjejś słodkiej Kruszyny. – Chcę pić, i to zaraz!

Ale Jessie nie mogła dosięgnąć szklanki. Był to czysto klasyczny przypadek, gdy coś jest blisko, a zarazem za daleko.

Nie dawaj tak łatwo za wygraną – rzekła Ruth – skoro potrafiłaś walnąć popielniczką tego przekłętego psa, może zdołasz również napić się ze szklanki. Może ci się uda.

Jessie znów uniosła prawą rękę, wyciągając ją tak daleko, jak tylko pozwalało bolące ramię, lecz wciąż brakowało jakichś sześciu centymetrów. Przełknęła ślinę i skrzywiła się, bo gardło miała suche jak pieprz.

– Widzisz? – spytała. – Jesteś zadowolona?

Ruth nie odpowiedziała, zrobiła to za nią Dobra Żona. W głowie Jessie rozległ się jej cichy, wręcz pokorny głos:

Ruth mówiła o napiciu się ze szklanki, a nie o jej dosięgnięciu. Może... może to nie to samo? – Roześmiała się z zażenowaniem, jakby ogarnął ją wstyd, że się w ogóle odezwała, a Jessie znów się zdziwiła; człowiek może słyszeć jakąś cząstkę własnej osobowości śmiejącą się jak zupełnie odrębna osoba.

Gdyby tych cholernych głosów było więcej, mogłybyśmy urządzić turniej brydżowy – pomyślała.

Patrzyła na szklankę jeszcze przez chwilę, po czym opadła z powrotem na poduszki, by obejrzeć dół półki. Nie była ona przytwierdzona do ściany, spoczywała na czterech metalowych wspornikach w kształcie odwróconej litery L. Leżała na nich swobodnie, również nie przymocowana – Jessie nie miała co do tego wątpliwości. Pamiętała, jak rozmawiając raz przez telefon Gerald oparł się o nią z roztargnieniem, a jej przeciwległy koniec uniósł się natychmiast do góry i gdyby Gerald nie zabrał łokcia, półka fiknęłaby kozła jak klaun w cyrku.

Myśl o telefonie rozproszyła ją na moment, lecz tylko na moment. Aparat stał na niskim

stoliku koło wschodniego okna, z którego widać było w całej okazałości mercedesa zaparkowanego na podjeździe – w obecnej sytuacji równie dobrze mógł się znajdować na innej planecie. Jessie spojrzała z powrotem na dolną stronę półki, najpierw na samą deskę, a później na wsporniki w kształcie odwróconej litery L.

Kiedy Gerald oparł się o jeden koniec, drugi się uniósł. Gdyby uniosła półkę po stronie Geralda, szklanka z wodą...

– Mogłaby się zsunąć – stwierdziła ochryplym, zadumany głosem. – Mogłaby się zsunąć do mojego końca. – Oczywiście szklanka mogłaby się ześlizgnąć radośnie dalej i spaść na podłogę albo zawadzić o jakąś niewidoczną przeszkodę i przewrócić przed znalezieniem się w zasięgu ręki Jessie, ale przecież i tak warto spróbować, prawda?

Jasne, że warto – pomyślała. – *Cóż, wolałabym polecieć swoim prywatnym odrzutowcem do Nowego Jorku, by zjeść kolację w Four Seasons i przetańczyć całą noc w Bridland, ale po śmierci Geralda byłoby to chyba trochę niestosowne. A skoro nie mam pod ręką żadnej dobrej książki (złej zresztą też), myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie, abym mogła się zająć szklanką.*

W porządku, tylko jak się do tego zabrać?

– Bądź bardzo ostrożna – rzekła na głos. – To najważniejsze.

Podciągnęła się do góry, wykorzystując kajdanki, i dokładnie przyjrzała się szklance. Nie widziała powierzchni półki, co wydało jej się sporą niedogodnością. Miała całkiem niezłe pojęcie, co leży po jej strome, lecz nie mogła tego niestety powiedzieć o stronie Geralda i ziemi niczyjej pośrodku. Naturalnie nic w tym dziwnego, bo któż oprócz człowieka obdarzonego fotograficzną pamięcią byłby w stanie wymienić wszystkie przedmioty leżące na półce w sypialni? Kto by przypuścił, że może to mieć jakiegokolwiek znaczenie?

Cóż, teraz ma znaczenie. Żyję w świecie, którego proporcje się zmieniły, wszystko jest wyolbrzymione.

O tak. W tym świecie bezański pies był potworniejszy niż Freddy Krueger, telefon znajdował się w Strefie Mroku, a wytęsknioną oazą na pustyni, celem posiwiatyłych w bojach weteranów Legii Cudzoziemskiej, bohaterów setek powieści przygodowych, była szklanka wody z kilkoma ostatnimi kawałeczkami lodu pływającymi na powierzchni. W tym nowym świecie półka w sypialni zmieniała się w szlak żeglugowy równie ważny jak Kanał Panamski, a tania powieść sensacyjna leżąca w złym miejscu mogła się stać śmiertcioną barierą nie do pokonania.

Nie sądzisz, że trochę przesadzasz? – pomyślała z niepokojem, lecz tak naprawdę nie przesadzała. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach operacja zdjęcia szklanki była dość ryzykowna, a jeśli na pasie startowym leżały jakieś śmieci, Jessie nie miała żadnych szans. Cienki kryminał Agathy Christie albo jedna z powieści z cyklu „Star Trek”, które Gerald wyrzucał po przeczytaniu jak zużyte serwetki, nie byłyby widoczne z dołu, lecz z pewnością zatrzymałaby lub przewróciła szklankę z wodą. Nie, Jessie nie przesadzała. Proporcje tego świata naprawdę się zmieniły, i to do tego stopnia, że przypomniała sobie film

fantastyczny, którego bohater jął się kurczyć, aż stał się tak mały, że zamieszkał w domku dla lalek córki i dygotał ze strachu na myśl o spotkaniu z kotem. Musiała się czym prędzej nauczyć nowych reguł... nauczyć się żyć w zgodzie z nimi.

Nie trać odwagi, Jessie – szepnął głos Ruth.

– Nie martw się – odpowiedziała. – Spróbuję, naprawdę spróbuję. Ale czasami dobrze wiedzieć, co się ma przeciwko sobie. Może to zdecydować o sukcesie lub porażce.

Wykręciła prawy nadgarstek od siebie, wyciągając go najdalej, jak mogła, po czym uniosła ramię. W tej pozycji wyglądała trochę jak schematyczne wyobrażenie kobiety na egipskich płaskorzeźbach. Znów zaczęła macać palcami po półce, sprawdzając, czy nie ma przeszkód na powierzchni, po której chciała przesunąć szklankę.

Natrafiła na niewielki arkusz grubego papieru i międlila go przez chwilę, zastanawiając się, co to takiego. Najpierw myślała, że to kartka z bloku notesowego walającego się zwykle koło telefonu, lecz papier wydawał się nieco za gruby. Nagle jej wzrok padł przypadkowo na tygodnik – „Time” albo „Newsweek”, Gerald kupował obydwie – leżący na stoliku stroną tytułową do dołu. Przypomniała sobie, że wertował go szybko, zdejmując skarpetki i rozpinając koszulę. Arkusz papieru na półce musiał być jedną z owych irytujących kart subskrypcyjnych, które wszywano nagminnie do czasopism. Gerald używał ich często jako zakładek do książek. Mogło to być coś innego, lecz Jessie doszła do wniosku, że tak czy owak nie ma to żadnego znaczenia. Na półce nie leżało nic więcej, przynajmniej w zasięgu jej wyciągniętych palców.

– W porządku – stwierdziła. Słyszała głośnie bicie własnego serca. Jakiś sadystyczny pirat radiowy ukryty w jej umyśle usiłował transmitować obraz szklanki roztrzaskującej się o podłogę, lecz Jessie natychmiast wyrzuciła go z wyobraźni. – Spokojnie, spokojnie... Tylko spokój może nas uratować... mam nadzieję.

Trzymając prawą rękę w poprzedniej pozycji, choć przekręcanie nadgarstka od siebie było stosunkowo trudne i bolało jak cholera, uniosła lewą dłoń (*dłoń, którą rzuciłam popielniczkę* – pomyślała z ponurą satysfakcją) i chwyciła półkę w pewnej odległości od ostatniego wspornika po swojej stronie łóżka.

Zobaczmy – pomyślała i pociągnęła lewą ręką w dół. Nic się nie stało. – *Chyba trzymam ją za blisko wspornika. To ten przekłęty łańcuszek od kajdanek. Nie mam dość luzu, by się wychylić dostatecznie daleko...*

Prawdopodobnie była to prawda, co nie zmieniało jednak faktu, że nie poruszyła półki lewą ręką. Musiała wyciągnąć palce jeszcze trochę dalej – naturalnie jeśli okaże się to możliwe – i mieć nadzieję, że się uda. Wszystko opierało się na prostych prawach fizyki, lecz tym razem rozstrzygały one między życiem a śmiercią. Ironia polegała na tym, że w każdej chwili mogła położyć dłoń na dolnej stronie półki i unieść ją. Wiązał się z tym jednak pewien drobny szkopuł – szklanka zsunęłaby się wówczas w niewłaściwym kierunku i zleciała na podłogę po stronie Geralda. Jeśli się nad tym głębiej zastanowić, cała sytuacja miała swoje

zabawne strony: było to coś w rodzaju skeczu komediowego z piekła rodem.

Nagle wiatr uciął i odgłosy z sieni wydały się niezwykle głośne.

– Smakuje ci, skurwysynu? – wrzasnęła Jessie. Ból szarpnął jej gardło, ale nie przestała krzyczeć, nie mogła. – Mam nadzieję, że tak, bo pierwszą rzeczą, jaką zrobię po uwolnieniu się z tych kajdanek, będzie rozwalenie ci łba!

Mocne słowa – pomyślała. – Bardzo mocne słowa jak na kobietę, która nawet nie pamięta, czy stara strzelba Geralda, należąca niegdyś do jego ojca, znajduje się tutaj czy na strychu domu w Portland.

Mimo to w mrocznym świecie za drzwiami sypialni zapadła na moment cisza. Zdawało się, że pies trzeźwo, poważnie rozważa jej groźbę.

Później ciamkanie i żucie rozległo się znowu.

Jessie poczuła ostrzegawcze zakłucie w prawym nadgarstku, lada chwila mógł chwycić ją skurcz. Powinna czym prędzej wziąć się do roboty – oczywiście pod warunkiem że da się cokolwiek zrobić.

Pochyliła się w lewo, wyciągnęła dłoń tak daleko, jak tylko pozwalał napięty łańcuszek, i znów ją naciskać półkę. Z początku nic się nie działo. Naciskała coraz mocniej, mrużąc oczy i opuszczając kąciki warg. Wyglądała jak dziewczynka, która ma przełknąć gorzkie lekarstwo. I zanim zdobyła się na największy wysiłek, do jakiego były zdolne zbolące mięśnie jej ręki, poczuła, że półka leciutko się przechyliła, co prawda tak minimalnie, że raczej intuicyjnie się tego domyśliła, niż to spostrzegła.

Pobożne życzenia, Jess – tylko ci się wydawało.

Nie. Była to może nadwrażliwość zmysłów wyczulonych przez trwożę, lecz nie pobożne życzenia.

Puściła półkę i leżała przez chwilę bez ruchu, oddychając powoli i pozwalając mięśniom odpocząć. Nie chciała, by w krytycznym momencie złapał ją kurcz, i bez tego miała już dość kłopotów. Kiedy doszła do wniosku, że jest gotowa, ujęła lewą dłonią mahoniowy słupek i przesunęła ją kilkakrotnie w górę i w dół, wycierając pot o drewno, aż zaczęło cicho poskrzypywać. Wreszcie znów wyciągnęła rękę i chwyciła półkę. Nadszedł właściwy moment.

Muszę być bardzo ostrożna. Półka drgnęła, nie ma co do tego wątpliwości, i jestem w stanie ją unieść, ale wprawienie szklanki w ruch będzie wymagało ogromnego wysiłku... to znaczy jeśli w ogóle potrafię to zrobić. W miarę wzrostu wysiłku będzie mi coraz trudniej kontrolować własne ruchy...

Święta prawda, lecz nie na tym polegał problem. Jessie nie wyczuwała punktu równowagi półki. Zupełnie. Ani trochę.

Przypomniała sobie, jak ongiś huśtała się z Maddy na placu zabaw na tyłach Gimnazjum Falmouth – pewnego lata wrócili wcześniej znad jeziora i Jessie miała wrażenie, że ona i jej siostra spędziły cały sierpień na oblażących z farby huśtawkach, ucząc się je równoważyć, aż

doszły w tym do prawdziwego mistrzostwa. Maddy, nieco cięższa, musiała tylko przesunąć się trochę ku środkowi. Spędzały na tych zabawach długie skwarne popołudnia. Wznosiły się i opadały, śpiewając piosenki i odnajdując punkty równowagi huśtawki z wręcz matematyczną precyzją; owe sękate, chropawe deski stojące rzędem na rozgrzanym placu zabaw wydawały się im niemalże żywymi stworzeniami. W tej chwili nie czuła pod palcami delikatnych ruchów świadczących o bliskości punktu równowagi. Pozostało jej tylko spróbować i mieć nadzieję, że się uda.

I cokolwiek mówi na ten temat Biblia, niechaj lewica nie zapomina, co czyni prawica. Lewą ręką rzuciłaś popielniczkę, Jessie, a prawą powinnaś złapać szklankę. Musisz ją chwycić na kilkucentymetrowym odcinku. Jeśli się zsunie dalej, równie dobrze może spaść na podłogę, znajdzie się znowu poza twoim zasięgiem.

Jessie z pewnością nie byłaby w stanie zapomnieć, co czyni jej prawa ręka – zanadto ją bolała. Jednakże pytanie, czy zdoła wykonać swój plan, pozostawało ciągle bez odpowiedzi. Stopniowo, równomiernie zaczęła naciskać półkę od dołu lewą dłońią. Do oka spłynęła jej szczypiąca kropelka potu i oślepią Jessie zatrzepotała powiekami. Kuchenne drzwi znów zaczęły uderzać o framugę, ale znajdowały się teraz w innym wszechświecie, podobnie jak telefon. Istniały tylko szklanka, półka i Jessie. W głębi duszy Jessie oczekiwała, że półka wywinie zwariowanego koziołka, a wszystko spadnie na podłogę, i usiłowała się przygotować psychicznie na możliwy zawód.

Będziesz się o to martwić później, dziubdziuniu. Tymczasem się nie rozprasaj. Chyba coś się dzieje.

Rzeczywiście, działo się. Poczwała delikatny ruch – gdzieś po stronie Geralda półka leciutko się uniosła. Tym razem Jessie zwiększyła nacisk, napinając mięśnie lewego ramienia, które zaczęło dygotać z wysiłku. Stęknęła kilkakrotnie, wyrzucając powietrze przez zaciśnięte wargi. Poczucie, że półka się unosi, narastało.

I nagle woda w szklance Geralda zakołysała się, a kawałki lodu zagrzechotały cicho o szkło. Prawy koniec półki wyraźnie się uniół, ale szklanka się nie poruszyła i Jessie przyszła do głowy okropna myśl: a jeśli woda skroplona na zewnętrznej powierzchni naczynia wsączyła się pod kartonową podstawkę? A jeśli podstawka przylepiła się do półki?

– Nie, wykluczone – szepnęła jednym tchem niczym zmęczone dziecko klepiące modlitwę. Nacisnęła półkę mocniej, wykorzystując całą siłę lewej ręki. Zbliżała się już do kresu swoich możliwości fizycznych. – Żeby się tylko nie przykleiła, błagam! BŁAGAM!!!

Półka po stronie Geralda unosiła się coraz wyżej, a jej koniec kołysał się dziko. Z części Jessie stoczyła się tubka różu marki „Max Factor” i wylądowała na podłodze blisko miejsca, gdzie spoczywała przedtem czaszka Geralda, nim pies nie odciągnął go od łóżka. I nagle Jessie przyszła do głowy nowa myśl – w istocie rzeczy nowa wersja rozwoju wydarzeń. Gdyby jeszcze bardziej nachyliła półkę, zsunęłaby się ona po prostu ze wsporników w kształcie odwróconej litery L niczym sanki zjeżdżające z ośnieżonego zbocza. Jessie błędnie

wyobrażała ją sobie jako huśtawkę. Nie była to huśtawka, nic nie podpierało jej w środku.

– Zsuwaj się, suko! – wrzasnęła zdyszczanym falsetem. Zapomniała o Geraldzie, zapomniała o pragnieniu, zapomniała o wszystkim oprócz szklanki, w tej chwili przechylonej pod tak ostrym kątem, iż woda prawie przelewała się przez krawędź, tak że Jessie nie rozumiała, dlaczego naczynie po prostu się nie przewróci. Jednakże nie przewracało się, stało ciągle tam, gdzie przedtem, jakby przyklejone do półki. – Zsuwaj się!

I nagle szklanka się zsunęła.

Jej płynny ruch był do tego stopnia różny od ponurych wizji Jessie, że z początku prawie nie rozumiała, co się dzieje. Dopiero później przyszło jej do głowy, że afera ze zsuwającą się szklanką stanowiła świetną ilustrację pożałowania godnego pesymizmu, który stał się jej drugą naturą, zawsze była podświadomie przygotowana na porażkę. Sukces zaś powodował, że otwierała usta ze zdziwienia.

Szybki, gładki zjazd szklanki po półce w stronę prawej ręki tak ją zdumiał, że o mało nie nacisnęła mocniej lewą, co prawie na pewno naruszyłoby chwiejną równowagę ostro nachylonej półki i spowodowało jej upadek na podłogę. Wreszcie palce dotknęły szkła i Jessie krzyknęła. Był to nieartykułowany, ekstatyczny krzyk kobiety, która wygrała główną nagrodę na loterii.

Półka zakołysała się, przesunęła i zamarła w bezruchu, jakby była obdarzona własnym szczątkowym umysłem i zastanawiała się, czy rzeczywiście chce spaść.

Masz niewiele czasu, dziubdziuniu! – ostrzegła Ruth. – *Złap tę cholerną szklankę, póki możesz!*

Jessie próbowała, lecz opuszki jej palców ześlizgnęły się po mokrym szkłe. Nie miała za co chwycić i nie mogła wyciągnąć palców dostatecznie daleko. Na rękę chlapnęła jej woda i Jessie wyczuła, że nawet jeśli półka wytrzyma, szklanka niedługo spadnie.

To tylko wyobraźnia, dziubdziuniu, zawsze ci się przecież wydawało, że biedna mała Kruszyna musi wszystko popsuć.

Nie było to dalekie od prawdy – z pewnością na tyle bliskie, by poczuć pewien niepokój – lecz tym razem Ruth nie trafiła dokładnie w sedno. Szklanka rzeczywiście mogła się lada chwila przewrócić, a Jessie zupełnie nie wiedziała, jak temu przeciwdziałać. Dlaczego miała takie krótkie, grube, brzydkie palce? Dlaczego?! Gdyby tylko potrafiła objąć nimi szklankę...

Przed oczami stanął jej koszmarny obraz z jakiejś reklamy telewizyjnej: uśmiechnięta kobieta z fryzurą z lat pięćdziesiątych, ubrana w parę niebieskich gumowych rękawic kuchennych. *Takie szorstkie, że można podnieść monetę!* – wołała uśmiechnięta kobieta. – *Szkoda, że ich nie masz, Kruszyno, Dobra Żono czy jak tam się zwiesz! Może chwyciłabyś tę zasraną szklankę, nim półka zleci na podłogę!...*

Jessie zdała sobie nagle sprawę, że uśmiechnięta, hałaśliwa kobieta w gumowych rękawiczkach to jej własna matka, i z gardła wyrwał jej się suchy szloch.

Nie poddawaj się, Jessie! – krzyknęła Ruth. – *Jeszcze nie! Jesteś blisko, przysięgam!*

Jessie wyteńczyła resztkę sił, ciągnąc w dół lewą część półki i modląc się bezładnie, by się nie zsunęła – jeszcze nie. *Błagam Cię, Boże, kimkolwiek jesteś, nie pozwól jej się zsunąć, nie teraz, jeszcze nie...*

Półka zsunęła się jednak... lecz tylko trochę. Później znów się zatrzymała, może zahaczywszy się o jeden ze wsporników. Szklanka wsunęła się głębiej w dłoń Jessie, gdy wtem – to już doprawdy szaleństwo! – ta cholerna szklanka też zaczęła mówić! Przypominało to nieco zaczepny monolog starego nowojorskiego taksówkarza, wiecznie skłóconego z całym światem: *Jezu, paniusiu, czego jeszcze chcesz?! Żeby mi wyrosło ucho?! Żebym się zmieniła w jakiś zasrany dzbanek?! Na prawą rękę Jessie pociekł nowy strumyczek wody. Szklanka za chwilę się przewróci, to nieuniknione. Jessie czuła już lodowaty potop zalewający jej plecy.*

– Nie!

Wyciągnęła prawe ramię jeszcze dalej, rozsunęła palce jeszcze szerzej i pozwoliła naczyniu wsunąć się nieco głębiej w rozchyloną rękę. Stalowe kółko wpijało jej się w grzbiet dłoni i czuła błyskawice bólu dolatujące aż do łokcia, lecz nie zważała na nie. Mięśnie lewego ramienia dygotały rozpaczliwie, drzenie zaś udzielało się przechylonej, niestabilnej półce. Na podłogę spadła kolejna tubka. Zabrzęczały ostatnie kostki lodu. Nad półką majaczył na ścianie cień szklanki. W ukośnych promieniach wieczornego słońca przypominał silos zbożowy przekrzywiony przez trąbę powietrzną.

Jeszcze trochę... jeszcze troszeczkę...

Nie ma żadnego troszeczkę!

Postaraj się, żeby było. Musisz się postarać!

Wyciągnęła prawą dłoń ciut dalej, niemalże zrywając sobie ścięgna, i poczuła, że szklanka zsuwa się odrobinę po półce. Znów zacisnęła palce, modląc się, by to wreszcie wystarczyło, bo tym razem nie mogło być już żadnego „jeszcze troszeczkę” – osiągnęła absolutny kres swoich możliwości. Prawie nie wystarczyło, ciągle czuła, jak wilgotne szkło usiłuje się wyslizgnąć. Szklanka stała się czymś w rodzaju żywej istoty, rozumnego bytu charakteryzującego się wrodzoną złośliwością. Postanowiła się przybliżać, a później oddalać, dopóki Jessie nie postrada zmysłów i nie zacznie bredzić w mrocznym pokoju, przykuta kajdankami do łóżka.

Tylko jej nie puść, Jessie – nie waż się jej puścić – nawet się nie waż puścić tej zasranej szklanki!...

I chociaż nie było już żadnego „jeszcze troszeczkę”, chociaż Jessie nie stać było na zwiększenie nacisku o kilka gramów ani na wyciągnięcie ręki o kilka milimetrów, zdobyła się jednak na dodatkowy wysiłek, obracając prawy nadgarstek odrobinę w lewo. I tym razem, gdy zacisnęła palce wokół szklanki, nie wyslizgnęła jej się ona z ręki.

Chyba cię mam. Nie na pewno, ale chyba. Chyba.

A może doszła już do punktu, gdzie górę wzięły pobożne życzenia? Nic jej to nie obchodziło. Chyba tak, chyba nie – nie miało to już żadnego znaczenia i w istocie poczuła

ulgę. Pewne było tylko jedno – nie mogła już dłużej podtrzymywać półki. Uniosła ją zaledwie o siedem czy dziesięć centymetrów, a miała wrażenie, że dźwiga na plecach cały dom. Było to jedynym pewnikiem.

Wszystko zależy od punktu widzenia... – pomyślała – i od głosów interpretujących rzeczywistość. To one są ważne. Głosy rozlegające się w twojej głowie.

Modląc się bez słów, by szklanka pozostała jej w dłoni, gdy półka przestanie ją podierać, Jessie cofnęła lewą rękę. Półka opadła z trzaskiem na wsporniki, przesuając się ukośnie o kilka centymetrów w lewo, a szklanka rzeczywiście pozostała w dłoni Jessie, która zobaczyła wreszcie podstawkę, przyklejoną do jej spodu.

Boże, żebym jej tylko nie upuściła! Żebym tylko nie...

Lewe ramię Jessie chwycił skurcz, szarpnęła się, uderzając plecami w zagłówek. Wykrzywiła boleśnie twarz, aż jej wargi stały się białą blizną, a oczy wężutkimi szparkami.

Poczekaj, to minie... minie...

Tak, oczywiście, że minie. Miała już w życiu dość skurczów, by to wiedzieć, lecz tymczasem bolało, o Boże, jak bolało! Gdyby mogła dotknąć palcami prawego bicepsa, wyczułaby, że jest twardy jak kamień; przypominałby worek wypełniony piaskiem i zaszyty niewidzialną nitką. Nie wyglądało to jednak wcale na skurcz – już raczej jakieś cholerne stężenie pośmiertne.

Nie, to po prostu skurcz, Jessie. Jak ten, który złapał cię wcześniej. Musisz przeczekać, to wszystko. Zaczekaj i na litość boską, nie upuść tej szklanki!

Czekała i po kilku wiecznościach mięśnie ręki zaczęły się rozluźniać, a ból ustępować. Jessie wydała z siebie długie, chrapliwe westchnienie ulgi i postanowiła napić się wreszcie wody.

Owszem, pij – odezwała się Dobra Żona – ale chyba zasłużyłaś na coś więcej niż zwykły orzeźwiający łyk, moja droga. Rozkoszuj się swoją nagrodą, ale rób to z godnością. Żadnego siorbania i chleptania!

Nigdy się nie zmienisz, Dobra Żonko – pomyślała Jessie, lecz uniosła szklankę ze spokojnym dostojeństwem gościa uczestniczącego w dworskim przyjęciu, ignorując gorzką suchość podniebienia i gardła. Dobrą Żonę łatwo dawało się sterroryzować i uciszyć – niekiedy wręcz sama się o to prosiła – jednakże godne zachowanie w tych okolicznościach (zwłaszcza w tych okolicznościach) nie było wcale takim złym pomysłem. Jessie natrudziła się, by zdobyć wodę; dlaczego nie rozkoszować się nią powoli, jak dobrze zasłużoną nagrodą? Pierwszy chłodny łyk zwilżający wysuszone wargi i język powinien mieć smak zwycięstwa... a po serii pechów, jakie ją spotkały... doprawdy, warto poczuć coś takiego.

Jęła unosić szklankę do ust, koncentrując wyobraźnię na wilgotnej słodocy, która była już tak blisko. Jej kubki smakowe skurczyły się wyczekująco, palce u nóg wygięły i czuła wściekłe pulsowanie żyły na szyi. Zauważyła, że stwardniały jej sutki, jakby była podniecona.

Sekrety kobiecego erotyzmu, o jakich nawet ci się nie śniło, Geraldzie – pomyślała. –

Przykuwasz mnie do łóżka i nic się nie dzieje. Ale na widok szklanki wody zmieniam się w rozszalałą nimfomankę.

Uśmiechnęła się, gdy wtem szklanka zatrzymała się raptownie o trzydzieści centymetrów od jej twarzy, a na udo chlusnęła zimna woda, wywołując gęsią skórę. Mimo to Jessie uśmiechała się dalej. Przez kilka pierwszych sekund czuła tylko głupkowate zdumienie i

...eee...

pustkę w głowie. Co się stało? Co się mogło stać?!

Wiesz, co – odpowiedział jeden z głosów z kosmosu. Mówił ze spokojną pewnością siebie, która napełniła Jessie przerażeniem. Owszem, w głębi duszy wiedziała, lecz nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Niektóre prawdy są po prostu zbyt okrutne, by je przyjąć. Zbyt okrutne i niesprawiedliwe.

Niestety, niektóre prawdy są również oczywiste. Kiedy Jessie spoglądała na szklankę, w jej przekrwionych, opuchniętych oczach zapłonęły trwoga i zrozumienie. Nie mogła się napić z powodu kajdanek. Ich łańcuszki były za krótkie. To właśnie była ta oczywistość, na którą zupełnie nie zwróciła uwagi.

Nagle przypomniała sobie wieczór, gdy George Bush zwyciężył w wyborach prezydenckich. Jessie i Geralda zaproszono tego dnia na ekskluzywne przyjęcie w restauracji na dachu hotelu Sonesta. Gościem honorowym był senator William Cohen, a tuż przed północą do uczestników przyjęcia miał przemówić za pośrednictwem telewizji kablowej sam prezydent-elekt. Gerald wynajął z tej okazji srebrzystą limuzynę, która podjechała pod dom punktualnie o siódmej, jednakże jeszcze dziesięć minut później Jessie wciąż siedziała na łóżku w swojej najlepszej czarnej sukni wieczorowej, grzebiąc w szkatułce z biżuterią, klnąc i szukając jednej z par złotych kolczyków. Zniecierpliwiony Gerald wsunął głowę do pokoju, by zobaczyć, co ją zatrzymuje, wysłuchał jej wyjaśnień z wyrazem twarzy mówiącym: „Dlaczego wy, baby, jesteście zawsze takie głupie?“, który doprowadzał Jessie do białej gorączki, po czym stwierdził, że nie jest pewien, ale wydaje mu się, iż Jessie nosi akurat owe kolczyki. Okazało się to niestety prawdą. Poczowała się nagle cholernie mała i głupia, a protekcyjny ton Geralda wydał jej się całkowicie usprawiedliwiony. Miała wówczas ochotę rzucić się na niego, chwycić jeden ze swoich uroczo kobiecych, lecz koszmarnie niewygodnych pantofelków na szpilkach i wybić mu te jego śliczne białe ząbki, leczone u dobrego dentysty. To, co wtedy czuła, było jednak niczym w porównaniu z jej obecnymi emocjami, choć w tej chwili to ona zasługiwała na wybicie zębów.

Wysunęła głowę jak najdalej do przodu, układając usta w ryjek. Znalazła się tak blisko szklanki, że widziała maciupęńkie bąbelki powietrza przylegające do na poły rozpuszczonych kawałków lodu i czuła mineralny zapach wody (tak jej się przynajmniej zdawało). Kiedy nie mogła już wyciągnąć szyi ani o milimetr dalej, jej wargi były ciągle oddalone o dobre dziesięć centymetrów od szklanki. Prawie mogła się napić, ale słowo „prawie”, jak mawiał Gerald (a zresztą także i ojciec Jessie), liczy się tylko przy podkuwaniu koni.

– Nie wierzę – usłyszała samą siebie mówiącą zdartym głosem, jakby przez całe życie piła szkocką i paliła Marlboro. – Po prostu nie wierzę.

Nagle obudził się w niej gniew i krzyknął głosem Ruth Neary, by cisnęła szklankę w głąb pokoju. Skoro Jessie nie może się z niej napić, powinna ją ukarać; skoro nie może zaspokoić pragnienia, może przynajmniej uzyskać satysfakcję, słysząc brzęk szkła rozbijającego się o ścianę.

Ścisnęła szklankę jeszcze mocniej, a stalowy łańcuszek rozluźnił się, gdy cofnęła rękę, by ją rzucić. niesprawiedliwość! Taka niesprawiedliwość!

Powstrzymał ją cichy, niepewny głosik Dobrej Żony Burlingame.

Może jest jakiś sposób, Jessie. Nie rezygnuj jeszcze – może znajdziesz jakiś sposób.

Ruth nie odpowiedziała, lecz trudno było nie spostrzec, iż przyjęła słowa Dobrej Żony z cyniczną niewiarą, ciężką jak ołów i gorzką jak piołun. Ruth w dalszym ciągu pragnęła, by Jessie roztrzaskała szklankę. Nora Callighan stwierdziłaby niewątpliwie, że Ruth jest bardzo sfrustrowana.

Nie zwracaj na nią uwagi – rzekła Dobra Żona. W jej głosie nie brzmiało zwykłe wahanie, raczej wręcz podniecenie. – Odstaw szklankę na półkę, Jessie!

I co dalej? – spytała Ruth. – Co dalej, O Wielka Biała Bogini, O Kapłanko Kompletów Pościelowych i Święta Patronko Firm Wysyłkowych?

Dobra Żona udzieliła odpowiedzi. Ruth umilkła, a Jessie i reszta głosów wewnętrznych zaczęły słuchać.

10

Odstawiła ostrożnie szklankę na półkę, pilnując, by nie wystawała znad krawędzi. Język miała w tej chwili suchy jak papier ścierny, a jej gardło wydawało się wręcz zakażone bakcylem pragnienia. Przypomniało jej się to, co czuła pod koniec jedenastego roku życia, gdy przez półtora miesiąca nie mogła chodzić do szkoły, bo złapała jednocześnie grypę i zapalenie oskrzeli. Podczas owej choroby budziła się po nocach z pełnych zamętu i zgiełku koszmarów, których nie pamiętała...

...ależ pamiętasz, Jessie, śniły ci się okopcone szybki, śniło ci się, że zgasło Słońce, śnił ci się mdły jabłkowy zapach kojarzący się z zapachem studni, śniły ci się jego ręce...

...złana potem, lecz zbyt słaba, by sięgnąć po dzbanek wody stojący na stoliku przy łóżku. Leżała, mokra od potu, pachnąca gorączką, z wargami suchymi jak pergamin, wśród fantomów krążących po pokoju, leżała i rozmyślała, że tak naprawdę nie dolega jej grypa, tylko pragnienie. Teraz, po tylu latach, czuła dokładnie to samo.

Usiłowała przypomnieć sobie ten okropny moment, gdy zrozumiała, że nie jest w stanie podnieść szklanki do ust. Wyobraziła sobie maciupęńkie bąbelki powietrza na topiącym się lodzie, czuła woń minerałów uwięzionych w ziemi głęboko pod powierzchnią jeziora. Obrazy te były równie szydercze jak swędzenie między łopatkami, gdzie nie mogła się podrapać.

Mimo to zmusiła się do zachowania spokoju. Ta jej cząstka, którą nazywała Dobrą Żoną Burlingame, twierdziła, że Jessie potrzebuje trochę odpoczynku – pomimo prześladowających ją szyderczych wyobrażeń i spieczonego gardła. Musi odczekać, aż uspokoi jej się serce, a mięśnie przestaną drżeć.

Na zewnątrz bladły ostatnie barwy zachodu i świat pokryła poważna, melancholijna szarość. Na pociemniałym jeziorze znów rozległ się przeszywający krzyk nura.

– Zaniknij dziób, panie nurze – odezwała się Jessie i zaśmiała krótko. Brzmiało to trochę niczym głupi dowcip.

W porządku, moja droga – rzekła Dobra Żona. – Chyba pora spróbować. Zanim zapadnie zmrok. Ale najpierw znów wytrzyj sobie dłonie.

Tym razem Jessie ujęła mahoniowe słupki obiema rękami i przesunęła je kilkakrotnie w górę i w dół, aż drewno zaczęło skrzypieć. Uniósła prawą dłoń i poruszyła palcami przed swoją twarzą. *Śmiali się, jak siadałam do pianina* – pomyślała. Później ostrożnie sięgnęła do

tyłu i jąła macać palcami po półce tuż koło szklanki. W pewnej chwili łańcuszek brzęknął o szkło i zamarła, czekając, aż szklanka się przewróci. Kiedy nic się nie stało, ostrożnie podjęła poszukiwania.

Prawie doszła do wniosku, że to, czego szuka, przesunęło się dalej po półce albo spadło na podłogę, gdy dotknęła wreszcie palcami rogu karty subskrypcyjnej. Ujęła ją między palec wskazujący a środkowy, uniosła ostrożnie, po czym przytrzymała kciukiem i przyjrzała jej się z ciekawością.

Wzdłuż górnej krawędzi liliowej karty namalowano korowód podchmielonych tancerzy, obsypanych konfetti i serpentynami. „Newsweek” proponował OGROMNE OSZCZĘDNOŚCI – głosił napis – a Jessie zapraszano, by przyłączyła się do korowodu. Dziennikarze „Newsweeka” relacjonowali na bieżąco światowe wydarzenia, przedstawiali kulisy wielkiej polityki i dostarczali najświeższych informacji ze świata sztuki, literatury i sportu. Chociaż nie mówiono tego wprost, z karty wynikało, że „Newsweek” pomógłby Jessie pojąć sens istnienia. A co najważniejsze, gromada cudownych wariatów z działu subskrypcji „Newsweeka” proponowała transakcję tak fantastycznie korzystną, że dostawało się zawrotu głowy; gdyby Jessie zaprenumerowała „Newsweeka” na trzy lata używszy TEJ KARTY, otrzymywałaby każdy numer za MNIEJ NIŻ POŁOWĘ CENY DETALICZNEJ! A czy pieniądze to jakiś problem? Skądże znowu! Rachunek nadejdzie później.

Ciekawe, czy mają specjalnych pracowników pomagających kobietom przykutym do łóżek? – zastanawiała się Jessie. – George Will, Jane Bryant Quinn albo inna napuszona stara nudziara mogłaby przewracać mi strony, w końcu w kajdankach jest to dość trudne.

Ale sarkazm nie był jedyną reakcją Jessie, ogarnęło ją również dziwne nerwowe zdumienie i nie mogła oderwać oczu od liliowej karty z motywem karnawału, z pustymi rubrykami na nazwisko i adres, z kwadracikami oznaczonymi DiCl, MC, Visa i AMEX.

Przeklinałam te cholerne karty przez całe życie, zwłaszcza schylając się i podnosząc je z podłogi, i nawet się nie domyślałam, że od jednej z nich może kiedyś zależeć stan mojej psychiki, a nawet życie.

Życie? Czyż to możliwe? Czy rzeczywiście powinna brać pod uwagę taką przerażającą ewentualność? Powoli i niechętnie dochodziła do wniosku, że jednak tak. Ktoś może ją uwolnić dopiero po kilku dniach i owszem, niewykluczone że o jej życiu lub śmierci rozstrzygnie w końcu łyk wody. Brzmiało to surrealistycznie, lecz nie wydawało się już zupełnie absurdalne.

Zachowaj się tak samo jak przedtem, moja droga, tylko spokój może nas uratować.

Tak... ale kto by uwierzył, że w takich koszmarnych okolicznościach można w ogóle zachować spokój?

Poruszała się jednak niezwykle ostrożnie i z ulgą spostrzegła, że manipulowanie kartą jedną ręką okazało się nie takie trudne, jak się obawiała. Częściowo dzięki temu, iż karta miała wymiary dziesięć na piętnaście centymetrów – przypominała rozmiarem dwie karty do

gry ułożone obok siebie – a ponadto dlatego, że Jessie nie robiła w istocie niczego wymagającego szczególnej uwagi.

Ujęła kartę palcem wskazującym i środkowym, po czym zagięła kciukiem na całej długości na szerokość jednego centymetra. Zagięcie nie było równe, ale powinno spełnić swoje zadanie. Poza tym nikt nie miał przecież oceniać pracy Jessie; epoka młodzieżowego kółka zainteresowań przy kościele metodystycznym w Falmouth, na które chodziła co czwartek wieczór, należała już dawno do przeszłości.

Ścisnęła mocno liliową kartę między palcami, po czym zagięła kolejny centymetr. Dojście do końca karty zajęło prawie trzy minuty, zrobiła w sumie siedem zgięć. Kiedy wreszcie skończyła, trzymała coś, co przypominało niezręcznie uformowany liliowy pasek papieru.

A przy odrobinie wyobraźni – rurkę.

Wsunęła ją do ust, usiłując chwycić nierówne brzegi zębami. Kiedy trzymała je już dostatecznie mocno, znów zaczęła szukać dłonią szklanki.

Ostrożnie, Jessie! Nie zepsuj wszystkiego przez niecierpliwość!

Dzięki za radę. A także za pomysł. Był świetny – naprawdę. Teraz jednak wolalabym, żebyś się zamknęła, dopóki się nie napiję, dobrze?

Dotknęła czubkami palców gładkiej powierzchni szkła i objęła naczynie z delikatnością i ostrożnością młodej kochanki wsuwającej po raz pierwszy rękę do rozporzka narzeczonego.

Chwycenie szklanki było w tej chwili stosunkowo proste. Jessie obróciła ją i uniosła na tyle, na ile pozwalał łańcuch. Zauważyła, że ostatnie kawałeczki lodu już się roztopiły; *tempus* radośnie *fugit*, choć miała wrażenie, że zatrzymał się w momencie pojawienia się psa. Ale nie chciała myśleć o psie. W istocie rzeczy czekało ją jeszcze mnóstwo pracy, by sobie wmówić, że w domku nie było nigdy żadnego psa.

Dobrze ci idzie to wmawianie sobie różnych rzeczy, prawda, dziubdziuniu?

Hej, Ruth, usiłuję panować nad sobą i trzymać jednocześnie tę przeklętą szklankę. Jeśli miałoby mi w tym pomóc wmówienie sobie czegoś, nie rozumiem, dlaczego miałabym tego nie robić. Po prostu zamknij się na chwilę, dobrze? Daj mi na chwilę spokój.

Jednakże Ruth najwyraźniej nie miała zamiaru dać Jessie spokoju.

Zamknij się?! – rzekła szyderczo. – O rany, to już naprawdę przypomina dawne czasy, jeszcze lepiej niż stare przeboje „Beach Boys” w radio. Zawsze kazałaś mi się zamykać, Jessie... Pamiętasz ten wieczór w akademiku, gdyśmy wróciły ze spotkania kobiecej grupy terapeutycznej w Neuworth?

Nie chcę go pamiętać, Ruth.

Jasne, że nie chcesz, więc ja będę pamiętać za nas obie, zgoda? Powtarzałaś, że wytrąciła cię z równowagi dziewczyna z bliznami na piersiach, tylko ona i nic więcej, a gdy próbowałam ci przypomnieć, co mówiłaś w kuchni – że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku, gdy zgasło Słońce i zostałaś sama z ojcem w waszym domku letniskowym nad

jeziorem Dark Score, to on coś ci zrobił – kazałaś mi się zamknąć. Kiedy nie chciałam się zamknąć, próbowałaś mnie uderzyć. Jak ciągle nie chciałam się zamknąć, chwyciłaś płaszcz, wybiegłaś z pokoju i spędziłaś noc poza akademikiem – prawdopodobnie nad rzeką, w domku Susie Timmel, który nazywałyśmy „Susie Lez. Hotel”. Jeszcze przed końcem tygodnia nawiązałaś kontakt z kilkoma dziewczynami, które wynajmowały mieszkanie w centrum miasta i szukały współlokatorki. Szast-prast, zniknęłaś jak dym... ale, cóż, zawsze robiłaś wszystko szybko, jak już się zdecydowałaś, Jessie, muszę ci to przyznać. I jak już powiedziałam, zawsze bez wahania mówiłaś innym, żeby się zamknęli.

Zamknij się...

No widzisz? A nie mówiłam?!

Zostaw mnie w spokoju!

Do tego też się przyzwyczaiłam. Wiesz, co najbardziej mnie zabolalo, Jessie? Nie twój brak zaufania – już wtedy wiedziałam, że to nic osobistego, że nie możesz nikomu zaufać, nawet sobie samej. Zabolalo mnie to, że przecież w kuchni plebanii Neuworth o mało mi wszystkiego nie powiedziałaś. Siedziałyśmy oparte plecami o drzwi, obejmowałyśmy się ramionami i wreszcie zaczęłaś o tym mówić. „Nie mogłam nic wyznać, bo mama by tego nie przeżyła, a nawet gdyby przeżyła, odeszłaby od niego, a ja go kochałam. Wszyscyśmy go kochali, wszyscyśmy go potrzebowali, oni zwaliliby winę na mnie, a przecież tak naprawdę nic nie zrobił”. Zapytałam, kto niczego nie zrobił, a odpowiedziałaś tak skwapliwie, jakbyś przez ostatnich dziewięć lat czekała na zadanie tego pytania. „Ojciec – rzekłaś. – W dniu, gdy zgasło Słońce, zostaliśmy nad jeziorem Dark Score”. I wydusiłabyś z siebie całą resztę – jestem tego pewna – ale właśnie wtedy weszła do kuchni ta głupia cipa i spytała: „Nic jej nie jest?”. Jakbyś dostała krwotoku z nosa czy czegoś w tym rodzaju. Jezu, czasami wprost trudno uwierzyć, jacy tępi bywają ludzie. Przydałaby się ustawa, że zanim człowiek będzie miał prawo otworzyć usta, musi zdać egzamin, a przynajmniej uzyskać tymczasowe zezwolenie. Dopóki nie zdobyłoby się takiego zezwolenia, powinno się być niemową. Rozwiązałoby to wiele problemów. Ale nie ma niestety takiej ustawy i gdy tylko do kuchni weszła ta idiotka, zamknęłaś się w sobie jak ostryga. Nic nie mogłam już z ciebie wydobyć, choć Bóg jeden wie, że próbowałam.

Szkoda, że nie zostawiłaś mnie w spokoju! – odparowała Jessie. Szklanka wody zaczęła dygotać jej w ręku, podobnie jak prowizoryczna rurka trzymana w zębach. – Nie powinnaś się wtrącać! To nie twoja sprawa!

Niekiedy przyjaciele nie mogą tak po prostu się nie wtrącać – odparł głos wewnętrzny, tak pełen dobroci, że Jessie umilkła. – Sprawdziłam twoją opowieść. Domyśliłam się, o czym mówisz, i sprawdziłam ją. Nie przypominałam sobie, żeby na początku lat sześćdziesiątych miało miejsce zaćmienie Słońca, ale oczywiście mieszkałam wówczas na Florydzie i interesowałam się wyłącznie pływaniem z rurką oddechową oraz ratownikiem z Delray; zadurzyłam się w nim po uszy... no więc, chyba chciałam się po prostu upewnić, że nie jest to

jakaś zwariowana fantazja – może wywołana przez dziewczynę z tymi okropnymi bliznami na cyckach. Ale nie była to fantazja. W stanie Maine rzeczywiście zdarzyło się całkowite zaćmienie Słońca, a wasz domek letniskowy nad jeziorem Dark Score znajdował się w strefie całkowitej ciemności. W lipcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku. Tylko tatuś i jego córunia, obserwujący razem zaćmienie. Nie chciałaś mi powiedzieć, co ci zrobił, ale wiem dwie rzeczy: że to twój ojciec, co jest złe, i że nie miałaś jeszcze jedenastu lat, czyli zbliżałaś się dopiero do okresu dojrzewania, co jest jeszcze gorsze.

Proszę cię, przestań, Ruth! Wybrałaś doprawdy najgorszy moment, żeby się babrać w tych starych...

Ale Ruth nie dała się uciszyć. Ruth, która mieszkała niegdyś z Jessie w jednym pokoju, nigdy nie pozwalała sobie przerwać, a teraz mieszkając w głowie Jessie najwyraźniej zupełnie się nie zmieniła.

Później, nim zdążyłam się zorientować, wyprowadziłaś się poza campus do trzech Sióstr Sisters – księżniczek szalowych fryzur i modnych dresów, z których każda miała niewątpliwie komplet majtek z wyhaftowanymi dniami tygodnia. Myślę, że podjęłaś świadomą decyzję, by zmienić się w zwykłą, grzeczną kurę domową. Wyrzuciłaś z pamięci tamten wieczór na plebanii w Neuworth, wyrzuciłaś z pamięci łzy, krzywdę i gniew, wyrzuciłaś z pamięci mnie. Och, ciągle widywałyśmy się od czasu do czasu – na pizzy i piwie w jakimś barze – ale nasza przyjaźń należała już do przeszłości, prawda? Kiedy musiałaś wybrać pomiędzy mną a tym, co ci się przytrafiło w czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku, wybrałaś zaćmienie Słońca.

Szklanka wody dygotała coraz mocniej.

– Dlaczego teraz, Ruth? – spytała, nie zdając sobie sprawy, że mówi na głos w ciemniejszej sypialni. – Dlaczego teraz, chcę wiedzieć, pod warunkiem że w tym wcieleniu jesteś rzeczywiście częścią mnie. Dlaczego teraz? Dlaczego dokładnie w chwili, gdy naprawdę nie powinnam się denerwować?

Najoczywistsza odpowiedź na owo pytanie była również najmniej przyjemna: bo w Jessie mieszkał wróg – smutna, zła suka, której podobało się to, że Jessie jest zakuta w kajdanki, obolała, spragniona, przerażona i nieszczęśliwa. Ktoś, kto nie chciał, by cokolwiek się poprawiło. Ktoś, kto nie zawahałby się przed użyciem najbardziej brudnych sztuczek, by tak się nie stało.

Całkowite zaćmienie Słońca trwało tamtego dnia zaledwie minutę, Jessie... ale dla ciebie jeszcze się nie skończyło. Dla ciebie ciągle trwa, prawda?

Jessie zamknęła oczy i ogromnym wysiłkiem woli skupiła całą uwagę na tym, by uspokoić szklankę trzymaną w ręku. Odezwała się w myślach do głosu Ruth, jakby naprawdę mówiła do innej osoby, a nie do części własnego umysłu, która jak określiłaby to Nora Callighan, nagle postanowiła zacząć funkcjonować na własną rękę.

Zostaw mnie w spokoju, Ruth. Jeśli zechcesz dyskutować o tych rzeczach po tym, jak się

napiję, nie mam nic przeciwko temu. Ale w tej chwili, gdybyś była tak łaskawa...

– ...zamknij się i odpij – dokończyła ledwie słyszalnym szeptem.

Tak – odpowiedziała natychmiast Ruth. – Wiem, że ciągle jest w tobie ktoś, kto usiłuje zabagnić całą sprawę, i wiem, że posługuje się niekiedy moim głosem... jest świetnym brzuchomówcą, nie wątpię, ale to naprawdę nie ja. Kochałam cię wtedy i Kocham cię teraz. Właśnie dlatego tak długo próbowałam nie tracić z tobą kontaktu... bo cię Kocham. A poza tym dlatego, że my, stare bezczelne cipy, powinniśmy trzymać się razem.

Jessie usiłowała się uśmiechnąć, ściskając w zębach prowizoryczną rurkę.

A teraz pij, Jessie, pij do syta.

Jessie odczekała chwilę, lecz kolejne słowa nie padły. Ruth zniknęła, przynajmniej na razie. Wobec tego Jessie znów otworzyła oczy, po czym pochyliła powoli głowę do przodu – zrolowana karta subskrypcyjna wystawała jej z ust jak cygarniczka.

Proszę, Boże, błagam, niech się uda!...

Prowizoryczna rurka wsunęła się do wody. Jessie zamknęła oczy i zaczęła ssać. Przez chwilę nic się nie działo i ogarnęła ją czysta rozpacz. Później jej usta wypełniły się wodą, zimną i słodką, a Jessie poczuła przyływ ekstazy. Gdyby nie zaciskała mocno warg wokół jednego z końców zwiniętej karty subskrypcyjnej, rozsłochałaby się z wdzięczności, ale była w stanie wydać z siebie tylko ciche jęknięcie przez nos.

Przełknęła rozkosznie orzeźwiająca wodę, czując, jak spływa do jej spieczonego gardła, i znów zaczęła ssać. Robiła to z zapalem, bezmyślnie i łapczywie, niczym głodny wilczek, który dorwał się do sutka matki. Nieszczęlna rurka pozwalała pić tylko niewielkimi łyčzkami, nie zaś ciągłym strumieniem, a większość wody wyciekała przez szpary na złączach papieru. W głębi duszy Jessie zdawała sobie z tego sprawę i słyszała kropelki padające na prześcieradło, lecz mimo to wciąż uważała swoją rurkę za jeden z największych wynalazków wymyślonych kiedykolwiek przez kobietę; miała wrażenie, że akt wypicia wody ze szklanki martwego męża stanowi apogeum jej życia.

Nie wypijaj wszystkiego, Jess, zostaw trochę na później.

Nie wiedziała, który z towarzyszących jej fantomów odezwał się tym razem i nie miało to żadnego znaczenia. Rada była doskonała, równie dobra jak poradzenie osiemnastolatki, który od pół roku pieści się z dziewczyną w samochodzie i któremu owa dziewczyna wreszcie zdecydowała się oddać, by odłożył sprawę na później z powodu braku prezerwatywy, Jessie odkrywała właśnie, że niekiedy nie słucha się rad rozumu, choćby były nie wiadomo jak dobre. Niekiedy ciało najzwyczajniej w świecie się buntuje i odrzuca wszystkie dobre rady. Odkrywała również coś innego – że zaspokajanie prostych potrzeb fizycznych może być źródłem nieopisanej rozkoszy.

Ssała wodę przez zwiniętą kartę subskrypcyjną, przechylając szklankę, by powierzchnia płynu znajdowała się ponad nasiąkniętym, zdeformowanym końcem prowizorycznej rurki, i zdawała sobie w głębi duszy sprawę, że karta coraz bardziej przecieka i najrozsądniej byłoby

zaczekać, aż z powrotem wyschnie. Wiedziała, że popełnia szaleństwo, lecz mimo to ciągle piła.

W końcu przestała ssać, spostrzegłszy, że wciąga tylko powietrze; trwało to kilka długich sekund. Na dnie szklanki pozostało trochę wody, ale czubek prowizorycznej rurki już jej nie dotykał. Całe prześcieradło było pokryte wilgotnymi plamami.

Mimo to zdołałabym wypić resztę. Na pewno. Mogłabym obrócić dłoń nieco do tyłu, tak jak wtedy, gdy sięgałam po szklankę, i pochylić głowę trochę bardziej do przodu. Myślisz, że dałabym radę? Na pewno.

Święcie w to wierzyła i miała się jeszcze o tym przekonać, ale w tej chwili dyrektorzy kierujący fabryką z najwyższego piętra wieżowca – ludzie odpowiedzialni i rozsądni – znów odebrali władzę robotnikom i majstrom obsługującym maszyny, bunt został stłumiony. W dalszym ciągu dręczyło ją pragnienie, ale gardło nie paliło jej już i czuła się znacznie lepiej... pod względem umysłowym i fizycznym. Pojaśniało jej w głowie i była nastrojona bardziej optymistycznie.

Była zadowolona, że pozostawiła w szklance trochę wody.

Dwa łyki przez dziurawą rurkę prawdopodobnie nic nie zmieniają – nie pozwolą wymyślić sposobu, by samodzielnie uwolnić się z kajdanek, a już na pewno nie rozstrzygną między życiem a śmiercią – lecz znalezienie sposobu na wypicie owych ostatnich dwóch łyków mogłoby zająć umysł Jessie, gdyby znów zaczęła, ogarniać ją panika. W końcu zbliżała się noc, Gerald leżał martwy na podłodze i wyglądało na to, że Jessie pozostanie tu do rana.

Niezbyt przyjemna perspektywa, zwłaszcza gdy dodać do niej wygłodniałego bepańskiego psa, ale mimo to Jessie stawiała się coraz bardziej senna. Zastanawiała się, dlaczego powinna walczyć ze snem, i nie potrafiła wymyślić żadnych naprawdę sensownych powodów. Nawet to, że mogłaby się zbudzić z ramionami zdrętwiałymi do łokci, nie wydawało się szczególnie groźne. Po prostu będzie nimi poruszać dotąd, aż krew zacznie z powrotem krążyć. Nic przyjemnego, lecz nie miała wątpliwości, że potrafi to zrobić.

Poza tym podczas snu może ci wpaść do głowy jakiś pomysł, kochana – rzekła Dobra Żona Burlingame. – Tak się zawsze dzieje w książkach.

– Może ty wpadniesz na jakiś pomysł – odparła Jessie. – W końcu jak na razie to ty jesteś autorką najlepszego pomysłu.

Położyła się i przesunęła poduszkę łopatkami jak najbliżej szczytu łóżka. Bolały ją ramiona i barki, a mięśnie jej brzucha ciągle dygotały po wysiłku związanym z pochylaniem się do przodu w trakcie picia rurką... ale tak czy owak czuła się dziwnie zadowolona. Ogarnął ją spokój.

Zadowolona? Jak możesz się czuć zadowolona? Przecież twój mąż nie żyje, a ty się do tego przyczyniłaś, Jessie. Przypuśćmy, że ktoś cię odnajdzie i zostaniesz uratowana. Czy zastanawiałaś się nad tym, co się wówczas stanie? Co według ciebie pomyśli sobie na przykład policjant Teagarden? Jak długo potrwa, nim dojdzie do wniosku, że powinien

weszać policję stanową? Pół minuty? Czterdzieści sekund? Tu na prowincji ludzie myślą trochę wolniej, więc może zajmie mu to aż dwie minuty.

Jessie nie mogła temu zaprzeczyć. Była to prawda.

Wobec tego jak możesz być zadowolona, Jessie? Jak możesz być zadowolona, gdy wisi nad tobą coś takiego?

Nie wiedziała, a jednak czuła się zadowolona. Ogarnął ją głęboki spokój, wręcz błogostan, jakby była dzieckiem leżącym pod ciepłą puchową pierzyną w lodowaty marcowy poranek, gdy na dworze szaleje wichura niosąca deszcz ze śniegiem. Podejrzewała zresztą, że owo uczucie wzięło się z powodów czysto fizycznych; jeśli człowiek jest dostatecznie spragniony, pół szklanki wody może działać jak narkotyk.

Ale był także inny aspekt jej doznań, psychiczny. Dziesięć lat temu zrezygnowała po długich wahaniach z pracy w charakterze nauczycielki, w końcu kapitulując przed upartą (a może należałoby raczej powiedzieć „nieubłaganą”?) logiką Geralda. Zarabiał on wówczas blisko sto tysięcy dolarów rocznie i w porównaniu z jego dochodami sześć czy siedem tysięcy Jessie prezentowało się dość mizernie. A w okresie składania zeznań podatkowych stawało się wręcz kłopotliwe, gdyż urząd skarbowy zabierał większość jej pensji, a ponadto analizował z dręczącą skrupulatnością rachunki, usiłując się doszukać jakichś nieprawidłowości.

Kiedy Jessie poskarżyła się, że inspektorzy podatkowi są tacy podejrzliwi, Gerald popatrzył na nią z mieszaniną miłości i politowania. Nie było to jeszcze spojrzenie z gatunku: „Dlaczego wy, baby, jesteście zawsze takie głupie?” – zaczęło się ono pojawiać regularnie dopiero w pięć czy sześć lat później – lecz wykazywało już pewne podobieństwo. „Wiedzą, ile zarabiam – odparł. – Widzą w garażu dwie niemieckie limuzyny, patrzą na fotografie domku letniskowego nad jeziorem, a później przeglądają twoje zeznanie podatkowe i okazuje się, że pracujesz za marne grosze. Trudno im w to uwierzyć, podejrzewają, że to fikcja, przykrywka dla innych, prawdziwych źródeł dochodów i wobec tego zaczynają węszyć, próbując je wykryć. Nie znają cię tak dobrze jak ja, to wszystko”.

Jessie nie potrafiła wytłumaczyć Geraldowi, ile znaczy dla niej praca w szkole... a może po prostu mąż nie miał ochoty słuchać? Tak czy owak, uczenie, nawet na pół etatu, dawało jej mnóstwo satysfakcji, Gerald zaś tego nie rozumiał. Nie pojmował również, że praca w szkole stanowi swoisty pomost między teraźniejszością a epoką poprzedzającą poznanie go na przyjęciu wydanym przez Partię Republikańską, gdy Jessie uczyła na pełnym etacie angielskiego w gimnazjum w Waterville, gdy była kobietą zarabiającą samodzielnie na życie, lubianą i szanowaną przez kolegów, całkowicie niezależną. Nie potrafiła wytłumaczyć (albo Gerald nie chciał słuchać), dlaczego rezygnacja z pracy – nawet na pół etatu – spowodowała, że poczuła się przygnębiona, zagubiona i w jakiś sposób bezużyteczna.

Przykra świadomość, że jest statkiem bez steru – prawdopodobnie wywołana niemożnością zajścia w ciążę i decyzją niepodpisywania nowej umowy o pracę – opuściła ją

ostatecznie dopiero po roku, niemniej Jessie nigdy nie przestała boleć nad tym w głębi serca. Niekiedy wydawała się sama sobie banalna – młoda nauczycielka wychodząca za mąż za świetnie się zapowiadającego adwokata, który w wieku trzydziestu lat zostaje współnikiem dobrze prosperującej kancelarii. Owa młoda (cóż, stosunkowo młoda) kobieta wkracza w końcu do przedsiionka pałacu tajemnic zwanego wiekiem średnim, rozgląda się i spostrzega, że została nagle zupełnie sama – ani pracy, ani dzieci, tylko mąż, prawie całkowicie skoncentrowany (Jessie nie chciała nazywać tego fiksacją; byłoby to ściślej, lecz niezbyt miłe) na wspinaniu się po drabinie kariery.

Kobieta ta, zbliżająca się z wolna do czterdziestki, z łatwością mogła się uzależnić od alkoholu lub narkotyków albo nawiązać romans z innym mężczyzną. Zwykle młodszym mężczyzną. Nic takiego nie przytrafiło się tej młodej (cóż... niegdyś młodej) kobiecie, lecz Jessie miała ciągle przerażająco dużo czasu do wypełnienia – czasu na pracę w ogrodzie, czasu na sprawunki, czasu na uczestnictwo w kursach (malarstwa, ceramiki, poezji... i mogła nawiązać romans z wykładowcą poezji – gdyby chciała, a prawie chciała). Dysponowała także czasem, by popracować nieco nad sobą, i właśnie dzięki temu poznała Norę. Mimo to po żadnym z owych zajęć nie czuła się tak wspaniale jak teraz, znużenie i ból sprawiały jej dziką satysfakcję, a senność wydawała się zasłużoną nagrodą... Niewątpliwie osiągnęła szczyty rozkoszy, jakiej może doznać kobieta przykuta kajdankami do łóżka.

Hej, Jess! Wspaniale się spisałaś!

Był to kolejny głos z kosmosu, lecz tym razem Jessie nie miała nic przeciwko niemu. Przynajmniej dopóki Ruth się nie odzywała. Ruth mówiła ciekawie, lecz słuchanie jej było bardzo męczące.

Wielu ludzi nigdy by nie dosięgło tej szklanki – ciągnął przymilny głos z kosmosu – a wykorzystanie karty subskrypcyjnej jako rurki... to było mistrzowskie posunięcie. Wobec tego powinnaś sobie pozwolić na trochę optymizmu. To ci wolno. Wolno ci także trochę się zdrzemnąć.

A co z psem! – spytała z powątpiewaniem Dobra Żona.

Pies nie będzie zawracał ci głowy... sama wiesz dlaczego.

Tak. Przyczyna, dla której pies nie miał zawracać Jessie głowy, leżała nie opodal na podłodze sypialni. Gerald był w tej chwili tylko cieniem pośród cieni, a Jessie przyjmowała to z ulgą. Na zewnątrz znów zerwał się wiatr. Jego szum w koronach sosen był kojący, usypiający. Jessie zamknęła oczy.

Ale uważaj, co ci się śni! – zawołała Dobra Żona Burlingame, nagle zaniepokojona. I choć jej głos był odległy i niezbyt natarczywy, to jednak upierała się przy swoim: – *Uważaj, co ci się śni, Jessie! Mówię poważnie!*

Tak, naturalnie, że mówiła serio. Dobra Żona zawsze mówiła serio i dlatego była często straszliwie nużąca.

Cokolwiek mi się przysni, nie przysni mi się, że chcę pić – pomyślała Jessie. – *W ciągu*

ostatnich dziesięciu lat nie odniosłam wielu zwycięstw – toczyłam posępną wojnę partyzancką – ale osiągnięcie tej szklanki było autentycznym zwycięstwem, prawda!

Tak – zgodził się głos z kosmosu. Miał on w sobie coś męskiego i Jessie zastanawiała się sennie, czy nie należy przypadkiem do jej brata Willa... Willa jako chłopca, jeszcze w latach sześćdziesiątych. – Na pewno tak. Byłaś wspaniała.

W pięć minut później zapadła w głęboki sen, z rozpostartymi ramionami przykutymi do łóżka i z głową opartą o prawy bark (mniej bolesny), a z jej ust wydobywały się przeciągłe chrapnięcia. W którymś momencie – długo po zapadnięciu zmroku i pojawieniu się na wschodzie białej tarczy księżyca – w drzwiach znów pojawił się pies.

Podobnie jak Jessie, był on w tej chwili spokojniejszy, gdyż nasycił już pierwszy głód i przestał odczuwać straszliwe palenie w żołądku. Spoglądał długo na Jessie, nadstawiając zdrowe ucho, i zastanawiał się, czy naprawdę śpi czy tylko udaje. Wreszcie doszedł do wniosku (głównie na podstawie charakterystycznej woni schnącego potu i całkowitym braku elektryczno-ozonowego zapachu adrenaliny), że sukoluda śpi naprawdę. Tym razem nie będzie żadnych wierzgnień ani krzyków – oczywiście pod warunkiem, że jej nie obudzi.

Począł cicho do kupy mięsa leżącej na środku sypialni. Zaspokoił już głód, jednakże mięso pachniało w tej chwili jeszcze apetyczniej. Przyczyną było to, że pierwszy posiłek naruszył odwieczne, wrodzone tabu dotyczące spożywania mięsa ludzkiego; pies co prawda o tym nie wiedział, ale nawet gdyby wiedział, nic by go to nie obchodziło.

Opuściwszy łeb, wciągnął nozdrzami smakowitą woń martwego ciała, a następnie zacisnął lekko zęby na dolnej wardze Geralda. Szarpnął, z początku lekko, rozciągając stopniowo skórę. Twarz Geralda wykrzywił monsturalny grymas. Warga oderwała się w końcu, aż ukazały się wyszczerzone dolne zęby. Pies połknął ów smaczny kąsek za jednym zamachem, po czym znów zaczął merdać ogonem, tym razem powoli i z zadowoleniem. Wysoko na suficie tańczyły dwa jasne punkciki – światło księżyca odbite w dwóch złotych plombach w dolnych trzonowcach Geralda. Założono je zaledwie przed tygodniem i lśniły ciągle jak lustro.

Pies obliznął się, spoglądając z lubością na trupa. Później wyciągnął łeb do przodu, prawie tak samo jak Jessie, gdy miała w końcu zanurzyć prowizoryczną rurkę w wodzie. Obwąchał twarz zmarłego, lecz nie było to zwykłe wąchanie – pozwolił sobie na coś w rodzaju węchowej orgii. Najpierw poczuł leciutki odór pasty do podłóg wtartej głęboko w lewe ucho psoluda, później zmieszane zapachy potu i wody kolońskiej na linii włosów, wreszcie ostrą, rozkosznie gorzką woń zakrzepłej krwi na ciemieniu. Szczególnie długo obwąchiwał nos Geralda, trącając go delikatnie swoim własnym pokiereszowanym, brudnym, lecz jakże wrażliwym nosem. Zupełnie jak smakosz, dokonujący wyboru pomiędzy wieloma równie kuszącymi kąskami. Wreszcie zatopił ostre zęby głęboko w lewym policzku Geralda, zacisnął je mocno i zaczął ciągnąć.

Oczy Jessie, leżącej na łóżku, zaczęły poruszać się gwałtownie pod zamkniętymi

powiekami. Z jej warg wyrwał się jęk – wysoki, drżący, pełen trwogi na widok czegoś znajomego.

Pies natychmiast uniósł łeb, kuląc się instynktownie ze wstydu i strachu. Nie trwało to długo, uznał już Geralda za swoją prywatną spiżarnię i był gotów walczyć w jej obronie, nawet na śmierć i życie. Poza tym jęk wydała tylko sukoluda, a pies był w tej chwili całkiem pewien, że jest bezbronna.

Opuścił pysk, chwycił zębami policzek Geralda Burlingame'a i szarpnął mocno, potrząsając łbem w obie strony. Oderwał długi pasek policzka zmarłego, czemu towarzyszył zgrzytliwy dźwięk przypominający odgłos zdzierania taśmy klejącej z bębna. Na twarzy Geralda pojawił się dziki, drapieżny uśmiech człowieka, który dobrał przed chwilą kartę do pokera.

Jessie jęknęła ponownie, po czym zaczęła mamrotać niezrozumiale przez sen. Pies zerknął na nią przelotnie. Był pewien, że sukoluda nie wstanie z łóżka, by zawracać mu głowę, ale mimo to odczuwał pewien niepokój. Odwieczne tabu przybladło, lecz nie zniknęło. Poza tym zaspokoił pierwszy głód, w tej chwili nie jadł już, tylko rozkoszował się nowym przysmakiem. Odwrócił się i wybiegł truchtem z pokoju. Z pyska zwisała mu spora część policzka Geralda, przypominająca skalp niemowlęcia.

11

Jest czternasty sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku – od dnia, gdy zgasło Słońce, minęło nieco ponad dwa lata. Są urodziny Willa, który przez cały dzień opowiada wszystkim ze śmiertelną powagą, że przeżył tyle lat, ile jest części w meczu baseballu. Jessie nie potrafi zrozumieć, dlaczego bratu wydaje się to takie ważne, lecz dochodzi do wniosku, że skoro Will chce porównywać swoje życie do meczu baseballu, ma do tego pełne prawo.

Przyjęcie urodzinowe małego braciszka Jessie przebiega jak na razie zupełnie normalnie. Z adapteru dobiega piosenka Marvinu Gaye, ale nie jest to tamta zła, niebezpieczna piosenka.

„I wouldn't be doggone” – śpiewa Marvin tonem, w którym brzmi jednocześnie szyderstwo i groźba. – „I'd be long gone... bay-bee”. *Fajne słowa* – myśli Jessie, zadowolona z przyjęcia, przynajmniej na razie; ciocia Katherine powiedziała nawet, że jest ono fantastyczne. Zadowolony jest również tatuś, choć z początku nie miał wielkiej ochoty przyjeżdżać specjalnie do Falmouth na urodziny Willa. Jessie podsłuchiwała przed chwilą, jak ojciec mówił do matki: „Mimo wszystko był to chyba całkiem dobry pomysł”, i sprawiło jej to ogromną przyjemność, bo to ona poddała ów pomysł – ona, Jessie Mahout, córka Toma i Sally, siostra Willa i Maddy, panna. Właśnie dlatego są tutaj, a nie w głębi łądu, w „Sunset Trails”.

„Sunset Trails” to rodzinny domek letniskowy na północnym krańcu jeziora Dark Score (po kilkudziesięcioletniej, pozbawionej jakiegokolwiek planu rozbudowie prowadzonej przez trzy pokolenia Mahoutów należałoby go raczej nazywać kompleksem domków letniskowych). Tego lata rodzina przerwała swoje coroczne dziewięciodniowe wakacje nad jeziorem, ponieważ Will chciał – tylko jeden jedyny raz, jak powiedział matce i ojcu zbolalym tonem starego arystokraty, który wie, że nie zostało mu już wiele życia – zaprosić na urodziny również swoich rówieśników.

Tom Mahout z początku się temu sprzeciwiał. Jest maklerem giełdowym, krążącym pomiędzy Portland a Bostonem, i od wielu lat powtarza rodzinie, by nie wierzyła w historyjki o tym, że ludzie pracujący w biurach spędzają dni na lenistwie albo kręcą się wokół bufetu, albo dyktują przystojnym stenotypistkom zaproszenia na kolacje. „Haruję ciężiej od farmera – mawia często. – Niełatwo być na bieżąco z giełdą i nie jest to także szczególnie ciekawe,

choćbyście słyszeli coś przeciwnego”. Prawdę mówiąc, żaden z członków rodziny nie słyszał nigdy nic przeciwnego, wszyscy (prawdopodobnie łącznie z żoną Toma, Sally, choć nigdy by się ona do tego nie przyznała) uważają, że jego praca jest nudna jak flaki z olejem, i tylko Maddy ma bledziutkie pojęcie o tym, czym ojciec się zajmuje.

Tom powtarza uparcie, że chce spędzić jak najwięcej czasu nad jeziorem, bo pozwala mu to odpocząć po stresach związanych z pracą, Will będzie miał jeszcze mnóstwo przyjęć urodzinowych z kolegami – kończy przecież dziewięć lat, a nie dziewięćdziesiąt. „A oprócz tego – dodaje Tom – przyjęcia urodzinowe stają się naprawdę fajne dopiero wtedy, gdy można już wypić z przyjaciółmi kilka kufli piwa”.

W związku z tym nie spełniono by zapewne prośby Willa, by wrócić na urodziny do Portland, gdyby nie niespodziewane poparcie pomysłu przez Jessie (dla Willa jest to naprawdę wielka niespodzianka: siostra jest trzy lata starsza i często jakby w ogóle nie pamiętała, że ma brata). Po jej pierwszej nieśmiałej sugestii, że może byłoby fajnie wrócić na wybrzeże – oczywiście tylko na dwa, trzy dni – i urządzić przyjęcie w ogrodzie, z krokietem, badmintonem, ogniskiem i chińskimi lampionami, które zapaliłoby się o zmroku, Tom zaczyna patrzeć na to wszystko łaskawszym okiem. Sam uważa siebie za „twardego sukinsyna”, choć inni nazywają go często „upartym starym kozłem”, jakkolwiek na to patrzeć, trudno go skłonić do zmiany zdania, gdy wbije coś sobie do głowy.

Kiedy jednak trzeba to osiągnąć, jego młodsza córka ma więcej szczęścia niż wszyscy pozostali członkowie rodziny razem wzięci. Jessie często potrafi przekonać ojca, posługując się jakimś tajemnym wytrychem do jego umysłu, niedostępnym dla nikogo innego. Sally uważa – i nie bez racji – że młodsza córka jest ulubienicą Toma, a Tom wmawia sobie, że nikt o tym nie wie. Maddy i Will patrzą na to prościej: sądzą, że Jessie podlizuje się ojcu, który z kolei nieludzko ją rozpieszcza. „Gdyby tata przyłapał Jessie na paleniu papierosów – rzekł Will rok wcześniej, kiedy Maddy ukarano za to przestępstwo – prawdopodobnie kupiłby jej zapalniczkę”. Maddy, roześmiewszy się, przyznała bratu rację i uściskała go. Ani rodzeństwo, ani matka nie mają zielonego pojęcia o tajemnicy łączącej Toma Mahouta i jego młodszą córkę, tajemnicy cuchnącej niczym kupa zgnięłego mięsa.

Sama Jessie wierzy, że po prostu popiera prośbę młodszego braciszka – że staje po jego stronie. Nie ma pojęcia – a przynajmniej nie dociera to do jej świadomości – jak bardzo znenawidziła „Sunset Trails” i jak chętnie by stamtąd wyjechała. Znenawidziła również jezioro, które ongiś tak uwielbiała – a zwłaszcza jego mdły, mineralny zapach. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku ledwo jest w stanie się zmusić do wejścia do wody, nawet w najupalniejsze dni. Matka sądzi co prawda, iż przyczyną jest wygląd Jessie, która zaczęła dojrzewać dość wcześnie, podobnie jak Sally, i w wieku dwunastu lat ma już prawie figurę dorosłej kobiety – jednakże nie chodzi o wygląd. Jessie przyzwyczaiła się do niego i wie, że w swoich starych, spłowiałych jednoczęściowych kostiumach kąpielowych nie przypomina zupełnie króliczka z „Playboya”. Nie, nie chodzi o piersi ani o biodra, ani o tyłek.

To kwestia zapachu.

Jakiegokolwiek powody i motywy mogą się za tym kryć, głowa rodu Mahoutów wyraża w końcu zgodę na prośbę Willa. Wczoraj wrócili do Portland, wyruszywszy z domku letniskowego na tyle wcześnie, by Sally (wspomagana ochoczo przez obie córki) mogła przygotować przyjęcie. Jest czternasty sierpnia, a czternasty sierpnia to w stanie Maine kulminacja lata, gdy po niebie o barwie spłowiałego dżinsu płyną białe pierzaste obłoki i wieje rześka słona bryza.

W głębi łądu – włączając w to okręg Franklin, gdzie nad brzegiem jeziora Dark Score stoi domek letniskowy o nazwie „Sunset Trails”, wzniesiony przez dziadka Toma Mahouta w tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim roku – lasy, stawy i bagna prażą się w temperaturze trzydziestu pięciu stopni Celsjusza i panuje nieznośna duchota, ale tu, na wybrzeżu, jest tylko dwadzieścia siedem stopni. Poza tym wieje orzeźwiająca morska bryza, odpędzająca komary i muszki piaskowe. W ogrodzie roi się od dzieci, głównie kolegów Willa, lecz także przyjaciółek Maddy i Jessie, i przynajmniej raz, *mirabile dictu*, nikt się z nikim nie kłóci. Nie doszło do ani jednej sprzeczki i około piątej po południu Tom podnosi do ust pierwszy kieliszek martini, zerka na Jessie, która stoi w pobliżu z młotem do krokietu na ramieniu (wygląda trochę jak wartownik z karabinem i oczywiście słyszy pozornie przypadkową uwagę ojca, która może być sprytnym zawołanym komplementem pod jej adresem), po czym patrzy z powrotem na Sally i mówi: „To chyba był rzeczywiście całkiem niezły pomysł”.

Bardziej niż dobry – myśli Jessie. – *Absolutnie fantastyczny i genialny*. Nie jest to dokładnie to, co naprawdę uważa, lecz niebezpiecznie byłoby wypowiadać resztę na głos, kuśliby los. W istocie Jessie uważa ten dzień za kwintesencję doskonałości: dzień-brzoskwinę, słodką i nieskazitelną. Fajna jest nawet piosenka rycząca z adapteru Maddy (starsza siostra ostrożnie wyniosła go na ganek z okazji przyjęcia), choć przecież tak naprawdę Jessie w ogóle nie lubi Marvinu Gaye – podobnie jak lekkiego mineralnego zapachu wydzielanego przez jezioro w gorące letnie popołudnie – ale ta piosenka jest rzeczywiście fajna. „I’ll be doggone if you ain’t a pretty thing... bay-bee”; głupia, ale nieszkodliwa.

Jest czternasty sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku, dzień, który odszedł w przeszłość, ale ciągle trwa w umyśle śpiącej kobiety przykutej kajdankami do łóżka sześćdziesiąt kilometrów na południe od jeziora Dark Score (wydzielającego ten sam okropny mineralny zapach przypominający przeszłość w gorące bezwietrzne letnie dni); Jessie, dwunastoletnia dziewczynka, nie widzi skradającego się Willa, który chce połaskotać ją w pupę (pochyliła się, by uderzyć w piłkę do krokietu, i stanowi wyjątkowo kuszący cel dla dziewięcioletniego chłopca), lecz mimo to jakaś część jej umysłu zdaje sobie sprawę, co Will zamierza zrobić, i właśnie to zmienia sen w koszmar.

Jessie przymierza się do strzału, koncentrując uwagę na bramce odległej o dwa metry.

Uderzenie trudne, lecz nie niemożliwe, a jeśli uda jej się trafić, może mimo wszystko zdoła jeszcze dogonić Caroline. Byłoby to fajne, bo Caroline prawie zawsze wygrywa w krokieta. Później, gdy Jessie składa się do strzału, z adapteru zaczyna płynąć inna piosenka.

„Oww, listen everybody – śpiewa Marvin Gaye, a ostrzegawcza nuta w jego głosie nie brzmi już wcale ironicznie – especially you girls...”

Na opalonych ramionach Jessie pojawia się gęsia skórka.

„...is it right to be left alone when the one you love is never home?... I love too hard, my friends sometimes say...”

Jessie drętwieją palce i przestaje czuć młotek w rękach. Łaskoczą ją nadgarstki, jakby skrepowane przez...

Dyby. Dobra Żona stoi w dybach pod pręgierzem chodźcie zobaczyć Dobrą Żonę pod pręgierzem, chodźcie się pośmiać z Dobrej Żony pod pręgierzem!

...niewidzialne pęta, a jej serce wypełnia się nagle przerażeniem i odrazą. To tamta piosenka, zła piosenka.

„...but I believe... I believe... that a woman should be loved that way...”

Jessie spogląda na niewielką grupkę dziewcząt, które czekają, aż skieruje piłeczkę do bramki, i widzi, że Caroline zniknęła. Na jej miejscu stoi Nora Callighan. Ma krótkie warkoczyki, przypudrowany nos, nosi żółte trampki Caroline oraz jej koszulkę – tę z niewielkim zdjęciem Paula McCartneya na piersi – i spogląda na Jessie swoimi zielonymi oczyma z głębokim, dojrzałym współczuciem. Jessie przypomina sobie nagle, że Will – niewątpliwie podbechtany przez swoich kumpli, którzy opili się coca-colą i objedli niemieckim ciastem czekoladowym – podkrada się do niej od tyłu i zamierza ją połaskotać. Kiedy to zrobi, Jessie wpadnie w szal, obróci się gwałtownie i uderzy go pięścią prosto w usta, może nie psując kompletnie przyjęcia, ale z pewnością mącąc jego doskonałą harmonię. Usiłuje puścić młotek, wyprostować się i obrócić, nim Will ją połaskocze. Chce zmienić przeszłość, ale to ciężkie zadanie – przypomina to próbę podniesienia domu za narożnik, by zajrzeć pod spód w poszukiwaniu czegoś zagubionego, zapomnianego albo ukrytego.

Za plecami Jessie ktoś nastawił niewielki adapter Maddy na cały regulator i Marvin Gaye ryczy głośniejszy niż kiedykolwiek, tryumfalny, pewny siebie i sadystyczny: „IT HURTS ME SO INSIDE... TO BE TREATED SO UNKIND... SOMEBODY, SOMEWHERE... TELL HER IT AIN'T FAIR...”

Jessie znów usiłuje pozbyć się młotka – odrzucić go – ale nie może tego zrobić, czuje się tak, jakby ktoś przykuł ją do niego kajdankami.

Noro! – krzyczy. – Musisz mi pomóc, Noro! Powstrzymaj go!

W tym momencie snu Jessie jęknęła po raz pierwszy, na chwilę płosząc psa pochylonego nad ciałem Geralda.

Nora powoli i poważnie kręci głową.

Nie mogę ci pomóc, Jessie. Jesteś zdana na własne siły – wszyscy jesteśmy. Zwykle nie

mówię tego swoim pacjentkom, ale myślę, że z tobą powinnam być szczerą.

Nic nie rozumiesz! Nie mogę przejść przez to jeszcze raz! NIE MOGĘ!

Och, nie bądź niemądra! – odpowiada Nora, nagle zniecierpliwiona. Zaczyna się odwracać, jakby nie mogła już znieść widoku wykrzywionej twarzy Jessie. – *Nie umrzesz, to nie trucizna.*

Jessie rozgląda się, patrząc dzikim wzrokiem (choć wciąż nie może się wyprostować, by nie być już dłużej kuszącym celem dla skradającego się brata) i widzi, że jej przyjaciółka Tammy Hough znikła, na jej miejscu stoi Ruth Neary, ubrana w białe szorty Tammy i żółty opalacz. W jednej ręce trzyma młotek do krokiet Tammy, pomalowany w czerwone paski, a w drugiej papierosa Marlboro. Ma jak zwykle uniesione kąciki ust i uśmiecha się sardonicznie, ale jej oczy są poważne i pełne smutku.

Pomóż mi, Ruth! – woła Jessie. – *Musisz mi pomóc!*

Ruth zaciąga się głęboko papierosem, a później wdeptuje go w trawę jednym z korkowych sandałów Tammy.

Strachy na lachy, kochanie, Will chce cię tylko polaskotać, a nie wsadzić ci w tyłek kij od baseballu. Wiesz o tym równie dobrze jak ja, bo już raz to przeżyłaś. Więc o co właściwie chodzi?

To nie są po prostu łaskotki! Nie są i dobrze o tym wiesz!

Stara pohukująca sowa, stara pohukująca sowa! – odpowiada Ruth.

Co?! Co to zna...

To znaczy, że skąd mam cokolwiek wiedzieć? – pyta Ruth. W jej głosie tli się gniew, głęboka, utajona uraza. – *Nie chciałaś mi nic powiedzieć, nie chciałaś nic nikomu powiedzieć. Uciekłaś. Uciekłaś jak królik, który widzi na trawie cień starej pohukującej sowy.*

Nie mogłam ci nic powiedzieć! – krzyczy Jessie. Widzi obok siebie na trawie jakiś cień, jakby wyczarowany z niebytu przez słowa Ruth. Nie jest to jednak cień sowy, tylko Willa. Jessie słyszy zduszone śmiechki jego przyjaciół, wie, że brat wyciąga rękę, lecz sama ciągle nie może się wyprostować, a cóż dopiero odsunąć. Jest bezradna, nie zmienia tego, co ma się stać, i rozumie, że na tym polega istota zarówno horroru, jak i tragedii.

Nie mogłam! – krzyczy znowu do Ruth. – *Nie mogłam, nigdy w życiu! Zabiłoby to mamę albo zniszczyło całą rodzinę!... Albo jedno i drugie! On to powiedział! Tatusi powiedział!*

Nie mam ochoty ci tego mówić, dziubdziuniu, ale w grudniu minie dwanaście lat od śmierci twojego kochanego starego tatusia. A poza tym, czy nie mogłybyśmy skończyć wreszcie z tymi melodramatami? Przecież nie powiesił cię za sutki na sznurze od bielizny i nie rozpalił pod tobą ogniska.

Ale Jessie nie chce jej słuchać, nie chce myśleć – nawet we śnie – o jakimkolwiek rozgrzebywaniu dawno zapomnianej przeszłości; kiedy runie pierwsza kostka domina, kto wie, czym się to skończy? Dlatego zatyka uszy na to, co mówi Ruth, i wpatruje się w dawną współlokatorkę z akademika głębokim, błagalnym spojrzeniem, które tak często powodowało,

że Ruth (tylko pozornie twarda) wybuchła śmiechem, kapitulowała i robiła to, czego życzyła sobie Jessie.

Musisz mi pomóc, Ruth! Musisz!

Ale tym razem błagalne spojrzenie nie skutkuje.

Nie sądzę, dziubdziuniu. Siostry Sisters odeszły, minął już czas, gdy można było o wszystkim zapomnieć, ucieczka nie wchodzi w rachubę, a przebudzenie się również niczego nie rozwiązuje. Jedziemy pociągiem duchów, Jessie. Ty jesteś króliczkiem, ja sową. Proszę wsiadać, drzwi zamykać! Zapnijcie pasy bezpieczeństwa! Ruszamy!

Nie!...

Nagle, ku przerażeniu Jessie, zaczyna się ściemniać. Może to po prostu chmura zasłoniła słońce, ale Jessie wie, że tak nie jest! Słońce gaśnie. Wnet na letnim popołudniowym niebie zabłysną gwiazdy i rozlegnie się pohukiwanie starej sowy. Nadeszła pora zaćmienia.

Nie! – krzyczy znowu Jessie. – *To było dwa lata temu!*

Mylisz się, dziubdziuniu – odpowiada Ruth Neary. – *Dla ciebie zaćmienie nigdy się nie skończyło. Dla ciebie Słońce nigdy nie zaświeciło znowu.*

Jessie otwiera usta, by zaprzeczyć, by powiedzieć Ruth, że przesadza, podobnie jak Nora, popychająca Jessie ku drzwiom, których Jessie nie chciała otworzyć, zapewniająca ciągle, że grzebiąc w przeszłości można polepszyć teraźniejszość – jakby ktoś mógł poprawić smak dzisiejszej kolacji dodając do niej zrobaczywiałe resztki wczorajszego obiadu. Chce powiedzieć Ruth to, co powiedziała Norze w dniu, gdy raz na zawsze opuściła jej gabinet: że jest ogromna różnica między pogodzeniem się z czymś a zostaniem więźniem tego czegoś. *Czy nie rozumiecie, idiotki, że mit własnej osobowości to po prostu jeszcze jeden mit?* – chce spytać, ale zanim otwiera usta, czuje męską dłoń między swoimi lekko rozchylonymi nogami. Ktoś wpycha jej brutalnie kciuk między pośladki i przyciska palce do wżgórka nad łonem. Nie jest to mała niewinna rączka Willa, dłoń między nogami Jessie jest dużo większa i bynajmniej nie niewinna. Z radia dobiega niedobra piosenka, o trzeciej po południu zaczynają świecić gwiazdy i oto...

Nie umrzesz od tego to nie trucizna...

...jak się łaskoczą dorośli.

Jessie obraca się gwałtownie, spodziewając się zobaczyć ojca. Zrobił coś takiego podczas zaćmienia. Ruth i Nora, skomlące mitomanki i rozgrzebywaczki przeszłości, nazwałyby to chyba wykorzystywaniem seksualnym nieletnich. Mniejsza o nazwę – Jessie jest pewna, że go zobaczy, i boi się, że wymierzy mu straszliwą karę, niezależnie od powagi czy banalności owego incydentu, uniesie młot do krokieta i uderzy go prosto w twarz, rozbijając nos i wybijając zęby, a gdy ojciec upadnie na trawę, pożrą go psy.

Ale nie stoi przed nią Tom Mahout, tylko Gerald. Jest nagi. Pod różowym, wypukłym brzuchem dynda Kutasik Adwokata. W każdej ręce trzyma parę policyjnych kajdanek marki „Kreig”. Wyciąga je w stronę Jessie w niesamowitym popołudniowym mroku. Na otwartych

stalowych pałkach lśni światło gwiazd, koło zamków wybito znak M-17, bo dostawca Geralda nie był w stanie zdobyć kajdanek typu F-23.

Daj spokój, Jess! – mówi szczerząc zęby. – Przecież doskonale znasz reguły gry. Poza tym zawsze ją lubiłaś. Za pierwszym razem o mało nie pękłaś z rozkoszy. Nawiasem mówiąc, był to najlepszy stosunek seksualny, jaki kiedykolwiek odbyłem, tak fantastyczny, że czasami mi się śni. A wiesz, dlaczego było tak dobrze? Bo nie ponosiłaś za nic odpowiedzialności. Prawie wszystkim kobietom jest przyjemniej, gdy mężczyzna bierze wszystko na siebie – to sprawdzona cecha kobiecej psychiki. Czy miałaś orgazm, gdy napastował cię twój ojciec, Jessie? Założę się, że tak. Założę się, że o mało nie pękłaś z rozkoszy. Feministki mogą temu przeczyć, ale my przecież znamy prawdę, nie? Niektóre kobiety same mówią, że tego chcą, a inne potrzebują mężczyzny, by im to powiedział. Ty należysz do tego drugiego gatunku. Ale to nic złego, Jessie, właśnie po to są kajdanki. Tyle że tak naprawdę nigdy nie byłaś zakuta w kajdany. To bransoletki miłości. Więc włóż je, kochanie. Włóż je.

Jessie cofa się, kręcąc głową, i nie wie, czy śmiać się, czy płakać. Sam temat pojawia się po raz pierwszy, lecz retoryka Geralda nie jest bynajmniej nowa.

Nie działają na mnie twoje prawnicze sztuczki – zbyt długo jestem twoją żoną. Oboje wiemy, że kajdanki nie mają nic wspólnego ze mną – chodzi o ciebie, o to, by (mówiąc bez ogródek) on ci wreszcie stanął, sflaczały od alkoholu. Więc możesz sobie oszczędzić tych idiotyzmów na temat psychologii kobiety, dobra?

Gerald uśmiecha się w porozumiewawczy, niepokojący sposób.

Całkiem nieźle, mała. Kompletne bzdury, lecz mimo to sprytnie to sobie wymyśliłaś. Najlepszą obroną jest atak, prawda? Chyba to ja cię tego nauczyłem. Nieważne. W tej chwili musisz dokonać wyboru. Albo włóż bransoletki, albo uderz młotem i zabij mnie jeszcze raz.

Jessie rozgląda się i spostrzega z lękiem i zażenowaniem, iż jej konfrontację z tym nagim (z wyjątkiem okularów na nosie), grubawym, podnieconym seksualnie mężczyzną obserwują wszyscy uczestnicy przyjęcia urodzinowego Willa... i że nie jest to tylko rodzina i przyjaciółki z dzieciństwa. Koło wazy z ponczem widać panią Henderson, jej opiekunkę na pierwszym roku studiów, a na patio, koło blondynki z plebanii Neuworth (rodzice kochali ją, i owszem, ale jej brat był ich oczkiem w głowie), stoi Bobby Hagen, który zabrał Jessie na bal dla studentów ostatniego roku i przeleciał później na tylnym siedzeniu oldsmobile'a model 88 należącego do jego ojca.

Barry – myśli Jessie. – Ona nazywa się Olivia, a jej brat Barry.

Blondynka słucha Bobby'ego Hageny, lecz spogląda na Jessie. Jej twarz jest spokojna, choć blada i zmęczona. Nosi dres, na którym widać podobiznę mężczyzny śpieszącego ulicą. Z jego ust wychodzi dymek ze słowami: „Grzech jest fajny, ale kazirodztwo fantastyczne”. Za Olivią stoi Kendall Wilson, który zaangażował Jessie do pierwszej pracy w szkole; podaje kawałek ciasta pani Paige, jej nauczycielce gry na pianinie. Z pani Paige emanuje energia; dziwne jak na kobietę, która dwa lata temu zmarła na wylew krwi do mózgu, zbierając jabłka

w sadzie w Alfred.

To nie sen – myśli Jessie – już raczej śmierć przez utonięcie. Każdy, kogo znalazłam, stoi pod upiornym popołudniowym niebem oświetlonym gwiazdami i patrzy, jak mój nagi mąż usiłuje zakuć mnie w kajdanki, gdy tymczasem Marvin Gaye śpiewa „Can I Get a Witness”. Poczyszające jest tylko to, że nie może już być gorzej.

A jednak jest gorzej. Pani Wertz, nauczycielka Jessie w pierwszej klasie, wybucha śmiechem. Wtórjuje jej stary pan Cobb, ogrodnik, który przeszedł na emeryturę w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, a potem także Maddy, Ruth i Olivia o poparzonych piersiach. Kendall Wilson i Bobby Hagen zgięli się w pół i wał się rękami po plecach niczym mężczyźni, którzy usłyszeli w miejscowym barze jakiś wspaniały, sprośny kawał. Może kończący się puentą: Układ biologiczny utrzymujący przy życiu cipę.

Jessie patrzy na siebie i widzi, że ona także jest naga. Na jej piersiach wypisano szminką o nazwie „Peppermint Yum-Yum” dwa straszliwe słowa: CÓRECZKA TATUSIA.

Muszę się zbudzić – myśli. – Inaczej umrę ze wstydu.

Lecz nie budzi się, przynajmniej nie od razu. Unosi wzrok i widzi, że porozumiewawczy, niepokojący uśmiech Geralda znikł, a jego usta zmieniły się w otwartą ranę. Spomiędzy jego zębów wydobywa się nagle zakrwawiony pysk bezpańskiego psa. Pies także szczyrzy zęby i spomiędzy jego kłów wygląda kolejna głowa, należąca tym razem do ojca Jessie. Oczy Toma, zawsze jasnoblękitne, są teraz szare i zmęczone. *Przypominają oczy Olivii* – spostrzega Jessie i po chwili zdaje sobie sprawę z czegoś jeszcze: wszędzie unosi się mdły, a jednak koszmarny zapach wody z jeziora.

„I love too hard, my friends sometimes say... – śpiewa jej ojciec z pyska psa, który wystaje z pyska męża – ...but I believe, I believe, that a woman should be loved that way...”

Jessie odrzuca młot i ucieka krzycząc. Kiedy mija straszliwego potwora z upiornymi teleskopowymi głowami, Gerald zatrząskuje jej kajdanki na nadgarstku.

– Mam cię! – krzyczy tryumfalnie. – Mam cię, dumna pięknotko!

Z początku Jessie dochodzi do wniosku, że zaćmienie nie było jednak całkowite, albowiem w tej chwili zapada jeszcze głębszy mrok. Później przychodzi jej do głowy, że prawdopodobnie mdleje. Myśli tej towarzyszy uczucie głębokiej ulgi.

Nie bądź niemądra, Jessie – we śnie nie można zemdleć.

Ale Jessie mimo to tak uważa, choć w końcu nie ma większego znaczenia, czy to omdlenie, czy tylko głębsza jaskinia snu, ku której ucieka niczym ktoś, kto wyszedł cało z jakiegoś kataklizmu. Najważniejsze, iż ucieka przed snem, który dotknął ją boleśniej niż ojciec na tarasie; ulga wydaje się w tych okolicznościach najzupelniej normalną reakcją.

Jest już o kilka kroków od bezpiecznej jaskini mroku, gdy pojawia się ostry, brzydki dźwięk przypominający spazmatyczny kaszel. Usiłuje uciec przed tym dźwiękiem i nie może. Wisi na nim, jak na haku, a hak płynie do góry, unosząc ją ku ogromnej, lecz kruchej srebrzystej tafli oddzielającej sen od świadomości.

12

Wróciwszy z sypialni, były Prince, niegdyś duma i radość małej Catherine Sutlin, siedział przez jakieś dziesięć minut przy drzwiach do kuchni. Siedział z uniesioną głową, z szeroko otwartymi oczyma. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy przymierał głodem, a tego wieczoru najadł się wreszcie do syta – w istocie rzeczy obzał – i powinien być ociężały i senny. Owszem, jeszcze niedawno czuł się ociężały, lecz w tej chwili senność minęła. Zastąpił ją narastający niepokój. W mistycznej strefie psiego umysłu, gdzie zbiegają się zmysły i intuicja, zabrzęczały ciche dzwonki alarmowe. W drugim pokoju sukoluda ciągle jęczała i mamrotała przez sen, ale to nie te dźwięki były przyczyną lęku bezpańskiego psa, to nie dlatego usiadł, choć przed chwilą spokojnie drzemał, to nie dlatego nadstawił zdrowe ucho i zmarszczył pysk, aż ukazały się czubki zębów.

Chodziło o coś innego... złego... prawdopodobnie niebezpiecznego.

Kiedy sen Jessie osiągnął apogeum i runął spiralą w mrok, pies zerwał się nagle, nie mogąc już znieść narastającego zdenerwowania. Obrócił się, pchnął drzwi pyskiem i wyskoczył w mrok. Gdy znalazł się na ganku, wiatr przyniósł dziwny, niemożliwy do rozpoznania zapach. Zwiastował on niebezpieczeństwo... prawie na pewno.

Prince popędził co tchu w stronę lasu, choć przeszkadzał mu w tym obwisły, wypełniony brzuch. Kiedy dotarł do bezpiecznych krzaków, odwrócił się i poczołgał z powrotem w stronę domu. Wycofał się, owszem, ale w jego mózgu musiałyby zabrznieć znacznie więcej dzwonek alarmowych, by porzucił odnalezione przez siebie źródło smacznego mięsa.

Bezpiecznie ukryty, rozwarł chudy, zmęczony inteligentny pysk pokryty ruchomymi hieroglifami cieni i zaczął szczeleć, przerywając sen Jessie.

13

Kiedy na początku lat sześćdziesiątych spędzali wakacje nad jeziorem, a Will potrafił tylko chlapać się na płyciźnie w jasnopomarańczowym kole ratunkowym, Maddy i Jessie, zawsze w dobrej komitywie pomimo różnicy wieku, często chodziły pływać do Neidermeyerów. Neidermeyerowie mieli molo z trampoliną i to właśnie tam Jessie zaczęła rozwijać umiejętności, dzięki którym zdobyła pierwsze miejsce w mistrzostwach szkoły średniej, a później w mistrzostwach stanu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Skoki z trampoliny Neidermeyerów pozostawiły bardzo wyraźne wspomnienie lotu przez rozgrzane letnie powietrze ku roziskrzanej błękitnej tafli jeziora oraz pamięć szczególnego uczucia towarzyszącego wynurzaniu się na powierzchnię, gdy Jessie przepływała przez ostro odgraniczone warstwy ciepłej i zimnej wody.

Budząc się z niespokojnego snu czuła to samo.

Najpierw była rycząca, pełna zamętu czerń, jakby Jessie tkwiła we wnętrzu chmury burzowej. Płynęła ku górze, szarpana prądami i wirami, nie mając pojęcia, kim jest, a cóż dopiero, gdzie jest. Później znalazła się w cieplejszej, spokojniejszej warstwie; śnił jej się najokropniejszy koszmar w całym jej życiu, lecz był to przecież tylko koszmar, który już minął. Jednakże niezbyt daleko od powierzchni natrafiła na kolejną zimną warstwę, pomyślała, że jawa będzie prawie tak okropna jak koszmar. Może jeszcze okropniejsza.

Co mnie czeka? – spytała samą siebie. – *Co może być gorsze od tego, co przeżyłam?*

Nie chciała o tym myśleć. Odpowiedź prawdopodobnie była blisko, ale gdyby Jessie na nią wpadła, mogłaby dać z powrotem nurka w głębinę. Oznaczałoby to, że się utopi, a chociaż utonięcie nie jest być może najgorszym rodzajem śmierci – na pewno nie gorszym niż roztrzaskanie się o skałę podczas jazdy motocyklem albo skok na spadochronie prosto na linię wysokiego napięcia – nie mogła znieść myśli o tym, że otoczy ją ów mdły, mineralny zapach, kojarzący się jednocześnie z miedzią i ostrygami. Toteż płynęła ponuro do góry, powtarzając sobie, że będzie się martwić o jawę, gdy wreszcie wynurzy się na powierzchnię.

Ostatnia warstwa okazała się lepka i budząca trwogę niczym świeża krew; ramiona Jessie były jak kawałki drewna, kompletnie zdrętwiałe i pozbawione czucia. Miała tylko nadzieję, że zdoła nimi choć trochę poruszyć, by przywrócić krążenie krwi.

Wciągnęła gwałtownie powietrze, drgnęła i otworzyła oczy. Nie miała pojęcia, jak długo

spała, a zegar w radiu na komodzie, uwikłany we własne piekło maniackich powtórzeń (dwunasta, dwunasta, dwunasta – błyskał w mroku, jakby czas zatrzymał się na zawsze o północy), nie był jej w ogóle pomocny. Wiedziała tylko, że jest już głęboka noc, księżyc bowiem świecił w tej chwili przez świetlik w suficie, a nie przez okno od wschodu.

Podrygiwała nerwowo ramionami, czując drobne ukłucia bólu towarzyszące ciarkom. Zwykle nie znosiła mrowienia, ale nie teraz; było ono tysiąc razy lepsze od skurczów mięśni, których się spodziewała w trakcie przywracania rąk do życia. Po chwili zauważyła szeroko rozlaną wilgotną plamę w okolicy pośladków i zdała sobie sprawę, że pragnienie oddania moczu zniknęło. Jej ciało rozwiązało ów problem podczas snu.

Zacisnęła pięści i ostrożnie podciągnęła się do góry, krzywiąc się z powodu ostrego szarpiącego bólu w nadgarstkach i wierzchnich częściach dłoni. *To skutki próby zsunięcia kajdanek – pomyślała. – Sama jesteś sobie winna, moja słodka.*

Pies znów zaczął ujadać. Każde szczeknięcie wydawało się ostrą drzazgą wbitą w uszy Jessie, która zdała sobie sprawę, że to właśnie te dźwięki wyrwały ją ze snu właśnie wtedy, gdy miała zanurkować głębiej, poniżej koszmaru. Zorientowała się również, iż pies znajduje się z powrotem na dworze. Ucieszyła się, że opuścił dom, lecz trochę to ją zdziwiło. Może spędziwszy tyle czasu na wolnym powietrzu nie czuł się bezpiecznie pod dachem? Brzmiało to sensownie... równie sensownie jak wszystko w tej sytuacji.

– Weź się w garść, Jess – doradziła sobie poważnym, zaspanym głosem i może (po prostu hipotetyczne „może”) rzeczywiście zaczynała się brać w garść. Panika i niewytłumaczalny wstyd, jaki czuła we śnie, powoli ją opuszczały. Sam sen zdawał się jakby wysychać, nabierając dziwnie widmowego charakteru prześwietlonej fotografii. Zdała sobie sprawę, że wnet rozwieje się jak dym. Sny tuż po obudzeniu się przypominają puste kokony motyli albo strączki fasoli, martwe łuski, w których szalało przez chwilę bujne, lecz kruche życie. Późniejsza amnezja – jeśli rzeczywiście była to amnezja – często wydawała się Jessie smutna. Nie teraz. Jeszcze nigdy w życiu zapomnienie nie sprawiło jej takiej ulgi.

Nieważne – pomyślała. – To w końcu tylko sen. Głowy wystające z głów? Sny mają naturalnie pewne znaczenie symboliczne – tak, wiem – i w tym śnie także kryje się niewątpliwie jakiś symbol... a może nawet trochę prawdy? Przynajmniej rozumiem w tej chwili, dlaczego uderzyłam Willa, gdy mnie polaskotał. Nora Callighan byłaby niewątpliwie zachwycona – nazwałaby to przełomem i prawdopodobnie miałyby rację. Ale nie zbliżyłam się przez to ani na krok do uwolnienia z tych zaszarych bransoletek, a to jest ciągle najważniejsze. Czy ktoś się z tym nie zgadza?

Ani Ruth, ani Dobra Żona nie odpowiedziały, głosy z kosmosu również zachowały milczenie. Jedynej odpowiedzi udzielił żołądek, który zaburczał głucho, protestując przeciwko opóźnieniu się kolacji. Było to w pewien sposób zabawne... choć jutro mogło się okazać mniej zabawne. Jutro pragnienie powróci z całą siłą, a Jessie nie miała złudzeń, na jak długo wystarczą ostatnie dwa łyki wody.

Muszę się skupić – po prostu muszę. Jedzenie i woda to nie problem. W tej chwili znaczą równie mało jak to, dlaczego uderzyłam Willa w twarz w dniu jego dziewiątych urodzin. Problem polega na tym, jak...

Myśli Jessie pękły nagle z trzaskiem niczym napięty sznur przepalony przez świecę. Jej oczy, błądzące bez celu po mrocznym pokoju, spoczęły na dalekim kącie, gdzie w srebrzystym świetle wpadającym przez świetlik tańczyły dziko cienie sosen kołysanych przez wiatr.

Stał tam mężczyzna.

Jessie pochwycił w kleszcze lęk tak silny jak jeszcze nigdy w życiu. Z jej pęcherza, który nie opróżnił się przedtem całkowicie, trysnął nowy strumień gorącego moczu. Nie zdawała sobie z tego sprawy – ani z niczego innego. Trwoga na pewien czas oczyściła jej umysł z jakichkolwiek myśli. Z jej warg nie wyrwał się żaden dźwięk, nawet najcichszy; nie była zdolna do wydawania dźwięków, podobnie jak do myślenia. Mięśnie jej szyi, barków i ramion zmieniły się w ciepły kisiel i zsunęła się po mahoniowym zagłówku, aż zawisła bezwładnie na kajdankach. Nie zemdląła – świadomość nie opuściła jej ani na chwilę – ale pustka umysłowa i totalna niemoc fizyczna były gorsze od utraty przytomności. Kiedy myśli znów próbowały się pojawić, natychmiast odcięła je czarna, gładka kurtyna lęku.

Mężczyzna. Mężczyzna w kącie.

Widziała wpatrzone w siebie hipnotyzujące, bezmyślne spojrzenie ciemnych oczu. Widziała woskową bladość zapadniętych policzków i wysokie czoło, choć rysy intruza były zniekształcone przez ruchome cienie. Widziała przygarbione plecy i długie małpie ramiona zakończone szczupłymi dłońmi, gdzieś w czarnym trójkącie cienia rzucanego przez komodę musiały się kryć nogi, lecz pozostawały niewidoczne.

Jessie nie miała pojęcia, jak długo leżała w okropnym półomdleniu, sparaliżowana, lecz świadoma, niczym mucha ukąszona przez jadowitego pająka. Minęło chyba bardzo dużo czasu. Upływały sekundy, Jessie nie była w stanie zamknąć oczu, a cóż dopiero oderwać ich od dziwnego gościa. Pierwotne przerażenie nieco zelżało, lecz zastąpiło je coś jeszcze gorszego: bezrozumny, atawistyczny wstręt. Jessie doszła później do wniosku, że źródłem owych uczuć – najpotężniejszych emocji negatywnych, jakich doznała w całym swoim życiu, silniejszych nawet od nienawiści, która miotała nią krótko przedtem, gdy patrzyła na bezpańskiego psa szykującego się do pożarcia Geralda – był absolutny bezruch obcego mężczyzny. Wszedł ukradkiem do domu, gdy spała, i w tej chwili stał po prostu w kącie, zamaskowany cieniami przesuwającymi się nieustannie po jego twarzy i ciele, patrząc na Jessie dziwnie pożądanymi czarnymi oczyma, tak dużymi i nieruchomymi, że przywoływały na myśl puste oczodoły.

Stał po prostu w kącie, tylko tyle, nic więcej.

Leżała z rozpostartymi i uniesionymi ramionami, czując się jak kobieta na dnie studni. Mijał czas, odmierzany tylko idiotycznym mruganiem zegara, który wyświetlał stale

dwunastą, dwunastą i dwunastą, aż w końcu do mózgu Jessie wkradła się z powrotem klarowna myśl, niebezpieczna, a zarazem przynosząca ogromną ulgę.

Nie ma tu nikogo prócz ciebie, Jessie. Mężczyzna, którego widzisz w kącie, to tylko gra cieni i wyobraźni, nic więcej.

Usiłowała przyjąć z powrotem pozycję siedzącą. Podciągnęła się do góry, krzywiąc się z bólu szarpiącego napięte ramiona, i wbiła bosa piętę w prześcieradło, by pomóc sobie nogami. Oddychała płytko i chrapliwie, ani na chwilę nie spuszczać z oczu ohydnie kościstej sylwetki w kącie.

Jest za wysoki i za chudy, by być prawdziwym mężczyzną, Jess – widzisz to, prawda? To tylko wiatr, cienie, odrobina księżycy... i resztki twojego koszmarnego snu. Wierzysz mi?

Prawie uwierzyła i zaczęła się już uspokajać. Przed domem rozległo się kolejne histeryczne szczekanie psa. Czy postać w kącie – postać złożona tylko z wiatru, cieni i odrobiny księżycy – czy owa fikcyjna postać nie obróciła lekko głowy w tym kierunku?

Nie, z pewnością nie. To tylko kolejna iluzja wywołana grą cieni poruszanych wiatrem.

Mogło to pokrywać się z prawdą, w istocie rzeczy Jessie nie miała wątpliwości, że ruch głowy był tylko złudzeniem. Ale reszta? Sama postać? Nie potrafiła sobie wmówić, że wszystko jest tylko złudzeniem. Postać tak bardzo podobna do człowieka nie mogła być przecież tylko złudzeniem... prawda?

Nagle odezwała się Dobra Żona Burlingame, a chociaż w jej głosie brzmiał lęk, nie było w nim hysterii, przynajmniej na razie, co dziwne, to właśnie Ruth odczuwała największą trwogę na myśl, że nie jest w pokoju sama, to właśnie Ruth wciąż nie była w stanie wykrztusić słowa.

Skoro to tylko złudzenie – rzekła Dobra Żona – to dlaczego pies uciekł z domu? Chyba nie zrobiłby tego bez powodu, prawda?

Jessie rozumiała, że Dobra Żona jest śmiertelnie przerażona i że pragnie jakiegoś wytłumaczenia ucieczki psa, wytłumaczenia obywającego się bez konieczności uznania realności postaci, która stała albo tylko pozornie stała w kącie. Dobra Żona pragnęła, by Jessie przyznała, że pies uciekł z domu, ponieważ najprawdopodobniej zaczął się w nim źle czuć. *A może – pomyślała Jessie – uciekł z najstarszego powodu na świecie: poczuł innego bezpańskiego psa, tym razem sukę mającą cieczkę? Mógł go również spłoszyć jakiś dźwięk, na przykład gałąź uderzająca w jedno z okien na piętrze...* Ta ostatnia wersja podobała jej się najbardziej, bo dostrzegała w niej pewną prymitywną sprawiedliwość: psa spłoszył wyobrażony intruz i teraz usiłował go odstraszyć szczekaniem, by nie dobrał mu się do kolacji.

Mów tak dalej – wtrąciła błagalnie Dobra Żona. – Nawet jeśli sama w to nie wierzysz, spraw, żebym ja uwierzyła.

Jednakże Jessie nie potrafiła tego zrobić, a to z przyczyny postaci stojącej w kącie koło komody. Ktoś tam był. Nie halucynacja, nie złudzenie powstałe wskutek ruchu cieni i

wyobraźni Jessie, nie resztką snu, fantom ukazujący się na moment na ziemi niczyjej między snem a jawą. Był to...

...potwór, to potwór przyszedł mnie zjeść!...

...mężczyzna – nie potwór, tylko mężczyzna, stojący w bezruchu i obserwujący Jessie, gdy tymczasem dom skrzypiał w podmuchach wiatru, a na dziwnej, ledwo widocznej twarzy tańczyły cienie.

Tym razem ta myśl – *Potwór! Demon!* – wynurzyła się z niższych regionów jej umysłu, aż znalazła się na jasno oświetlonej scenie świadomości. Jessie znów zaprzeczyła, lecz mimo to czuła powracającą trwogę. Stwór w dalekim kącie pokoju mógł być mężczyzną, ale nawet jeśli był, Jessie nabierała coraz większej pewności, że z jego twarzą stało się coś bardzo, ale to bardzo złego. Gdyby tylko lepiej ją widziała!

Stanowczo ci to odradzam! – szepnął groźnie głos z kosmosu.

Ale przecież muszę się odezwać do tej istoty, muszę nawiązać kontakt – pomyślała Jessie i natychmiast odpowiedziała sama sobie nerwowym, gderliwym głosem stanowiącym połączenie głosów Ruth i Dobrej Żony: – *Nie nazywaj go istotą, Jessie, myśl o nim w rodzaju męskim. Myśl o nim jako o mężczyźnie, który zapewne zabłądził w lesie i jest równie przerażony jak ty.*

Dobra rada, jednakże Jessie zorientowała się, że nie może myśleć o postaci w rogu jako po prostu o mężczyźnie. Nie uważała także, iż stwór stojący w cieniu jest zagubiony czy przestraszony. Wyczuwała intuicyjnie, że emanuje zeń czyste zło.

To głupota! Odezwij się do niego, Jessie! Odezwij się!

Usiłowała przełknąć ślinę i odkryła, że nie ma czego przełykać – gardło miała suche jak pieprz i szorstkie niczym papier ścierny. Słyszała bicie własnego serca, bardzo lekkie, bardzo szybkie, bardzo nieregularne.

Szumiał wiatr. Na ścianach i suficie poruszały się białe-czarne cienie, tak że Jessie czuła się jak wewnątrz kalejdoskopu oglądanego przez daltonistę. Przez chwilę zdawało jej się, że widzi nos – cienki, długi, biały – i czarne nieruchome oczy.

– Kim...

Z początku wydobyła z siebie tylko leciutki szept, z pewnością niesłyszalny już w nogach łóżka, a cóż dopiero po drugiej stronie pokoju. Umilkła, oblizała wargi i znów spróbowała się odezwać. Zdała sobie sprawę, że zacisnęła boleśnie pięści, i zmusiła się, by rozluźnić palce.

– Kim pan jest? – szepnęła, tym razem nieco głośniej.

Mężczyzna nie odpowiedział, stał po prostu w milczeniu z wąskimi białymi dłońmi wiszącymi koło kolan, a Jessie pomyślała: *Kolan?! Wykluczone, dłonie stojącej osoby mogą sięgać najwyżej do połowy ud!*

Do połowy ud sięgają ręce normalnego człowieka – wtrąciła nagle Ruth głosem tak cichym i zalęknionym, że Jessie prawie jej nie poznała. – *Ale czy myślisz, że normalny człowiek wkradłby się w środku nocy do czyjejs sypialni, stanął w kącie i patrzył na panią*

domu przykutą kajdankami do łóżka? Po prostu stałby i patrzył?

Mężczyzna poruszył nagle nogą, a może była to tylko gra cieni dostrzeżona przez Jessie kątem oka? Ruchome cienie w połączeniu ze srebrzystym światłem księżyca nadawały sypialni upiornie widmowy wygląd i Jessie znów zaczęła powątpiewać w realność intruza. Przyszło jej do głowy, że w dalszym ciągu śpi, że sen o urodzinach Willa zmienił się po prostu w dziwny koszmar... ale tak naprawdę w to nie wierzyła. Była to jawa, nie sen.

Nieważne zresztą, czy mężczyzna rzeczywiście poruszył nogą (a nawet, czy owa noga rzeczywiście istniała), wzrok Jessie podążył na moment w dół i wydało jej się, że widzi jakiś ciemny przedmiot stojący na podłodze. Nie mogła się zorientować, co to takiego, bo przedmiot znajdował się w gęstym cieniu rzucanym przez komodę, gdy wtem przypomniła sobie wczorajsze popołudnie, kiedy usiłowała przekonać Geralda, że naprawdę mówi poważnie. Słyszała tylko szum wiatru, drzwi uderzające o framugę, szczekanie psa, krzyki nura i...

Między nogami intruza stała piła łańcuchowa.

Nie wątpiła w to ani przez chwilę. Nieznajomy używał jej wcześniej, lecz nie do cięcia drewna. Mordował nią ludzi, a pies uciekł, bo wyczuł zbliżanie się szaleńca, który nadszedł ścieżką wzdłuż jeziora niosąc zakrwawioną piłę...

Przestań! – krzyknęła gniewnie Dobra Żona. – *Skończ natychmiast z tymi głupstwami i weź się w garść!*

Ale Jessie nie mogła przestać, wiedziała, że nie śni, i nabierała coraz głębszej pewności, iż mężczyzna stojący w rogu, równie niemy jak Frankenstein przed ożywieniem, nie jest tylko tworem jej wyobraźni. Ale przecież nawet jeśli istniał w rzeczywistości, nie spędził popołudnia mordując ludzi piłą łańcuchową! Naturalnie, że nie – Jessie zasugerowała się po prostu filmami opartymi na mrozących krew w żyłach opowieściach biwakowych, które wydawały się takie zabawne, gdy siedziło się wokół ogniska, smażąc kiełbaski, i takie koszmarnie później, w nocy, kiedy uczestniczki wyprawy dygotały ze strachu w śpiworach, święcie wierząc, że pierwszy lepszy trzask złamanej gałązki zwiastuje nadejście legendarnego Człowieka Jezior, odmóżdżonego weterana wojny koreańskiej.

Mężczyzna stojący w kącie nie był Człowiekiem Jezior ani mordercą przecinającym ludzi piłą. Na podłodze rzeczywiście coś stało (Jessie nie miała co do tego wątpliwości); owszem, mogła to być piła łańcuchowa, ale także torba... plecak... walizeczka, w której nosi próbki komiwojażer...

Albo moja wyobraźnia.

Tak. Chociaż Jessie spoglądała prosto na przedmiot stojący na podłodze, nie mogła wykluczyć, że to tylko wyobraźnia. Paradoksalnie, owa niepewność w jakiś perwersyjny sposób utwierdzała ją w przekonaniu, że sam mężczyzna jest rzeczywisty; coraz trudniej przychodziło jej ignorować poczucie zła, które emanowało z drżącej płataniny czarnych cieni i księżycowego blasku niczym nie milknące głucho warczenie.

Nienawidzi mnie – pomyślała. – Kimkolwiek jest, nienawidzi mnie. Na pewno. W przeciwnym razie przecież by mi pomógł, prawda?

Spojrzała z powrotem na ledwo widoczną twarz, na czarne, bezdenne oczy, w których lśniła gorączkowa pożądlivość, i rozplakała się.

– Przepraszam, czy ktoś tu jest? – spytała pokornie, krztusząc się łzami. – Jeśli tak, czy nie mógłby mi pan pomóc? Widzi pan te kajdanki? Kluczyki są tuż koło pana, na komodzie...

Nic. Żadnego ruchu. Żadnej odpowiedzi. Mężczyzna stał milcząc w kącie – oczywiście jeśli w ogóle istniał – i spoglądał na Jessie spod zwierzęcej maski cieni.

– Jeśli mam nikomu nie mówić, że pana widziałam, nie zrobię tego – spróbowała znowu. Jej głos zadrżał i załamał się. – Na pewno nikomu nie powiem! I będę... będę taka wdzięczna...

Obserwował ją.

Tylko to, nic więcej.

Jessie czuła łzy toczące się powoli po policzkach.

– Boję się pana – ciągnęła. – Nie odpowie pan? Nie może pan mówić? Czy nie mógłby się pan do mnie odezwać, jeśli naprawdę pan tam jest?!

I nagle ogarnęła ją rozedrgana, straszliwa histeria, która uniosła w ostrych szponach jakąś bezcenną, niemożliwą do zastąpienia cząstkę jej umysłu. Jessie płakała i błagała okropną postać stojącą bez ruchu w kącie sypialni; nie utraciła ani na chwilę przytomności, lecz niekiedy czuła w głowie dziwną pustkę, jakiej doznają ludzie, którzy odczuwają strach tak wielki, że przypomina ekstazę. Słuchała własnego ochryplego, zapłakanego głosu, gdy prosiła intruza, by – błagam – uwolnił ją z kajdanek – błagam, och błagam, niech mnie pan uwolni – a później znów osuwała się w dziwną pustkę. Czuła ruchy własnych ust, słyszała również wydobywające się z nich głoski i sylaby, jednakże nie były one słowami, tylko potokiem niezrozumiałych, bełkotliwych dźwięków. Słyszała szum wiatru i ujadanie psa, świadoma, lecz skamieniała ze zgrozy, nieprzytomna z trwogi przed ledwo widoczną postacią, straszliwym intruzem, nieproszonym gościem. Nie mogła oderwać oczu od jego wąskiej, zdeformowanej czaszki, bladych policzków, przygarbionych pleców... ale jej uwagę coraz bardziej przykuwały ramiona: zakończone wąskimi, dużymi dłońmi, o wiele dłuższe niż normalne ręce. Nie miała pojęcia, ile czasu tkwiła w owej pustce (dwunasta, dwunasta, dwunasta – błyskał zegar na toalecie, nie udzielając żadnej pomocy), lecz wreszcie przyszła trochę do siebie, w jej głowie pojawiły się z powrotem myśli, zastępując nie kończący się potok niespójnych wyobrażeń, i zaczęła słyszeć słowa, a nie bełkotliwe dźwięki. Jednakże unosząc się w pustce zmieniała temat swego monologu, jej słowa nie miały już nic wspólnego z kajdankami ani kluczykami na komodzie. Słyszała tylko piskliwy, histeryczny szept kobiety błagającej o odpowiedź – jakąkolwiek odpowiedź.

– Kim pan jest?! – szlochała. – Człowiekiem? Diabłem? Kim pan jest, na miłość boską!...

Szumiał wiatr.

Drzwi uderzały o framugę.

Twarz postaci jąła się zmieniać na jej oczach... zmarszczyła się i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Uśmiech ten miał w sobie coś straszliwie znajomego i Jessie poczuła, że zdrowe jądro jej umysłu, które aż do tej chwili znosiło owo przeżycie ze zdumiewającą siłą, zaczyna się wreszcie rozpadać.

– Tatuś? – szepnęła. – To ty, tatusiu?!

Nie bądź głupia! – zawołała Dobra Żona i nawet w jej rozsądnym głosie zabrzmiały pierwsze nutki hysterii. – *Nie zachowuj się jak głupia gęś, Jessie! Twój ojciec zmarł w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym roku!...*

Zamiast pomóc, pogorszyło to tylko sytuację. Znacznie pogorszyło. Toma Mahouta pochowano w krypcie rodzinnej w Falmouth, sto pięćdziesiąt kilometrów od jeziora Kashwakamak. W rozpalonym, przerażonym umyśle Jessie pojawił się koszmarny obraz: wyobraziła sobie zgarbioną postać, z ubraniem i zbutwiałymi butami pokrytymi zielonkawą pleśnią, skradającą się przez pola zalane światłem księżyca i śpieszącą przez brudne zagajniki między podmiejskimi dzielnicami willowymi, wyobraziła sobie, że przegniłe mięśnie ramion rozciągnęły się stopniowo pod wpływem siły ciężenia, aż sięgnęły kolan. Tak, stał przed nią jej ojciec. Człowiek, który nosił ją na barana, gdy miała trzy lata, a w trzy lata później uspokoił ją czule, kiedy rozplakała się ze strachu na widok klauna fikającego koziołki, człowiek, który opowiadał jej bajki na dobranoc, dopóki nie skończyła ośmiu lat i jak stwierdził, stała się już na tyle duża, by sama je czytać. Ojciec, który własnoręcznie przygotował okopcone szybki, gdy zbliżało się zaćmienie Słońca, a później posadził ją sobie na kolanach i powiedział: „O nic się nie martw... nie martw i nie oglądaj się za siebie”. Jessie pomyślała wówczas, że może to on się martwi, bo mówił głuchym, drżącym głosem, zupełnie innym niż zwykle.

Uśmiech postaci stojącej w kącie stawał się coraz szerszy i nagle w pokoju pojawił się tamten dziwny mineralny zapach, na poły metaliczny, na poły organiczny, kojarzący się z ostrygami w śmietanie, z zapachem dłoni, w której trzymało się garść miedziaków, z wonią powietrza tuż przed burzą.

– To ty, tatusiu? – spytała ledwo widoczną postać w kącie, a gdzieś w dali rozległ się krzyk nura. Czują łzy spływające powoli po policzkach. Działo się z nią w tej chwili coś bardzo dziwnego, czego zupełnie się nie spodziewała. W miarę jak nabierała pewności, że w kącie stoi Tom Mahout, jej ojciec zmarły przed dwunastu laty, trwoga zaczęła ją opuszczać. Poprzednio podciągnęła kolana, lecz teraz wyciągnęła swobodnie nogi i nieco je rozchyliła. Nagle przypomniała sobie okruczeństwo – słowa CÓRECZKA TATUSIA wypisane na jej piersiach szminką „Peppermint Yum-Yum”.

– W porządku, rób, co masz zrobić – zwróciła się do zjawy. Mówiła nieco ochryplym, lecz zupełnie spokojnym głosem. – Właśnie po to wróciłeś, prawda? Więc rób, co masz zrobić. Przecież i tak nie mogłabym cię powstrzymać. Po prostu obiecaj, że później mnie

uwolnisz. Że mnie uwolnisz i pozwolisz mi odejść.

Mężczyzna nie odpowiedział. Stał w milczeniu w surrealistycznej gmatwaninie światła i cieni, szczerząc zęby w uśmiechu. Mijały sekundy (dwunasta, dwunasta, dwunasta – powtarzał zegar na komodzie, zdając się sugerować, że upływ czasu to tylko złudzenie, że czas zatrzymał się na zawsze), a Jessie pomyślała, iż może na początku miała rację, że może w sypialni nikogo nie ma. Czowała się niczym kurek na dachu, miotany kapryśnymi, zmiennymi podmuchami wiatru, jakie wieją niekiedy przed burzą albo huraganem.

Twój ojciec nie może wstać z grobu – odezwała się Dobra Żona Burlingame, usiłując mówić pewnym głosem, lecz ponosząc całkowite fiasko. Mimo to Jessie podziwiała jej upór. Cokolwiek się działo, Dobra Żona usiłowała zachować rozsądek. – *To nie horror ani scena ze „Strefy mroku”, Jess, to normalna rzeczywistość.*

Ale inna część umysłu Jessie – stanowiąca być może źródło tych kilku głosów wewnętrznych, które były autentycznymi głosami z kosmosu, a nie tylko kanałami akustycznymi łączącymi świadomość z podświadomością – upierała się, że kryje się w tym wszystkim jakaś mroczna prawda, irracjonalny (a może nadnaturalny?) cień wymykający się logice. Głos ten twierdził, że w mroku świat się zmienia. W mroku, a zwłaszcza w samotności. Pękają wówczas zamki klatki, w której mieszka wyobraźnia, i wszystko może się wyrwać na wolność – absolutnie wszystko.

To naprawdę może być twój tatuś – szepnął ów obcy głos, a Jessie z dreszczem lęku usłyszała w nim nutki szaleństwa. – *To naprawdę może być on, nie miej co do tego wątpliwości. W ciągu dnia prawie nigdy nie zagrażają nam duchy, demony ani żywe trupy; zwykle są one niegroźne także w nocy, jeśli przebywamy w towarzystwie innych ludzi, ale kiedy zostajemy sami w ciemności, przestają obowiązywać jakiegokolwiek reguły. Mężczyźni i kobiety są w mroku jak otwarte drzwi, Jessie, a jeśli wołają o pomoc, kto wie, jakie straszliwe istoty mogą się pojawić? Kto wie, co widzieli niektórzy ludzie w chwili śmierci? Czy tak trudno uwierzyć, że część z nich umarła ze strachu, niezależnie od tego, co głoszą świadectwa zgonu?*

– Nie wierzę – odrzekła Jessie niewyraźnym, drżącym głosem. Odezwała się głośniejsz, usiłując wykrzesać z siebie pewność, której nie czuła: – Nie jesteś moim ojcem! Jesteś nikim! Jesteś utkany ze światła księżycy!...

Mężczyzna nie odpowiedział, zamiast tego pochylił się do przodu, jakby parodiując ukłon, i na moment ukazała się jego twarz – zbyt wyraźnie widoczna, by wątpić w jej istnienie. Kiedy blade światło księżycy wpadające przez świetlik powlokło rysy nieznanego srebrzystą poświatą, z gardła Jessie wyrwał się ochryply okrzyk. Nie był to jej ojciec, na twarzy intruza malowało się takie zło i szaleństwo, że Jessie wołałaby już ujrzyć swojego ojca, nawet po tych dwunastu latach w zbutwiałej trumnie. Z głębokich oczodołów otoczonych siecią zmarszczek spoglądały na nią ohydnie migotliwe oczy w czerwonych obwódkach. Cienkie wargi wykrzywiły się w suchym uśmiechu, aż ukazały się żółte zęby

trzonowe i nierówne kły, prawie tak długie jak u psa.

Jedna z białych dłoni uniosła przedmiot, którego ciemny zarys Jessie dostrzegła na podłodze. Z początku myślała, że to teczka Geralda przyniesiona z gabinetu, ale gdy na kwadratowy przedmiot padło światło, zorientowała się, że to coś większego i znacznie starszego, przypominającego trochę staroświeckie walizeczki na próbki, jakie nosili ongiś komiwojażerowie.

– Błagam... – wyszeptała słabym, zdyszczonym szeptem. – Kimkolwiek pan jest, proszę nie robić mi krzywdy. Nie musi mnie pan uwalniać, skoro pan nie chce, ale proszę nie robić mi krzywdy...

Uśmiech stał się jeszcze szerszy i Jessie ujrzała lśniące punkciki w głębi ust – najwyraźniej mężczyzna miał złote zęby albo plomby, takie jak Gerald. Śmiał się bezgłośnie, jakby zadowolony z jej przerażenia. Rozpiął długimi palcami klamry walizeczki...

To sen, to rzeczywiście sen, Bogu dzięki, że to tylko sen.

...i otworzył je. W środku znajdowały się kości i biżuteria. Jessie zobaczyła palce, obrączki, złote zęby, bransoletki, kości łokciowe i wisioriki, zobaczyła brylant tak wielki, że udławiłby się nim nosorożec, zobaczyła delikatną klatkę piersiową niemowlęcia, w której lśniły czworokątne mlecznego księżycowego światła. Widziała to wszystko i pragnęła, by był to sen; owszem, pragnęła, ale nawet jeśli był, nic takiego jeszcze nigdy jej się nie przyśniło. Cała sytuacja kojarzyła się z nocnym koszmarem – Jessie przykuta do łóżka, ledwo widoczny maniak pokazujący jej swoje skarby – rzeczywiście, przypominało to sen. Jednakże to, co czuła...

Czuła, że to jawa. Nie mogła temu zaprzeczyć. Czuła, że to jawa.

Intruz stojący w kącie otworzył walizkę i pokazywał Jessie jej zawartość, podtrzymując dłonią dno. Zanurzwszy chudą rękę w płataninie kości i biżuterii, zaczął nią poruszać, aż rozległ się posępny szelest i grzechot przywodzący na myśl brudne kastaniety. Jednocześnie spoglądał z rozbawieniem na Jessie, zmarszczył się, rozdziawił usta, a jego przygarbione ramiona zaczęły podrygiwać od zduszonych wybuchów śmiechu.

Nie! – krzyknęła Jessie, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Nagle poczuła, że ktoś – chyba Dobra Żona (o rety, ileż ona miała w sobie odwagi!) – pędzi ku przełącznikom rządzącym obwodami elektrycznymi w mózgu Jessie. Dobra Żona zauważyła strużki dymu sączące się ze szczelin w tablicach kontrolnych, zrozumiała, co to znaczy, i podjęła ostateczną, rozpaczliwą próbę wyłączenia maszyny, nim łożyska silników stopią się od gorąca.

Szczerząca zęby postać po przeciwnej stronie pokoju sięgnęła głębiej do walizeczki i wyciągnęła ku Jessie dłoń pełną kości i złota, które zaśniło w świetle księżyca.

W głowie Jessie błysnęło nieznośnie jaskrawe światło, po czym zapadła ciemność. Nie zemdlała ładnie, niczym bohaterka salonowej sztuki teatralnej, lecz poleciała gwałtownie do tyłu niczym morderczyni skazana na powieszenie i posadzona na końskim grzbiecie z pętlą na

szy. Tak czy owak, horror na razie się zakończył. Jessie Burlingame runęła w mrok bez słowa protestu.

14

Po pewnym czasie z trudem odzyskała przelotnie przytomność, świadoma tylko dwóch rzeczy: że księżyc świeci przez okno od strony zachodniej, a ona strasznie się boi... Z początku nie pamiętała czego. Wreszcie przypomniała sobie: w domu był tatuś, a może ciągle jest. Nieznajomy nie był co prawda do niego podobny, ale tylko dlatego, że tatuś ukazał swoją twarz z dnia zaćmienia.

Jessie uniosła się z wysiłkiem, tak mocno odpychając się nogami, że aż zsunęła prześcieradło. Jednakże zupełnie nie była w stanie poruszać zdrętwiałymi rękoma; w tej chwili miały w sobie dokładnie tyle życia, ile stołowe nogi. Spojrzała rozszerzonymi oczyma w stronę komody, osrebrzonej światłem księżyca. Wiatr ucichł i cienie nie poruszały się, przynajmniej na razie. Kąt był pusty. Mroczny gość zniknął.

Może nie zniknął, Jess, może po prostu gdzieś się schował? Na przykład pod łóżkiem, co ty na to? Jeśli tam jest, może lada chwila wyciągnąć rękę i położyć ci ją na biodrze.

Zaszumiał wiatr, a tylne drzwi uderzyły lekko o framugę. Poza tym panowała cisza. Pies umilkł i właśnie to przekonało w końcu Jessie, że tajemniczy gość odszedł. Została w domu sama.

Jej wzrok spoczął na dużym ciemnym kształcie na podłodze.

Niezupełnie sama – pomyślała. – Jest jeszcze Gerald. Nie mogę o nim zapomnieć.

Odchyliła głowę do tyłu i przymknęła powieki, zdając sobie sprawę z lekkiego pulsowania w gardle i nie chcąc ocknąć się na tyle, by owo pulsowanie zmieniło się w to, czym naprawdę było: w pragnienie. Nie wiedziała, czy utrata przytomności może przejść w zwykły sen, lecz o nim właśnie marzyła i łaknęła snu równie mocno jak tego, by ktoś przyjechał i ją uwolnił.

Nie było tu nikogo, Jessie, wiesz o tym, prawda? Rozpoznała – szczyt absurdu! – trzeźwy głos Ruth, pozującej zawsze na osobę rzeczową, twardą i zdecydowaną. Ruth, która na widok postaci w świetle księżyca zmieniła się w kupę rozdygotanej galarety.

Nie żałuj sobie, kochana – ciągnęła Ruth. – Naśmiewaj się ze mnie, ile chcesz (może nawet na to zasługuję), ale nie oszukuj samej siebie. Nikogo tu nie było. To niewielka inscenizacja urządzona przez twoją wyobraźnię.

Mylisz się, Ruth – odpowiedziała spokojnie Dobra Żona. – Ktoś tu był, owszem, a ja i

Jessie wiemy kto. Wyglądał trochę inaczej niż tatuś, ale tylko dlatego, że miał maskę z dnia zaćmienia. A zresztą twarz jest nieistotna, podobnie jak wzrost, mógł nosić buty na grubych podeszwach, a nawet koturnach. Nie zdziwiłabym się, gdyby przyszedł na szczudłach.

Szczudłach?! – zawołała zdumiona Ruth. – Boże, tego już za wiele! Tom Mahout zmarł długo przed prezydenturą Reagana, a poza tym był taki niezgrabny, że powinien mieć polisę ubezpieczeniową na wypadek spadnięcia ze schodów! Szczudła?! Och, dziecino, teraz już wiem, że się ze mnie nabijasz!

Nieważne – odrzekła Dobra Żona z pogodnym uporem. – To był on. Wszędzie poznałabym ten zapach: gęsty, ciepły jak krew. Nie zapach ostryg ani skóry potartej miedziakami. Nawet nie zapach krwi. Zapach...

Myśl urwała się i odpłynęła.

Jessie zapadła w sen.

15

Dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku została sama z ojcem w „Sunset Trails” z dwóch powodów. Pierwszy był tylko pretekstem na użytek innych: Jessie twierdziła, że ciągle się boi pani Gilette, choć minęło przeszło pięć lat (w istocie prawie sześć) od incydentu z ciasteczkami i kłapsem w rękę. Drugi, prawdziwy powód był znacznie prostszy: zaćmienie Słońca zdarza się przecież raz w życiu i Jessie chciała spędzić ten wyjątkowy dzień tylko z tatusiem.

Matka domyślała się tego i nie podobało jej się to, że mąż i jedenastoletnia córka manipulują nią niczym marionetką, lecz musiała się pogodzić z faktem dokonany: Jessie poszła najpierw do tatusia. Nie miała jeszcze nawet jedenastu lat, lecz nie była bynajmniej głupia. Podejrzenia Sally Mahout pokrywały się całkowicie z prawdą: Jessie rozpoczęła starannie przemyślaną kampanię, aby spędzić dzień zaćmienia wyłącznie z ojcem. Znacznie później uznała to za kolejny powód, by nie wspominać nikomu o tym, co się wówczas zdarzyło, ktoś – na przykład matka – mógłby powiedzieć, że Jessie nie ma prawa się skarżyć, bo przecież sama tego chciała.

W wigilię zaćmienia Jessie podeszła do ojca siedzącego na tarasie i czytającego „Profiles in Courage” w miękkiej okładce, Sally, Will i Maddy chlapali się, rozbawieni, w jeziorze. Usiadła obok, a on obdarzył ją uśmiechem, który natychmiast odwzajemniła. Przed rozmową pomalowała sobie wargi szminką „Peppermint Yum-Yum”, prezentem urodzinowym od Maddy. Z początku pomadka nie przypadła Jessie do gustu – miała odcień jak dla dziecka i smakowała jak „Pepsodent” – ale tatuś powiedział, że jego Kruszyna ładnie w niej wygląda, a to zmieniło szminkę w najcenniejszy artykuł kosmetyczny przechowywany niczym skarb i zarezerwowany tylko na specjalne okazje.

Tom wysłuchał uważnie tego, co miała do powiedzenia, lecz nie starał się ukryć błysku sceptycznego rozbawienia w oczach.

– Naprawdę twierdzisz, że ciągle się boisz Adrienne Gilette? – spytał, kiedy córka powtórzyła starą opowieść o tym, jak pani Gilette dała jej po łapach, gdy Jessie sięgnęła po ostatnie ciasteczko na talerzu. – Zaraz, kiedy to było?... Nie wiem, ale pracowałem wtedy jeszcze u Dunningera, więc na pewno przed tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym rokiem. I po tylu latach ciągle cię to prześladowa? To niewiarygodne, moja kochana!

– No cóż... wiesz... tylko trochę. – Otworzyła szerzej oczy, usiłując zasugerować, że cała sprawa jest znacznie ważniejsza. Tak naprawdę nie miała pojęcia, czy ciągle się boi starej Puchatki, ale wiedziała, że pani Gilette to piekielnie nudny babsztyl, i nie miała ochoty podziwiać jedyne go zaćmienia Słońca, jakie zapewne kiedykolwiek zobaczy, w jej towarzystwie, skoro mogła je obejrzeć z tatusiem, którego całym sercem podziwiała. Obserwowała wyraz jego twarzy i doszła z ulgą do wniosku, że jest przyjazny, może nawet konspiracyjny. – A poza tym chcę zostać z tobą – dodała z uśmiechem.

Tom uniósł jej dłoń do ust i pocałował niczym francuski galant. Nie ogolił się tego dnia – podczas wakacji często z tego rezygnował – i szorstki zarost wywołał przyjemną gęsią skórkę na ramionach i plecach Jessie.

– *Comme tu es douce* – powiedział. – *Ma jolie mademoiselle. Je t'aime.*

Zachichotała, nie rozumiejąc jego niezgrabnej francuszczyzny, lecz nabrała nagle pewności, że wszystko potoczy się wedle jej myśli.

– Będzie naprawdę fajnie! – powiedziała szczęśliwym głosem. – Tylko my dwoje. Zrobię wczesną kolację i zjemy ją tutaj, na tarasie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Hamburgery *a deux!*

Roześmiała się, kiwając głową i klaszcząc z zadowoleniem.

Później Tom powiedział coś, co nawet wówczas wydało jej się nieco dziwne, bo przecież zupełnie nie interesował się ubraniami i modą.

– Mogłabyś włożyć tę swoją nową letnią sukienkę.

– Jasne, skoro chcesz – odrzekła, choć już wcześniej postanowiła poprosić matkę, by wymieniła sukienkę. Rzeczywiście, była dość ładna – pod warunkiem że komuś podobały się jaskrawe czerwono-żółte pasy – ale za mała i za ciasna. Matka zamówiła ją w firmie wysyłkowej, wpisując rozmiar na wycucie, o jeden numer większy niż w zeszłym roku. Okazało się jednak, że Jessie rosła nieco szybciej, i to nie tylko wzwyż. Mimo to, jeśli tatuś mówi, że sukienka jest ładna... jeśli stanie po stronie Jessie i pomoże przekonać...

Rzeczywiście stanął po jej stronie i przekonywał. Zaczął jeszcze tego samego wieczoru, sugerując żonie po kolacji (i dwóch czy trzech kieliszkach czerwonego wina dla poprawy nastroju), by Jessie została w domu, zamiast jechać na jutrzejszą wycieczkę na szczyt Mount Washington. Wybierała się tam większość sąsiadów z domków letniskowych nad jeziorem; już od początku czerwca zaczęli organizować nieformalne narady na temat tego, skąd obserwować zbliżający się fenomen (narady te do złudzenia przypominały Jessie zwykłe wakacyjne przyjęcia koktajlowe), i nawet nadali sobie nazwę: Czciociele Słońca znad Dark Score. Wynajęli mikrobus należący do miejscowej szkoły i planowali wycieczkę na szczyt najwyższej góry w stanie New Hampshire, zamierzali zabrać ze sobą lunch, okulary przeciwsłoneczne, odbłyśniki, aparaty fotograficzne wyposażone w specjalne filtry... oraz oczywiście szampana. Mnóstwo, mnóstwo szampana. Sally i Maddy uważały, że będzie to

kwintesencja wyszukanej ekskluzywnej zabawy, Jessie zaś... nudy, i to jeszcze przed pojawieniem się na horyzoncie starej Puchatki.

Wieczorem dziewiętnastego lipca wyszła po kolacji na taras, rzekomo by przeczytać przed zachodem słońca kilkadziesiąt stron „Z milczącej planety” Clive’a Staplesa Lewisa. Jej rzeczywisty cel był znacznie bardziej prozaiczny: chciała słyszeć, jak ojciec przedstawia matce ich wspólną prośbę, i milcząco go wspierać. Jessie i Maddy wiedziały od wielu lat, że salon domku letniskowego, służący również jako jadalnia, ma szczególne własności akustyczne, zapewne wywołane wysokim ukośnym sufitem; nawet Will zauważył niedawno, iż na tarasie słyhać wszystko, co się mówi w salonie. Tylko rodzice nie podejrzewali, że są na stałym podsłuchu i że większość ważnych decyzji podejmowanych po kolacji przy koniaku lub kawie dociera do córek o wiele wcześniej, niż powinna.

Jessie spostrzegła, że trzyma powieść Lewisa do góry nogami i szybciotko naprawiła błąd, w obawie że w pobliżu pojawi się Maddy i uśmieje się z niej niemym homeryckim śmiechem. Miała oczywiście wyrzuty sumienia – to, co robiła, znacznie bardziej przypominało podsłuchiwanie niż wspieranie, gdyby się nad tym głębiej zastanowić – lecz nie były one dostatecznie silne, by przeniosła się z książką gdzie indziej. W istocie rzeczy szczerze wierzyła, że nie robi nic szczególnie niemoralnego. W końcu nie ukryła się w szafie czy coś w tym stylu, siedziała otwarcie na tarasie, skąpana w pomarańczowych promieniach zachodzącego słońca. Siedziała z książką w ręku i mogła się na przykład zastanawiać, czy na Marsie również zdarzają się zaćmienia Słońca i czy żyją tam Marsjanie, którzy je podziwiają. A zresztą, skoro rodzice myślą, że nikt ich nie słyszy, bo siedzą przy stole w salonie, czy to wina Jessie? Czy powinna wejść do pokoju i powiedzieć, że słyszy każde słowo?

– Nie sądzę, moja droga – szepnęła wyniosłym tonem Elizabeth Taylor z „Kotki na gorącym blaszanym dachu” i zasłoniła dłońmi usta, by zakryć szeroki złośliwy uśmiech. Doszła do wniosku, że starsza siostra również nie będzie jej przeszkadzać, przynajmniej na razie; słyszała Maddy i Willa na stryszku, dobroduszenie sprzeczącących się nad partyjką warcabów albo tryktraka.

– Cóż, chyba nie stanie jej się nic złego, jak tu jutro ze mną zostanie, prawda? – pytał ojciec swoim najbardziej przymilnym, pogodnym tonem.

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała matka – ale wcale by jej nie zaszkodziło, gdyby pojechała razem z nami. To już istna córeczka tatusia.

– W zeszłym tygodniu wybrała się z tobą i Willem na przedstawienie kukielkowe w Bethel. Czy sama nie mówiłaś, że pilnowała Willa, a nawet kupiła mu lody z własnego kieszonkowego, gdy poszłaś na licytację?

– Nie było to z jej strony żadne poświęcenie – odrzekła ponuro Sally.

– Co masz na myśli?

– Pojechała na przedstawienie kukielkowe, bo chciała, i zaopiekowała się Willem, bo również chciała. – Ponury ton ustąpił miejsca czemuś bardziej znajomemu: irytacji. –

Obawiam się, że jako mężczyzna nie jesteś w stanie tego zrozumieć.

W ciągu ostatnich kilku lat Jessie coraz częściej słyszała w głosie Sally podobne nuty. Działo się tak w dużej mierze dlatego, iż w miarę dorastania dostrzegała coraz więcej, choć była również zupełnie pewna, że matka używa owego tonu częściej niż niegdyś. Jessie nie potrafiła pojąć, dlaczego logiczne argumenty ojca zawsze doprowadzają matkę do szału.

– To, że zrobiła coś, na co miała ochotę, miałyby być nagle powodem do niepokoju? – spytał Tom. – A może miałyby nawet świadczyć przeciwko Jessie? A jeżeli zapisze się do harcerstwa i zechce jeździć na obozy, co z nią wtedy pocniemy, Sal? Umieścimy ją w domu poprawczym?

– Nie udawaj, Tom. Doskonale wiesz, o co mi chodzi.

– Nie, tym razem nie mam zielonego pojęcia, kotuniu. Jesteśmy podobno na wakacjach, prawda? Zawsze sądziłem, że jak ludzie są na wakacjach, robią to, na co mają ochotę. Wydawało mi się nawet, że do tego się sprowadza istota wakacji.

Jessie uśmiechnęła się, wiedząc, że wygrała. Kiedy jutro po południu rozpocznie się zaćmienie, będzie razem z tatusiem, a nie na szczycie Mount Washington z Puchatką i resztą Czcieli Słońca znad Dark Score. Ojciec poprowadził rozgrywkę jak arcymistrz szachowy światowej sławy, który z łatwością zdobył przewagę nad utalentowaną nowicjuską i musiał tylko przypieczętować zwycięstwo.

– Mógłbyś też pojechać, Tom, wtedy Jessie zrobiłaby to samo.

Był to podstępny ruch. Jessie wstrzymała oddech.

– Nie mogę, kochana, czekam na telefon od Davida Adamsa w sprawie portfela akcji Brookings Pharmaceuticals. To bardzo ważne... i szalenie ryzykowne. W tej chwili obrót akcjami Brookings przypomina żonglerkę pojemnikami z nitrogliceryną. Powiem ci szczerze: nawet gdybym mógł pojechać, nie jestem pewien, czy bym to zrobił. Nie przepadam za tą Gilette, ale potrafię z nią współżyć. Ten bęcwał Sleefort, z drugiej strony...

– Tss, Tom!

– Nie martw się, Maddy i Will są na dole, a Jessie na tarasie. Widzisz ją?

W tejże chwili Jessie nagle zrozumiała, że ojciec świetnie zna tajemnicę akustyki salonu, wiedział, że córka słyszy każde słowo. Chciał, żeby słyszała każde słowo. Po plecach przebiegł jej lekki ciepły dreszczyk.

– Powinam się domyślić, że tak naprawdę chodzi o Dicka Sleeforta! – Matka wydawała się jednocześnie rozbawiona i rozgniewana, aż Jessie zakręciło się w głowie. Miała wrażenie, że tylko dorośli potrafią łączyć w ten sposób uczucia; gdyby emocje były potrawami, emocje dorosłych przypominałyby steki z czekoladową polewą, kartofle z ananasek, ciastka posypane chili zamiast cukrem. Dorosłość wydawała się Jessie bardziej karą niż nagrodą. – To doprawdy irytujące, Tom, tamten incydent zdarzył się przed sześcioma laty. Sleefort był pijany. W owych czasach był zawsze pijany, ale od tamtej pory się zmienił. Polly Bergeren twierdzi, że zapisał się do Anonimowych Alkoholików, a poza tym...

– Pieprzę tego gościa – odrzekł sucho ojciec. – Czy mamy mu wysłać życzenia albo dać order?

– Nie bądź wulgarny. Prawie złamałeś mu nos...

– O, doprawdy! Jak się wchodzi do kuchni, by przygotować drinka, i widzi sąsiada z tej samej ulicy z jedną ręką na tyłku żony, a drugą w dekolcie...

– Daj spokój – odpowiedziała cnotliwie matka, lecz w jej głosie zabrzmiało niemalże zadowolenie. Sprawa stawała się coraz dziwniejsza. – Pora, byś zrozumiał, że Dick Sleefort to nie wcielony diabeł, i pora, by Jessie zrozumiała, że Adrienne Gilette to po prostu samotna stara kobieta, która dla żartu dała jej po łapach podczas przyjęcia w ogrodzie. Proszę, nie wściekaj się na mnie, Tom, nie twierdzę, że to dobry żart, wręcz przeciwnie. Chcę powiedzieć, że Adrienne po prostu tego nie wyczuła. Nie miała złych zamiarów.

Jessie spuściła oczy i spostrzegła, że prawie złamała grzbiet książki trzymanej w prawej ręce. Jak to możliwe, że matka, która ukończyła z wyróżnieniem Vassar College (cokolwiek to oznacza), jest taka głupia? Odpowiedź wydawała się Jessie oczywista: Sally nie jest taka głupia. Albo świadomie oszukuje, albo nie potrafi dostrzec prawdy. Narzucało się to samo przez się; zmuszona dokonać wyboru między tym, czy dać wiarę brzydkiej starej kobiecie spędzającej lato w pobliskim domku letniskowym, czy własnej córce, Sally Mahout wybrała Puchatkę. Niezły wybór, co? *Jestem córeczką tatusia – to dlatego. To główna przyczyna, lecz nie mogę jej tego powiedzieć, a ona sama nigdy się nie domyśli. Nigdy, nawet za milion lat.* Jessie siłą woli rozluźniła dłoń trzymającą książkę. Pani Gilette naprawdę chciała ją uderzyć, naprawdę miała złe zamiary, lecz ojciec i tak się nie mylił: Jessie nie odczuwała już lęku przed starym babsztylem. Poza tym miała postawić na swoim i zostać z ojcem, więc żadne idiotyczne uwagi matki nie liczyły się już, prawda? Jessie zostanie z tatusiem, nie będzie musiała patrzeć na Puchatkę, a wszystko dlatego, bo...

– Bo tatuś jest po mojej stronie – mruknęła.

Tak, szczerą prawdą. Ojciec stoi po stronie Jessie, a matka stoi nad nią jak kat nad dobrą duszą.

Jessie dostrzegła na ciemniejącym niebie słabo świecącą planetę Wenus i nagle zdała sobie sprawę, że siedzi na tarasie i podsłuchuje rodziców, którzy od prawie trzech kwadransów rozmawiają o niej i o zaćmieniu Słońca. Przy okazji odkryła mało znaczący, lecz interesujący fakt: czas biegnie najszybciej, gdy podsłuchuje się rozmowy o sobie.

Prawie bezmyślnie uniosła dłoń, chwyciła planetę i wypowiedziała w myśli życzenie, by pozwolono jej zostać tu jutro z tatusiem. Zostać z nim, żeby nie wiadomo co. Żeby byli niczym dwoje ludzi, którzy się kochają od wielu lat, siedzą razem na werandzie i jedzą hamburgery... Jak stare małżeństwo.

– Jeśli chodzi o Dicka Sleeforta, przeprosił mnie później, Tom. Nie pamiętam, czy kiedykolwiek ci o tym wspominałam...

– Owszem, wspominałaś, ale nie przypominam sobie, żeby Sleefort kiedykolwiek mnie

przepraszał...

– Pewnie się bał, że rozwalisz mu głowę, a przynajmniej spróbujesz to zrobić... – odpowiedziała Sally, mówiąc szczególnym tonem; wydawał się on nerwową mieszaniną zadowolenia, dobrego humoru i gniewu. Jessie zastanawiała się przez chwilę, czy osoba zupełnie zdrowa na umyśle może mówić w taki sposób, po czym natychmiast zdusiła w sobie ową myśl. – Poza tym chciałabym powiedzieć ci coś jeszcze o Adrienne Gillette, zanim całkowicie porzucimy ten temat...

– Słucham cię.

– Powiedziała mi w pięćdziesiątym dziewiątym roku, całe dwa lata później, że przechodziła wtedy menopauzę. Nie wspomniała o Jessie ani o incydencie z ciasteczkiem, ale chyba starała się przeprosić.

– Och... – Ojciec mówił swoim najchłodniejszym, najbardziej adwokackim tonem. – A czy któraś z was, kobiet, usiłowała przekazać tę informację Jessie... i wytłumaczyć jej, co to znaczy?

Matka milczała. Jessie, która ciągle miała bardzo blade pojęcie o tym, co oznacza słowo „menopauza”, spuściła oczy i zauważywszy, że znów o mało nie złamała grzbietu książki, rozluźniła ręce.

– Albo może ją przeprosić? – ciągnął ojciec łagodnym, pieszczotliwym, morderczym tonem.

– Przestań mnie przesłuchiwać! – wybuchnęła Sally po długim, napiętym milczeniu. – Jesteśmy w domu, a nie w sądzie okręgowym, jeśli jeszcze tego nie zauważyłeś!

– To ty poruszyłeś ten temat, nie ja – odparł Tom. – Po prostu pytałem...

– Och, jak ty wszystko przekręcasz – przerwała Sally. Jessie poznała po tonie jej głosu, że albo już płacze, albo za chwilę się rozpłacze. Po raz pierwszy, odkąd pamiętała, płacz matki nie wzbudził w niej współczucia (nie miała najmniejszej ochoty jej pocieszać, prawdopodobnie sama by się przy tym rozbeczała), zamiast tego czuła dziwną, kamienną satysfakcję.

– Jesteś zdenerwowana, Sally. Dlaczego po prostu...

– Masz rację, jestem zdenerwowana! Denerwują mnie kłótnie z własnym mężem, czy cię to nie dziwi? A wiesz, o co się kłócimy? Poddam ci pewną myśl, Tom: nie kłócimy się o Adrienne Gillette ani o Dicka Sleeforta, ani o jutrzejsze zaćmienie. Kłócimy się o Jessie, naszą córkę, więc to przecież nic nowego! – Roześmiała się przez łzy. Rozległo się suche pstryknięcie, gdy zapalała papierosa. – Jest takie przysłowie: wóz ma cztery koła, ale smaruje się to, które piszczy. A taka właśnie jest przecież nasza Jessie, prawda? Jest kołem, które piszczy. Zawsze niezadowolona, dopóki sama nie urządzi wszystkiego po swojej myśli. Nigdy nie podobają jej się cudze pomysły. Nigdy nie ma z nią spokoju.

Jessie z przerażeniem słuchała głosu matki, w którym brzmiało coś bardzo podobnego do nienawiści.

– Sally...

– Nieważne, Tom. Chce z tobą zostać? Świetnie. A zresztą i tak nie byłoby przyjemnie z nią jechać, ciągle wszczynalaby bójkę z Maddy i jęczała, że musi się opiekować Willem. Innymi słowy, tylko by marudziła.

– Sally, Jessie rzadko marudzi i potrafi bardzo dobrze...

– Och, czy ty nic z tego nie rozumiesz?! – zawołała Sally Mahout i złość brzmiąca w jej głosie spowodowała, że Jessie skurczyła się na leżaku. – Przysięgam na Boga, że czasami zachowujesz się, jakby była twoją narzeczoną, a nie córką!

Tym razem to ojciec umilkł na dłuższy czas, kiedy się wreszcie odezwał, jego głos był cichy i chłodny:

– To cholernie złośliwa, niesprawiedliwa i perfidna uwaga – powiedział.

Jessie siedziała na werandzie, spoglądając na planetę Wenus i czując narastającą trwogę, wręcz horror. Zapragnęła nagle znów chwycić Wenus dłonią – tym razem by anulować wszystkie poprzednie życzenia, a zwłaszcza to, by zostać jutro z tatusiem w „Sunset Trails”.

Wreszcie w pokoju coś zaszurało, matka odsunęła krzesło.

– Przepraszam – powiedziała Sally i chociaż w jej głosie wciąż brzmiał gniew, tym razem Jessie zauważyła w nim również coś w rodzaju lęku. – Zostań z nią jutro, jeśli chcesz. Świetnie! Doskonale! Dobrze się bawcie!

Później rozległ się stukot obcasów odchodzącej matki, a w chwilę potem pstryknięcie zapalniczki ojca, który zapalił papierosa.

Jessie poczuła, jak napływają jej do oczu ciepłe łzy – łzy wstydu, bólu i ulgi, że kłótnia skończyła się, nim stała się jeszcze gorsza... bo czyż zarówno Jessie, jak i Maddy nie spostrzegły, iż kłótnie rodziców zaczęły się stawać ostatnio coraz głośniejsze i gorętsze, a chłód, jaki panował później pomiędzy nimi, ustępuje coraz wolniej? Czy to możliwe, że oni... *Nie* – przerwała własną myśl, nim uformowała się ona w pełni. – *Nie, to zupełnie niemożliwe, więc po prostu się zamknij.* Może potrzebna jest zmiana scenerii? Jessie wstała, zeszła po schodkach i poszła ścieżką wzdłuż brzegu jeziora. Usiadła nad wodą i zaczęła puszczać kaczki, a po półgodzinie dołączył do niej ojciec.

– Zamawiam jutro na drugą hamburgery na tarasie – powiedział i pocałował ją w szyję. Ogolił się i miał gładkie policzki, ale Jessie i tak poczuła ten sam leciutki, słodki dreszczyk. – Wszystko załatwione.

– Mama była wściekła?

– Nie – odrzekł pogodnie ojciec. – Powiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, bo wykonałaś już w tym tygodniu wszystkie prace domowe.

Jessie zapomniała o wcześniejszym domyśle, że ojciec dobrze zna własności akustyczne salonu, i jego wielkoduszne kłamstwo wzruszyło ją tak głęboko, że prawie się rozpląkała. Zarzuciła mu ramiona na szyję i zaczęła pokrywać mu usta i policzki gorączkowymi pocałunkami. Z początku wydawał się zdziwiony. Cofnął gwałtownie ręce i przez chwilę

spoczywały one na drobnych piersiach Jessie. Znow przebiegł ją ten sam słodki dreszcz, lecz tym razem był on znacznie silniejszy – tak silny, że prawie bolesny, niczym wstrząs – a jednocześnie, niczym dziwaczne *deja vu*, pojawiło się to samo powracające poczucie sprzeczności związanych z dorosłością; światem, gdzie można zamówić klopsy z jeżynami albo jajecznicę na cytrynie i gdzie niektórzy ludzie naprawdę jedzą takie potrawy. Później ojciec przytulił mocno Jessie, kładąc ręce na jej łopatkach, a jeśli przedtem jego dłonie znajdowały się nieco dłużej w miejscu, gdzie nie powinny, ona sama ledwo to zauważyła.

Kocham cię, tatusiu.

Ja też cię kocham, Kruszyno. Sto milionów całusów.

16

W dniu zaćmienia wstał gorący, parny ranek, lecz niebo było względnie czyste – ostrzeżenia synoptyków, że Słońce mogą zasłonić ławice niskich chmur, okazały się bezpodstawne, przynajmniej w zachodniej części stanu Maine.

Sally, Maddy i Will wyszli z domu około dziesiątej rano, by zdążyć na mikrobus Czcieli Słońca znad Dark Score (przed odjazdem Sally sztywno, chłodno pocałowała Jessie w policzek, a Jessie odwzajemniła się tym samym), pozostawiając Toma z córką – „piszczącym kołem u wozu”.

Jessie zdjęła szorty i bawełnianą koszulkę z napisem Camp Ossippee, po czym przebrała się w nową letnią sukienkę, ładną (jeśli komuś podobają się jaskrawe czerwono-żółte pasy), lecz zbyt ciasną. Użyła perfum „My Sin” Maddy, spryskała się dezodorantem „Yodora” matki i znowu pomalowała usta szminką „Peppermint Yum-Yum”. I chociaż nigdy nie miała skłonności do mizdrzenia się przed lustrem (było to określenie matki, która wołała do Maddy: „Przestań się mizdrzyć i wyjdź wreszcie!”), starannie upięła włosy w kok, bo ojciec pewnego razu powiedział, że Jessie mu się w nim podoba.

Kiedy wbiła ostatnią szpilkę, wyciągnęła rękę w stronę kontaktu elektrycznego w łazience i zawahała się. Dziewczynka spoglądająca na nią w lustrze nie wyglądała wcale jak dziewczynka, tylko nastolatka. Ciasna letnia sukienka podkreślająca niewielkie nabrzmienia, które miały się stać piersiami dopiero za rok czy dwa, różowawa szminka, włosy upięte w nieforemny, lecz dziwnie kuszący koczek – wszystko to składało się na pewną całość. Czy któryś z owych elementów był ważniejszy od innych? Jessie nie wiedziała. Może sposób, w jaki upięte włosy podkreślały zarys kości policzkowych? A może krzywizna obnażonej szyi, znacznie bardziej sugestywna erotycznie niż dwa ukłucia komara na klatce piersiowej albo kanciaste, chłopiące biodra? A może po prostu wyraz oczu – jakaś iskierka, która dotychczas kryła się w głębi albo w ogóle nie istniała?

Cokolwiek to było, Jessie spoglądała na swoje odbicie w lustrze jeszcze przez chwilę i nagle usłyszała głos matki: *Przysięgam na Boga, że czasami zachowujesz się, jakby była twoją narzeczoną, a nie córką!*

Przygryzła uszmińkowaną dolną wargę, zmarszczyła lekko brwi i przypomniała sobie wczorajszy wieczór – dreszczyk, który przebiegł jej po plecach, gdy ojciec musnął dłońmi jej

piersi. Poczula, że ów dreszczyk znów w niej rośnie, lecz zdusiła go w zarodku. Nie było sensu dygotać przez głupstwa, których nie rozumiała. A nawet myśleć o nich.

Dobra rada – pomyślała i zgasiła światło w łazience.

Minął ranek i nadeszło popołudnie, pora zaćmienia. W miarę upływu czasu Jessie stawała się coraz bardziej podniecona. Włączyła radio tranzystorowe, by posłuchać WNCH, stacji z North Conway, nadającej głównie rock and rolla. Matka nie znosiła WNCH i po półgodzinnym słuchaniu Dela Shannona, Dee Dee Sharpa i Gary'ego „U.S.” Bondsza zmuszała tego, kto złapał WNCH (zwykle Jessie, Maddy, lecz niekiedy również Willa), do włączenia muzyki poważnej nadawanej przez stację na szczycie Mount Washington, jednakże dziś rock and rolle najwyraźniej podobały się ojcu, który pstrykał palcami i nucił w takt piosenek. W pewnej chwili, gdy nadawano wersję „You Belong to Me” w wykonaniu „The Duprees”, chwycił Jessie w objęcia i zatańczył z nią na tarasie. Około trzeciej trzydziści Jessie włączyła grill – zaćmienie miało się zacząć dopiero za godzinę – i poszła spytać ojca, czy chce zjeść dwa hamburgery czy tylko jeden.

Stała na tarasie i zobaczyła go w dole, pod południową ścianą domu. Nosił tylko parę bawełnianych spodenek gimnastycznych (na jednej z nogawek znajdował się napis YALE PHYS ED) i rękawicę kuchenną. Obwiązał sobie chustką czoło, by pot nie spływał mu do oczu, i przykucnął nad niewielkim kopczącym ogniskiem z darni. Połączenie spodenek gimnastycznych i chustki na głowie nadało mu dziwnie młodzieńczy wygląd; Jessie po raz pierwszy w życiu ujrzała mężczyznę, w którym matka zakochała się na ostatnim roku studiów.

Koło ojca leżało kilka kwadratowych tafli szkła – szybki wyciętych starannie ze starego okna szopy. Ojciec wędził jedną z nich w dymie ogniska, trzymając ją szczypcami do pieczenia i obracając w tę lub tamtą stronę niczym dziwny rarytas kulinarny. Jessie wybuchnęła śmiechem – najśmieszniejsza wydała jej się rękawica kuchenna – a ojciec odwrócił się i spojrzał na nią, również uśmiechnięty. Przyszło jej do głowy, że w tej pozycji może jej zajrzeć pod sukienkę, lecz natychmiast o tym zapomniała. Był przecież jej ojcem, nie jakimś wulgarnym chłopaczyskiem, takim jak Duane Corson z przystani.

– Co robisz? – zachichotała. – Myślałam, że zjemy na lunch hamburgery, a nie szklane kanapki!

– To szybki do oglądania zaćmienia, a nie kanapki, Kruszyno – odrzekł. – Jeśli się złoży razem dwie albo trzy, można obserwować Słońce przez cały okres całkowitego zaćmienia bez żadnej szkody dla oczu. Czytałem, że trzeba zachować szczególną ostrożność, można spalić oczy i dowiedzieć się o tym dopiero poniewczasie.

– O rany! – powiedziała Jessie, drżąc lekko. Myśl o mimowolnym spaleniu sobie oczu wydała jej się makabryczna. – Jak długo będzie trwało całkowite zaćmienie, tatusiu?

– Niedługo. Jakąś minutę.

– No cóż, przygotuj jeszcze kilka okopconych szybki, nie chcę spalić sobie oczu. Jeden

hamburger czy dwa?

– Wystarczy jeden, jeśli będzie duży.

– W porządku.

Jessie odwróciła się, by odejść.

– Kruszyńko?

Popatrzyła na ojca – niskiego, krępego mężczyznę z dużymi kroplami potu na czole, pozbawionego zarostu na ciele, podobnie jak jej późniejszy mąż, ale bez grubych okularów i brzucha Geralda – i przez chwilę zupełnie nie zwracała uwagi na fakt, że to jej ojciec. Znow uderzyło ją to, jaki jest przystojny i jak młodo wygląda. Kiedy na niego patrzyła, po jego brzuchu ściekała kropelka potu, spłynęła po lewej stronie pępka i pozostawiła niewielką ciemną plamkę na elastycznym pasku spodenek gimnastycznych Uniwersytetu Yale. Jessie popatrzyła z powrotem na twarz ojca i nagle zdała sobie sprawę z jego spojrzenia. Nawet teraz, gdy mrużył w dymie oczy, były one absolutnie piękne; świetlisty szary świt na zimowym morzu. Nim odpowiedziała, musiała przełknąć ślinę; zaschło jej w gardle. Może przyczyną był gryzący dym z ogniska z darni? A może coś innego?

– Tak, tatusiu?

Przez dłuższą chwilę spoglądał na nią w milczeniu. Z jego policzków, czoła, piersi i brzucha spływał powoli pot i Jessie poczuła nagle lęk. Wreszcie znow się uśmiechnął i wszystko wróciło do normy.

– Bardzo ładnie dziś wyglądasz, Kruszyńko. Szczerze mówiąc, jeśli nie zabrmi to pompatycznie, wyglądasz pięknie.

– Dziękuję... i nie brzmi to wcale pompatycznie.

Komplement ojca sprawił Jessie taką przyjemność (zwłaszcza po gniewnych perorach matki z poprzedniego wieczoru, a może właśnie z ich powodu), że poczuła ściskanie w gardle i o mało się nie rozpląkała. Zamiast tego uśmiechnęła się, dygnęła specjalnie dla ojca i z walącym sercem pośpieszyła z powrotem ku grillowi. Do jej świadomości usiłowało przeniknąć zdanie wypowiedziane przez matkę, to najokropniejsze...

Zachowujesz się, jakby była twoją...

...lecz zdusiła je bezwzględnie jak natrętą osę. Mimo to doświadczała jednego z owych zwariowanych dorosłych uczuć – lody z sosem, pieczony kurczak nadziewany arbuzem – i nie mogła się od niego uwolnić. Zresztą nie była pewna, czy rzeczywiście chce się uwolnić. Widziała oczyma wyobraźni pojedynczą kropelkę potu spływającą leniwie po brzuchu ojca i wsiąkającą w miękką bawełnę spodenek, aż pozostał malutki ciemny punkcik. Chaos emocjonalny brał się głównie z tego obrazu. Jessie widziała go, widziała, widziała. Czyste szaleństwo.

I co z tego? Cały dzień był zwariowany. Nawet Słońce miało zrobić coś zwariowanego. Dlaczego się z tym nie pogodzić?

Tak – przyznał głos, który miał się stać w przyszłości głosem Ruth Neary. – *Dlatego*

nie?

Hamburgery ze smażonymi pieczarkami i łagodną czerwoną cebulą okazały się wyśmienite.

– Z pewnością zaćmiły te przygotowane niedawno przez twoją matkę – powiedział ojciec, a Jessie zachichotała dziko.

Jedli kolację na tarasie, trzymając na kolanach metalowe tace. Pomiędzy nimi stał okrągły stolik ogrodowy, zaśmiecony flakonikami pełnymi przypraw, papierowymi talerzykami i przyrządami obserwacyjnymi. Te ostatnie obejmowały okulary przeciwsłoneczne marki „Polaroid”, dwa zwierciadła w kartonowych pudełkach, podobne do tych, jakie reszta rodziny zabrała na Mount Washington, kilkanaście okopconych szybek oraz rękawice kuchenne z szuflady koło piecyka. Okopcone szybki zdążyły już wprawdzie ostygnąć, ale Tom nie miał szczególnej wprawy w posługiwaniu się diamentem do cięcia szkła i bał się, że krawędzie mogą się okazać nierówne i pełne zadziorów.

– Ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, jest to, żeby twoja matka przyjechała do domu i zastała notatkę mówiącą, że zabrałem cię na ostry dyżur w szpitalu Oxford Hills, by ci przyszyli z powrotem dwa palce.

– Mama nie była bardzo zadowolona, że zostajemy razem, prawda? – spytała Jessie.

Ojciec przytulił ją na chwilę.

– Owszem, nie była – odpowiedział – ale ja jestem. Miałem na to piekielną ochotę. – Obdarzył ją tak promiennym uśmiechem, że po prostu musiała go odwzajemnić.

Na początku zaćmienia – o godzinie czwartej dwadzieścia dziewięć po południu – posługiwali się odbłyśnikami. Słońce widoczne w zwierciadle Jessie było nie większe od drobnej monety, ale świeciło tak oślepiająco jasno, że natychmiast włożyła okulary leżące na stole. Wedle jej zegarka zaćmienie powinno już się zacząć; była czwarta trzydzieści.

– Chyba mój zegarek się śpieszy – zauważyła nerwowo. – Albo źle chodzi, albo astronomowie się pomylili.

– Sprawdź jeszcze raz – odrzekł z uśmiechem Tom. Kiedy Jessie spojrzała z powrotem w zwierciadło, zobaczyła, że jasne koło nie jest już idealnie okrągłe – po prawej stronie widać było niewielkie sierpowate wgłębienie. Po plecach przebiegł jej dreszcz. Tom, obserwujący córkę, a nie obraz we własnym zwierciadle, zauważył to.

– Wszystko w porządku, Kruszyno?

– Tak, ale... to trochę niesamowite, prawda?

– Owszem – odpowiedział.

Jessie zerknęła nań i z ogromną ulgą spostrzegła, że mówi poważnie. Wyglądał na prawie tak samo przerażonego jak ona, co tylko podkreślało jego ujmującą chłopięcość. To, że mogą się bać czegoś innego, nawet nie przyszło jej do głowy.

– Chcesz mi usiąść na kolanach, Jess?

– Mogę?

– Jasne.

Usiadła mu na kolanach, ciągle trzymając w dłoniach zwierciadło. Kręciła pupą, by zająć wygodną pozycję, i podobał jej się zapach spoconej, ciepłej skóry ojca, pachnącej leciutko wodą po goleniu – zdaje się, że nazywała się „Redwood”. Sukienka zsunęła jej się przy tym aż na biodra (trudno się dziwić, skoro była taka krótka), a Jessie prawie nie zwróciła uwagi na to, że ojciec położył rękę na jej udzie. Był to w końcu ojciec – tatuś – a nie Duane Corson z przystani ani Richie Ashlocke, z którego Jessie i jej przyjaciółki wyśmiewały się w szkole.

Powoli mijały minuty. Od czasu do czasu Jessie kręciła się i wierciła, usiłując zająć wygodniejszą pozycję – kolana ojca stały się tego popołudnia dziwnie wyboiste – a w pewnej chwili chyba zdrzemnęła się na trzy czy cztery minuty. Może nawet dłużej, bo podmuch wiatru, który owiał jej spocone ramiona i zbudził ją, był zdumiewająco chłodny, jezioro zaś w jakiś sposób się zmieniło; kolory, które wydawały się jaskrawe, nim Jessie oparła się o pierś ojca, były w tej chwili bladopastelowe, a światło dnia stało się dziwnie mdłe. *Wygląda trochę tak, jakby sączyło się przez chustę do odciskania sera* – pomyślała. Spojrzała w zwierciadło i zdziwiła się – prawie zamarła ze zdumienia – widząc tylko połowę Słońca. Popatrzyła na zegarek i zobaczyła, że jest dziewięć po piątej.

– Zaczęło się, tatusiu! Słońce gaśnie!

– Tak – przyznał ojciec. Jego głos był nieco dziwny, wydawał się powolny i zamyślony, a jednocześnie trochę zamazany. – Ani minuty spóźnienia.

Jessie zauważyła mgliście, że gdy drzemała, ręka ojca przesunęła się wyżej – nawet znacznie wyżej – na jej udzie.

– Czy mogę już popatrzeć przez okopcone szybki, tatusiu?

– Jeszcze nie – odpowiedział, a jego ręka znów przesunęła się kilka centymetrów wyżej. Była ciepła, spocona, ale nie nieprzyjemna. Jessie położyła na niej własną dłoń, odwróciła się do ojca i uśmiechnęła.

– Podniecające, prawda?

– Tak – odpowiedział tym samym dziwnym, niewyraźnym tonem. – O tak, Kruszyno. Nawiasem mówiąc, znacznie bardziej podniecające, niż się spodziewałem.

Upływał czas, a w zwierciadle Księżyc pożerał dalej Słońce. Minęła piąta dwadzieścia pięć, później piąta trzydzieści. Prawie cała uwaga Jessie skupiała się w tej chwili na zmniejszającym się obrazie w odbłyśniku, lecz gdzieś w podświadomości ponownie zdała sobie sprawę z faktu, jak dziwnie twarde są tego popołudnia kolana ojca. Coś uciskało ją w pupę. Nie boleśnie, lecz bez przerwy. Kojarzyło się to trochę z trzonkiem jakiegoś narzędzia – śrubokręta, a może młotka do mięsa.

Znów zaczęła się wiercić, usiłując zająć wygodniejszą pozycję, a Tom wciągnął z sykiem powietrze.

– Ciężko ci, tatusiu? Uwieram cię?

– Nie, wszystko w porządku.

Zerknęła na zegarek. Piąta trzydzieści siedem, cztery minuty do całkowitej ciemności, może trochę więcej, jeśli zegarek się śpieszy.

– Mogę już popatrzeć przez okopcone szybki?

– Jeszcze nie, Kruszyno, ale już niedługo.

Jessie słyszała starą piosenkę Debbie Reynolds nadawaną przez stację radiową WNCH: „The old hooty-owl... hooty-hoos to the dove... Tammy... Tammy... Tammy’s in love”. Wszystko utonęło w końcu w melancholijnych tonach skrzypiec, po czym rozległ się głos disc jockeya, który powiedział, że w Mieście Narciarzy (disc jockeye WNCH zawsze określali w ten sposób North Conway) w stanie New Hampshire niebo jest zbyt zachmurzone, by obserwować zaćmienie. Disc jockey twierdził, że po drugiej stronie ulicy, w parku miejskim, stoi tłumek rozczarowanych ludzi w okularach przeciwsłonecznych.

– My nie jesteśmy rozczarowani, prawda, tatusiu?

– Ani trochę – zgodził się ojciec i lekko się poruszył. – Jesteśmy najszczęśliwszymi ludźmi na świecie.

Jessie znów popatrzyła na lustro, zapominając o wszystkim z wyjątkiem niewielkiego odbicia Słońca, na które mogła już spoglądać przez ciemne okulary nie mrużąc oczu. Czarny sierp po prawej stronie, od której zaczęło się zaćmienie, zmienił się w tej chwili w rozjarzony sierp jasności po lewej. Był on tak jasny, że wydawał się prawie płynąć nad powierzchnią zwierciadła.

– Popatrz na jezioro, Jessie!

Jessie usłuchała i otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Obserwując jak zahipnotyzowana kurczący się obraz Słońca w odbłyśniku, nie zwracała uwagi na otoczenie. Pastele przybladły, aż pejzaż zaczął przypominać spłowiałą akwarelę. Nad jeziorem Dark Score zapadał przedwczesny zmierzch, fascynujący, a zarazem przerażający dla dziesięciolatki. Gdzieś w lesie rozległo się ciche pohukiwanie sowy i Jessie poczuła, jak przechodzą ją ciarki. W radio skończyła się reklama Aamco Transmission i zaczął śpiewać Marvin Gaye: „Oww, listen everybody, especially you girls, is it right to be left alone when the one you love is never home?”

W lesie na północy znów zaczęła pohukiwać sowa. Był to przerażający dźwięk, zdała sobie sprawę Jessie – naprawdę przerażający dźwięk. Zadygotała, a Tom objął ją ramieniem. Oparła się z ulgą o jego pierś.

– To niesamowite, tatusiu.

– Ciemność nie potrwa długo, kochanie, i prawdopodobnie nigdy w życiu nie zobaczysz drugiego zaćmienia. Postaraj się nie bać, bo inaczej stracisz całą przyjemność.

Jessie popatrzyła w zwierciadło i ujrzała tylko mrok. „I love too hard, my friends sometimes say...”

– Tato? Tatusiu? Słońce zgasło. Czy mogę?...

– Tak. Teraz możesz. Ale jak powiem, że masz przestać, nie sprzeczasz się ze mną,

zrozumiano?

Jessie rozumiała. Spalenie sobie oczu – oparzenie siatkówek, o którym człowiek dowiaduje się dopiero, gdy jest już za późno – wydawało jej się znacznie bardziej przerażające niż sowa pohukująca w lesie. Ale teraz, kiedy zaćmienie naprawdę się zaczęło, musiała przynajmniej zerknąć na Słońce. Musiała, po prostu musiała.

„But I believe – śpiewał Marvin z zapalem nowo nawróconego. – Yes, I believe... that a woman should be loved that way...”

Tom Mahout wręczył Jessie rękawicę kuchenną i trzy okopcone szybki. Miał przyśpieszony oddech i Jessie nagle zrobiło się go żal. Prawdopodobnie on także zląkł się zaćmienia, lecz oczywiście nie mógł tego okazać jako dorosły. Dorośli byli pod wieloma względami biedni. Zastanawiała się, czy go jakoś nie pocieszyć, ale doszła do wniosku, że pogorszyłyby to tylko sytuację. Ojciec poczułby się głupio. Jessie mogła tylko się nad nim litować. Sama wyjątkowo nie znosiła czuć się głupio. Wobec tego wzięła trzy okopcone szybki, po czym powoli uniosła głowę znad zwierciadła i spojrzała w niebo.

„Now you chicks should all agree – śpiewał Marvin – this ain't the way it's s'posed to be, so lemme hear ya! Lemme hearya say YEAH YEAH!”

To, co Jessie zobaczyła przez okopcone szybki...

17

W tejże chwili Jessie, przykuta kajdankami do łóżka w domku letniskowym na północnym brzegu jeziora Kashwakamak, Jessie mająca nie dziesięć, tylko trzydzieści dziewięć lat i będąca od prawie dwunastu godzin wdową, nagle zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy: że śpi i że w istocie rzeczy przeżywa na nowo dzień zaćmienia. Przez pewien czas myślała, że to sen, jedynie sen, podobnie jak wizja przyjęcia urodzinowego Willa, gdzie większość gości albo już nie żyła, albo składała się z ludzi, których Jessie poznała dopiero wiele lat później. Ów nowy film oglądany w wyobraźni miał w sobie coś surrealistycznego, czemu zresztą trudno się dziwić, cały tamten dzień był surrealistyczny i podobny do snu. Najpierw zaćmienie, później ojciec...

Dosyć tego – zdecydowała. – Dosyć, kończę z tym.

Konwulsyjnie usiłowała wyrwać się ze snu, wspomnienia czy cokolwiek to było. Wysięk umysłowy przekształcił się w skurcz całego ciała i łańcuszki kajdanek zabrzęczały cicho, gdy przekręcała się gwałtownie z boku na bok. Prawie jej się powiodło, na chwilę niemalże wyrwała się ze snu. Powstrzymała ją dopiero niewyraźna, wszechogarniająca trwoga przed jakąś wyczekującą postacią, która mogłaby uczynić coś tak strasznego, że wszystko, co wydarzyło się na tarasie, wydałoby się przy tym pozbawione znaczenia... naturalnie, o ile Jessie musiała stawić czoło owej postaci.

Ale może nie muszę. Jeszcze nie.

Jednakże pragnienie ukrycia się we śnie mogło mieć inny sens. Niewykluczone, że jakaś część Jessie chciała wydobyć wszystko na światło dzienne, raz na zawsze, niezależnie od konsekwencji.

Opadła z powrotem na poduszkę, miała zamknięte oczy, uniesione, rozpostarte ramiona, bladą, napiętą twarz.

– Especially you girls – szepnęła w mrok. – Especially all you girls.

Opadła na poduszkę i znów pochłonął ją dzień zaćmienia.

18

To, co Jessie zobaczyła przez okulary przeciwsłoneczne i okopcone szybki, było takie dziwne i niesamowite, że z początku nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Na popołudniowym niebie widać było ogromny czarny krąg, podobny do pieprzyka na podbródku Anne Francis.

„If I talk in my sleep... cause I haven't seen my baby all week...”

Właśnie w tym momencie poczuła po raz pierwszy rękę ojca na swojej prawej piersi; dłoń międlila ją łagodnie przez chwilę, przeniosła się na lewą pierś, po czym znów wróciła na prawą, jakby porównywała ich rozmiary. Ojciec oddychał w tej chwili bardzo szybko, dysząc jej do prawego ucha niczym lokomotywa, i Jessie znów zdała sobie sprawę, że coś twardego uciska ją w pupę.

„Can I get a witness? – zawodził Marvin Gaye, licytator dusz. – Witness, witness?”

– Wszystko w porządku, tatusiu?

Znów poczuła delikatne laskotanie na piersiach – przyjemność i ból, pieczony indyk z czekoladową polewą – lecz tym razem ogarnął ją także niepokój i zdziwienie, miała zamęt w głowie.

– Tak – odpowiedział ojciec, lecz jego głos brzmiał prawie jak głos obcego człowieka. – Tak, w zupełnym porządku, ale nie oglądaj się za siebie. – Zmienił nieco pozycję. Ręka, która spoczywała na piersiach Jessie, przeniosła się gdzieś indziej, druga, leżąca na jej udzie, przesunęła się wyżej, podciągając skraj sukienki.

– Co robisz, tatusiu?

W pytaniu Jessie nie zabrzmiał lęk; przede wszystkim ciekawość. Mimo to był w nim również cień lęku, coś kojarzącego się z cieniutką czerwoną nitką wplecioną w materiał. W górze, wokół ciemnego kręgu wiszącego na granatowoczarnym niebie, wściekle płonęło niesamowite światło.

– Kochasz mnie, Kruszyno?

– Tak, jasne...

– Więc o nic się nie martw. Nie zrobię ci krzywdy. Chcę być dla ciebie miły. Po prostu patrz na zaćmienie i pozwól mi być dla ciebie miłym.

– Nie jestem pewna, czy tego chcę, tatusiu. – Zamęt stawał się coraz silniejszy, a

czerwona nić coraz grubsza. – Boję się, że spalę sobie oczy. Że spalę sobie swoje biedne ślepki.

„But I believe – śpiewał Marvin – a woman’s a man’s best friend... and I’m gonna stick by her... to the very end”.

– Nie martw się. – Ojciec dyszał spazmatycznie. – Masz jeszcze dwadzieścia sekund, jeśli nie więcej, więc o nic się nie martw. I nie oglądaj się za siebie.

Jessie usłyszała trzask gumki od majtek, ale była to gumka ojca, nie jej, jej majtki znajdowały się na właściwym miejscu, choć gdyby spojrzała w dół, mogłaby je zobaczyć – tak wysoko ojciec podciągnął jej sukienkę.

– Kochasz mnie? – spytał znowu, a chociaż Jessie miała straszliwe przecucie, że właściwa odpowiedź na owo pytanie stała się niewłaściwa, miała dziesięć lat i mogła udzielić tylko jednej odpowiedzi: twierdzącej.

„Witness, witness!” – śpiewał coraz ciszej Marvin błagalnym głosem.

Ojciec poruszył się, mocniej przyciskając twardy przedmiot do pupy Jessie. Aż raptem zrozumiała, co to takiego – na pewno nie trzonek śrubokręta ani młotka do mięsa – i do niepokoju, jaki czuła, dołączyła nagle złośliwa radość mająca więcej wspólnego z matką niż z ojcem.

Oto kara za to, że nie stałaś po mojej stronie – pomyślała, spoglądając na czarny krąg na niebie przez okopcone szybki i zaraz dodała: – *Kara dla nas obu*. Wtem wzrok jej się zamącił i uczucie przyjemności zniknęło. – *O Boże... To moje oczy... Chyba spaliłam sobie oczy...*

Ręka spoczywająca na udzie Jessie przesunęła się w tej chwili między jej nogi i chwyciła ją silnie za łono. *Nie powinien tego robić* – pomyślała. – *Jego ręka nie powinna się znajdować w tym miejscu. Chyba że...*

...chyba że cię laskocze – usłyszała nagle w głowie czyjś głos.

W późniejszych latach ów głos, który Jessie nazwała ostatecznie Dobrą Żoną, często ją irytował, czasami ostrzegał, czasami ganił i prawie zawsze nakazywał wyrzucać z pamięci wszystko, co nieprzyjemne, upokarzające, bolesne... Dobra Żona wyznawała pogląd, że jeśli z całą stanowczością ignoruje się takie przeżycia, przestają one istnieć. Z uporem utrzymywała, że nawet najoczywistsze krzywdy to dobrodziejstwa, elementy szlachetnego planu, który jest zbyt wszechogarniający i złożony, by mogli go pojąć zwykli śmiertelnicy. Niekiedy Jessie (głównie gdy miała jedenaście i dwanaście lat i nazywała jeszcze ów głos panną Petrie; panna Petrie była jej nauczycielką w drugiej klasie) zatykała sobie uszy rękoma, by nie słyszeć owego kwaczącego, natrętnego głosu – naturalnie bez powodzenia, albowiem powstawał on w jej głowie – ale w tej chwili, podczas zaćmienia Słońca, gdy nad zachodnią częścią stanu Maine zapadła ciemność, a w głębi jeziora Dark Score płonęły odbite gwiazdy, w tej chwili, gdy Jessie zdała sobie sprawę (do pewnego stopnia), co robi ręka pomiędzy jej nogami, w tej chwili rozpoznawała w owym głosie tylko dobroć i rozsądek – i z paniczną ulgą chwyciła się go niczym ostatniej deski ratunku.

To tylko łaskotki, nic więcej, Jessie.

Jesteś pewna? – zawołała w odpowiedzi.

Tak – odparł stanowczo głos. W miarę upływu lat Jessie przekonała się, że Dobra Żona prawie zawsze przemawia stanowczym tonem, czy ma rację, czy nie. – *On po prostu żartuje, nic więcej. Nie wie, że cię nastraszył, więc nic nie mów i nie psuj tego cudownego popołudnia. To nic ważnego.*

Nie wierz w to, dziubdziuniu – wtrącił inny, twardy głos. – *Ojciec zachowuje się czasem, jakbyś była jego cholerną narzeczoną, a nie córką, i właśnie to w tej chwili robi! Nie łaskoczcie cię, Jessie! Pieprzy cię!*

Jessie była prawie pewna, że to kłamstwo, prawie pewna, że to dziwne, zakazane słowo rodem ze szkoły odnosi się do aktu, którego nie można dokonać tylko ręką, miała jednak trochę wątpliwości. Z nagłym przerażeniem przypomniała sobie, jak Karen Aucoin ostrzegła ją, by nigdy nie pozwoliła żadnemu chłopcu wsuwać sobie języka do ust, bo może się od tego zrobić dziecko w gardle. Karen twierdziła, że czasami to się zdarza, a kobieta, która musi zwymiotować dziecko, prawie zawsze umiera, podobnie jak samo niemowlę. „Nigdy nie pozwolę, żeby jakiś chłopiec wsunął mi język do ust. Mogłabym mu pozwolić podotykać się u góry, gdybym go naprawdę kochała, ale przenigdy nie chciałabym mieć dziecka w gardle. Jak bym wtedy jadła?”

Wówczas myśl o zajściu w ciążę wydała się Jessie taka zwariowana, że prawie fascynująca – ale czy coś takiego mógłby wymyślić ktoś oprócz Karen Aucoin, która zastanawiała się, czy po zamknięciu lodówki ciągle pali się w niej światło? Jednakże właśnie teraz ów koncept wydał jej się uderzająco logiczny. Przypuśćmy – tylko przypuśćmy – że to prawda? Jeśli można mieć dziecko od pocałowania się z chłopcem, to w takim razie...

A poza tym coś twardego uciskało Jessie w pupę. Na pewno nie był to trzonek śrubokręta ani młotka do mięsa.

Jessie usiłowała zewrzeć nogi, niezbyt znaczący gest, który najwyraźniej podziałał bardzo silnie na ojca. Wyrzucił on z siebie powietrze – bolesny, niepokojący dźwięk – i nacisnął mocniej palcami wrażliwy wzgórek w okolicy jej pachwiny. Zaboląło trochę, Jessie zeszywniała i jęknęła.

Znacznie później przyszło jej do głowy, że ojciec prawdopodobnie źle zinterpretował owo jęknięcie jako oznakę rozkoszy i zapewne dobrze, że tak się stało, gdyż zwiastowało to koniec niezwyklego epizodu. Wygiął się nagle w łuk, wyrzucając Jessie gwałtownie do góry. Było to zarówno przerażające, jak i dziwnie przyjemne... ojciec wydawał się taki silny, taki podniecony. Przez chwilę Jessie prawie zrozumiała naturę działających tu namiętności, niebezpiecznych, lecz zniewalających, a także to, że panowanie nad owymi namiętnościami zależało tylko od niej – to znaczy, gdyby chciała nad nimi panować.

Nie chcę – pomyślała. – *Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. To okropne, straszne, przerażające.*

Później twardy przedmiot uciskający ją w pupę, twardy przedmiot nie będący trzonkiem śrubokręta ani młotkiem do mięsa, zaczął poruszać się spazmatycznie, a na dolnej części majteczek Jessie pojawiła się ciepła wilgotna plama.

To pot – odezwał się prędko głos, który miał pewnego dnia stać się głosem Dobrej Żony.
– *To tylko pot. Wyczuł, że się go boisz, że boisz się siedzieć mu na kolanach, i zdenerwował się. Powinno ci być przykro.*

Tere-fere, pot! – odparował inny głos, cichy, mocny, pełen lęku. – *Dobrze wiesz, co to jest, Jessie, to właśnie to, o czym Maddy i inne dziewczęta mówiły podczas wieczornego przyjęcia u Maddy, gdy myślały, że wreszcie zasnął. To sperma. Cindy Lessard twierdziła, że sperma jest biała i że strzyka z siusiaków chłopców jak pasta do zębów z tubki i że to właśnie z niej biorą się dzieci, a nie od wsuwania języka do ust.*

Przez chwilę Jessie trwała w chwiejnej równowadze na szczycie fali, zmieszana, zalękniona i w pewien sposób podniecona, słuchając zdyszanego oddechu ojca. Wreszcie jego biodra i uda rozluźniły się powoli i Jessie znów opadła w dół.

– Nie patrz dłużej, Kruszyno – rzekł ojciec i chociaż ciągle dyszał, mówił prawie normalnym tonem. Nie brzmiało już w nim owo przerażające podniecenie i Jessie poczuła głęboką ulgę, pozbawioną jakichkolwiek dwuznaczności. Cokolwiek się zdarzyło – jeśli w ogóle się zdarzyło – należało już do przeszłości.

– Tatusiu...

– Nie, nie sprzeczasz się. Koniec patrzenia.

Ojciec wyjął jej delikatnie z ręki okopcone szybki i jednocześnie pocałował ją w szyję, jeszcze delikatniej. Jessie spojrzała na niesamowity mrok spowijający jezioro. Zdawała sobie mgliście sprawę, że sowa wciąż pohukuje i że ogłupiałe świerszcze rozpoczęły swoje wieczorne pienia dwie czy trzy godziny wcześniej niż zwykle. Przed oczyma Jessie unosił się czarny krąg otoczony nieregularną zielonkawą poświatą. *Gdybym patrzyła zbyt długo i spaliła sobie oczy, prawdopodobnie musiałabym oglądać to przez resztę życia, jakby ktoś błysnął mi fleszem prosto w oczy* – pomyślała Jessie.

– Dlaczego nie miałabyś iść do domu i przebrać się w dzinsy, Kruszyno? Włożenie letniej sukienki nie było chyba jednak dobrym pomysłem.

Mówił monotonnym, pozbawionym emocji głosem, który zdawał się sugerować, że to ona wpadła na pomysł włożenia letniej sukienki (*Nawet jeśli nie wpadłaś, trzeba się było nad tym dobrze zastanowić* – odezwał się natychmiast głos panny Petrie), i Jessie przyszła nagle do głowy inna myśl: *Przypuśćmy, że ojciec postanowi powiedzieć mamusi o tym, co się stało?*

– Wydało jej się to tak przerażające, że wybuchnęła płaczem.

– Przepraszam, tatusiu!... – szlochała, obejmując go ramionami, przytulając twarz do jego szyi i czując lekki aromat płynu po goleniu lub wody kolońskiej. – Jeśli zrobiłam coś złego, naprawdę, naprawdę przepraszam!...

– Boże, nie! – zaprzeczył, ale wciąż mówił owym matowym, roztargnionym głosem,

jakby się zastanawiał, czy powinien powiedzieć Sally, co zrobiła Jessie, czy też może da się wszystko zatuszować. – Nie zrobiłaś nic złego, Kruszyno.

– Ciągłe mnie kochasz? – nalegała Jessie. Przyszło jej do głowy, że owo pytanie to szaleństwo, że szaleństwem jest ryzykować odpowiedź, która może ją zniszczyć. Mimo to musiała spytać. Musiała.

– Oczywiście – odpowiedział natychmiast, a w jego głosie zabrzmiało nieco większe ożywienie.

Jessie zrozumiała, że mówi prawdę (och, co za ulga!), ale wciąż żywiła podejrzenie, iż stosunki z nim się zmieniły, i to z powodu czegoś, co ledwo rozumiała. Wiedziała, że...

łaskotki, łaskotki to tylko łaskotki...

...miało to coś wspólnego z seksem, lecz nie orientowała się, jak wiele ani czym to się może skończyć. Nie było to chyba „pójście na całość”, jak mówiły dziewczęta na przyjęciu (dziwnie dobrze poinformowana Cindy Lessard używała określenia „głębokie nurkowanie z długim białym palem”, co wydawało się Jessie zarówno potworne, jak i śmieszne), tatuś nic w nią nie włożył, co jednakże nie musiało wcale oznaczać, że Jessie nie grozi tak zwana „przygoda z dzidziusiem”, jak to nazywały niektóre dziewczęta. Przypomniało jej się, co mówiła w zeszłym roku Karen Aucoin, gdy wracały razem ze szkoły. Ale prawie na pewno nie było to prawdą, a ojciec przecież nawet jej nie pocałował.

W głowie Jessie rozległ się głos matki, głośny i pełen gniewu: *Jest takie przysłowie: wóz ma cztery koła, ale smaruje się to, które piszczy.*

Czuła wilgotną gorącą plamę na swoich pośladkach, ciągle się ona rozszerzała. *Tak* – pomyślała Jessie. – *Chyba to prawda. Smaruje się rzeczywiście to koło, które piszczy.*

– Tatusiu...

Uniósł rękę, czyniąc gest, który wykonywał często przy stole jadalnym, gdy matka albo Maddy (zwykle matka) zaczynały się z nim o coś sprzeczać. Jessie nie pamiętała, by kiedykolwiek skierował ów gest pod jej adresem, i poczucie, że stało się coś strasznego, niewybaczalnego, że zajdą fundamentalne, nieodwracalne zmiany będące rezultatem jakiegoś okropnego błędu (prawdopodobnie włożenia letniej sukienki), jaki Jessie popełniła – jeszcze wzrosło. Ogarnął ją tak głęboki smutek, że poczuła, jak w jej ciele poruszają się niewidzialne palce, które ugniatają bezwzględnie jej żołądek.

Dostrzegła kątem oka, że spodenki gimnastyczne ojca są przekrzywione. Coś spod nich wystawało, coś różowego, i na pewno nie był to trzonek śrubokręta.

Nim zdążyła odwrócić oczy, Tom Mahout pochwycił jej spojrzenie i prędko poprawił spodenki, a różowy przedmiot zniknął. Na jego twarzy pojawił się przelotny wyraz niesmaku, a Jessie znów poczuła ściskanie w żołądku. Ojciec najwyraźniej wziął jej przypadkowe spojrzenie za nieprzystojną ciekawość.

– To, co się przed chwilą stało... – zaczął i odchrząknął. – Musimy o tym pomówić, Kruszyno, ale nie w tej chwili. Leć do domu i przebierz się, może weź także prysznic.

Pośpiesz się, żebyś zdążyła na koniec zaćmienia.

Jessie przestała się zupełnie interesować zaćmieniem, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Zamiast tego skinęła głową i popatrzyła na ojca.

– Nie masz do mnie żalu, tatusiu?

Sprawiał wrażenie zdziwionego, zdenerwowanego, mającego się na baczności – a Jessie znów poczuła, że w jej ciele poruszają się rozgniewane dłonie, ugniatające jej żołądek... i raptem zrozumiała, że ojciec ma takie samo poczucie winy jak ona, może nawet większe. W chwili jasności nie zmaconej przez jakikolwiek głos z wyjątkiem własnego, pomyślała: *Jak mógłbyś mieć żal?! Przecież to ty zaczęłaś!*

– Nie – odpowiedział, ale ton jego głosu niezupełnie ją przekonał. – Zupełnie nie, Jessie. A teraz leć do domu i doprowadź się do porządku.

– Dobrze.

Usiłowała się uśmiechnąć, usiłowała tak mocno, że nawet jej się udało. Ojciec wyglądał przez chwilę na zdziwionego, po czym odwzajemnił uśmiech. Poczowała lekką ulgę, a dłonie ściskające jej żołądek rozluźniły się na pewien czas. Ale gdy dotarła do dużej sypialni na piętrze, którą dzieliła z Maddy, niepokój powrócił. Najgorszy ze wszystkiego był lęk, że ojciec opowie matce o tym, co się stało. I co pomyśli wtedy matka?

To cała Jessie, prawda? Nasze piszczące koło.

Sypialnię podzielono na dwie części sznurkiem do bielizny, co przywodziło nieco na myśl dziewczęcy obóz harcerski. Jessie i Maddy powiesiły na sznurku arkusze białego papieru i wyrysowały na nich kredkami Willa barwne wzorki. Dzielenie pokoju i kolorowanie białych płaszczyzn było niegdyś znakomitą zabawą, lecz teraz uderzyło Jessie jako głupie i dziecinne, a ponadto jej własny wielki cień tańczący na środkowym arkuszu wyglądał naprawdę przerażająco, przypominał cień potwora. Nawet wonny aromat żywicy, który zwykle lubiła, wydał jej się w tej chwili ciężki i zanadto natrętny, niczym odświeżacz powietrza w sprayu, mający zamaskować nieprzyjemny fetor.

A taka właśnie jest przecież nasza Jessie, zawsze niezadowolona, dopóki nie urządzi wszystkiego po swojej myśli. Nigdy nie podobają jej się cudze pomysły. Nigdy nie ma z nią spokoju.

Jessie pośpieszyła do łazienki, jakby chciała prześcignąć ów głos, choć słusznie odgadła, że nie będzie w stanie. Zapaliła światło i jednym prędkim ruchem ściągnęła sukienkę przez głowę. Cisnęła ją do kosza z brudną bielizną, zadowolona, że się jej pozbyła. Z rozszerzonymi oczyma spojrzała na siebie w lustrze i zobaczyła twarz małej dziewczynki z fryzurą dorosłej kobiety, fryzurą w nieładzie, z pasemkami włosów opadającymi luźno na policzki. Ujrzała także płaską pierś i wąskie biodra małej dziewczynki, lecz już niedługo miało się to zmienić. Właściwie już się zmieniło i spowodowało, że z ojcem stało się coś, co nie powinno się stać.

Nie chcę mieć cycków i okrągłych bioder – pomyślała ponuro. – Czy kobiety chciałyby je

mieć, gdyby wiedziały, do czego to prowadzi?

Nagle przypomniała sobie o mokrej plamie na tylnej części majtek. Ściągnęła je – tanie bawełniane majteczki, niegdyś zielone, teraz tak sprane, że prawie szare – i podniosła z ciekawością do góry, rozchylając palcami gumkę. Z tyłu rzeczywiście coś było, owszem, i na pewno nie pot. Nie wyglądało to zupełnie jak pasta do zębów. Przypominało raczej gęsty perłowszary detergent do mycia naczyń. Jessie pochyliła głowę i pociągnęła z ciekawością nosem. Poczwała lekki zapach kojarzący się z wonią jeziora w gorący bezwietrzny dzień, a jednocześnie z zapachem studni. Zniosła raz ojcu szklankę wody, która pachniała szczególnie mocno, i spytała, czy to czuje.

Pokręcił głową.

– Nie – odpowiedział pogodnie – ale to nic nie znaczy. Po prostu palę za dużo. Domyślam się, że to zapach minerałów śladowych, Kruszyño. Jest ich sporo i twoja matka musi wydawać fortunę na płyn zmiękczający, ale są zupełnie nieszkodliwe, dają słowo.

Minerały śladowe – pomyślała w tej chwili Jessie i znów pociągnęła nosem. Nie miała pojęcia, dlaczego ta delikatna woń tak ją fascynuje. – *Minerały śladowe, to wszystko. Zapach...*

Nagle odezwał się bardziej pewny siebie głos. W dniu zaćmienia przypominał on trochę głos matki (przede wszystkim zwracał się do Jessie per „dziubdziuniu”, podobnie jak Sally, gdy irytowała się na córkę z powodu jakichś zaniedbań domowych), lecz Jessie uważała go w istocie za własny dorosły głos. Brzmiał on bardzo donośnie i wojowniczo, co rozdrażniło nieco Jessie, ale chyba głównie dlatego, że ściśle biorąc, głos ten pojawił się tym razem za wcześnie. Odezwał się jednak i robił wszystko, co mógł, by postawić ją z powrotem na nogi. Jego metaliczne brzmienie wydało jej się dziwnie kojące.

To właśnie to, o czym mówiła Cindy Lessard, to sperma, dziubdziuniu. Chyba powinnaś się cieszyć, że wylądowała na twojej bieliźnie, a nie gdzie indziej, ale nie wmawiaj sobie, że to zapach jeziora, minerały śladowe czy coś w tym stylu. Karen Aucoin to idiotka, żadna kobieta nie poczęła nigdy dziecka w gardle, ale Cindy Lessard nie jest idiotką. Chyba widziała to na własne oczy, a teraz ty to widzisz. Męskie nasienie. Spermę.

Poczuwszy nagłą odrazę – nie tyle przez to, czym to było, ale skąd się wzięło – Jessie cisnęła majtki na sukienkę. Przed jej oczami przemknęła wizja matki piorącej brudne rzeczy w wilgotnej pralni w piwnicy; wyobraziła sobie, że matka wyciąga z kosza właśnie tę parę majtek i spostrzega właśnie tę plamę. Co sobie wtedy pomyśli? Cóż, pomyśli, że kłopotliwe piszczące koło zostało wreszcie nasmarowane.

Wstręt Jessie zmienił się w trwogę i poczucie winy, szybko wyjęła majtki z kosza. Natychmiast poczuła intensywny kwaskowaty odór, ciężki i mdlący. *Ostrygi i skóra potarta miedzią* – pomyślała i to wystarczyło. Upadła na kolana przed muszlą klozetową, trzymając majtki w zaciśniętej pięści, i zwymiotowała. Szybko spuściła wodę, by zapach nie strawionego hamburgera nie rozszedł się po łazience, a następnie odkręciła kran i przepłukała

sobie usta. Lęk, że spędzi następną godzinę, klęcząc przed ustępem i wymiotując, zaczął przygasać. Żołądek Jessie powoli się uspokajał. Byle tylko nie poczuła znowu tego mdlącego zapachu...

Wstrzymawszy oddech, wsunęła majteczki pod strumień zimnej wody, przepłukała, wycisnęła i wrzuciła z powrotem do kosza. Wreszcie zaczerpnęła głęboko powietrza i odgarnęła wilgotnymi dłońmi włosy ze skroni. Gdyby matka spytała, co robi wśród brudnej bielizny para mokrych majtek...

Już zaczynasz myśleć jak przestępca – rzekł żalobnie głos, który miał pewnego dnia stać się głosem Dobrej Żony. – *Widzisz, do czego doprowadziło cię to, że jesteś złą dziewczynką? Widzisz? Mam nadzieję, że...*

Zamknij się, tchórzliwa mendo! – warknął w odpowiedzi inny głos. – *Później możesz sobie gderać, ile chcesz, ale teraz musimy się zająć tą drobną sprawą. W porządku?*

Żadnej odpowiedzi. Dobrze. Jessie znów przyglądała nerwowo włosy, choć opadło jej na skronie tylko parę pasemek. Gdyby matka spytała, co robią w koszu mokre majtki, Jessie odpowie po prostu, że wykąpała się w jeziorze w ubraniu. Jessie, Maddy i Will robili to tego lata już kilkakrotnie.

Więc nie zapomnij wsadzić pod kran również szortów i koszulki. Rozumiesz, dziubdziuniu?

Rozumiem – zgodziła się. – *Dobry pomysł.*

Włożyła szlafrok wiszący na drzwiach łazienki i wróciła do sypialni po szorty i bawełnianą koszulkę, które nosiła rano, gdy matka, brat i starsza siostra pojechali na Mount Washington... przed tysiącem lat, jak się jej w tej chwili wydawało. Nie dostrzegła nigdzie ubrania i uklękła, by zajrzeć pod łóżko.

Ta druga kobieta też klęczy – zauważył czyjś głos – *i czuje ten sam zapach. Zapach skóry potartej miedzią i jabłęk.*

Jessie słyszała, lecz nie słuchała. Myślała o szortach i koszulce – o bajeczce, którą opowie matce. Rzeczywiście, leżały pod łóżkiem. Sięgnęła po nie.

To zapach studni – zauważył ten sam głos. – *Studni.*

Tak, tak – pomyślała Jessie, chwytając ubranie i pędząc z powrotem do łazienki. – *Zapach studni, cudownie, jesteś poetką i nawet o tym nie wiesz.*

Zepchnęła mężczyznę do studni – odezwał się głos i treść owych słów dotarła w końcu do Jessie. Stała jak wryta w drzwiach do łazienki, wybałuszając oczy. Ogarnął ją nagle nieznany, śmiertelny strach. Teraz, gdy już wsłuchała się w ten głos, zdała sobie sprawę, że nie przypomina on innych, kojarzył się trochę z głosem spikera w radio późno w nocy, gdy panują idealne warunki odbioru – dochodził z bardzo, bardzo daleka.

Ona wcale nie jest tak daleko, Jessie, też znajduje się w strefie zaćmienia Słońca.

Górne piętro domu nad jeziorem Dark Score zniknęło na chwilę. Zastąpiła je platanina jeżyn, nie rzucających cieni z powodu mroku, i pojawił się wyraźny zapach morskiej bryzy.

Jessie zobaczyła kościstą kobietę z siwiejącymi włosami związanymi w kucyk. Klęczała ona w sukience koło drewnianej pokrywy studni, a na ziemi obok leżała pofałdowana płachta białego materiału. Jessie była zupełnie pewna, że to halka kościstej kobiety. *Kim jesteś?* – spytała, ale kobieta już zniknęła... oczywiście jeśli w ogóle kiedykolwiek istniała.

Jessie zerknęła nawet przez ramię, by się przekonać, czy ta niesamowita chuda postać nie skrada się gdzieś z tyłu. Ale korytarz na pięterku był pusty, nikogo nie zobaczyła.

Spojrzała na swoje ramiona i zobaczyła, że są pokryte gęsią skórką.

Tracisz rozum – odezwał się żalobnie głos, który miał się stać pewnego dnia Dobrą Żoną Burlingame. – *Och Jessie, byłaś niedobra, byłaś bardzo niedobra, a teraz musisz za to zapłacić utratą rozumu!*

– Nie tracę rozumu – odrzekła Jessie. Spojrzała w lustrze na swoją bladą, napiętą twarz. – Nie tracę rozumu!

Czekała przez chwilę, by się przekonać, czy nie zacznie jej z powrotem dręczyć któryś z głosów albo wizja kobiety klęczącej obok halki rozłożonej na ziemi, lecz ani nic nie usłyszała, ani nie zobaczyła. Niesamowity intruz, który powiedział, że Jessie wepchnęła mężczyznę do studni, najwyraźniej zniknął.

Pospiesz się, dziubdziuniu – doradził głos, który miał się stać pewnego dnia głosem Ruth, a Jessie zrozumiała, iż doszedł do wniosku, że powinna wreszcie coś zrobić, i to natychmiast. – *Wyobraziłaś sobie kobietę z halką, bo dziś po południu myślisz tylko o bieliznie. Na twoim miejscu o wszystkim bym zapomniała.*

Była to doskonała rada. Jessie prędko wsadziła szorty i koszulkę pod kran, wyżyła je, po czym weszła pod prysznic. Namydliła się, opłukała, wytarła i pośpieszyła do sypialni. Zwykle nie wkładała szlafroka, przebiegając prędko korytarzem, lecz tym razem jednak to zrobiła, choć tylko zacisnęła go rękami na piersiach zamiast wiązywać pasek.

W sypialni zatrzymała się znowu, przygryzła wargi i zaczęła się modlić, by niesamowity obcy głos już nie powrócił, by nie miała żadnej z owych zwariowanych halucynacji, iluzji czy cokolwiek to było. Nic nie usłyszała. Rzuciła szlafrok na łóżko, przeszła przez pokój do komody i wyjęła świeżą bieliznę i szorciki.

Ona czuje ten sam zapach – pomyślała. – *Kimkolwiek jest ta kobieta, czuje zapach dochodzący ze studni, do której strąciła mężczyznę, i dzieje się to teraz, podczas zaćmienia. Jestem pewna...*

Odwróciła się, trzymając w ręku świeżą bluzkę, i zastygła w bezruchu. W drzwiach stał ojciec i patrzył na nią.

19

Obudziła się w łagodnym, mlecznym świetle poranka, mając ciągle przed oczami niepokojący, złowieszczy obraz kobiety o siwych włosach związanych w ciasny wiejski kucyk, kobiety klęczącej w chaszczach jeżyn koło własnej pogniecionej halki, spoglądającej do studni przez połamaną pokrywę i czującej okropny mdły zapach. Jessie już od lat o niej nie myślała, a teraz, ocknąwszy się ze snu, który nie był snem, tylko wspomnieniem, przyszło jej do głowy, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym trzecim roku miała swego rodzaju nadprzyrodzoną wizję, wywołaną być może przez stres, a później zapomnianą z tego samego powodu.

Lecz nic z tego nie miało znaczenia – ani to, co zrobił ojciec na tarasie, ani to, co zdarzyło się później, gdy Jessie obróciła się i ujrzała go stojącego w drzwiach sypialni. Były to w końcu bardzo dawne dzieje, a w tej chwili...

Mam kłopoty. I to chyba bardzo poważne.

Oparła się o poduszkę i spojrzała na swoje rozpostarte ramiona. Czowała się otumaniona i bezbronna niczym owad ukąszony przez pająka i oplątany lepкими nićmi, marzyła tylko o tym, by znowu zasnąć – tym razem bez marzeń, jeśli to możliwe – i zapomnieć o zdrętwiałych rękach i wyschniętym gardle.

Nie wchodziło to niestety w rachubę.

Gdzieś niedaleko rozlegało się powolne, ospałe brzęczenie. Jessie najpierw pomyślała o budziku. Później, po kilkuminutowej drzemce z otwartymi oczyma, przyszedł jej do głowy czujnik przeciwpożarowy. Poczwała nagle przypływ przelotnej, niczym nie uzasadnionej nadziei, która rozproszyła nieco senność. Ale zdała sobie sprawę, że to, co słyszy, nie brzmi wcale jak czujnik przeciwpożarowy. Przypominało raczej... cóż...

To muchy, dziubdziuniu, jasne? – odezwał się rzeczowy głos, w tej chwili znużony i pełen melancholii. – *Znasz „Chłopców Lata”, prawda? Cóż, słyszysz właśnie „Muchy Jesieni” grające marsza żałobnego Geraldowi Burlingame’owi, znakomitemu adwokatowi, który lubił zakuwać żonę w kajdanki.*

– Jezu, muszę wstać! – rzekła Jessie kraczącym, ochrypłym głosem, który zabrzmiał zupełnie obco.

Co to do cholery znaczy?! – pomyślała, a później sama wpadła na odpowiedź: Nic a nic –

i odzyskała w końcu pełną świadomość. Nie chciała się obudzić, ale przyszło jej do głowy, że skoro tak się już stało, powinna się z tym pogodzić i sensownie wykorzystać czas spędzony na jawie, póki jeszcze w ogóle jest w stanie robić coś sensownego.

I powinnaś także rozruszać dłonie i ramiona. Oczywiście jeśli to w ogóle możliwe.

Jessie spojrzała na prawe ramię, po czym obróciła z trudem głowę (szyja była również częściowo zdrtwiła) i spojrzała na lewe. Nagle zdała sobie ze zdumieniem sprawę, że patrzy na swoje ciało w całkowicie nowy sposób – przyglądała się własnym rękom niczym meblom na wystawie sklepowej. Wydawało się, że należą do obcej osoby, choć nie było w tym chyba nic dziwnego, skoro Jessie zupełnie ich nie czuła. Lekkie mrowienie zaczynało się dopiero pod pachami.

Usiłowała się podciągnąć i z przerażeniem spostrzegła, że jej ramiona zbuntowały się bardziej, niż się spodziewała. W ogóle nie mogła nimi poruszać, całkowicie ignorowały rozkazy płynące z mózgu. Spojrzała na nie ponownie i nie wydały jej się już meblami. W tej chwili przywodziły na myśl białawe poście mięsa wiszące na hakach u rzeźnika i Jessie wyrwał się ochryply okrzyk lęku i gniewu.

Nieważne. Ramiona nie funkcjonowały, przynajmniej na razie, i gdyby Jessie oszalała albo wpadła w panikę, niczego by to nie zmieniło. A co z palcami? Gdyby zdołała je zacisnąć wokół słupków łóżka, wówczas może...

...a może nie. Palce wydawały się równie bezużyteczne jak ramiona. Niemal przez minutę próbowała nimi poruszyć i jedyną nagrodą okazał się drętwy skurcz prawego kciuka.

– Wielki Boże! – odezwała się ochryplym, zdartym głosem, w którym nie brzmiał już gniew, tylko strach.

Ludzie oczywiście giną w wypadkach – Jessie widziała w telewizji setki, a może nawet tysiące migawek przedstawiających różne tragiczne wydarzenia. Zwłoki wydobywane z rozbitych samochodów, polegli żołnierze ewakuowani z dżungli przez helikoptery, stopy sterczące spod pośpiesznie rozpostartych kocy i ogarnięte pożarem budynki w tle, bladzi naoczni świadkowie opowiadający łamiącym się głosem o strzelaninie i wskazujący kałuże lepkiej czarnej mazi w bocznych uliczkach lub na podłogach barów. Widziała, jak z hotelu „Chateau Marmont” w Los Angeles wynoszono nieforemny kształt w białym prześcieradle, który był niegdyś Johnem Belushi, widziała, jak linoskoczek Karl Wallenda stracił równowagę, przewrócił się ciężko na linę, po której chodził (rozpięto ją, zdaje się, pomiędzy dwoma hotelami w modnym kurorcie), próbował się jej rozpaczliwie ucześcić, po czym spadł na ziemię i zginął. Dzienniki telewizyjne obsesyjnie powtarzały te ujęcia. Jessie знаła także ludzi, którzy zginęli w wypadkach, ale do tej pory jakoś do niej nie docierało, że to rzeczywiście ludzie, tacy sami jak ona, nie mający zielonego pojęcia, że nie zjedzą już nigdy cheeseburgera, nie zobaczą kolejnego odcinka Koła Fortuny i nie zatelefonują do swoich najlepszych przyjaciół, by zaprosić ich na pokera na zapałki w czwartek wieczór albo umówić się na sprawunki w sobotę po południu. Nigdy więcej piwa, nigdy więcej pocałunków, a

fantazja o miłości w hamaku podczas burzy z piorunami na pewno się nie spełni, bo będziesz martwa. Każdy poranek może się okazać ostatni.

Tym razem „może” to za mało powiedziane – pomyślała. – Lepsze byłoby słowo „prawdopodobnie”. Nasz domek, nasz spokojny, śliczny domek letniskowy nad jeziorem pojawi się w dzienniku telewizyjnym w piątek czy sobotę wieczór. Doug Rowe, ubrany w ten swój koszmarny biały trencz, powie do mikrofonu, że jest to „dom, gdzie odnaleziono zwłoki Geralda Burlingame’a, znanego adwokata z Portland, i jego żony”. Później połączy się ze studiem, a Bill Green odczyta wiadomości sportowe. I nie myśl, że przesadzam, Jessie, to nie lamente Dobrej Żony ani głędzenie Ruth. To...

Tak, Jessie wiedziała. Była to prawda. Nieważny głupi wypadek, o jakich czyta się w gazecie przy śniadaniu. Człowiek kręci głową i mówi: „Posłuchaj, kochanie”, a następnie odczytuje fragmenty mężowi, który zajada jajecznicę na szynce. Po prostu nieważny idiotyczny wypadek, tyle że tym razem przytrafił się on Jessie. Jej umysł obstawał uparcie przy tym, że to pomyłka, było to zrozumiałe, lecz zupełnie pozbawione znaczenia. Nie istniało żadne biuro skarg i zażaleń, gdzie mogłaby wytłumaczyć, że kajdanki to pomysł Geralda, i zażądać uwolnienia. Jeśli pomyłka miała zostać naprawiona, musiała to zrobić ona sama.

Odchrząknęła, zamknęła oczy, i odezwała się do sufitu:

– Boże, posłuchaj chwilkę, dobrze? Potrzebuję pomocy, naprawdę potrzebuję. Wpakowałam się w kabałę i jestem przerażona. Proszę, pomóż mi się wydostać, dobrze? Modłę się... modłę się w imię Jezusa Chrystusa.

Usiłowała kontynuować w tym duchu i zdobyła się tylko na modlitwę, której nauczyła ją Nora Callighan i którą powtarzali wszyscy maniacy samodoskonalenia i wszyscy guru psychologii na świecie:

– Boże, daj mi pokorę, bym pogodziła się z rzeczami, których nie mogę zmienić, daj mi odwagę, bym zmieniała rzeczy, które mogę zmienić, i daj mi mądrość, bym potrafiła je rozróżnić. Amen.

Nic się nie zmieniło. Nie czuła ani pokory, ani odwagi, ani mądrości. Była ciągle kobietą z kompletnie zdrętwiałymi ramionami, której umarł mąż, przykutą kajdankami do łóżka niczym kundel przywiązany do żelaznego kółka i pozostawiony samemu sobie, by zdechł samotnie w nędznej szopie na podwórku, gdy tymczasem jego pan, stary moczymorda, odsiaduje trzydzieści dni w małomiasteczkowym kiciu za prowadzenie auta bez prawa jazdy i pod wpływem alkoholu.

– Och, proszę, spraw, żebym się nie męczyła – powiedziała cichym, drżącym głosem. – Jeśli mam umrzeć, Boże, proszę, spraw, żebym się nie męczyła. Tak się boję bólu...

Myśleć w tej chwili o śmierci to prawdopodobnie bardzo kiepski pomysł, dziubdziuniu – odezwała się Ruth, umilkła na chwilę i dodała: – Po namyśle dochodzę do wniosku, że powinnaś wykreślić słowo „prawdopodobnie”.

W porządku, nie przeczę, myślenie o śmierci to bardzo kiepski pomysł. Więc co pozostaje? Życie – odpowiedziały jednocześnie Ruth i Dobra Żona Burlingame.

W porządku, życie. W ten sposób Jessie zatoczyła pełny krąg i doszła z powrotem do kwestii swoich ramion.

Zdrętwiały, bo wisiałam na nich przez całą noc. Ciągle na nich wiszę. Przede wszystkim muszę zdjąć z nich ciężar ciała.

Jessie znów usiłowała się podciągnąć do góry, zapierając się stopami, i ogarnął ją śmiertelny strach, gdy z początku nogi również nie chciały się poruszyć. Straciła na moment przytomność, a kiedy ją odzyskała, zaczęła wierzgać gwałtownie, spychając kołdrę, prześcieradło i materac w dół łóżka. Dyszała spazmatycznie niczym kolarz wspinający się mozolnie na szczyt stromego wzgórza i czuła delikatne mrowienie w zdrętwiałych pośladkach.

Strach dopomógł jej się rozbudzić, ale serce zaczęło pracować normalnie dopiero w trakcie zwariowanej gimnastyki. W końcu zaczęła czuć w ramionach pierwsze ukłucia bólu, głębokie, sięgające aż do kości, złowieszcze jak odległe grzmoty.

Jeśli wszystko inne zawiedzie, dziubdziuniu, pomyśl o tych kilku ostatnich łykach wody. Pamiętaj, że jeśli nie będziesz mogła poruszać ramionami, nigdy nie zdejmiesz szklanki, a już na pewno się z niej nie napijesz.

Niebo jaśniało coraz bardziej, a Jessie wierzgała dalej. Do skroni i policzków przylepiły się przepecone włosy. Była świadoma – mgliście świadoma – że jej organizm traci z każdą chwilą coraz więcej wody, lecz nie miała wyboru.

Rzeczywiście, nie masz wyboru, dziubdziuniu – żadnego wyboru.

Dziubdziuniu to, dziubdziuniu tamto – pomyślała z roztargnieniem. – *Zamknij się wreszcie, ty gadatliwa suko!*

W końcu pupa Jessie zaczęła się posuwać w stronę szczytu łóżka. Po każdym ruchu Jessie kurczyła mięśnie brzucha i podnosiła się coraz wyżej, a kąt pomiędzy górną i dolną połową jej ciała zbliżał się powoli do dziewięćdziesięciu stopni. Jej łokcie zaczęły się zginać, a gdy przestała utrzymywać ciężar ciała na ramionach, ciarki przybrały na sile. Kiedy wreszcie usiadła, nie przestała poruszać nogami, wierzgała dalej, by podtrzymać krążenie krwi.

Do lewego oka spłynęła jej szczypiąca kropla potu. Potrząsnęła niecierpliwie głową i wierzgała dalej. Ciarki przybierały na sile, rozchodząc się w górę i w dół od łokci; jakieś pięć minut po dźwignięciu ciała do pozycji półsiedzącej (wyglądała w tej chwili jak nastolatka rozwalona na fotelu w kinie) chwycił ją pierwszy skurcz, przypominający uderzenie obuchem siekiery.

Odrzuciła głowę do tyłu, strząsając z głowy i włosów kropelki potu, i krzyknęła przenikliwie. Kiedy nabierała tchu, by ponowić okrzyk, chwycił ją następny skurcz. Okazał się on znacznie gorszy. Miała wrażenie, że ktoś zacisnął jej na lewym barku stalową pętlę, która zaczęła przecinać skórę. Zawyla, zaciskając pięści z taką zwierzęcą gwałtownością, że

dwa paznokcie pękły i zaczęły krwawić. Miała zamknięte oczy, lecz mimo to spod opuchniętych, zsiniałych powiek pociekły łzy i popłynęły w dół po policzkach, mieszając się ze strużkami potu ściekającego z czoła.

Wierzgaj, dziubdziuniu! Nie zatrzymuj się!

Tuż przed świtem bezpański pies wrócił ukradkiem na ganek i słysząc krzyki Jessie uniósł gwałtownie łeb. Na jego pysku pojawił się niemalże komiczny wyraz zdziwienia.

Nie nazywaj mnie tak, suko! Wstrętna su...

Cały lewy mięsień trójgłowy chwycił kolejny skurcz, tym razem ostry i niespodziewany niczym piorunujący atak serca, a słowa Jessie przeszły w długi, nieartykułowany krzyk. Mimo to nie przestała wierzgać.

Jakimś cudem wierzgała dalej.

20

Kiedy najgorsze skurcze minęły – przynajmniej miała taką nadzieję – odpoczęła nieco, oparta plecami o mahoniowy zagłówek łóżka. Przymknęła powieki, słuchając uspokajającego się z wolna oddechu. Pomimo pragnienia czuła się zdumiewająco dobrze. Prawdopodobnie było to w jakiejś mierze rezultatem wysiłku fizycznego. Jeszcze pięć (no, powiedzmy, dziesięć) lat temu uprawiała aktywnie sport i wciąż dobrze pamiętała cudowne połączenie zmęczenia i szczęścia, jakie ogarniało ją po każdym biegu. W tych okolicznościach było to absurdalne, lecz dość przyjemne.

Może wcale nie takie absurdalne, Jess. Może także użyteczne. Adrenalina rozjaśnia w głowie i właśnie dlatego ludzie pracują lepiej po wysiłku fizycznym.

A Jessie miała jasny umysł. Lęki rozwiały się jak dym porwany przez wichurę, nie tylko odzyskała zdolność racjonalnego myślenia, lecz także czuła się zupełnie spokojna. Nigdy by nie uwierzyła, że to możliwe; ów dowód na to, że umysł ma prawie niewyczerpane możliwości adaptacyjne i regeneracyjne, wydał jej się wręcz niesamowity.

A przecież nie wypilam nawet porannej kawy! – pomyślała.

Wyobrazenie kawy – czarnej, podanej w ulubionej filiżance ze szlaczkiem z błękitnych kwiatków – spowodowało, że oblizwała wargi i pomyślała o porannym programie telewizyjnym „Today”. Jeśli prawidłowo odgadywała godzinę, „Today” powinno wkrótce się zacząć. Mężczyźni i kobiety w całej Ameryce – w większości nie skuci – siedzieli przy stołach w kuchni, popijając sok lub kawę, jedząc tosty lub jajecznicę (a może szeroko reklamowane płatki owsiane, które jakoby działają kojąco na serce, a zarazem stymulują układ trawienny). Na ekranie pojawią się Bryant Gumbel i Katie Couric żartujący z Joem Garagiola. Troszkę później Willard Scott złoży życzenia dwu stulatkom. Wreszcie wystąpią goście – pierwszy będzie mówił o stopie oprocentowania kredytów, drugi doradzi telewidzom, jak oduczyć pekińczyki gryzienia pantofli rannych, a trzeci zacznie chwalać swój ostatni film – i nikt nie będzie zdawał sobie sprawy, że w zachodniej części stanu Maine zdarzył się akurat przykry wypadek, że jedna z mniej lub bardziej lojalnych miłośniczek programu nie jest w stanie włączyć tego ranka telewizora, bo leży przykuta do łóżka w odległości kilku metrów od swojego martwego męża, nagiego, nadżartego przez psa i rozwalonego w groteskowej pozycji na podłodze.

Obróciła głowę w prawo i spojrzała na szklankę, którą Gerald odstawił niedbale na półkę tuż przed rozpoczęciem orgii. Pięć lat temu szklanki zapewne jeszcze by tam nie było, jednakże w miarę, jak pił wieczorami coraz więcej szkockiej, wzrastało również jego dzienne spożycie innych płynów – głównie wody, lecz także soków owocowych i toniku. Zwrot „problemy z piciem” nie był w jego przypadku eufemizmem, tylko szczerą prawdą.

Cóż – pomyślała ze znużeniem – jeśli miał problemy z piciem, to chyba już się z nich wyleczył, prawda?

Szklanka znajdowała się dokładnie tam, gdzie Jessie ją postawiła, jeśli nocny gość nie był przywidzeniem...

Nie bądź niemądra, oczywiście, że był tylko przywidzeniem – wtrąciła nerwowo Dobra Żona.

...z pewnością nie chciało mu się pić.

Teraz ją zdejmę – pomyślała Jessie. – *I muszę zachować niezwykłą ostrożność na wypadek, gdyby złapał mnie nowy skurcz. Są pytania?*

Pytań nie było, a zdjęcie szklanki okazało się tym razem bardzo proste, bo stała ona znacznie bliżej, znikła potrzeba przechylania półki. Wziąwszy do ręki prowizoryczną rurkę, Jessie odkryła kolejne ułatwienie. Po wyschnięciu karta subskrypcyjna pofałdowała się wzdłuż zagięć. Dziwaczna rurka przypominała w tej chwili coś w rodzaju origami i działała znacznie skuteczniej niż zeszłego wieczoru. Wypicie resztki wody okazało się jeszcze łatwiejsze niż zdjęcie szklanki; usiłując wyssać kilka ostatnich kropeł, czemu towarzyszyło głośne siorbanie, Jessie zorientowała się, że gdyby wpadła wcześniej na pomysł uszczelnienia rurki, wychłapałaby na prześcieradło znacznie mniej drogiego płynu. Cóż, było już na to za późno, a nie ma sensu płakać nad rozlaną wodą.

Kilka łyków tylko rozbudziło jej pragnienie, ale nie mogła nic na to poradzić. Odstawiła szklankę z powrotem na półkę i roześmiała się z samej siebie. Trudno pokonać własne nawyki, nawet w tak niezwykłych okolicznościach. Odstawiła szklankę na półkę, ryzykując straszliwy skurcz mięśni, choć mogła po prostu cisnąć ją na bok, by roztrzaskała się na podłodze. A dlaczego? Bo najważniejszy jest porządek, ot, co. Była to właśnie jedna z owych reguł, które Sally Mahout wbiła na zawsze do głowy swojej dziubdziuni, swojemu piszczącemu kołu, zawsze niezadowolonemu, dopóki nie zrobiło tego, czego chciało – swojej małej dziubdziuni, zdolnej do wszystkiego, nawet do uwiedzenia własnego ojca, aby tylko postawić na swoim.

Jessie ujrzała w wyobraźni matkę, tak jak ją często widywała: z policzkami zarumienionymi ze złości, z mocno zacisniętymi wargami, wspartą wojowniczo pod boki.

– W to też byś uwierzyła – rzekła cicho Jessie. – Prawda, suko?

To niesprawiedliwe! – odpowiedziała nerwowo jakaś część jej umysłu. – *Niesprawiedliwe, Jessie!*

Jednakże Jessie wiedziała, że ma rację. Sally nie była bynajmniej idealną matką,

zwłaszcza gdy jej małżeństwo z Tomem zaczęło przypominać stary rozklekotany wóz jadący po kocich łbach. Często zachowywała się paranoidalnie, a niekiedy irracjonalnie. Z jakiegoś powodu oszczędzała Willa, który nie był narażony na jej tyrady i podejrzliwość, lecz czasami wręcz przerażała obie córki.

Ta ciemna strona natury Sally przestała już dawać o sobie znać. Listy, jakie Jessie otrzymywała z Arizony, były banalnymi, nudnymi notatkami starszej pani, której zainteresowania nie wykraczają poza czwartkowe seanse bingo; lata, gdy wychowywała dzieci, wydawały się Sally epoką spokojną i szczęśliwą. Najwyraźniej nie pamiętała, jak wrzeszczała na całe gardło, że jeśli Maddy jeszcze raz wyrzuci do kosza brudne podpaski nie owinięte w papier toaletowy, to ją zabije, nie pamiętała również niedzielnego ranka, gdy z jakichś niepojętych powodów wpadła jak burza do sypialni Jessie, cisnęła w nią parą pantofelków na wysokich obcasach, po czym obróciła się na pięcie i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Niekiedy, otrzymując listy i pocztówki od matki – „U mnie wszystko w porządku, kochanie, pisała do mnie Maddy, jest taka otwarta, odkąd zmniejszyły się upały, znacznie poprawił mi się apetyt...” – Jessie miała chęć chwycić słuchawkę telefonu, zadzwonić do matki i wrzasnąć: Zapomniałaś o wszystkim?! Zapomniałaś, jak cisnęłaś we mnie pantoflami i jak rozbiłaś moją ulubioną wazę, a ja płakałam, bo myślałam, że ojciec na pewno w końcu się załamał i wszystko ci opowiedział, choć od zaćmienia minęły już trzy lata? Zapomniałaś, jak często przerażałaś nas krzykami i wybuchami płaczu?

To niesprawiedliwe, Jessie. Niesprawiedliwe i niełojalne.

Może niesprawiedliwe, ale to wcale nie znaczy, że nieprawdziwe.

Gdyby wiedziała, co się wtedy stało...

Jessie znów ujrzała na moment kobietę pod pręgierzem, lecz obraz zniknął jak zdmuchnięty, przywodząc na myśl pozornie niewidoczną reklamę telewizyjną oddziałującą bezpośrednio na podświadomość: dłonie zakute w dyby, włosy opadające na twarz niczym całun pokutny, grupka ludzi wytykających ją ze śmiechem palcami. Głównie kobiet.

Matka mogłaby się nigdy do tego nie przyznać, ale, owszem, uwierzyłyby, że to wina Jessie, która świadomie uwiodła ojca. Piszczące koło może się przecież łatwo zmienić w Lolitę, prawda? A świadomość, że między mężem a córką zaszło coś dwuznacznego, skłoniłaby ją wreszcie do wcielenia w życie snutych od dawna planów rozwodowych.

Uwierzyłyby? Oczywiście, że tak!

Tym razem głos rozsądku nie próbował protestować nawet dla pozorów i Jessie doznała nagle olśnienia: ojciec natychmiast zrozumiał to, co ona pojęła dopiero po trzydziestu latach. Znał prawdę, podobnie jak dziwne własności akustyczne saloniku w domku letniskowym nad jeziorem.

Ojciec wykorzystał ją tego dnia nie tylko seksualnie.

Skonstatowawszy ów smutny fakt, Jessie spodziewała się fali negatywnych emocji;

została w końcu podle oszukana przez człowieka, którego podstawowym obowiązkiem było ją kochać i chronić. Jednakże nic takiego nie poczuła. Może z powodu nadmiernego stężenia adrenaliny utrzymującego się ciągle we krwi, a może z powodu zwykłej ulgi. Chociaż cała sprawa śmierdziała jak cholera, Jessie zdołała wreszcie spojrzeć na nią z pewnej perspektywy. Przede wszystkim nie mogła się nadziwić, że tak długo utrzymywała wszystko w sekrecie, a ponadto ogarnęło ją szczególne, niespokojne osłupienie. Ile decyzji życiowych podjęła dlatego, że bezpośrednio lub pośrednio wpływało na nią to, co się zdarzyło podczas ostatniej minuty, jaką spędziła na kolanach tatusia, spoglądając na ogromny czarny krąg na niebie przez kilka okopconych szybek? A sytuacja, w jakiej się teraz znalazła, czy również nie jest skutkiem tego, co się wówczas stało?

Och, to za dużo powiedziane – pomyślała. – Gdyby mnie zgwałcił, może byłoby inaczej. Ale to, co zaszło wtedy na tarasie, to po prostu niezbyt poważny incydent... Jeśli chcesz wiedzieć, jak wygląda poważny incydent, Jess, pomyśl o swojej obecnej sytuacji. Równie dobrze mogę winić panią Gillette za to, że dała mi po łapach podczas przyjęcia w ogrodzie, gdy miałam cztery lata. Albo wstydzić się tego, co myślałam w chwili narodzin. Albo czuć skruchę z powodu nie odkupionych grzechów z poprzedniego wcielenia. Poza tym to, co zrobił na tarasie, było niczym w porównaniu z tym, co zrobił w sypialni.

Jessie nie musiała śnić, dokładnie wszystko pamiętała.

21

Kiedy uniosła oczy i zobaczyła ojca stojącego w drzwiach sypialni, z początku instynktownie skrzyżowała ramiona na piersiach. Spostrzegłszy na jego twarzy smutek i poczucie winy, opuściła ręce, chociaż czuła palące wypieki na policzkach; pokryły się one brzydkimi czerwonymi plamami, stanowiącymi u Jessie odpowiednik dziewczęcego rumieńca. Nie miała jeszcze piersi (cóż, prawie nie miała), lecz czuła się mimo to zupełnie goła i tak się zawstydzila, że o mało nie zemdląła. *Przypuścimy, że wrócą wcześniej?* – pomyślała. – *Przypuścimy, że matka wejdzie za chwilę do pokoju i zobaczy mnie bez koszuli?*

Zawstydzenie zmieniło się we wstyd, wstyd w panikę, a jednak gdy wciągała niezgrabnie bluzkę i zapinała guziki, czuła jeszcze coś innego. Był to gniew nie różniący się zbyt od ślepej wściekłości, jaka ogarnęła ją wiele lat później, gdy zdała sobie sprawę, że Gerald tylko udaje głupiego i dobrze wie, iż Jessie mówi poważnie. Poczwała wściekłość, bo nie zasługiwała na to, by odczuwać wstyd i lęk, przecież to ojciec był dorosły, przecież to on powinien się wstydzić, a jednak się nie wstydził. O nie, bynajmniej!

Kiedy zapięła bluzkę i schowała w szorty, gniew minął, a może – spora różnica – został wygnany z powrotem do utajonej jaskini. Jessie nie mogła się uwolnić od myśli o wcześniejszym powrocie matki. To, czy byłaby całkowicie ubrana, nie miałyby większego znaczenia. Już z ich twarzy dawało się wyczytać, że zdarzyło się coś złego – to po prostu wisiało w powietrzu. Jessie widziała to na twarzy ojca i czuła na własnej.

– Nic ci nie jest, Jessie? – spytał cicho. – Nie czujesz się słabo czy coś takiego?

– Nie. – Usiłowała się uśmiechnąć, lecz tym razem nie była w stanie. Poczwała łzę spływającą po policzku i otarła ją ukradkiem wierzchem dłoni.

– Przepraszam. – Ojciec mówił drżącym głosem i Jessie z przerażeniem zobaczyła, że on też ma łzy w oczach; och, wszystko stawało się coraz gorsze, gorsze i gorsze! – Tak mi przykro. – Odwrócił się gwałtownie, wpadł do łazienki, chwycił ręcznik i otarł nim twarz.

Jessie szybko się zastanawiała.

– Tatusiu?

Spojrzał na nią znad ręcznika. Z jego oczu zniknęły łzy. Gdyby ich nie widziała, przysięgłaby, że nigdy ich tam nie było. Pytanie prawie uwięzło jej w gardle, ale musiała je zadać. Po prostu musiała.

– Czy... czy musimy mówić mamie?

Wciągnął głęboko powietrze, wydając lekki jęk. Jessie czekała z duszą na ramieniu, a ojciec odpowiedział:

– Chyba tak, prawda?

Świat zawirował Jessie przed oczyma. Podeszła chwiejnie do ojca – w ogóle nie czuła nóg – i objęła go.

– Proszę, tatusiu, nie mów jej, proszę, nie mów jej, proszę... – Słowa stały się stopniowo coraz bardziej niewyraźne, aż wreszcie Jessie rozszlochała się gwałtownie, przyciskając twarz do nagiej piersi ojca.

Po chwili on również ją objął, tym razem w dawny, ojcowski sposób.

– Nie mam na to wielkiej ochoty – rzekł – bo ostatnio nie układa się między nami najlepiej, kochanie. Nawiasem mówiąc, byłbym zdziwiony, gdybyś sama o tym nie wiedziała. To mogłoby tylko pogorszyć sytuację. Matka nie była ostatnio... cóż, nie była dla mnie miła i stąd ta dzisiejsza historia. Mężczyzna... mężczyzna ma swoje potrzeby. Zrozumiesz to któregoś...

– Ale jak się zorientuje, powie, że to moja wina!

– O nie, nie sądzę – odparł Tom, lecz w jego głosie zabrzmiało zdziwienie, namysł, który wydał się Jessie straszliwym niczym wyrok śmierci. – Niiieeee... Jestem pewien, no cóż, prawie pewien...

Spojrzała na niego zaczerwienionymi oczami, z których płynęły potoki łez.

– Proszę, nie mów jej, tatusiu! Proszę cię! Proszę!!!

Pocałował ją w czoło.

– Ależ, Jessie... Muszę to zrobić. Musimy to zrobić.

– Dlaczego? Dlaczego, tatusiu?!

– Dlatego, że...

22

Jessie zmieniła nieco pozycję. Brzęknęły łańcuszki, a stalowe kółka zagrzechotały o deski. Przez wschodnie okno wpadały do sypialni potoki światła.

– Dlatego, że nie potrafisz utrzymać tego w tajemnicy – powiedział martwym głosem. – Dlatego, że jeśli ma to wyjść na jaw, lepiej dla nas obydwójga, żeby wyszło na jaw teraz, a nie za tydzień, miesiąc albo rok. Nawet za dziesięć lat.

Jak zręcznie potrafił nią manipulować – najpierw przeprosiny, później łzy, wreszcie mistrzowskie odwrócenie sytuacji: to przecież nie jego problem, tylko jej. Aż na koniec Jessie zaczęła zaklinać się na wszystkie świętości, że na zawsze dotrzyma tajemnicy, że nie zdradzi niczego nawet na torturach, nawet gdyby przypalano ją rozżarzoną żelazem.

Pamiętała, że obiecała coś w tym rodzaju, zalewając się w przerażeniu gorącymi łzami. Na koniec przestał kręcić głową i popatrzył na nią bez słowa zmrużonymi oczyma, zacisnąwszy mocno wargi – Jessie dostrzegła to w lustrze, a ojciec prawie na pewno o tym wiedział.

– Rzeczywiście mogłabyś dotrzymać sekretu... – rzekł wreszcie, a Jessie pamiętała omdlewającą ulgę, jaką poczuła po usłyszeniu owych słów. Ich treść była mniej ważna od tonu jego głosu. Jessie słyszała go już wiele razy i wiedziała, jak matkę doprowadza do szaleństwa fakt, że córka potrafi w ten sposób oddziaływać na ojca, i to skuteczniej niż ona sama. *Zmieniam zdanie* – mówił ów ton. – *Robię to wbrew swojemu przekonaniu, ale zmieniam zdanie i przechodzę na twoją stronę.*

– Tak – zgodziła się Jessie. Mówiła drżącym głosem, przełykając łzy. – Nic nie powiem, tatusiu, nigdy w życiu!

– Nie tylko matce – ciągnął ojciec – ale nikomu. Nigdy. To wielka odpowiedzialność jak na małą dziewczynkę, Kruszyno. Możesz mieć straszną ochotę. Na przykład będziesz się uczyć po szkole z Caroline Cline albo Tammy Hough i gdyby któraś z nich zdradziła ci jakiś sekret, ty mogłabyś chcieć jej się zrewanżować...

– Im?! Nigdy-nigdy-nigdy!

Ojciec musiał zobaczyć, że Jessie mówi prawdę; myśl o tym, że Caroline albo Tammy mogłyby się o wszystkim dowiedzieć, napęłniła Jessie przerażeniem. Usatysfakcjonowany, przeszedł do tematu, który zapewne najbardziej go niepokoił.

– Albo swojej siostrze. – Odsunął ją od siebie i długo patrzył na nią surowym wzrokiem.
– Widzisz, może przyjść czas, gdy będziesz chciała jej się zwierzyć...

– Nie, tatusiu, nie, ja nigdy...

Potrząsnął nią łagodnie.

– Bądź cicho i daj mi skończyć, Kruszyno. Wy dwie jesteście ze sobą bardzo blisko, wiem o tym i wiem, że dziewczęta czują niekiedy potrzebę zwierzenia się ze swoich największych sekretów. Czy gdybyś poczuła taką potrzebę, potrafiłabyś dotrzymać tajemnicy wobec Maddy?

– Tak! – Rozpaczliwie pragnąc go przekonać, Jessie znów się rozbeczała. Oczywiście, że mogłaby wyznać wszystko Maddy, gdyby pewnego dnia postanowiła się komuś zwierzyć ze swojego strasznego sekretu, poszłaby na pewno do starszej siostry... choć było przecież jedno ale. Maddy i Sally łączyła podobna zażyłość jak Jessie i Toma, więc gdyby Jessie wyznała siostrze, co się zdarzyło na werandzie, matka prawdopodobnie wiedziałaby o wszystkim już tego samego wieczoru. Z tego właśnie względu Jessie na pewno nie podzieliłaby się sekretem z Maddy.

– Jesteś zupełnie pewna? – spytał z powątpiewaniem ojciec.

– Tak! Naprawdę!

Znów pokręcił z zalem głową, napelniając Jessie trwogą.

– Myślę po prostu, Kruszyno, że może lepiej powiedzieć wszystko natychmiast. Przełknąć tę gorzką pigułkę. Przecież mama nas nie zabije...

Jednak Jessie pamiętała gniew w głosie matki, gdy tatuś poprosił, by córka została w domu, zamiast jechać ze wszystkimi na szczyt Mount Washington... i nie tylko gniew. Wołała o tym nie myśleć, ale w tej chwili nie mogła sobie pozwolić na luksus zamykania oczu na rzeczywistość. W głosie matki brzmiała zazdrość i coś bardzo podobnego do nienawiści. I kiedy Jessie stała wraz z ojcem w drzwiach sypialni i usiłowała go przekonać, by zachował wszystko w sekrecie, ujrzała na chwilę przerażająco wyrazistą wizję: wyobraziła sobie siebie i ojca wyrzuconych na bruk niczym Hansel i Gretel, bezdomnych, włóczących się po Ameryce...

...i oczywiście, śpiących ze sobą. Śpiących ze sobą w nocy.

Kompletnie się załamała, wybuchnęła histerycznym płaczem i zaczęła błagać ojca, by nic nikomu nie mówił, a ona będzie już zawsze grzeczna. Pozwolił jej płakać, aż poczuł, że nadszedł właściwy moment.

– Wiesz, masz w sobie piekielnie dużo siły jak na małą dziewczynkę, Kruszyno – rzekł poważnie.

Spojrzała nań oczyma pełnymi nowej nadziei. Skinął powoli głową i zaczął wycierać jej mokre policzki ręcznikiem, którym osuszył przedtem własne oczy.

– Nigdy nie byłem w stanie niczego ci odmówić i nie jestem w stanie odmówić ci i tym razem. Zrobimy, jak chcesz.

Rzuciła mu się na szyję i zaczęła obsypywać jego twarz pocałunkami. Gdzieś w głębi duszy bała się, że to może...

..znów go podniecić...

...wywołać nowe kłopoty, ale czuła zbyt wielką wdzięczność, by się pohamować, i kłopoty się nie pojawiły...

– Dziękuję! Dziękuję ci, tatusiu! Dziękuję!

Ojciec ujął ją za ramiona i patrzył na nią przez chwilę z uśmiechem. Ale na jego twarzy wciąż malował się smutek i teraz, w trzydzieści lat później, Jessie nie uważała owego smutku za część komedii. Smutek był autentyczny, a straszny czyn, jaki popełnił ojciec, stawał się przez to w jakiś sposób jeszcze gorszy.

– Chyba dobiliśmy targu – powiedział. – Ja nic nie mówię i ty nic nie mówisz, dobrze?

– Dobrze!

– Nie rozmawiajmy o tym z nikim, nawet ze sobą. Po wieki wieków, amen. Wyszędłszy z tego pokoju, zapomnimy na zawsze o całej sprawie, Jess. W porządku?

Zgodziła się natychmiast, lecz w tejże chwili powróciło wspomnienie owego zapachu, i wiedziała, że zanim o wszystkim zapomną, musi mu zadać przynajmniej jedno pytanie.

– Jest coś, co muszę powiedzieć. Chciałbym cię przeprosić, Jess. Wstyd mi, że to zrobiłem.

Pamiętała, że mówiąc to odwrócił wzrok. Przez cały czas, gdy świadomie doprowadzał ją do hysterii, gdy wzbudzał w niej poczucie winy, gdy straszył ją wizjami rozpadu rodziny, przez cały czas, gdy starał się zapewnić sobie jej milczenie, grożąc, że sam wszystko powie, patrzył jej prosto w oczy. Kiedy jednak wygłosił owe ostatnie przeprosiny, popatrzył na rysunki na arkuszach papieru dzielących pokój. Wspomnienie to napełniło ją uczuciem, w którym mieszały się żal i gniew. Był w stanie patrzeć jej w oczy i kłamać, dopiero prawda spowodowała, że odwrócił wzrok.

Przypomniała sobie, jak otworzyła usta, by powiedzieć, że nie musi przeproszać, po czym znów je zamknęła – częściowo z lęku, że jeśli coś powie, ojciec może zmienić zdanie, lecz głównie dlatego że nawet jako dziesięcioletnia dziewczynka zdawała sobie sprawę, iż ma prawo do przeprosin.

– Sally jest trochę oziębła, to prawda, ale to piekielnie kiepska wymówka. Nie mam zielonego pojęcia, co mnie naszło. – Zaśmiał się lekko, wciąż nie patrząc na Jessie. – Może to wpływ zaćmienia? Jeśli tak, chwała Bogu, że już nigdy się nie powtórzy. – Później, jakby mówiąc sam do siebie, dodał: – Chryste, jeśli będziemy trzymać język za zębami, a ona i tak się dowie... Jessie przytuliła głowę do jego piersi i powiedziała:

– Nie dowie się. Nigdy nikomu nie powiem, tatusiu. – Umilkła, po czym dodała: – A zresztą, co mogłabym powiedzieć?

– Racja. – Uśmiechnął się. – Przecież nic się nie stało.

– I nie jestem przecież... nie mogę być... – Uniosła wzrok w nadziei, że ojciec się

domyśli, o co jej chodzi, lecz on tylko spojrzał na nią z pytającym wyrazem twarzy, a uśmiech ustąpił miejsca czujnemu wyczekiwaniu.

– Nie mogę być w ciąży, prawda? – wypaliła Jessie.

Ojciec zachnął się, a później mięśnie jego twarzy stężały, jakby usiłował zdławić jakieś silne uczucie. Wówczas myślała, że to strach albo smutek, i dopiero po tylu latach przyszło jej do głowy, iż ojciec w istocie próbował powstrzymać wybuch dzikiego, pełnego ulgi śmiechu. W końcu zapanował nad sobą i pocałował Jessie w czubek nosa.

– Nie, kochanie, oczywiście, że nie. To, od czego kobiety zachodzą w ciążę, nie zdarzyło się. Nic takiego się nie stało. Troszkę cię przytuliłem, to wszystko...

– I łaskotałeś mnie. – Jessie bardzo wyraźnie pamiętała, że to powiedziała. – Łaskotałeś mnie i nic więcej.

Uśmiechnął się.

– Tak, to dość bliskie prawdy. Jesteś fantastyczna, Kruszyno. A teraz, jak sądzisz? Czy to zamyka sprawę?

Jessie skinęła głową.

– Nic takiego już nigdy się nie zdarzy, wiesz o tym, prawda?

Jessie znów kiwnęła głową, lecz jej własny uśmiech przybladł.

To, co powiedział, powinno sprawić jej ulgę, i owszem, sprawiło trochę ulgi, lecz powaga słów ojca i smutek widoczny na jego twarzy o mało nie przyprawiły jej o następny atak paniki. Pamiętała, że ujęła jego dłoń i ścisnęła je.

– Kochasz mnie, prawda, tatusiu? Ciągle mnie kochasz, prawda?

Skinął głową i powiedział, że kocha ją bardziej niż kiedykolwiek.

– Wiec mnie przytul! Przytul mnie mocno!

Przytulił ją, lecz w tej chwili Jessie pamiętała coś jeszcze: nie dotykał jej dolną częścią swojego ciała.

Ani wówczas, ani nigdy więcej – pomyślała. – Przynajmniej o ile sobie przypominam. Nawet jak skończyłam college i też się rozplakał, uściskał mnie w śmiesznie staropanieński sposób, wypinając pupę, by pod żadnym pozorem nie zetknąć się ze mną biodrami. Biedny, biedny człowiek. Ciekawe, czy którykolwiek z ludzi, z jakimi robił interesy przez te wszystkie lata, widział go tak wytrąconego z równowagi jak ja w dniu zaćmienia? Cała ta męka, i z jakiego powodu? Z powodu błahego incydentu, równie nieistotnego jak drobne skaleczenie. Jezu, co za życie! Co za pieprzone życie!

Znów zaczęła powoli poruszać ramionami w górę i w dół, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, chcąc tylko podtrzymać krążenie krwi w dłoniach, nadgarstkach i przedramionach. Domyślała się, że jest w tej chwili około ósmej. Była przykuta do łóżka od osiemnastu godzin. Niewiarygodne, ale prawdziwe.

Nagle rozległ się głos Ruth Neary – tak nagle, że Jessie się zachnęła.

Ciągle go usprawiedliwiasz, prawda? Ciągle zdejmujesz z niego odpowiedzialność i

winisz siebie, po tylu latach. Nawet teraz. Zdumiewające.

– Zejdź ze mnie – rzekła ochryple Jessie. – To nie ma zupełnie nic wspólnego z tą piekielną kabałą, w jaką się w tej chwili wpakowałam...

Ale z ciebie numer, Jessie!

– ...a nawet gdyby miało – ciągnęła Jessie, podnosząc leciutko głos – nawet gdyby miało, i tak muszę najpierw wymyślić sposób na uwolnienie się, więc po prostu daj mi się zastanowić!

Nie byłaś Lolitą, Jessie, nieważne, co ci sugerował. Byłaś pełnym przeciwieństwem Lolity.

Jessie nie odpowiedziała. Ruth zachowywała się coraz bezczelniej, nie chciała się zamknąć.

Jeśli ciągle myślisz, że twój kochany tatuś był nieskazitelny, cnotliwym rycerzem broniącym cię przed mamusią zionącą ogniem niczym smok, lepiej będzie jak jeszcze raz to przemyślisz.

– Zamknij się! – Jessie zaczęła szybciej poruszać ramionami. Zabrzęczały łańcuszki, zagrzechotały stalowe kółka. – Zamknij się, jesteś okropna!

Dokładnie to zaplanował, Jessie. Nic nie rozumiesz? Nie było w tym nic spontanicznego, to nie nagły przypływ żądz w wygłodzonym seksualnie ojcu, on dokładnie to zaplanował.

– Kłamiesz! – warknęła Jessie. Z jej skroni spływały duże krople potu.

Doprawdy? No cóż, sama się zastanów, kto wpadł na pomysł, żebyś włożyła letnią sukienkę? Tę za krótką i za ciasną. Kto doskonale wiedział, że podsłuchasz rozmowę z matką, kiedy tak zręcznie nią manipulował? Kto położył poprzedniego wieczoru ręce na twoich piersiach i kto nosił tego dnia tylko spodenki gimnastyczne?

Nagle Jessie wyobraziła sobie, że jest z nią w pokoju Bryant Gumbel, w eleganckim garniturze i ze złotą bransoletką na nadgarstku, a tuż obok niego stoi facet z kamerą video i filmuje powoli jej prawie nagie ciało, po czym robi zbliżenie spoconej, spuchniętej twarzy. Bryant Gumbel przeprowadzający na żywo wywiad z kobietą przykutą kajdankami do łóżka, podsuwający jej pod nos mikrofon i pytający: Kiedy po raz pierwszy zdałaś sobie sprawę, że twój ojciec może mieć na ciebie chrapkę, Jessie?

Jessie przestała poruszać ramionami i zamknęła oczy. Na jej twarzy pojawił się wyraz uporu.

Dosyc – pomyślała. – Chyba potrafię znieść głosy Ruth i Dobrej Żony... a nawet gości z kosmosu, wtrącających od czasu do czasu swoje trzy grosze... ale nigdy się nie zgodzę na wywiad na żywo z Bryantem Gumbelem ubrana tylko w parę zasikanych majtek. Nie zgodzę się na to nawet w wyobraźni.

Powiedz mi jedno, Jessie – odezwał się nowy głos. Bynajmniej nie z kosmosu; należał do Nory Callighan. – Później możemy uznać sprawę za zamkniętą, przynajmniej na razie, a prawdopodobnie na zawsze. W porządku?

Jessie czekała w milczeniu.

Kiedy wczoraj po południu straciłaś w końcu cierpliwość i wierzgnęłaś, kogo chciałaś kopnąć? Geralda?

Naturalnie, że Geral... – zaczęła Jessie, po czym urwała, widząc w wyobraźni pewien przerażająco wyrazisty obraz: białą nitkę śliny zwisającą z podbródka Geralda. Widziała, jak się wydłużyła, po czym pada na jej brzuch tuż nad pępkiem. Trochę śliny, to wszystko, nic wielkiego po tylu latach małżeństwa i tylu namiętnych pocałunkach z otwartymi ustami i stykającymi się językami; Jessie i Gerald wymienili sporą ilość płynów ustrojowych i jedyną ceną, jaką za to zapłacili, było kilka przeziębień.

Nic wielkiego, z pewnością, aż do wczoraj, gdy nie chciał jej uwolnić, choć tego żądała i potrzebowała. Nic wielkiego, dopóki nie poczuła mdłego mineralnego zapachu kojarzącego się z zapachem studni i wonią jeziora Dark Score w gorący letni dzień... na przykład taki jak dwudziesty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku.

Widziała ślinę, a wyobrażała sobie spernę.

Nie, to nieprawda – pomyślała, lecz nie potrzebowała wzywać Ruth, by odegrała rolę *advocatus diaboli*; wiedziała, że to prawda. *To jego przeklęta sperma!* – to właśnie pomyślała, a później przestała w ogóle myśleć, przynajmniej na jakiś czas. Zareagowała instynktownie, uderzając jedną nogą w brzuch Geralda, a drugą w jego jądra. Nie ślina, tylko sperma, nie nagła odraza do Geralda, ale stary cuchnący horror wystawiający nagle łeb spod wody niczym potwór z Loch Ness.

Jessie zerknęła na skulone, okaleczone ciało męża. Do oczu napłynęły jej łzy, lecz po chwili obeschły. Jakaś część jej psychiki, ta w której skrywał się instynkt samozachowawczy, doszła do wniosku, że łzy to luksus, na który nie można sobie w tej chwili pozwolić. Mimo to czuła żal – żal z powodu śmierci Geralda, tak, oczywiście, lecz przede wszystkim żal nad sobą.

Spojrzała w przestrzeń nad zwłokami męża, a na jej wargach pojawił się słaby, bolesny uśmiezek.

– To na razie wszystko, co mam do powiedzenia, Bryant. Pozdrów ode mnie Willarda i Katie. Ale, ale, czy przed wyjściem nie mógłbyś otworzyć kajdanek? Byłabym doprawdy wdzięczna.

Bryant nie odpowiedział. Jessie wcale to nie zdziwiło.

23

Jeśli masz przeżyć, Jess, powinnaś wreszcie przestać grzebać w przeszłości i zająć się przyszłością... i to w ciągu najbliższych dziesięciu minut. Śmierć z pragnienia na tym łóżku może się okazać niezbyt przyjemna, prawda?

O tak, niezbyt przyjemna... a pragnienie wcale nie musiało się okazać najgorsze. Odkąd się przebudziła, prawie przez cały czas chodziło jej po głowie ukrzyżowanie Chrystusa; myśl to pojawiała się, to znikła niczym drewniana kłoda nasiąknięta wodą, która nie może ani zatonać, ani wypłynąć na powierzchnię. Podczas studiów czytała na zajęciach z historii artykuł o owej czarującej starożytnej torturze i dowiedziała się ze zdziwieniem, przebijanie gwoździami rąk i nóg to dopiero początek. Ukrzyżowanie ma sporo wspólnego z kalkulatorami kieszonkowymi i komputerami; kryją się w nim niezwykle możliwości.

Prawdziwe piekło zaczyna się wraz ze skurczami mięśni. Jessie niechętnie zdała sobie sprawę, że bóle, jakie dotąd przeżyła, nawet paralizujący skurcz, który położył kres pierwszemu atakowi paniki, są niczym w porównaniu z tym, co ją jeszcze czeka. W miarę upływu czasu skurcze ramion, przepony i brzucha staną się stopniowo coraz boleśniejsze, częstsze i obejmujące coraz więcej grup mięśni. W końcu ręce i nogi zdrętwieją zupełnie, choćby Jessie wszelkimi siłami usiłowała utrzymać prawidłowe krążenie krwi. Jednakże odrętwienie nie przyniesie ulgi – w owym czasie pojawią się straszliwie bolesne skurcze piersi i brzucha. Jessie nie miała rąk i nóg przebitych gwoździami, leżała na wznak, a nie wisiała na krzyżu przy drodze niczym pokonany gladiator Spartakusa, lecz mogło to jedynie przedłużyć jej mękę.

Więc co zamierzasz zrobić teraz, gdy skurcze są jeszcze rzadkie i jesteś w stanie myśleć?

– Wszystko, co w mojej mocy – wykrakała. – Po prostu zamknij się na chwilę i pozwól mi się zastanowić.

Proszę, myśl – bardzo mnie to cieszy.

Powinna zacząć od najprostszego rozwiązania i w razie potrzeby przechodzić stopniowo do coraz trudniejszych. A co jest najprostszym rozwiązaniem? Oczywiście, kluczyki. Ciągłe leżały na komodzie, gdzie zostawił je Gerald. Dwa identyczne kluczyki. Gerald, niekiedy wręcz rozczulająco banalny, często nazywał je Kluczykiem Głównym i Kluczykiem Pomocniczym (Jessie wyraźnie słyszała w jego głosie duże litery).

Przypuśćmy po prostu hipotetycznie, że zdoła w jakiś sposób przesunąć łóżko do komody. Czy dosięgnie wówczas kluczyków i otworzy kajdanki? Zdała sobie z wahaniem sprawę, iż są to w istocie dwie odrębne kwestie. Potrafiłaby chyba chwycić zębami jeden z kluczyków, tylko co dalej? Nie włożyłaby go przecież do zamka; przygoda ze szklanką nauczyła Jessie, że nie zdołałaby podnieść ręki do ust, choćby nie wiem jak się starała.

W porządku, zapomnijmy o kluczykach. Zejdźmy szczebel niżej po drabinie trudności. Co jeszcze można zrobić?

Myślała prawie przez pięć minut, rozważając różne aspekty problemu, jakby próbowała ułożyć w myślach kostkę Rubika. Jednocześnie poruszała ramionami w górę i w dół, w pewnej chwili jej oczy powędrowały ku aparatowi telefonicznemu, stojącemu na niskim stoliku koło wschodniego okna. Wcześniej nie poświęciła telefonowi żadnej uwagi, jakby znajdował się w innym wszechświecie, lecz może postąpiła zbyt pochopnie. W końcu stolik stał bliżej niż komoda, a telefon był znacznie większy od kluczyków do kajdanek.

Gdyby przesunęła łóżko do stolika, czy nie zdołałaby podnieść stopą słuchawkę? Później mogłaby nacisnąć wielkim palcem guzik umożliwiający połączenie z centralą, znajdujący się pomiędzy klawiszami oznaczonymi * i #. Brzmiało to trochę jak zwariowany numer cyrkowy, ale...

Naciśnij guzik, odczekaj chwilę i zacznij się drzeć na całe gardło.

Tak, a po półgodzinie nadjedzie duża błękitna karetka pogotowia z Norway albo pomarańczowa furgonetka z napisem Castle County Rescue, po czym odwiezie Jessie do szpitala. Zwariowany pomysł, owszem, lecz wcale nie bardziej niż wykorzystanie karty subskrypcyjnej jako rurki. Zwariowany czy nie, mógł się powieść – a to było najważniejsze. Z pewnością dawał więcej szans niż pchanie łóżka przez cały pokój, a później próba otwarcia kajdanek kluczykiem trzymanym w zębach. Istniał jednak pewien poważny szkopuł: Jessie musiała przesunąć łóżko w prawo, co wydawało się wyjątkowo trudne. Ciężkie mahoniowe łoże z pewnością ważyło ze sto pięćdziesiąt kilogramów, a nawet więcej.

Powinnaś przynajmniej spróbować, dziecino, i może czeka cię wielka niespodzianka: na początku września zapastowano podłogę. Skoro wychudzony bezpański pies zdołał poruszyć twojego męża, może ty zdołasz poruszyć łóżko. Spróbuj, to przecież nic nie kosztuje.

Racja.

Jessie przesunęła się w lewo, zaczynając od nóg, a kończąc na pupie i plecach. Kiedy nie mogła się już dalej przesunąć, przewróciła się na lewy bok. Stopy przeleciały poza krawędź łóżka... i nagle nogi oraz tors ześlizgnęły się w dół niczym ruszająca lawina. Mięśnie lewego boku napięły się nieznośnie i chwycił je straszliwy skurcz. Miała wrażenie, że przytknięto jej do boku rozgrzany do czerwoności pogrzebacz.

Krótki łańcuszek prawych kajdanek napiął się mocno, a Jessie zapomniała na chwilę o skurczu lewego boku, czując w prawym ramieniu i barku okropny pulsujący ból. Miała wrażenie, że ktoś próbuje wyrwać jej ramię. *Teraz wiem, co czuje kurze udko w piekarniku –*

pomyślała.

Uderzyła lewą piętą w podłogę, prawa wisiała dziesięć centymetrów wyżej. Ciało miała nienaturalnie wykręcone w lewo, prawe ramię odrzucone do tyłu – przywodziła trochę na myśl zastygłą falę morską. W miejscu, gdzie napięty łańcuszek wystawał z gumowej koszulki, stalowe ogniwa lśniły bezdusznie w porannym słońcu.

Jessie nabrała nagle pewności, że umrze w tej pozycji, torturowana straszliwym bólem w lewym boku i prawym ramieniu. Będzie leżeć coraz bardziej odrętwiała, a jej słabnące serce nie zdoła przetłoczyć dostatecznej ilości krwi do rozciągniętych, powykręcanych członków. Znow ogarnęła ją panika i zawyła: „Ratunku!”, zapominając, że w sąsiedztwie nie ma nikogo oprócz brudnego bezpańskiego psa, który obżarł się przed chwilą delikatnym ludzkim mięsem. Wyciągała rozpaczliwie rękę ku drewnianemu słupkowi, lecz ześlizgnęła się trochę za daleko; czubki jej wyciągniętych palców znajdowały się o centymetr od ciemnego mahoni.

– Ratunku! Błagam! Ratunku! Ratunku!...

Żadnej odpowiedzi. W cichej, zalanej słońcem sypialni słychać było tylko Jessie: jej ochryple, przerażone krzyki, zdyszany oddech, walące serce. Nie było tu nikogo prócz niej i jeśli nie uda jej się położyć z powrotem na łóżku, umrze jak na haku w rzeźni. A sytuacja stawała się coraz gorsza: pupa Jessie zjeżdżała ciągle w stronę krawędzi łóżka, a prawe ramię wyciągało się do tyłu pod coraz bardziej nienaturalnym kątem.

Instynktownie, bez jakiegokolwiek myśli (chyba że ciało dręczone bólem myśli niekiedy samo) Jessie zaparła się lewą piętą o podłogę i wierzgnęła rozpaczliwie. Cały jej wykręcony boleśnie korpus opierał się tylko na gołej pięcie, lecz manewr się udał. Biodra Jessie wygięły się w łuk, prawy łańcuszek nieco się rozluźnił i chwyciła wreszcie słupek jak tonąca kobieta, której rzucono koło ratunkowe. Podciągnęła się do tyłu, nie zważając na piekielny ból pleców i bicepsów, a gdy jej nogi znalazły się z powrotem na łóżku, zaczęła drobić nimi rozpaczliwie, jakby zanurzyła stopy w basenie pełnym młodych rekinów i próbowała je cofnąć, by nie stracić palców.

Na koniec znalazła się w poprzedniej półleżącej pozycji, z rozpostartymi ramionami, z krzyżem wciśniętym w przepoconą poduszkę w koszmarnie pogniecionej poszewce. Odchyliła głowę do tyłu i oparła ją o mahoniowe deski, dygocząc ciężko, z nagimi piersiami pokrytymi potem, na którego utratę nie mogła sobie pozwolić. Zamknęła oczy i zaśmiała się słabo.

To było dość podniecające, prawda, Jessie? Myślę, że twoje serce było najmocniej od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, gdy o mały włos (a raczej o mały pocałunek na przyjęciu na Boże Narodzenie) nie poszłaś do łóżka z Tommym Delguidace. Nic nie szkodzi spróbować, tak właśnie myślałaś, co? Cóż, teraz już wiesz, jak to jest.

Tak. Ale Jessie wiedziała także coś jeszcze.

Doprawdy? A cóż to takiego, dziubdziuniu?

– Wiem, że nie dosięgnę tego zasranego telefonu – rzekła na głos.

Była to święta prawda. Kiedy Jessie odpychała się przed chwilą lewą piętą, włożyła w to wszystkie siły, a bodziec dała jej totalna, mrożąca krew w żyłach panika. Jednakże łóżko ani drgnęło i teraz, gdy miała okazję się nad tym zastanowić, była z tego zadowolona. Gdyby przesunęło się w prawo, Jessie ciągle wisiałaby w powietrzu, i nawet jeśli by zdołała je przeciągnąć przez całą sypialnię aż do telefonu, przecież...

– Wisiałabym po złej stronie, cholera! – powiedziała na poły ze śmiechem, na poły z płaczem. – Jezu, beznadziejna sprawa!

Kiepsko to wygląda – odezwał się jeden z kosmicznych głosów, szczególnie znieawidzony. – *Zdaje się, że wielki występ cyrkowy z udziałem Jessie Burlingame musi zostać odwołany.*

– Wymyśl inny sposób – odrzekła ochryple Jessie. – Ten mi się nie podoba.

Nie ma innych sposobów. Sama wiesz, że nie było ich zbyt wiele i wszystkie już rozważyłaś.

Jessie znów zamknęła oczy i po raz drugi, odkąd rozpoczął się ten koszmar, ujrzała w wyobraźni boisko szkolne przy starym Gimnazjum Falmouth na Central Avenue. Tyle że tym razem nie zobaczyła dwóch dziewczynek na huśtawce, zamiast nich dostrzegła małego chłopca – swojego brata Willa – wykonującego przewrót do tyłu na drążku gimnastycznym.

Otworzyła oczy, zsunęła się niżej i obróciła głowę, by przyjrzeć się zagłóWKowi. Przewrót do tyłu wymagał sporej zręczności, zwłaszcza jeśli miało się wylądować na nogach. Will robił to doskonale, a jego ruchy były tak eleganckie i precyzyjne, że przypominał wirujący kołowrotek.

Przypuśćmy, że powtórzę jeden z jego wyczynów? Po prostu fiknę kozła nad tym przeklętym zagłóWKiem. Zrobię przewrót do tyłu...

– I wyląduję na nogach – dodała szeptem.

Przez chwilę wydawało jej się to niebezpieczne, lecz wykonalne. Naturalnie najpierw musiałaby odsunąć łóżko od ściany – nie da się fiknąć kozła, gdy nie ma się gdzie wylądować – ale wymyśliła prosty sposób, by tego dokonać. Po zdjęciu półki wiszącej nad łóżkiem (a łatwo byłoby ją strącić ze wsporników, gdyż nie była przymocowana) mogłaby stanąć na głowie i oprzeć gołe stopy o ścianę nad zagłóWKiem. Nie zdołała wprawdzie przesunąć łóżka na bok, ale odpychając się od ściany...

– Ta sama siła, dziesięciokrotnie większy nacisk – mruknęła. – Wspaniałe osiągnięcie fizyki współczesnej.

Już sięgała lewą ręką ku półce, by ją strącić ze wsporników, gdy nagle przyjrzała się bliżej tym przeklętym policyjnym kajdankom Geralda z samobójczo krótkimi łańcuszkami. Gdyby przyczepił je do łóżka nieco wyżej – powiedzmy między pierwszą a drugą poprzeczką – Jessie miałaby pewne szanse, zapewne zwichnęłaby sobie oba nadgarstki, lecz doszła już do stanu, gdy zwichnięcie nadgarstków wydawało się w miarę niską ceną za ucieczkę... w końcu

kiedys powinny się zagoić, prawda? Jednakże kajdanki zostały przypięte nie między pierwszą a drugą poprzeczką, tylko między drugą a trzecią, czyli stanowczo za nisko. Próba fiknięcia kozła nad szczytem łóżka nie zakończyłaby się zwykłym zwichnięciem nadgarstków: ciężar spadającego ciała po prostu wyrwałby Jessie barki ze stawów.

Spróbuj pchać to przekłete łóżko ze zwichniętymi barkami. Zabawna perspektywa, co?

– Nie – odpowiedziała głucho. – Nieszczególnie.

Spójrzmy wreszcie prawdzie w oczy, Jess, nie ruszysz się stąd. Możesz mnie nazywać głosem rozpaczy, jeśli czujesz się dzięki temu lepiej lub jeśli pomaga ci to zachować rozsądek – Bóg jeden wie, że jestem wielką zwolenniczką rozsądku – ale tak naprawdę uzmysławiam ci prawdę, a prawda jest taka, że się stąd nie ruszysz.

Jessie obróciła gwałtownie głowę na bok, nie chcąc słuchać owego uzurpatorskiego głosu prawdy, i przekonała się, że nie potrafi go uciszyć równie skutecznie jak pozostałych.

Masz na rękach prawdziwe kajdanki, a nie sprytne małe zabaweczki wyścielane filcem i wyposażone w ukryte przyciski, które pozwalają się uwolnić, jeśli partner straci panowanie nad sobą i posunie się trochę za daleko. To prawdziwe kajdanki, a ty nie jesteś indyjskim fakirem, elastycznym jak guma, ani magikiem potrafiącym uwalniać się w cudowny sposób z więzów jak Harry Houdini. Mówię po prostu to, co myślę, jasne? A myślę, że nie masz żadnych szans.

Jessie przypomniała sobie nagle dzień zaćmienia i to, co zrobiła, gdy ojciec wyszedł z sypialni – rzuciła się na łóżko i ryczała, ryczała bez końca, czując, że za chwilę pęknie jej serce, wyrwie się z piersi, a może po prostu zatrzyma na zawsze. Teraz, z drżącymi, wykrzywionymi wargami, wyglądała bardzo podobnie: zmęczona, otumaniona, przerażona, zagubiona. Zwłaszcza to ostatnie.

Rozpłakała się, lecz po kilku pierwszych łzach jej oczy z powrotem wyschły, najwyraźniej wprowadzono w życie jeszcze surowszy reżim racjonowania płynów. Mimo to i tak płakała, bez łez, a z jej wysuszonego gardła wydobywało się ochryple szlochanie.

24

W Nowym Jorku widzowie regularnie oglądający nocny program informacyjny „Today” wyłączyli telewizory i położyli się spać. Lokalna stacja telewizyjna sieci NBC, odbierana w południowej i zachodniej części stanu Maine, zaczęła. Jessie zdała sobie sprawę, że drży gwałtownie, jakby złapały ją dreszcze. Bezradna, spoglądała rozszerzonymi oczyma w pusty kąt, gdzie stał...

...kosmiczny kowboj, gangster miłości...

...w pusty kąt, zalany teraz jasnym porannym słońcem, ale nocą mający znów się pokryć splątanymi cieniami. Dotarła do niej z powrotem prawda, przed którą nie było ucieczki: prawdopodobnie umrze tutaj.

Ktoś cię w końcu znajdzie, Jessie, ale pewnie nieprędko. Na początku wszyscy będą podejrzewać, że wybraliście się we dwoje na jakąś dziką romantyczną eskapadę. Dlaczego nie? Czyż ty i Gerald nie sprawialiście wrażenia pary małżeńskiej, która przeżywa nowy miesiąc miodowy? Tylko wy dwoje wiedzieliście, że tak naprawdę Gerald staje się w miarę sprawny seksualnie jedynie wtedy, gdy jesteś przykuta kajdankami do łóżka. Aż człowiek zaczyna się zastanawiać, czy on także nie miał kilku przykrych przeżyć w swoim dniu zaćmienia, prawda?

– Przestań gadać! – wymamrotała Jessie. – Wszystkie przestańcie gadać.

Ale prędzej czy później ktoś się zdenerwuje i zacznie was szukać. Prawdopodobnie zrobią to wreszcie koledzy Geralda z pracy, nie sądzisz? Cóż, masz w Portland kilka przyjaciółek, ale tak naprawdę nie wtajemniczysz ich w swoje prywatne sprawy. To tylko znajome, z którymi można wypić filiżankę herbaty i poplotkować. Żadna z nich nie zacznie się martwić, jeśli znikniesz na tydzień czy dziesięć dni. Co innego Gerald. Ma umówione spotkania i jeśli nie pojawi się do południa w piątek, jego kumple z kancelarii trochę się zdziwią i pewnie podzwonią tu i tam. Tak, prawdopodobnie tak się zacznie, ale zwłoki odkryje dopiero dozorca kompleksu letniskowego nad jeziorem, nie sądzisz? Założę się, że przykrywając cię zapasowym kocem z szafy, odwróci wzrok, Jessie. Nie będzie chciał widzieć twoich rozczapierzonych palców, sztywnych jak ołówki i białych jak świece. Nie będzie chciał patrzeć na twoje wykrzywione usta ani na pianę zaschniętą wokół nich. Ale przede wszystkim nie będzie chciał widzieć wyrazu śmiertelnego przerażenia w twoich oczach, więc przykrywając

cię kocem, spojrzysz na bok.

Jessie pokręciła powoli głową w beznadziejnym geście negacji.

Bill zadzwoni na policję i na miejsce przyjedzie grupa techników dochodzeniowych wraz z koronerem. Staną wokół łóżka kopiąc cygara (przed domem będzie czekała ekipa filmowa Douga Rowe'a, niewątpliwie ubranego w swój koszmarne białe treny), a gdy koroner uniesie koc, na ich twarzach pojawi się grymas. Tak, myślę, że nawet najtwardsi lekko się skrzywią, niektórzy zaś nawet wyjdą z pokoju. Ich koledzy będą się potem z tego naśmiewać. A ci, co zostaną, pokiwną głowami i skonstatują, że kobieta w łóżku umarła straszną śmiercią. Wystarczy tylko spojrzeć. Ale nie poznają nawet połowy prawdy. Nie będą wiedzieć, dlaczego wybałuszyłaś oczy, a na twoich ustach zastygł krzyk przerażenia. A przyczyną okrzyku będzie to, co zobaczysz na samym końcu. To, co ujrzysz wychodzące z mroku. Twoim pierwszym kochankiem był ojciec, Jessie, lecz ostatnim będzie Obcy z pociągłą bladą twarzą i walizką z ludzkiej skóry.

– Och, błagam, uciszcie się wreszcie! – jęknęła Jessie. – Nie chcę już słyszeć żadnych głosów!...

Ale głos nie chciał umilknąć, nie zwracał na nią żadnej uwagi. Po prostu mówił dalej, w głowie Jessie rozległ się bezcielesny szept dochodzący z jakichś głębokich pokładów jej psychiki. Słuchając go czuła się, jakby przesuwano jej tam i z powrotem po twarzy jedwabną szmatkę pokrytą szlamem.

Zawiozł cię do Augusty, a stanowy lekarz sądowy przeprowadzi sekcję zwłok. Zawsze się to robi w przypadku gwałtownej śmierci, a twoja będzie i nagła, i gwałtowna. Obejrzy resztki twojego ostatniego posiłku – kanapki z serem i salami z baru Amato w Gorham – pobierze mały wycinek mózgu, by go zbadać pod mikroskopem, a na koniec uzna twoją śmierć za nieszczęśliwy wypadek. „Denat i denatka uprawiali nieszkodliwą grę miłosną – stwierdzi – tyle że mężczyzna zmarł na zawał w krytycznym momencie i kobieta została sama. Później... cóż, lepiej w to nie wchodzić. Lepiej nawet o tym nie myśleć. Pewne jest tylko jedno: kobieta zmarła straszną śmiercią – wystarczy na nią popatrzeć”. Właśnie tak się to skończy, Jess. Może zauważą zniknięcie twojej obrączki, ale nie będą jej długo szukać, nawet jeśli zadadzą sobie w ogóle tyle trudu. Lekarz nie zauważy również braku jednej z twoich kości – mało ważnej, powiedzmy którejś z kostek prawego śródstopia. Ale my będziemy wiedzieć, o co chodzi, Jessie, prawda? W istocie rzeczy już wiemy. Wiemy, kto ją weźmie. Nocny gość, Obcy, kosmiczny kowboj. Będziemy wiedzieć, że...

Jessie walnęła głową w zagłówek łóżka, aż przed oczyma eksplodował jej fajerwerk białych gwiazd. Zabolało – i to bardzo – ale głos wewnętrzny umilkł nagle niczym radio, któremu odcięto prąd; ból zatem na coś się przydał.

– Widzisz? Jeśli znowu się odezwiesz, zrobię to samo – powiedziała. – Nie żartuję. Zmęczyło mnie wysłuchiwanie tych...

Tym razem to głos Jessie, rozlegający się donośnie w pustym pokoju, ucichł nagle jak

radio, któremu odcięto prąd. Kiedy gwiazdy przed jej oczami przybladły nieco, zauważyła na podłodze jakiś drobny przedmiot lśniący w promieniach słońca około pół metra za wyciągniętą ręką Geralda. Była to mała biała kulka z cienką złotą pętelką w środku, kojarzącą się trochę z symbolem jin-jang. Jessie wzięła ją z początku za pierścionek, lecz była ona na to stanowczo za mała. Nie, nie pierścionek, tylko kolczyk. Upadł na podłogę, gdy nocny gość grzebał w walizeczce, pokazując Jessie jej zawartość.

– Nie – szepnęła. – Nie, to niemożliwe...

Ale kolczyk leżał na podłodze, lśniąc w porannym słońcu, równie rzeczywisty jak martwy mężczyzna, który wydawał się prawie wskazywać go ręką; kolczyk z perłą ujętą w delikatny złoty koszyk.

To mój kolczyk! Wyleciał z kasetki z biżuterią i leży tu od lata, a ja dopiero teraz go zauważyłam!

Tyle że Jessie miała tylko jedną parę kolczyków, nie były one złote, a zresztą znajdowały się w domu w Portland.

Tyle że w połowie września pastowali podłogi wynajęci sprzątacze, gdyby zauważyli gdzieś kolczyk, podnieśliby go i położyli na toalecie albo po prostu schowali do kieszeni.

Tyle że jest coś jeszcze.

Nie, nie ma! Nie ma i nie ośmielę się do tego przyznać!

Jest tuż za samotnym kolczykiem.

Nawet gdyby było, nigdy bym na to nie spojrzała.

Tyle że nie mogła nie patrzeć. Jej wzrok mimo woli podążył dalej i spoczął na podłodze tuż koło drzwi do sieni. Widać tam było niewielką plamę krwi, lecz to nie ona przykuła uwagę Jessie. Krew należała do Geralda i nie miała w sobie nic niepokojącego. Zmartwił ją widoczny obok odcisk stopy.

Jeśli jest tam czyjś ślad, musiał być tam wcześniej!

Chociaż Jessie straszliwie pragnęła wierzyć, że to prawda, wcześniej go jednak nie widziała. Wczoraj na podłodze nie było ani jednej plamki, a cóż dopiero odcisku stopy. Na pewno nie pozostawił go ani Gerald, ani Jessie. Była to bryła zaschłego błota, pochodząca prawdopodobnie z zarośniętej ścieżki, która wiła się przez jakieś półtora kilometra wzdłuż brzegu jeziora, a następnie skręcała w las i biegła na południe, w stronę Motton.

Najwyraźniej zeszłej nocy w sypialni jednak ktoś był.

Pojąwszy ową okrutną, przerażającą prawdę, Jessie zaczęła krzyczeć. Przed domem, na ganku od strony kuchni, bezpański pies uniósł na chwilę zmierzwiony, podrapany pysk i nadstawił zdrowe ucho. Zaraz jednak stracił zainteresowanie i znów położył łeb na łapach. Hałasy nie zwiastowały niczego naprawdę groźnego, była to tylko sukoluda. Poza tym przyłgął do niej zapach mrocznego gościa, który odwiedził ją nocą. Był to zapach bardzo dobrze znany bezpańskiemu psu. Zapach śmierci.

Były Prince zamknął ślepią i zapadł z powrotem w drzemkę.

25

W końcu Jessie zaczęła przychodzić nieco do siebie. Paradoksalne, ale odzyskała panowanie nad sobą, recytując mantrę Nory Callighan:

– Jeden to nogi, długie i smukłe – chrypiał w pustej sypialni jej wysuszony, drżący głos. – Dwa to pośladki, jędrne, wypukłe. Trzy to paluszki, kształtne i słodkie. Cztery to łono, stare i wiotkie.

Ciągnęła monotonna, recytując zapamiętane dwuwiersze, pomijając te, których zapomniała, nie otwierając ani na moment oczu. Powtórzyła rymowankę kilka razy. Zdawała sobie sprawę, że jej serce się uspokaja, że opuszcza ją wyniszczająca panika, lecz nie miała pojęcia o nieświadomej zmianie, jaką wprowadziła do co najmniej jednego z grafomańskich dwuwierszy Nory.

Po szóstym powtórzeniu otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju niczym kobieta, która obudziła się po krótkiej, pokrzepiającej drzemce. Mimo to omijała wzrokiem róg komody.

Nie chciała również patrzeć na kolczyk, a już na pewno nie na ślad stopy.

Jessie? – Głos brzmiał bardzo cicho, bardzo niepewnie. Jessie doszła do wniosku, że to głos Dobrej Żony; w tej chwili nie brzmiał on piskliwie ani gorączkowo, bo Dobra Żona niczego się nie wypierała. – *Mogę coś powiedzieć, Jessie?*

– Nie – odparła natychmiast ochryłym, skrzeczącym głosem. – Odczep się ode mnie! Dajcie mi wreszcie spokój, suki!

Proszę, Jessie! Proszę, posłuchaj...

Zamknęła oczy i przekonała się, że widzi ową część swojej osobowości, którą nazywała w myślach Dobrą Żoną Burlingame. Dobra Żona stała ciągle pod pręgierzem, lecz w tej chwili uniosła głowę – co z pewnością nie było łatwe, gdyż jej szyja tkwiła w okrutnych drewnianych dybach. Włosy opadły jej na moment z twarzy i Jessie ze zdziwieniem spostrzegła, że to nie Dobra Żona, tylko mała dziewczynka.

Tak, ale to ciągle ja – pomyślała i o mało się nie roześmiała. Ujrzała w wyobraźni obrazową ilustrację pewnej oklepanej prawdy psychologicznej. Myślała przed chwilą o Norze, a ta powtarzała zawsze, że ludzie muszą się troszczyć o swoje „dziecko wewnętrzne”. Jeśli je zaniedbują, stają się nieszczęśliwi, jest to najczęstsza przyczyna wszelkich problemów z samym sobą.

Swego czasu, słuchając owych wywodów, Jessie kiwała z namaszczeniem głową, choć odrzucała je z góry jako „sentymtalne banały Ery Wodnika”. Lubiła Norę, chociaż uważała, że ulega ona zbyt wielu stereotypom myślowym generacji, która wkroczyła w życie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, niemniej w tej chwili Jessie widziała w wyobraźni jej „dziecko wewnętrzne” i nie miała nic przeciwko temu. Obraz miał pewną wartość symboliczną, a pręgierz był w tej sytuacji wyjątkowo celną metaforą. Pod pręgierzem stała Dobra Żona, Ruth, sama Jessie. Mała dziewczynka zwana przez ojca Kruszyną.

– Więc mów – odezwała się Jessie. Miała ciągle zamknięte oczy, a napięcie, głód i pragnienie nadały wizji dziewczynki pod pręgierzem niezwykłą wyrazistość. Dostrzegła nad jej głową arkusz pergaminu ze słowem: UWODZICIELKA. Słowo to napisano oczywiście różową szminką „Peppermint Yum-Yum”.

Lecz wyobraźnia Jessie nie przestała jeszcze pracować. Obok Kruszyny stał drugi pręgierz, a w dybach zamknięto inną dziewczynkę, około siedemnastoletnią, grubą, z twarzą pokrytą krostami. W tle widać było gminne pastwisko i po chwili Jessie dostrzegła na nim kilka krów. Ktoś z dręczącą regularnością bił w dzwon (dźwięki zdawały się dobiegać zza wzgórza), jakby zamierzał dzwonić przez cały dzień... a przynajmniej do zejścia krów z pastwiska.

Tracisz rozum, Jess – pomyślała mgliście. Nie mijало się to chyba z prawdą, lecz nie miało żadnego znaczenia. Już niedługo może nadejść chwila, gdy Jessie zacznie się z tego cieszyć. Odepchnęła owe myśli i skupiła z powrotem uwagę na dziewczynce pod pręgierzem. Po chwili przestała czuć niepokój, zastąpiły go wzruszenie i gniew. Ten sobowtór Jessie Mahout był starszy niż dziewczynka, którą wykorzystano seksualnie podczas zaćmienia, lecz niewiele starszy – miał dwanaście, co najwyżej czternaście lat. W tym wieku nikogo nie powinno się stawiać pod pręgierzem za żadne przestępstwo, a cóż dopiero jako uwodzicielkę. Uwodzicielka, na litość boską?! Czy to jakiś kiepski żart? Jak ludzie mogą być tacy okrutni?! Tacy celowo ślepi?!

Co chcesz mi powiedzieć, Kruszyno?

Tylko tyle, że on jest rzeczywisty – odparła dziewczynka stojąca pod pręgierzem. Twarz miała bladą z bólu, lecz oczy poważne, zatroskane i przejrzyste. – *Jest prawdziwy, sama o tym wiesz, i wróci dziś w nocy. Myślę, że tym razem nie będzie tylko patrzył, ale zacznie coś robić. Musisz uwolnić się z kajdanek przed zachodem słońca, Jessie. Musisz się wydostać z tego domu, zanim wróci.*

Jessie znów chciała się rozplakać, lecz z oczu nie pociekły jej łzy, czuła tylko suche pieczenie pod powiekami.

– Nie mogę! – zawołała. – Próbowałam już wszystkiego! Sama nigdy się nie uwolnię!

Zapomniałaś o jednym – rzekła dziewczynka stojąca pod pręgierzem. – *Nie wiem, czy to ważne, czy nie, ale może ważne.*

– Co takiego?

Dziewczynka obróciła ręce w dybach, pokazując czyste różowe dłonie.

Mówiłaś, że są dwa rodzaje kajdanek, M-17 i F-23, pamiętasz? Chyba wczoraj jeszcze o tym pamiętałaś. Chciał kupić F-23, ale trudno je zdobyć, więc musiał się zadowolić dwiema parami M-17. Pamiętasz, prawda? Mówił ci o tym w dniu, gdy przyniósł kajdanki do domu.

Jessie otworzyła oczy i spojrzała na stalowe kółko na prawym nadgarstku. Tak, Gerald z pewnością to wszystko powiedział, w istocie rzeczy paplał jak stara baba. Tego dnia już przed południem zatelefonował z biura, żeby spytać, czy dom jest pusty – nigdy nie pamiętał, kiedy gospodyni ma wychodne – a gdy Jessie zapewniła go, że jest sama, poprosił, by włożyła coś pikantnego. „Coś wyjątkowego”, tak to określił. Jessie pamiętała, że zaintrygowało ją to. Nawet przez telefon wydawał się skrajnie podniecony i podejrzewała, że planuje jakąś perwersję. Nie miała nic przeciwko temu, zbliżali się do pięćdziesiątki, a skoro Gerald chciał trochę poeksperymentować, mogła się na to zgodzić.

Przyjechał do domu w rekordowym tempie (musiał pędzić jak wariat miejską obwodnicą numer dwieście dziewięćdziesiąt pięć) i kręcił się po sypialni z zarumienionymi policzkami i błyszczącymi oczyma. Gerald nie kojarzył się Jessie przede wszystkim z seksem (już raczej z bezpieczeństwem), lecz owego dnia jedno złało się z drugim. Z pewnością sam myślał wówczas jedynie o seksie, jego zwykle dość wiotki kutasik o mało nie rozerwał rozporka eleganckich spodni.

Zdjąwszy spodnie i spodenki gimnastyczne, otworzył z namaszczeniem sportową torbę, którą przyniósł ze sobą na górę. Wyciągnął znajdujące się wewnątrz kajdanki i pokazał je Jessie. Na jego szyi pulsowała żyła, drżąc szybciotko jak skrzydełka kolibra. Jessie doskonale to pamiętała. Musiał mieć już wówczas problemy z sercem.

Gdybyś wyciągnął wtedy kopyta, Geraldzie, wyświadczyłbyś mi wielką przysługę.

Chciała czuć przerażenie z powodu tak brutalnych myśli o mężczyźnie, z którym przeżyła tyle lat, ale zdobyła się tylko na niesmak wobec samej siebie. I kiedy znów przypomniała sobie zarumienione policzki i błyszczące oczy Geralda, zacisnęła mocno pięści.

– Nie mogłeś zostawić mnie w spokoju? – spytała na głos. – Dlaczego okazałeś się takim brutalnym draniem?

Nieważne. Nie myśl o Geraldzie, myśl o kajdankach. Kajdankach policyjnych Kreiga, model M-17. M oznacza „męski”, a siedemnaście to liczba karbów na stalowym pałąku.

W piersi i brzuchu rozlała się nagle fala ciepła. *Nie czuj tego – pomyślała – a jeśli już absolutnie musisz, udawaj, że to niestrawność.*

Było to jednak niemożliwe. Zaświtał jej wreszcie promyk nadziei i nie mogła temu zaprzeczyć. Wiedziała, że powinna zachować pewien dystans i pamiętać o pierwszej nieudanej próbie zsunięcia kajdanek, lecz choć starała się nie zapominać o bólu i goryczy porażki, nieustannie myślała o tym, jak mało – jak cholernie mało – brakowało, by się uwolniła. Wystarczyłoby może pół centymetra, a centymetr na pewno. Problem stanowiły kostne występy u podstawy kciuków, ale czy miała zdechnąć tu jak pies tylko dlatego, że nie

mogła pokonać odcinka niewiele szerszego od własnej wargi? Z pewnością nie.

Z wysiłkiem odepchnęła owe myśli i wróciła do dnia, gdy Gerald przywiózł kajdanki do domu. Uniósł je tryumfalnie, niczym jubiler demonstrujący najpiękniejszy brylantowy naszyjnik, jaki kiedykolwiek przeszedł przez jego ręce. Kajdanki wywarły zresztą dość duże wrażenie również na Jessie. Lśniły metalicznie w świetle wpadającym przez okno i widać było stalowe kółka oraz karbowane pałaki pozwalające regulować zacisk na nadgarstkach.

Spytała, skąd je u licha wytrzasnął – po prostu z czystej ciekawości – ale odparł enigmatycznie, że załatwił je znajomy z sądu. Mówiąc to, mrugnął zamglonymi oczyma, jakby po korytarzach sądu okręgowego w Cumberland snuły się tuziny różnych podejrzanych osobników, a on sam znał ich wszystkich. W istocie rzeczy zachowywał się tego popołudnia tak, jakby udało mu się kupić nie dwie pary kajdanek, tylko dwie główce nuklearne.

Jessie leżała na łóżku, ubrana w białą koronkową hałeczkę i także pończochy – wyjątkowo pikantne połączenie – i obserwowała Geralda z mieszaniną rozbawienia, ciekawości i podniecenia... choć owego dnia dominowało rozbawienie, prawda? Tak. Gerald, zawsze tak usilnie pozujący na człowieka o pokerowo nieprzeniknionej twarzy, biegał tu i tam po pokoju niczym podniecony ogier, co sprawiało wyjątkowo komiczne wrażenie. Miał dziko zmierzwione włosy i ciągle nosił czarne nylonowe skarpetki. Jessie musiała przygryzać policzki – i to całkiem mocno – żeby się nie roześmiać.

Pan pokerzysta trajkotał tego dnia szybciej niż agent prowadzący licytację majątku bankruta. Później, zupełnie nagle, przerwał w pół słowa, a na jego twarzy pojawił się komiczny wyraz zdziwienia.

– Co się stało, Geraldzie? – spytała Jessie.

– Zorientowałem się przed chwilą, że nie wiem, czy w ogóle się na to zgodzisz – odparł. – Gadam jak najęty, jak sama zauważyłaś, ale nie zapytałem cię nawet...

Jessie uśmiechnęła się. Jedwabne apaszki straszliwie ją już znudziły i nie wiedziała, jak mu o tym powiedzieć, a ponadto miło było widzieć Geralda znowu podnieconego. W porządku, zakuwanie własnej żony w kajdanki przed udaniem się na głęboką wyprawę podmorską z długim białym palem może się wydawać trochę perwersyjne, ale co z tego? To sprawa tylko pomiędzy Jessie a Geraldem, a ponadto coś raczej operetkowego, prawda? Poza tym zdarzają się przecież jeszcze dziwniejsze zbrocenia. Frieda Soames wyznała raz Jessie (po dwóch drinkach przed lunchem i pół butelce wina w trakcie), że jej byłemu mężowi sprawiało przyjemność, gdy pudrowano mu pupę i zawijano w pieluchy.

Za drugim razem przygryzanie policzków nie pomogło i Jessie wybuchnęła śmiechem. Gerald spojrział na nią spod oka z lekkim uśmiechem, który w ciągu ostatnich siedemnastu lat Jessie widziała już niezliczoną liczbę razy – oznaczał on, że albo za chwilę się rozgniewa, albo wybuchnie śmiechem wraz z Jessie, choć ostatecznego rezultatu zwykle nie dawało się przewidzieć.

– Zgadzasz się? – spytał.

Milczała przez chwilę. Przestała się śmiać i spojrzała na męża wyniosłym wzrokiem wampa z okładki czasopisma pornograficznego. Kiedy poczuła, że osiągnęła właściwy stopień lodowatej pogardy, uniosła ramiona i wypowiedziała trzy proste słowa, które spowodowały, że podbiegł w podskokach do łóżka, najwyraźniej nieprzytomny z podniecenia:

– Chodź, ty brutalu!

Błyskawicznie skuł Jessie kajdankami i jął przypinać je do zagłówka. Łóżko w sypialni willi w Portland nie miało poziomych poprzeczek, toteż gdyby dostał tam ataku serca, Jessie zsunęłaby po prostu stalowe kółka ze słupków. Majstrował przy kajdankach, dysząc ciężko i rozkosznie ocierając się o nią kolanem; jednocześnie nie przestawał mówić – objaśniał rolę ruchomych pałaków z ząbkami. Początkowo zamierzał kupić kajdanki kobiece, bo miały dwadzieścia trzy ząbki, a nie siedemnaście, jak męskie. Większa liczba ząbków pozwalała mocniej zacisnąć pałak. Jednakże kajdanki kobiece były dość trudne do zdobycia i kiedy znajomy z sądu obiecał załatwić dwie pary męskich po bardzo przystępnej cenie, Gerald natychmiast skorzystał z okazji.

– Niektóre kobiety potrafią się wyslizgnąć z męskich kajdanek, ale ty jesteś raczej grubokoścista – rzekł. – Poza tym nie chciałem już dłużej czekać. A teraz... po prostu zrobimy próbę...

Zapiął pałak na prawym nadgarstku Jessie i zaczął zaciskać go coraz mocniej, czemu towarzyszył szcęk kolejnych ząbków. Przez cały czas pytał, czy pałak sprawia jej ból, lecz kajdanki stały się niewygodne dopiero, gdy doszedł do ostatniego ząbka. Wreszcie poprosił Jessie, by spróbowała się uwolnić. Okazało się to niemożliwe, bo stalowe kółko przesunęło się i zatrzymało na kostnym występie u podstawy kciuka, a choć Gerald twierdził, że nie powinno się w ogóle poruszyć, z jego twarzy zniknął komiczny wyraz niepokoju.

– Chyba będą w sam raz – powiedział. Jessie bardzo dobrze to zapamiętała, podobnie jak następne słowa: – Będziemy mieć z nich mnóstwo uciechy.

Ujrawszy w wyobraźni tamten dzień, znów zaczęła ciągnąć ręce ku sobie, próbując w jakiś sposób skurczyć dłonie, by precyzyjnie się przez stalowe kółka. Tym razem ból pojawił się wcześniej, atakując nadmiernie naprężone mięśnie barków i ramion. Zamknęła oczy i pociągnęła mocniej, usiłując nie pamiętać o bólu.

Nagle rozszerzył się on również na dłonie, a gdy wyczerpała wszystkie siły i stalowe kółka jęły się wrzynać w cienką skórę na wierzchu dłoni, stał się isticie piekielny. Wiązała i ścięgnęła – pomyślała, odchylając głowę do tyłu i szczerząc zęby. – Wiązała i ścięgnęła, wiązała i ścięgnęła, zasrane wiązała i ścięgnęła!...

Nic. Żadnego ruchu. Jessie zaczynała podejrzewać – mocno podejrzewać – że nie chodzi tylko o ścięgnęła. Kajdanki utknęły na niewielkich sterczących kostkach u podstawy kciuka, które miały się stać przyczyną jej śmierci.

Krzyknęła rozpaczliwie z bólu i zawodu, po czym rozluźniła ręce. Jej ramiona i barki

dygotały z wysiłku. Ostatnia próba zsunęcia kajdanek – bo to model M-17, a nie F-23 – zakończyła się fiaskiem. Rozczarowanie okazało się jeszcze gorsze niż ból fizyczny, kąsało jak pokrzywa.

– Kurwa! Kurwa! Kurwa! – zawołała do pustego pokoju. – Kurwa! Kurwa! Kurwa! Kurwa!

Gdzieś nad jeziorem – chyba dalej niż wczoraj, sądząc po dźwięku – zaczęła znów warczeć piła łańcuchowa, co tylko powiększyło jej złość. Ten sam kretyn co wczoraj, głupi fagas w kraciastej flanelowej koszuli, hałasujący tą przeklętą piłą i marzący tylko o pójściu do łóżka ze swoją słodką małą dupeńką, a może o obejrzeniu meczu piłkarskiego w telewizji albo wypiciu kilku zimnych piw w barze koło przystani. Jessie widziała tego fagasa w kraciastej flanelowej koszuli równie wyraźnie jak dziewczynkę pod pręgierzem, a gdyby myśli mogły zabijać, jego głowa wybuchłaby w tej chwili jak granat.

– To niesprawiedliwe! – wrzasnęła. – Niesprawiedliwe!

Krtań skurczyła jej się boleśnie i przerażona Jessie zamilkła, wykrzywając twarz. Czula twarde kostne występy, które nie pozwalały jej wyslizgnąć się z kajdanek – o Boże, rzeczywiście czula! – lecz przecież i tak była bliska uwolnienia się. Tu właśnie kryło się prawdziwe źródło goryczy – nie był nim ból, a już z pewnością nie niewidzialny drwal z warczącą piłą łańcuchową. Źródłem goryczy była świadomość, że Jessie była tak blisko, lecz mimo to poniosła fiasko. Mogła dalej znosić ból, zaciskając zęby, ale nie wierzyła już, że w czymkolwiek to pomoże. Pokonanie ostatniego centymetra leżało poza zasięgiem jej możliwości. Gdyby dalej ciągnęła, zwyczajnie wywołałaby opuchliznę nadgarstków, co tylko pogorszyłoby sytuację.

– Nie mówcie, że jestem załatwiona – wyszeptała. – Nie chcę tego słuchać.

Musisz się jakoś uwolnić – szepnął dziewczęcy głosik. – *Bo on znów przyjdzie. Dziś w nocy. Po zachodzie słońca.*

– Nie wierzę – wykrakała Jessie. – Nie wierzę, że był rzeczywisty. Ślad stopy i koleczyk nic mnie nie obchodzą. Po prostu w to nie wierzę.

Tak, wierzysz.

– Nie, nie wierzę.

Tak, wierzysz.

Jessie opuściła głowę na bok, jej włosy prawie opadły na materac, a usta drżały żałośnie.

Tak, wierzyła.

26

Znów zaczęła drzemać pomimo nasilającego się pragnienia i bólu ramion. Wiedziała, że niebezpiecznie jest spać – siły opuszczać ją będą nawet we śnie – ale czy to rzeczywiście jakaś różnica? Próbowała już wszystkiego i nic się nie zmieniło, była ciągle Miss Kajdanek Ameryki. Poza tym marzyła o słodkim zapomnieniu – marzyła o nim jak narkoman o narkotyku. Nagle, tuż przed utratą świadomości, w jej zmaconym, przymglonym umyśle rozbłysła niczym fajerwerk pewna myśl.

Krem do twarzy. Słoiczek kremu do twarzy na półce nad łóżkiem.

Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei, Jessie – byłby to poważny błąd. Nawet jeśli nie spadł na podłogę, gdy przechylałaś półkę, prawdopodobnie zsunął się na bok i nigdy w życiu go nie dosięgniesz. Dlatego nie rób sobie zbyt wielkich nadziei.

Rzecz w tym, że Jessie nie mogła nie robić sobie zbyt wielkich nadziei, bo jeśli krem leżał ciągle w miejscu, którego mogła dosięgnąć, miała szansę na zsuniecie stalowego kółka z jednego nadgarstka. Może nawet z dwóch, ale nie uważała tego za konieczne. Gdyby uwolniła choć jedną rękę, zdołałaby wstać z łóżka, a później chyba dałaby już sobie radę.

Był to po prostu jeden z tych małych plastikowych pojemniczków reklamowych rozsyłanych pocztą, Jessie. Na pewno zleciał na podłogę.

A jednak nie zleciał. Kiedy Jessie z wysiłkiem obróciła głowę w lewo, dostrzegła kątem oka granatowy pojemniczek.

Tak naprawdę wcale go nie ma – szepnęła złośliwa, negująca wszystko część psychiki Jessie. – Myślisz, że jest, to zupełnie zrozumiale, ale tak naprawdę go nie ma. To tylko halucynacja, Jessie, po prostu widzisz coś, co pragniesz zobaczyć, co każe ci zobaczyć twój umysł. Ale ja tego nie widzę, jestem realistką.

Jessie obejrzała się ponownie, pomimo bólu przekręcając głowę jeszcze bardziej w lewo. Owszem, na półce stał pojemniczek z kremem. Po stronie Jessie znajdowała się lampa do czytania, która nie spadła na podłogę po przechyleniu półki, bo jej podstawa była przyśrubowana do drewna. Na podstawie lampy zatrzymał się egzemplarz „Doliny koni” w miękkiej oprawie, leżący na półce od połowy lipca, a na książce – pojemniczek kremu „Nivea”. Jessie zdała sobie sprawę, że jej życie może zależeć od lampy do czytania oraz grupki bohaterów powieści o epoce jaskiniowej noszących imiona Ayla, Oda, Uba i

Thonolan. Było to bardziej niż zdumiewające – wręcz surrealistyczne.

Nawet jeśli krem tam jest, nigdy go nie dosięgniesz – odezwała się mała handlarka trwożą, lecz Jessie ledwo ją usłyszała. Miała wrażenie, że jest w stanie dosięgnąć kremu. Była tego prawie pewna.

Obróciła lewą dłoń w stalowym kółku i uniosła powoli ku półce, zachowując niezwykłą ostrożność. Nie mogła popełnić w tej chwili błędu; popchnąć kremu „Nivea” poza zasięg swoich palców ani przesunąć w stronę ściany. Pomiedzy półką a ścianą mogła być pusta przestrzeń i niewielki pojemniczek reklamowy mógł tam łatwo wpaść. Gdyby to się stało, Jessie na pewno postradałaby rozum. Tak. Usłyszałaby, jak pojemniczek uderza o podłogę, lądując wśród mysich bobków i kurzu, a później po prostu... cóż, po prostu postradałaby rozum. Musiała być ostrożna. Jeśli nie popełni błędu, wszystko może się jeszcze dobrze skończyć. Ponieważ...

Ponieważ Bóg istnieje – pomyślała – i nie chce, żebym zdechła na tym łóżku niczym zwierzę we wnyku. Brzmi to bardzo rozsądnie, jeśli się nad tym głębiej zastanowić. Kiedy pies zaczął pożerać Geralda, podniosłam krem z półki, ale zobaczyłam, że pojemniczek jest za mały i za lekki, by zrobić mu jakąkolwiek krzywdę, nawet gdybym zdołała trafić. W tym stanie, wstrząśnięta, oszołomiona, śmiertelnie przerażona – powinnam była upuścić krem na ziemię i zacząć szukać na półce czegoś cięższego. Zamiast tego odstawiłam naczynie z powrotem na miejsce. Dlaczego postąpiłam tak nielogicznie? Dlatego, że Bóg istnieje. To jedyna sensowna odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. Bóg nie pozwolił mi upuścić pojemniczka, bo wiedział, że będę go potrzebowała.

Delikatnie przesuwała dłoń po drewnianej półce, usiłując zmienić rozczapierzone palce w antenę radarową. Nie mogła popełnić żadnego błędu. Odłożywszy na bok kwestie Boga, Losu czy Opatrzności, była to z pewnością zarówno jej największa, jak i ostatnia szansa. I gdy dotknęła palcami gładkiej, zaokrąglonej powierzchni naczynka, przypomniał jej się fragment mówionego bluesa skomponowanego prawdopodobnie przez Woody’ego Guthrie. Dawno temu, gdy chodziła do college’u, usłyszała go po raz pierwszy w wykonaniu Toma Rusha:

Jak chcesz się dostać do nieba,
Powiem ci, co masz zrobić.
Namaść swe stopy balsamem,
Łojem baranim je namaść.
Wyślizgniesz się z ręki diabła
i uciekniesz do Ziemi Obiecanej.
Spokojnie, tylko spokojnie,
Spokojnie, a będzie upojnie.

Jessie objęła palcami pojemniczek, nie zważając na ból zdrętwiałych barków, i

powolnym, pieszczotliwym ruchem przyciągnęła go ku sobie. Teraz wiedziała, co czują saperzy rozbijający miny wstrząsowe zawierające nitroglicerynę. *Spokojnie, tylko spokojnie* – pomyślała. – *Spokojnie, a będzie upojnie*. Czy w całych dziejach świata wypowiedziano kiedykolwiek prawdziwsze słowa?

– Chyba nie, kochanie – odrzekła najbardziej wzdorczym tonem Elizabeth Taylor z „Kotki na gorącym blaszanym dachu”. Nie słyszała własnych słów, nie spostrzegła nawet, że się odezwała.

Czuła już w duszy błogosławiony balsam ulgi – wydawał się on równie słodki jak pierwszy łyk świeżej zimnej wody, który spłynął na zardzewiałe druty kolczaste tkwiące w gardle Jessie. Wkrótce wyslizgnie się z ręki diabła i ucieknie do Ziemi Obiecanej, nie było co do tego absolutnie żadnych wątpliwości. Naturalnie pod warunkiem że zachowa ostrożność. Poddano ją próbie, zahartowano w ogniu, a teraz czekała ją nagroda. Była głupia, że w ogóle w to wątpiła.

Chyba nie powinnaś myśleć w ten sposób – rzekła zmartwionym tonem Dobra Żona. – *Możesz się stać nieostrożna, a bardzo niewielu nieostrożnych ludzi potrafi się wyslizgnąć z ręki diabła*.

To prawda, owszem, ale Jessie nie miała zamiaru pozwolić sobie na najdrobniejszą nieostrożność. Spędziła dwadzieścia jeden godzin w piekle i wiedziała jak nikt w świecie, ile zależy od tego kremu. Nikt nie mógł wiedzieć tego lepiej, absolutnie nikt.

– Będę ostrożna – zagrychała. – Przemyślę wszystko krok po kroku, obiecuję. A później... później... Później co?

Cóż, później się uwolni. Nie tylko z kajdanek, ale w ogóle. Usłyszała nagle, że mówi do Boga, tym razem swobodnie i ze swadą.

Chcę Ci coś obiecać – powiedziała. – *Przyrzekam, że natychmiast się za siebie wezmę. Zacznę od wielkich wiosennych porządków w swojej głowie, wyrzucę na śmietnik rupiecie i popsute zabawki, z których już dawno wyrosłam, innymi słowy wszystko, co zajmuje niepotrzebnie miejsce i zwiększa ryzyko pożaru. Zadzwoń do Nory Callighan i spytam, czy zechce mi pomóc. Zadzwoń również do Carol Symonds... prawda, nazywa się teraz Carol Rittenhouse. Jeśli ktoś z naszej starej paczki zna miejsce pobytu Ruth Neary, to właśnie Carol. Wysłuchaj mnie, Panie: nie wiem, czy dotrę kiedykolwiek do Ziemi Obiecanej, ale wezmę się za siebie i spróbuję, dobrze?*

Nagle, jakby rzeczywiście wysłuchano jej modlitwy, Jessie wyobraziła sobie to, co musi zrobić. Najtrudniejsze okaże się zapewne odkręcenie wieczka, wymagające wielkiej cierpliwości i ostrożności, lecz znacznie ułatwione przez mały rozmiar naczynka. Powinna postawić pojemniczek na lewej dłoni, chwycić wieczko palcami i odkręcić kciukiem. Gdyby chodziło luźno, znacznie ułatwiłoby to całą operację, lecz Jessie i tak była pewna, że zdoła sobie jakoś poradzić.

Racja, dziubdziuniu! Odkręcisz je! – pomyślała ponuro.

Najniebezpieczniejsza będzie zapewne chwila, gdy wieczko zacznie się obracać. Gdyby zdarzyło się to nagle i zaskoczyło Jessie, pojemniczek mógłby wylecieć jej z ręki. Zaśmiała się chrapliwie.

– Duże ryzyko! – odezwała się do pustego pokoju. – Cholernie duże ryzyko, mała!

Uniosła pojemniczek i przyjrzała mu się dokładnie. Przez granatowy plastik trudno było coś zobaczyć, lecz naczynko wydawało się co najmniej w połowie pełne. Odkręciwszy wieczko, Jessie powinna obrócić pojemniczek do góry nogami, by krem wypłynął jej na rękę, a później ustawić ją pionowo, pozwalając mu spłynąć aż do nadgarstka. Krem zatrzyma się na stalowej obręczy, a Jessie rozmaże go, kręcąc dłonią w obie strony. Wiedziała już, gdzie się znajduje występ kostny blokujący zsuwanie się kajdanek – tuż pod kciukiem. Natłusciwszy rękę, po raz ostatni spróbuje się uwolnić. Zapomni o bólu i pociągnie z całej siły, aż nadgarstek wyslizgnie się z kółka, i będzie wreszcie wolna, wreszcie wolna, Boże Wszechmogący, wreszcie wolna! Była w stanie to zrobić. Wiedziała o tym.

– Tylko ostrożnie – mruknęła, stawiając pojemniczek na dłoni i obejmując wieczko palcami. Poruszyła nimi lekko...

– Chodzi luźno! – krzyknęła ochryplym, drżącym głosem. – O rany, naprawdę chodzi luźno!...

Prawie nie mogła w to uwierzyć – mała handlarka trwogą ukryta gdzieś w głębi jej umysłu w dalszym ciągu nie wierzyła – ale była to prawda. Wyczuwała pod palcami leciutkie ruchy wieczka na spiralnym gwincie.

Ostrożnie, Jess – bardzo, bardzo ostrożnie. Dokładnie tak, jak zaplanowałaś.

Tak. Nagle ujrzała w wyobraźni samą siebie, siedzącą za biurkiem w Portland, ubraną w swoją najlepszą czarną sukienkę, dość krótką, jak to było ostatnio w modzie, którą kupiła sobie zeszłej wiosny w nagrodę za to, że przestrzegала diety i straciła pięć kilogramów. W jej włosach, świeżo umytych i pachnących słodkim szamponem ziołowym, a nie starym potem, lśniła prosta złota spinka. Błat biurka zalewały przyjazne promienie popołudniowego słońca wpadające przez okno. Jessie ujrzała w wyobraźni siebie, piszącą list do amerykańskiej filii firmy „Nivea” albo do dystrybutora jej produktów: „Szanowni Państwo! Mam zaszczyt zawiadomić, że krem «Nivea» uratował mi niedawno życie...”

Kiedy nacisnęła lekko kciukiem wieczko pojemniczka, obróciło się ono bez najmniejszego oporu. Wszystko zgodnie z planem. *Niczym sen* – pomyślała. – *Dzięki Ci, Boże. Dzięki Ci. Bardzo, bardzo Ci dzięku...*

Dostrzegła nagle kątem oka jakiś ruch, lecz nie pomyślała, że ktoś ją odnalazł i że jest uratowana. Zamiast tego przeleciało jej przez głowę, że przyszedł kosmiczny kowboj, by ją pojąć, nim zdąży się uwolnić. Wydała z siebie piskliwy, przerażony okrzyk. Oderwała oczy od pojemniczka, a strach i zaskoczenie spowodowały, że skurczyła odruchowo palce.

Był to pies, który wrócił na poranną przekąskę i przystanął w progu, rozglądając się po sypialni. W chwili gdy Jessie zdała sobie z tego sprawę, spostrzegła również, że ścisnęła mały

granatowy pojemniczek nieco zbyt mocno. Wyślizgiwał jej się z ręki niczym mokre mydło.

– Niiieeee!

Prawie zdołała znów go uchwycić. Później wyleciał jej z dłoni, uderzył ją w biodro i odbił się od łóżka. Rozległ się cichy, żalony trzask, gdy upadł na drewnianą podłogę. Jeszcze przed kilkoma minutami Jessie sądziła, że jeśli usłyszy ten dźwięk, natychmiast postrada zmysły. Nie postradała ich jednak i odkryła nową, straszniejszą prawdę: nawet po tylu makabrycznych godzinach spędzonych w kajdankach nie czuła w sobie ani krzty szaleństwa. Teraz, gdy zniknęła ostatnia szansa ratunku, czekały ją niewyobrażalne męki i musiała im stawić czoło w pełni władz umysłowych.

– Dlaczego wróciłeś właśnie teraz, skurwysynu?! – spytała byłego Prince’a, a morderczy ton jej zachrypniętego głosu spowodował, że pies zerknął na nią czujniej, niż gdyby krzyczała i miotała przekleństwa. – Dlaczego teraz, draniu?! Dlaczego właśnie TERAZ?!

Bezpański pies doszedł do wniosku, że pomimo groźnego tonu sukoluda jest prawdopodobnie w dalszym ciągu nieszkodliwa, ale podążając w stronę mięsa, nie spuszczał z niej baczego spojrzenia. Lepiej się nie narażać. Nauczył się tego po wielu gorzkich doświadczeniach i na zawsze zakarbował sobie w pamięci prostą prawdę: przede wszystkim lepiej się nie narażać.

Po raz ostatni spojrzął na sukoludę lśniąco, zdesperowanymi ślepiami, po czym pochylił łeb, chwycił jeden z tłustych boków Geralda i wyrwał spory kawałek. Widok jedzącego psa był makabryczny, lecz wcale nie najgorszy. Najgorsza była chmara much, która uniosła się w powietrze, gdy pies zatopił kły w ciele Geralda i szarpnął. Ich leniwe brzęczenie zdruzgotało ostatecznie jakąś ważną część umysłu Jessie, część mającą wciąż nadzieję na ratunek i pełną wiary w ludzi.

Pies odstąpił tanecznym krokiem do tyłu z mięsem wiszącym w pysku i nadstawił zdrowego ucha. Później odwrócił się i wybiegł prędko z pokoju. Jeszcze zanim zniknął, muchy jęły się usadawiać w poprzednich miejscach. Jessie oparła głowę o mahoniowe poprzeczki i przymknęła oczy. Tym razem modliła się, by Bóg zabrał ją szybko i bezboleśnie, przed zachodem słońca i powrotem demona o bladej twarzy.

Następne cztery godziny okazały się najgorsze w całym życiu Jessie. Skurcze mięśni stawały się stopniowo coraz częstsze i mocniejsze, lecz to nie ból uczynił okres między jedenastą rano a trzecią po południu prawdziwym piekłem; przyczyną był opór jej umysłu, który nie chciał się zmącić i pogrążyć w mroku. Jessie czytała w szkole średniej opowiadanie Poe'go „The Tell-Tale Heart”, ale dopiero teraz zrozumiała w pełni horror pierwszego zdania: „Nerwowo?! Owszem, jestem bardzo nerwowo, ale dlaczego od razu szalony?!”

Szaleństwo przyniosłoby ulgę, lecz nie chciało nadejść. Sen również. Śmierć mogłaby się okazać jeszcze lepsza, podobnie jak ciemność. Jessie leżałaby po prostu na łóżku w mdłym szarozielonym półmroku rozjaśnianym od czasu do czasu jaskrawymi fajerwerkami bólu powodowanego przez skurcze mięśni. Skurcze były ważne, tak samo jak straszliwa, posępna pełnia władz umysłowych, lecz poza tym nie liczyło się nic, a zwłaszcza odległy, abstrakcyjny świat leżący gdzieś poza domkiem letniskowym. W istocie rzeczy Jessie święcie uwierzyła, że poza sypialnią nie istnieje w ogóle żaden świat, że wszyscy wypełniający go ongiś ludzie stali się z powrotem bezrobotnymi aktorami czekającymi na przydział nowych ról, a dekoracje popakowano do skrzyń jak po jednym ze studenckich przedstawień teatralnych, na które tak lubiła chodzić Ruth.

Świadomość Jessie pruć lodowate morze czasu niczym ciężki, niezgrabny lodołamacz. Niekiedy odzywały się widmowe głosy. Większość rozlegała się w jej głowie, lecz przez pewien czas mówiła do niej z łazienki Nora Callighan, a innym razem Jessie rozmawiała ze swoją matką, która kryła się w sieni. Matka twierdziła, że córka nigdy nie wpakowałaby się w taką kabałę, gdyby bardziej dbała o swoje rzeczy. „Gdybym dostała po dziesięć centów za każdą halkę wywróconą na lewą stronę i walającą się pod twoim łóżkiem, mogłabym kupić gazownię miejską w Cleveland” – twierdziła. Było to jej ulubione powiedzonko i Jessie zdała sobie nagle sprawę, że nikt nigdy nie spytał Sally, dlaczego chciałaby kupić gazownię miejską w Cleveland.

Wciąż próbowała podtrzymywać krążenie krwi, poruszając rękami i nogami, choć przeszkadzały jej w tym kajdanki, a ponadto coraz bardziej traciła siły. Nie robiła tego po to, by zachować sprawność fizyczną na wypadek, gdyby wymyśliła wreszcie jakiś sposób uwolnienia się, bo pojęła w końcu, zarówno rozumem, jak i sercem, że nie ma już żadnej

nadziei. Pojemniczek kremu do twarzy był jej ostatnią szansą. Poruszała rękami i nogami tylko dlatego, że łagodziło to nieco skurcze mięśni.

Pomimo ćwiczeń w jej ręce i nogi wsącał się chłód, osiadający na skórze niczym szron, a później wnikający stopniowo coraz głębiej. Nie przypominał on odrętwienia, jakie czuła rano po przebudzeniu, i kojarzył się raczej z odmrożeniami doznanymi w wieku kilkunastu lat podczas długiego biegu narciarskiego; na wierzchu dłoni i na łydce, w miejscu nie zasłoniętym przez legginsy, pojawiły się wówczas szare martwe plamy, odporne nawet na palący żar ognia na kominku. Jessie podejrzewała, że zimno pokona w końcu skurcze i że śmierć może się okazać mimo wszystko bezbolesna – niczym zaśnięcie w zaspie śnieżnej – ale działało się to stanowczo zbyt powoli.

Mijał czas, lecz nie był to czas, tylko bezlitosny, nieustający przepływ informacji pomiędzy odrętwiałymi zmysłami a niesamowicie jasnym umysłem. Istniała tylko sypialnia, pejzaż za oknem (kilka ostatnich dekoracji, których nie zdążył jeszcze zdemontować scenograf odpowiedzialny za tę nędzną tragifarsę), brzęk much latających nad Geraldem i powolny ruch cieni na podłodze, gdy słońce sunęło po sztucznym jesiennym niebie. Od czasu do czasu pojawiały się straszliwe skurcze pach lub boków, uderzając w Jessie niczym lodowaty kilof. Popołudnie wlokło się bez końca, a skurcze rozszerzyły się na brzuch, później zaś na mięśnie przepony. Te ostatnie były najgorsze, gdyż prawie uniemożliwiały oddychanie. Kiedy nadchodził kolejny taki skurcz, Jessie spoglądała pełnymi męki, wybałuszonymi oczyma na refleksy słońca na suficie, z ramionami i nogami drżącymi z wysiłku, gdy próbowała rozpaczliwie łapać oddech. Czuła się trochę tak, jakby siedziała po szyję w zimnym, stygnącym betonie.

Nie czuła głodu, lecz ciągle chciało jej się pić i nabierała coraz głębszego przekonania, że pragnienie (tylko ono i nic więcej) może doprowadzić do tego, czego nie zdołał uczynić ból ani nawet świadomość nadchodzącej śmierci, może doprowadzić ją do szaleństwa. Nie chodziło już tylko o gardło i usta – każda cząstka ciała Jessie domagała się wody. Pragnienie dręczyło nawet jej oczy i pojękiwała cicho, pozerając wzrokiem refleksy fal tańczące na suficie po lewej stronie świetlika.

Skoro groziły jej realne niebezpieczeństwa, twoga przed kosmicznym kowbojem powinna przybladać lub całkowicie zniknąć, jednakże Jessie coraz częściej myślała o bladolicym nieznajomym. Majaczył on stale tuż poza niewielkim kręgiem światła emanowanego przez jej przyćmioną świadomość, a chociaż dostrzegała tylko zarys wychudzonej postaci, w miarę jak słońce chyliło się ku zachodowi i cienie stopniowo się wydłużały, coraz wyraźniej ukazywał się potworny grymas wykrzywiający mu wargi. Jessie słyszała w wyobraźni chrzęst kości i biżuterii poruszanych ręką w staromodnej walizeczce.

Przyjdzie po nią. Przyjdzie, gdy zapadnie zmrok. Martwy kowboj, Obcy, upiór miłości.

Widziałaś go naprawdę, Jessie. To anioł śmierci i widziałaś go naprawdę, podobnie jak ludzie umierający w samotności. Naturalnie, że go widzieli, można to poznać po ich

wykrzywionych twarzach i wytrzeszczonych oczach. *To anioł śmierci, a dziś wieczorem, po zachodzie słońca, przyjdzie po ciebie znowu.*

Tuż po trzeciej wiatr przybrał na sile i tylne drzwi zaczęły uderzać o framugę. Wkrótce potem umilkł warkot piły łańcuchowej i Jessie usłyszała lekki plusk fal o kamienie na brzegu jeziora. Nur się nie odzywał, może doszedł do wniosku, że pora odlecieć na południe, a przynajmniej przenieść się na drugi brzeg, gdzie nie słyhać krzyków kobiety.

Jestem zupełnie sama. Przynajmniej dopóki on nie przyjdzie.

Nie próbowała więcej sobie wmawiać, że mroczny gość był tylko tworem jej wyobraźni, sprawy zaszły już za daleko.

Wykrzywiła popękane wargi, czując nowy skurcz zatapiający długie ostre kły w jej pasze. Miała wrażenie, że ktoś dźga ją prosto w serce widelkami do pieczenia mięsa. Później skurczyły się mięśnie pod piersiami, a splot słoneczny zapłonął żywym ogniem. Ta nowa, monstualna tortura przekraczała wszystko, co Jessie jak dotąd przeżyła. Wygięła się w łuk jak trzcina, poruszając torsem w obie strony, to zaciskając, to rozchylając kolana. Wokół jej głowy latały pasemka włosów. Usiłowała krzyżeć, lecz nie mogła. Przez chwilę była pewna, że to już koniec. Ostatnia konwulsja, potężna jak wybuch dynamitu w kamieniołomie, i idziesz prosto do nieba, Jessie.

Ale ten skurcz także minął.

Odprężyła się powoli, dysząc ciężko, z głową zwróconą ku sufitowi. Odblaski słońca tańczące w górze przestały ją na chwilę torturować, gdyż skupiła całą uwagę na płonących nerwach tuż pod piersiami, zastanawiając się, czy ból minie, czy wybuchnie z nową siłą. Minął... tyle że opieszale, jakby obiecując, że wkrótce powróci. Zamknęła oczy, modląc się o sen. Powitałaby z ulgą choćby najkrótszą przerwę w długim, nużącym konaniu.

Zamiast snu pojawiła się Kruszyna, dziewczynka spod pręgierza – wolna jak ptak, szła boso po pastwisku gminnym należącym do purytańskiej wioski, w której mieszkała. Była wspaniale samotna – nie potrzebowała spuszczać skromnie oczu, by przechodzący chłopiec nie pochwycił jej spojrzenia i nie mrugnął do niej z uśmiechem. Trawa miała głęboki szmaragdowozielony kolor, a daleko, na szczycie następnego wzgórza (*To chyba największe pastwisko gminne na świecie* – pomyślała Jessie), pasło się stado owiec. Zapadał zmrok i słyhać było spokojne, uroczyste dźwięki dzwonu.

Kruszyna nosiła błękitną flanelową koszulę nocną z wielkim żółtym wykrzyknikiem na piersiach – niezbyt purytański strój, choć z pewnością przyzwoity, gdyż zakrywał ją od stóp do głów. Jessie dobrze znała ów ubiór i ucieszyła się, że go znowu widzi. Zanim w wieku dwunastu lat skłoniono ją wreszcie, by go wyrzuciła, poszła w nim na kilkanaście prywatek.

Włosy Kruszyny, zasłaniające jej twarz, gdy ucisk dybów zmuszał ją do opuszczenia głowy, były teraz związane w koński ogon ciemnogrnatową kokardą. Na jej ślicznej buzi malowało się szczęście, co bynajmniej nie zdziwiło Jessie. Kruszyna w końcu wyrwała się z więzów, była wolna. Jessie nie czuła z tego powodu zazdrości, pragnęła powiedzieć

Kruszynie, że nie może tak po prostu cieszyć się swobodą, powinna z niej korzystać i zazdrośnie strzec.

A jednak zasnąłam. Musiałam, bo to przecież na pewno sen.

Mięśnie prawego uda Jessie skurczyły się, aż zaczęła dziko podrygiwać stopą w powietrzu, choć ból nie był tym razem tak okropny jak podczas poprzedniego skurczu splotu słonecznego. Otworzyła oczy i ujrzała sypialnię, oświetloną ukośnymi promieniami słońca. Nie była to jeszcze pora, którą Francuzi nazywają *l'heure bleue*, choć szybko się zbliżała. Jessie usłyszała drzwi uderzające o framugę i poczuła kwaśny odór swojego potu i uryny. Nic się nie zmieniło. Czas ruszył naprzód, lecz nie tak raptownie, jak to się często dzieje po przebudzeniu z mimowolnej drzemki. Ramiona zziębły jej nieco, ale nie wydawały się bardziej zdrętwiałe. Nie spała i nie śniła... robiła coś.

Mogę zrobić to znowu – pomyślała i zamknęła oczy. Znalazła się z powrotem na ogromnym pastwisku. Dziewczynka z wielkim żółtym wykrzyknikiem między drobnymi piersiami spoglądała na nią poważnym, tkliwym wzrokiem.

Nie próbowałaś jeszcze jednego, Jessie.

To nieprawda – odrzekła. – *Próbowałam już wszystkiego, wierz mi. Wiesz co? Myślę, że gdybym nie upuściła tego przekłętego kremu przestraszona przez psa, mogłabym zsunąć kajdanki z lewej dłoni. Miałam pecha, że wszedł do domu akurat wtedy. A może to zła karma? Tak czy owak coś złego.*

Dziewczynka podeszła nieco bliżej, a pod jej bosymi stopami szeleściła trawa.

Nie chodzi o lewą parę kajdanek, Jessie. Możesz się wyslizgnąć z prawej. To bardzo trudne, przynajmniej, ale możliwe. Prawdziwy problem sprowadza się do tego, czy chcesz żyć czy nie.

Naturalnie, że chcę żyć!

Była już bardzo blisko. Jej szarobłękitne oczy koloru dymu wydawały się patrzeć w tej chwili prosto w serce Jessie.

Doprawdy? Nie jestem taka pewna.

Co ty, zwariowałaś? Myślisz, że chcę być przykuta do łóżka, kiedy...

Przerażona Jessie znów otworzyła powoli oczy i rozejrzała się z namaszczaniem po pokoju. Zobaczyła swojego męża, leżącego na podłodze w niemożliwie powykręcanej pozycji i spoglądającego w sufit.

– Nie chcę być przykuta kajdankami do łóżka, gdy zrobi się ciemno i wróci demon – odezwała się do pustego pokoju.

Zamknij oczy, Jessie.

Spełniła polecenie. Spoglądała na nią spokojnym wzrokiem Kruszyna, ubrana w starą flanelową koszulę nocną, ale Jessie zobaczyła także grubą krostowatą dziewczynkę. Nie miała ona tyle szczęścia, ile Kruszyna, nie udało jej się uciec, chyba że śmierć bywa niekiedy ucieczką – hipoteza, która wydała się Jessie bardzo prawdopodobna. Gruba dziewczynka albo

zadusiła się na śmierć, albo zmarła na jakiś atak. Jej twarz miała sinofioletową barwę letnich chmur burzowych. Jedno oko wyszło z orbity, drugie pękło jak zmiążdżone winogrono. Spomiędzy warg wystawał zakrwawiony język, przegryziony kilkakrotnie w przedśmiertnych konwulsjach.

Jessie zadygotała i zwróciła się do Kruszyny:

Nie chcę tak skończyć. Może nie jestem ideałem, ale nie chcę tak skończyć. Jak ty się uwolniłaś?

Wyślizgnęłam się – odpowiedziała prędko Kruszyna. – Wyślizgnęłam się z ręki diabła i uciekłam do Ziemi Obiecanej.

Pomimo zmęczenia Jessie poczuła wzbierający gniew.

Czy nic do ciebie nie dociera?! Upuściłam ten przeklęty krem! Upuściłam go, bo przestraszył mnie wchodzący pies! W jaki sposób...

Oprócz tego przypominałam sobie zaćmienie – odezwała się nagle Kruszyna tonem kogoś, kogo zdziwił jakiś skomplikowany, lecz pozbawiony znaczenia konwenans; ty dygasz, ja skłaniam głowę, wreszcie podajemy sobie ręce. – Właśnie dzięki temu się uwolniłam, przypominałam sobie zaćmienie i to, co się stało na tarasie. Ty także musisz to sobie przypomnieć. To twoja jedyna szansa. Nie możesz już stosować uników, Jessie. Musisz wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy.

Znowu? Tylko tyle? Jessie poczuła falę głębokiego znużenia i zawodu. Odzyskała na moment nadzieję, po to żeby zaraz ją stracić, i to zupełnie.

Nic nie rozumiesz – powiedziała. – Już o tym rozmawialiśmy. Owszem, to, co zrobił wtedy ojciec, może mieć coś wspólnego z obecnymi wydarzeniami, a przynajmniej nie da się tego wykluczyć, ale po co przechodzić przez to wszystko jeszcze raz, nim Bóg znuży się wreszcie zadawaniem mi cierpień i spuści zasłonę?

Żadnej odpowiedzi. Mała dziewczynka w niebieskiej koszuli nocnej, dziecięce wcielenie Jessie, zniknęła. Teraz pod przymkniętymi powiekami była tylko ciemność, kojarząca się z czarnym ekranem kinowym po zakończeniu filmu, toteż Jessie otworzyła znowu oczy i rozejrzała się po pokoju, w którym miała umrzeć. Popatrzyła na drzwi łazienki, na batik przedstawiający motyla, na komodę, na ciało męża przykryte czarniawą warstwą leniwych jesiennych much.

Daj spokój, Jess. Wróć do zaćmienia.

Zdziwiła się. Miała wrażenie, że tym razem mówi do niej prawdziwy głos, nie dobiegający z żadnego konkretnego miejsca, lecz wypełniający cały pokój.

– Kruszyna? – spytała ochryplym szeptem. Usiłowała usiąść prościej, lecz mięśnie brzucha pochwycił kolejny bezlitosny skurcz i natychmiast oparła się z powrotem o zagłówek, czekając, aż ustąpi. – To ty, Kruszyno? To ty, kochanie?

Przez chwilę wydawało jej się, że coś słyszy, że głos powiedział coś jeszcze, ale jeśli się rzeczywiście odezwał, mówił zbyt cicho. Wreszcie zapadło milczenie.

Wróć do zaćmienia, Jessie.

– W niczym mi to nie pomoże – wymamrotała. – Czy mogę tam znaleźć coś oprócz bólu, wstydu i... czego? Czego jeszcze?

Męskich żądź. Z głębin pamięci Jessie wynurzył się nagle ów zwrot, będący fragmentem kazania, którego słuchała ze znużeniem jako mała dziewczynka, siedząc między matką a ojcem, poruszając noskiem białego lakierowanego bucika i śledząc na nim grę kolorowych świateł wpadających do kościoła przez witraże. Męskie żądze – kwintesencja całej sprawy, najprostsze wytłumaczenie. Ojciec, który podświadomie zaaranżował *tete a tete* ze swoją ładniutką młodszą córeczką, myśląc przez cały czas: *Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi, przecież nic nie szkodzi.* Później zaczęło się zaćmienie, a ona usiadła mu na kolanach w letniej sukience, za ciasnej i za krótkiej – w sukience, którą sam kazał jej włożyć – i stało się to, co się stało. Po prostu krótki żenujący epizod, równie wstydlivy dla nich obojga. Miał wytrysk – do tego wszystko się przecież sprowadzało – i zabrudził spermą tylną część jej majtek; dość brzydko jak na tatusia, dość brzydko jak na szczęśliwą rodzinę, o której życiu można by nakręcić film, ale...

Ale spójrzmy prawdzie w oczy – pomyślała. – Spróbujmy wyobrazić sobie to, co się mogło stać. Wykręciłam się sianem. A takie rzeczy dzieją się codziennie, i to nie tylko wśród kryminalistów czy pijaków. Mój ojciec nie był pierwszym wykształconym mężczyzną, który miał chrapkę na własną córkę, a ja nie byłam pierwszą córką, która znalazła mokrą plamę z tyłu majtek. Co oczywiście nie znaczy, że nic się nie stało albo że da się to usprawiedliwić, po prostu już po wszystkim, a mogło być znacznie gorzej.

Tak. W tej chwili, niezależnie od tego, co miała na ten temat do powiedzenia Kruszyna, najlepiej byłoby zapomnieć o całej tej sprawie, pozwolić jej rozplynać się w ciemności towarzyszącej każdemu zaćmieniu Słońca. Jessie i tak czekało jeszcze długie konanie w tej śmierdzącej, pełnej much sypialni.

Zamknęła oczy i natychmiast poczuła zapach wody kolońskiej ojca i leciutką woń jego potu. Uwierało ją w pupę coś twardego. Ojciec wciągnął z sykiem powietrze, gdy poruszyła mu się na kolanach, usiłując wygodniej się usadowić. Jego dłoń spoczęła na jej piersi. Zastanawiała się, czy ojciec dobrze się czuje. Oddychał tak szybko. Marvin Gaye w radio: „I love too hard, my friends sometimes say, but I believe... I believe... that a woman should be loved that way...”

Kochasz mnie, Kruszyno?

Tak, jasne...

Więc o nic się nie martw. Nie zrobię ci krzywdy. – Druga ręka przesuwająca się po nagim udzie Jessie, podkasująca sukienkę, która fałdowała się na jej brzuchu. – *Chcę...*

– „Chcę być dla ciebie miły” – wymamrotała Jessie, zmieniając nieco pozycję. Twarz miała bladą i ściągniętą. – Właśnie to powiedział. Wielki Boże, naprawdę to powiedział!

„Everybody knows... especially you girls... that a love can be sad, well my love is twice

as bad...”

Nie jestem pewna, czy tego chcę, tatusiu... Boję się, że spalę sobie oczy.

Masz jeszcze dwadzieścia sekund, jeśli nie więcej, więc się nie martw. I nie oglądaj się za siebie.

Później rozległ się trzask gumki od majtek – majtek ojca – gdy uwolnił swoje żądze.

Pomimo narastającego odwodnienia, z lewego oka Jessie wypłynęła łza i pocięła powoli po policzku.

– Robię, co mi kazałaś – powiedziała ochryłym, zduszonym głosem. – Przypominam sobie. Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwa.

Tak – odrzekła Kruszyna i chociaż Jessie nie mogła już tego widzieć, wciąż czuła na sobie jej dziwne, tkliwe spojrzenie. – *Ale posunęłaś się za bardzo do przodu. Cofnij się trochę. Tylko troszeczkę.*

Jessie poczuła niewyobrażalną ulgę, gdy zrozumiała, że Kruszyna każe jej sobie przypomnieć nie to, co zdarzyło się w trakcie erotycznych awansów ojca ani po nich, tylko przedtem... choć niezbyt dawno.

Wobec tego czemu musiałam przeżywać na nowo resztę tych okropności?

Odpowiedź na to pytanie była chyba dość oczywista. Nieważne, czy chce się zjeść jedną sardynkę, czy dwadzieścia – i tak trzeba otworzyć puszkę i popatrzeć na wszystkie, trzeba poczuć mdlący zapach ryb w oleju. A poza tym te stare historie nie mogły przecież zabić Jessie. Zabić ją mogły kajdanki, którymi przykuto ją do łóżka, ale nie wspomnienia z dawnych czasów, choćby bolesne. Pora przestać biadolić i litować się nad sobą. Pora wziąć się w garść i odnaleźć to, co kazała odnaleźć Kruszyna.

Wróć do momentu, gdy zaczął cię dotykać w niewłaściwy sposób. Wróć do tego, co mieliście tam robić. Wróć do zaćmienia.

Jessie zacisnęła mocniej powieki i cofnęła się w czasie.

28

– Wszystko w porządku, Kruszyno?

– Tak, ale... to trochę niesamowite, prawda?

Jessie nie musi spoglądać w odbłyśnik, by wiedzieć, że coś się dzieje; nagle zrobiło się trochę ciemniej, jakby słońce zasłoniła chmura. Ale to nie chmura, niebo jest zupełnie czyste, a mimo to zapada zmrok.

– Owszem – odpowiada ojciec, a kiedy Jessie zerka na niego, z ogromną ulgą spostrzega, że Tom mówi poważnie.

– Chcesz mi usiąść na kolanach, Jess?

– Mogę?

– Jasne.

Jessie siada mu na kolanach, ciesząc się, że jest blisko, i czując jego ciepły, słodki zapach – zapach tatusia – gdy tymczasem wokół ściemnia się coraz bardziej. Bliskość ojca cieszy ją szczególnie dlatego, że to trochę przerażające, bardziej przerażające, niż sobie wyobrażała. Najbardziej przerażają to, w jaki sposób bledną cienie na tarasie. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby cienie bledły w taki sposób, i jest prawie pewna, że już nigdy tego nie zobaczy. *Nic nie szkodzi* – myśli i przytula się do ojca, ciesząc się, że jest znowu (przynajmniej na czas trwania tego nieco upiornego epizodu) ukochaną Kruszyną ojca, a nie zwykłą starą Jessie – zbyt wysoką, zbyt niezgrabną... zbyt kłopotliwą.

– Czy mogę już popatrzeć przez okopcone szybki, tatusiu?

– Jeszcze nie. – Jego ręka, ciężka i ciepła, spoczywa na jej udzie. Jessie kładzie na niej własną rękę, po czym odwraca się do ojca i uśmiecha się.

– Podniecające, prawda?

– Tak. O tak, Kruszyno. Nawiasem mówiąc, znacznie bardziej podniecające, niż się spodziewałem.

Jessie znów się wierci, usiłując usadowić się tak, by nie czuć twardego przedmiotu, który uciska ją w pupę. Ojciec wciąga z sykiem powietrze.

– Ciężko ci, tatusiu? Uwieram cię?

– Nie, wszystko w porządku.

– Mogę już popatrzeć przez okopcone szybki?

– Jeszcze nie, Kruszyno, ale już niedługo.

Świat nie wygląda tak jak wtedy, gdy słońce chowa się za chmurę, w tej chwili wydaje się, że w samym środku popołudnia zapada nagle zmierzch. Jessie słyszy w lesie pohukiwanie sowy i przechodzą ją ciarki. W radiu cichnie Debbie Reynolds, a disc jockey zapowiada piosenkę Marvinu Gaye.

– Popatrz na jezioro! – mówi tatuś, a Jessie widzi upiorny zmrok zapadający nad zszarzałym światem, który opuściły jaskrawe kolory, pozostały tylko mdłe pastele. Drży i mówi ojcu, że to niesamowite, i słyszy w odpowiedzi, iż nie powinna się bać, bo inaczej nie będzie miała żadnej przyjemności (po latach Jessie zacznie się doszukiwać w owym stwierdzenia różnych podtekstów). A teraz...

– Tato? Tatusiu? Słońce zgasło. Czy mogę...

– Tak. Teraz możesz. Ale jak powiem, że masz przestać, nie sprzeczasz się ze mną, zrozumiano?

Podaje jej trzy zakopcone szybki, ale najpierw każe włożyć rękawicę kuchenną. Wyciął te szybki ze starego okna szopy, a nie jest pewien, czy posługuje się diamentem dostatecznie zręcznie. I gdy Jessie spogląda na ową rękawicę kuchenną w swojej dziwnej wizji, która jest jednocześnie snem i wspomnieniem, jej umysł skacze nagle jeszcze bardziej w przeszłość, zwinnie niczym akrobata wywracający koziółka, i Jessie słyszy, jak ojciec mówi:

– Ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależy, jest to...

29

– ...żeby twoja matka przyjechała do domu i zastała notatkę mówiącą...

Wypowiadając te słowa do pustego pokoju, Jessie otwiera gwałtownie oczy i widzi opróżnioną szklankę, szklankę po wodzie Geralda, wciąż stojącą na półce. Stojącą tuż koło kajdanek przykuwających ją do łóżka. Nie po lewej ręce, tylko po prawej.

– ...notatkę mówiącą, że zabrałem cię na ostry dyżur w szpitalu Oxford Hills, by przyszyli ci z powrotem dwa palce.

W tejże chwili Jessie zrozumiała cel przywoływania owego starego, bolesnego wspomnienia, zrozumiała, co przez cały czas próbuje jej przekazać Kruszyna. Nie miało to nic wspólnego z męskimi żądzami ani lekkim mineralnym zapachem mokrej plamy na spłowiałych bawełnianych majtkach. Chodziło o tuzin szklanych szybek wyciętych ze starego okna szopy. Jessie straciła pojemniczek kremu „Nivea”, ale istniał przecież jeszcze jeden sposób na zmniejszenie tarcia, prawda? Jeszcze jeden sposób na wyslizgnięcie się z ręki diabła. Krew. Świeża krew jest prawie tak samo śliska jak oliwa.

To będzie bolało jak cholera, Jessie.

Tak, naturalnie, że będzie bolało jak cholera. Ale czytała gdzieś lub słyszała, że w nadgarstkach jest mniej nerwów niż w wielu innych miejscach ciała; właśnie dlatego podcięcie sobie żył, zwłaszcza w misce gorącej wody, uchodzi już od czasów starorzemych za doskonały, prawie bezbolesny sposób popełnienia samobójstwa. Poza tym Jessie i tak miała już zdrętwiałe ręce.

– Byłam kretynką, że w ogóle pozwoliłam się zakuć w te kajdanki! – rzekła chrapliwie.

Jak skaleczysz się za głęboko, wykrwawisz się na śmierć niczym rzymski senator.

Oczywiście, że tak. Ale jeśli nie przetnie sobie ręki, będzie leżała po prostu aż do śmierci wywołanej drgawkami lub odwodnieniem... a może aż do nocnej wizyty przyjaciela z walizeczką pełną kości.

– W porządku – powiedziała. Serce waliło jej jak młotem i po raz pierwszy od wielu godzin miała absolutnie jasny umysł. Czas ruszył ostro z miejsca niczym pociąg towarowy wyjeżdżający z bocznicy na główny tor. – W porządku, jestem zdecydowana.

Posłuchaj – rzekł z naciskiem głos i Jessie zdała sobie ze zdumieniem sprawę, iż jest to jednocześnie głos Ruth i Dobrej Żony. Złąły się w jedno, przynajmniej na pewien czas. –

Posłuchaj uważnie, Jess.

– Słucham – odezwała się do pustej sypialni. Nie tylko słuchała, lecz także patrzyła. Patrzyła na szklankę. Była to jedna z dwunastu szklanek, które kupiła na wyprzedaży trzy czy cztery lata temu. Do tej chwili stłukło się już sześć czy osiem. Wnet stłucze się jeszcze jedna. Przełknęła ślinę i skrzywiła się. Przypominało to próbę przełknięcia tkwiącego w gardle kamyka owiniętego we flanelę. – Słucham bardzo uważnie, możesz mi wierzyć.

Dobrze. Bo jak raz zaczniesz się ciąć, nie będziesz mogła przestać. Musisz to zrobić bardzo szybko, bo twój organizm i tak jest już odwodniony. Ale pamiętaj, nawet jeśli coś pójdzie nie tak...

– ...wszystko pójdzie śpiewająco – dokończyła Jessie.

Przecież nie mogło być inaczej, prawda? Sytuacja jest taka prosta, że aż w upiorny sposób elegancka. Jessie nie chciała oczywiście wykrwawić się na śmierć (czy ktokolwiek mógłby tego chcieć?), lecz byłoby to lepsze od powolnej agonii wśród nasilających się skurczów, lepsze od śmierci z pragnienia. Lepsze niż on. Demon, majak, twór wyobraźni. Czymkolwiek lub kimkolwiek był.

Oblizła spierzchnięte wargi i skoncentrowała się na swoich galopujących, pełnych zamętu myślach. Usiłowała je uporządkować, podobnie jak wcześniej, nim sięgnęła po pojemniczek kremu, leżący teraz bezużytecznie na podłodze koło łóżka. Myślenie przychodziło jej z coraz większym trudem. Słyszała urywki

...spokojnie, a będzie upojnie...

mówionego bluesa, wciąż czuła zapach wody kolońskiej ojca, wciąż czuła coś twardego uwierającego ją w pupę. A oprócz tego słyszała Geralda, który zdawał się przemawiać do niej ze swojego miejsca na podłodze: *On wróci, Jessie. Nigdy nie zdołasz go powstrzymać. Da ci nauczkę, dumna pięknotko!*

Zerknęła nań prędko, lecz czym prędeziej odwróciła oczy i wbiła je w szklankę. Miała wrażenie, że Gerald uśmiecha się do niej złośliwie tą częścią twarzy, którą pies pozostawił nie naruszoną. Znow spróbowała uporządkować myśli i z ogromnym wysiłkiem wreszcie jej się to udało.

Przez dziesięć minut wyobrażała sobie wszystko krok po kroku. Prawdę mówiąc, nie sprawiło to żadnych trudności – jej plan był samobójczo ryzykowny, lecz nie skomplikowany. Zresztą i tak przećwiczyła już w myśli każdy ruch, szukając błędów, które mogły zaprzepaścić ostatnią szansę uratowania życia. Nie potrafiła ich znaleźć. Istniał tylko jeden drobny problem – musi się uwolnić bardzo szybko, nim krew zdąży zakrzepnąć, bo inaczej straci przytomność i umrze.

Wyobraziła sobie wszystko jeszcze raz – nie po to, by odłożyć przykrą operację na później, ale chcąc znaleźć nie dopracowane punkty, jakby robiła szalik i szukała puszczonego oczek – a tymczasem słońce chyliło się coraz niżej ku zachodowi. Na ganku od strony kuchni pies wstał leniwie, pozostawiając lśniącego kość, którą ogryzał, i poczłapał w stronę lasu. Znow

poczuł złowrogą mroczną woń, a ponieważ dopiero co się nażarł, nie miał ochoty poczuć jej jeszcze raz.

30

Dwunasta, dwunasta, dwunasta – błyskał zegar, lecz pora nie miała znaczenia, bo pora właśnie nadeszła.

Zanim zaczniesz, pamiętaj o jednym. Zebrałaś resztkę sił, by podjąć ostatnią próbę ocalenia życia, ale staraj się panować nad sobą. Jeśli upuścisz tę cholerną szklankę na podłogę, nie masz już żadnych szans.

– Nie waż się tu wchodzić, kundlu! – zawołała piskliwie, nie mając pojęcia, że przed kilkoma minutami pies wycofał się do lasu. Wahala się jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy się znowu nie pomodlić, po czym doszła do wniosku, iż odmówiła już wszystkie modlitwy, jakie zamierzała odmówić. Teraz musiała polegać na swoich głosach... i na samej sobie.

Sięgnęła prawą ręką po szklankę, nie zachowując przy tym szczególnej ostrożności. Jakaś część jej umysłu – prawdopodobnie ta, która tak lubiła i podziwiała Ruth Neary – rozumiała, że powodzenie ostatniej próby zależy nie tyle od ostrożności, ile od determinacji i silnej woli.

Muszę być dzielna jak samuraj – pomyślała i uśmiechnęła się.

Zacisnęła palce na szklance, zdjętej niegdyś z takim trudem z półki, i przez chwilę patrzyła na nią ze zdziwieniem – patrzyła niczym ogrodnik, który natknął się na fantastyczny okaz storczyka rosnący wśród groszku i fasoli. Wreszcie uniosła szklankę, zmrużyła oczy, by nie wpadł do nich okruch szkła, po czym uderzyła w półkę, jakby chciała rozbić jajko. Rozległ się znajomy, absolutnie normalny brzęk pękającego szkła, jaki słyszała już tysiące razy, tłukąc szklanki podczas zmywania albo strącając je przypadkiem na podłogę łokciem lub dłonią, odkąd jako pięcioletnia dziewczynka przestała się posługiwać plastikowym kubeczkiem z napisem „Dandy Duck”. Ten sam znajomy brzęk i żadnego szczególnego tonu wskazującego na fakt, że zdecydowała się przed chwilą na narażenie własnego życia, by je ocalić.

Poczuła, jak jeden z kawałków szkła uderza ją w czoło tuż nad brwią, ale w twarz trafił tylko ten jeden okruch. Kolejny kawałek – duży, sądząc po dźwięku – spadł z półki i roztrzaskał się na podłodze. Jessie zacisnęła wargi w oczekiwaniu na ból palców, którymi ścisnęła mocno szklankę. Ale nie czuła żadnego bólu, tylko lekki ucisk i jeszcze lżejsze ciepło. Było to nic w porównaniu ze skurczami dręczącymi ją w ciągu ostatnich dwóch

godzin.

Szklanka musiała się stłuc w szczęśliwy sposób. Dlaczego nie? Pora, żebym wreszcie miała trochę szczęścia, prawda?

Uniosła rękę i zobaczyła, że szklanka mimo wszystko nie stłukła się w szczęśliwy sposób. Na opuszkach kciuka i trzech pozostałych palców pojawiły się ciemnoczerwone kropelki krwi; tylko mały palec pozostał nie naruszony. Z kciuka, palca wskazującego i środkowego sterczały długie odłamki szkła, przywodzące na myśl kolce jeżozwierza. Jessie miała zdrętwiałe ręce i nogi, toteż prawie nie czuła bólu (przyczyną mogły być również bardzo ostre krawędzie odłamków), lecz jednak się pokaleczyła. Na różowe prześcieradło jęły kapać duże krople krwi, barwiąc materiał na ciemnoczerwono.

Kiedy Jessie ujrzała wąskie szklane drzazgi sterczące z jej palców niczym szpilki z poduszeczki na igły, zebrało jej się na wymioty, choć miała zupełnie pusty żołądek.

Rzeczywiście, okazałaś się dzielna jak samuraj! – rzekł szyderczo jeden z głosów z kosmosu.

To przecież moje palce! – zawołała w odpowiedzi. – *Nie widzisz?! To moje palce!...*

Ogarnęła ją na moment panika, lecz zdołała się wziąć w karby i skupiła z powrotem uwagę na fragmencie szklanki, który trzymała ciągle w ręku. Była to zakrzywiona górna część, mniej więcej ćwiartka, pęknięta z boku w taki sposób, że powstały dwa gładkie łuki zbiegające się w jednym punkcie, który lśnił okrutnie w popołudniowym słońcu. Szczęśliwy przypadek... może. Jeśli Jessie nie straci odwagi. Owo zakrzywione szkiełko wydało jej się nagle baśniowym mieczem – maciupenką krzywą szablą, z którą wyrusza na wojnę leśny duszek.

Zaczynasz śnić na jawie, kochanie – odezwała się Kruszyna. – *Czy możesz sobie na to pozwolić?*

Odpowiedź brzmiała oczywiście negatywnie.

Jessie położyła trzymany fragment szklanki z powrotem na półce, na tyle blisko, by móc go dosięgnąć bez zbytej ekwilibrystyki. Odłamek spoczywał na gładkim okrągłym brzuszku, z ostrzem w kształcie szabli sterczącym na zewnątrz. Jego czubek lśnił czerwono w świetle zachodzącego słońca. Ćwiartka szklanki nadawała się idealnie do osiągnięcia zamierzonego celu, pod warunkiem że Jessie nie nacisnie zbyt mocno. Gdyby to zrobiła, prawdopodobnie strąciłaby szkiełko na podłogę albo złamała przypadkowo uformowane ostrze.

– Po prostu bądź ostrożna – rzekła na głos. – Jeśli zachowasz ostrożność, nie musisz naciskać zbyt mocno, Jessie. Po prostu udawaj, że...

Dalszy ciąg zdania...

...kroisz pieczeń wolową...

...wydawał się niezbyt przyjemny, toteż wyrzuciła go z myśli, nim zdążył się ostatecznie uformować. Uniosła prawe ramię, aż łańcuszek kajdanek prawie się napiął, nadgarstek zaś

znalazł się ponad lśniącym szklanym ostrzem. Chętnie strzepnęłyby z półki inne zaśmiecające ją odłamki szkła – stały się one w tej chwili czymś w rodzaju pola minowego – lecz nie ośmieliła się. Nie po przygodzie z kremem „Nivea”. Gdyby przypadkiem złamała szklane ostrze lub strąciła je na podłogę, musiałaby szukać nowego wśród pozostałych okruchów. Być może była przesadnie, wręcz surrealistycznie ostrożna, lecz nie zamierzała pozwolić sobie nawet na najdrobniejszy błąd. Jeśli miała się uratować, musiała dysponować naprawdę solidnym narzędziem, by wytoczyć sobie z ręki dostatecznie dużo krwi.

Zrób to po prostu tak, jak sobie wyobraziłaś, Jessie... i nie stchórz.

– Nie stchórzę – odpowiedziała zachrypniętym, głuchym głosem. Rozstawiła palce i potrząsnęła ręką w nadziei, że pozbędzie się sterczących odłamków szkła. Prawie jej się udało, nie chciała wypaść tylko drzazga tkwiąca w kciuku, wbita głęboko w delikatne ciało tuż pod paznokciem. Jessie postanowiła nie zawracać sobie nią na razie głowy i przystąpić do najtrudniejszej części planu.

To, co zamierzasz zrobić, to absolutne szaleństwo – odezwał się nerwowy głos. Tym razem nie był to głos z kosmosu i Jessie dobrze go znała. Słyszała głos swojej matki. – Zresztą wcale mnie to nie dziwi, Jessie, bo zawsze reagowałaś histerycznie, widziałam to tysiące razy. Zastanów się, Jessie, po co przecinać sobie rękę i wykrwawiać się na śmierć? Ktoś tu przyjdzie i uwolni cię, innej możliwości nie ma. Umrzeć w domku letniskowym?! W kajdankach?! To przecież śmiechu warte, wierz mi. Wobec tego wznies się ponad siebie i przestań histeryzować, Jessie, po prostu jeden jedyny raz. Nie przecinaj sobie nadgarstka. Nie waż się tego robić!

Była to naprawdę matka, podobieństwo było tak wierne, że aż niesamowite. Sally Mahout chciała przekonać Jessie, że jej gniewny ton maskuje miłość i rozsądek, a choć sama nie była całkowicie niezdolna do miłości, przecież to właśnie ona weszła raz do pokoju Jessie i cisnęła w nią parą pantofelek na wysokich obcasach, bez jednego słowa wyjaśnienia, ani wtedy, ani później.

A poza tym wszystko, co powiedziała, było kłamstwem. Wierutnym łgarstwem...

– Nie – odrzekła Jessie. – Nie wierzę ci. Nikt tu nie przyjdzie... chyba że ten facet z zeszłej nocy. Nie stchórzę. – Z tymi słowy opuściła prawy nadgarstek ku lśnącemu szklanemu ostrzu.

31

Ważne było, by widziała, co robi, bo z początku prawie nic nie czuła; mogłaby pociąć sobie nadgarstek do kości i poczuć tylko lekkie mrowienie i ciepło. Z ogromną ulgą spostrzegła, że obserwacja ręki nie sprawia jej trudności, rozbiła szklankę w dobrym miejscu (*Nareszcie sukces!* – sarkastycznie ucieszyła się jakaś część jej umysłu) i półka nie zasłaniała widoku.

Odchyliwszy głowę do tyłu, Jessie wbiła szkło w wewnętrzną część nadgarstka, gdzie biegną linie zwane przez chiromantów „bransoletkami fortuny”. Z fascynacją obserwowała ostrą krawędź, która najpierw zarysowała skórę, a później ją przecięła. Naciskała dalej, a szkło wnikało coraz głębiej w tkankę, aż wreszcie otwarte nacięcie wypełniło się krwią.

Jessie poczuła z początku rozczarowanie. Krew nie trysnęła jak fontanna, na co liczyła (i czego się częściowo obawiała). Jednakże po chwili szklane ostrze przecięło wiązkę błękitnych żyłek leżących tuż pod skórą i krew popłynęła obficie. Nie pulsując miarowo, jak oczekiwała Jessie, tylko prędkim, równym strumieniem niczym woda z odkręconego kranu. Wreszcie szkło przecięło jakąś większą żyłę i strumień zmienił się w rwący potok, który popłynął po przedramieniu. Było już za późno, by się wycofać: kości zostały rzucone. Tak czy owak, Jessie nie miała wyboru.

Cofnij rękę! – zawołał głos matki. – *Nie pogarszaj sytuacji! Wystarczy!...*

Brzmiało to kusząco, lecz Jessie nie podzielała niestety opinii matki. Nie miała pojęcia o skomplikowanych technikach transplantacyjnych stosowanych wobec ludzi o rozległych poparzeniach rąk, ale teraz, gdy rozpoczęła mrożącą krew w żyłach operację, zrozumiała, że zsuniecie kajdanek może się okazać nie takie proste. Sama krew może nie wystarczyć.

Powoli i ostrożnie obróciła nadgarstek, przecinając napiętą skórę. W pewnej chwili poczuła dziwne łaskotanie, jakby ostrze trafiło na wiązkę ważnych nerwów, które na poły obumarły. Serdeczny i mały palec prawej ręki opadły jak podcięte drzewa, a kciuk, palec środkowy i wskazujący zaczęły dziko podrygiwać. Chociaż dłoń była na szczęście zdrętwiiała, Jessie spoglądała z nieopisaną trwogą na szkody, jakie sama sobie wyrządziła. Dwa bezwładne palce, przypominające martwe białe ameby, wydawały się znacznie potworniejsze od potoków krwi.

Nagle zapomniała na moment o makabrycznym widoku i narastającym uczuciu ciepła w

pokaleczonym nadgarstku, gdyż cały jej bok pochwycił straszliwy skurcz, który uderzył w nią niczym front burzowy. Targał nią bezlitośnie, usiłując wyprostować jej skręcone ciało, a Jessie walczyła z nim z przerażeniem i furią. Nie mogła się poruszyć! Gdyby to zrobiła, prawie na pewno strąciłaby z półki prowizoryczne ostrze.

– Nie uda ci się! – wymamrotała przez zaciśnięte zęby. – Nie, sukinsynu! Spierdalaj!...

Trwała sztywno w tej samej pozycji, usiłując nie naciskać kruchego szkieleka, żeby go nie złamać i nie musieć kończyć operacji jakimś mniej wygodnym narzędziem. Ale gdyby skurcz rozszerzył się na prawe ramię, na co najwyraźniej się zanosilo...

– Nie!... – jęknęła. – Odejdź, słyszysz?! Odejdź, skurwysynu!...

Czekała, zdając sobie sprawę, że nie powinna czekać, i wiedząc także, iż nie może zrobić nic innego, toteż czekała, słuchając własnej krwi kapiącej na podłogę. Patrzyła, jak po półce płyną kolejne strumyczki. Gdzieś tam lśniły w nich maciupęńkie okruchy szkła. Zaczynała się czuć trochę jak ofiara maniaka seksualnego.

Nie możesz czekać, Jessie! – krzyknęła Ruth. – *Brakuje ci czasu!*

Tak naprawdę brakuje mi szczęścia, a zresztą nigdy nie miałam go za wiele – odpowiedziała.

Nagle skurczone mięśnie rozluźniły się nieco, a może Jessie zdołała to sobie wmówić. Obróciła dłoń w stalowym kółku, krzycząc z bólu, bo skurcz znów przybrał na sile, zatapiając gorące szpony w jej brzuchu i usiłując wzniecić w nim pożar.

Mimo to nie przestała poruszać ręką i zobaczyła delikatną wewnętrzną część bransoletek fortuny, na których ziała ciemnoczerwona otwarta rana przypominająca szyderczo roześmiane usta. Wbiła szkło głęboko w skórę, ciągle walcząc ze skurczem przepony i brzucha, a następnie szarpnęła dłoń ku sobie, aż na jej czoło, policzki i nos spadł ciepły deszcz kropelek krwi. Ułamany kawałek szkła, którym wykonywała ową prymitywną operację, poleciał wirując na podłogę i rozprysnął się na kawałki. Jessie zignorowała to, bajkowy miecz spełnił już swoje zadanie. Pozostało tylko sprawdzić, czy śliska krew pozwoli wreszcie uwolnić się z kajdanek.

Skurcz w boku nasilił się po raz ostatni i wreszcie zelżał. Jessie nie zwróciła na to żadnej uwagi, podobnie jak na utratę prymitywnego szklanego skalpela. Skupiła się bez reszty na prawej dłoni. Uniosła ją i obejrzała w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Palce pokrywała gruba warstwa krwi, a przedramię wydawało się zbryzgane jaskrawą czerwoną farbą. Kajdanki również tonęły we krwi i Jessie zrozumiała, że lepiej już być nie może. Zgięła ramię i zaczęła ciągnąć w dół, co robiła już dwukrotnie. Kółko zsunęło się, zsunęło się jeszcze trochę... po czym zatrzymało się. Znów zatrzymało się na sterzącej kości u podstawy kciuka.

– Nie! – krzyknęła Jessie i szarpnęła ręką. – Nie chcę umrzeć w ten sposób! Słyszycie?! Nie chcę umrzeć w ten sposób!

Kółko wgryzło się bardzo głęboko i Jessie czuła przez chwilę mdlącą pewność, że nie

poruszy się już ani o milimetr, że poruszy się dopiero, gdy zdejmie je z jej sztywnej ręki jakiś policjant z cygarem w zębach. Nie była w stanie przesunąć kajdanek dalej, nie zdołałaby tego dokonać żadna siła na świecie, ani anioł, ani diabeł.

Nagle poczuła w wierzchniej części dłoni ostry ból przypominający uderzenie bicia i kółko przesunęło się nieco do góry. Gorące, elektryczne łaskotanie zaczęło się rozszerzać, wnet zmieniając się w pożar, który najpierw objął nadgarstek, a później przeniknął głębiej niczym chmara wygłodzonych czerwonych mrówek.

Kółko poruszało się, bo poruszała się skóra, na której spoczywało, zachowywało się jak ciężki przedmiot jadący po podłodze na dywaniku. Poszarpane, okrągłe nacięcie wokół nadgarstka rozszerzyło się, aż powstała krwawa bransoletka. Skóra na wierzchu dłoni jęła się marszczyć i fałdować, upodabniając się do prześcieradła, które Jessie zepchnęła nogami ku przeciwległemu szczytowi łóżka.

Obdzieram sobie rękę ze skóry – pomyślała. – Wielki Boże, obdzieram ją ze skóry!

– Puść! – wrzasnęła do stalowego kółka, nagle rozwścieczona. Wydawało jej się ono w tej chwili żywą istotą, odrażającym zwierzęciem, które wgryzło się w jej dłoń niczym minóg albo wściekła łasica. – Dlaczego nie chcesz puścić?!

Kółko zsunęło się znacznie dalej niż poprzednio, lecz ciągle nie puszczało, uparcie nie chcąc pokonać ostatnich pięciu (a może zaledwie trzech) milimetrów. W wierzchniej części dłoni ziała wielka otwarta rana, w której widać było lśniące ścięgna o barwie świeżych śliwek. Ręka Jessie przypominała trochę obdarte ze skóry indycze udko, a rana stale się powiększała, aż wreszcie wypełniła się krwią. Jessie poważnie się zastanawiała, czy owa ostatnia próba uwolnienia nie zakończy się wyrwaniem dłoni. Nagle kółko, które ciągle się poruszało – przynajmniej takie miała wrażenie – znów się zatrzymało. Tym razem na dobre.

Jasne, że się zatrzymało, Jessie! – zawołała Kruszyna. – Spójrz na nie! Jest przekrzywione! Gdybyś je tylko wyprostowała...

Jessie wyrzuciła rękę do przodu, rozluźniając na moment łańcuszek, a później, nim zdążył chwycić ją skurcz, znów szarpnęła z całych sił w dół. Poczula straszliwy ból skóry zdzieranej przez kajdanki; początkowo sfałdowała się ona, lecz po chwili wślizgnęła pod stalowe kółko z cichym kłębnięciem. Do pokonania pozostał już tylko ostatni kostny występ, ale to wystarczyło. Jessie pociągnęła mocniej. Żadnego efektu.

Koniec – pomyślała. – Umarłam.

Wreszcie, gdy już miała rozluźnić storturowane ramię, kółko prześlizgnęło się przez niewielki kostny występ, który tak długo blokował drogę, spadło z czubków palców Jessie i zagrzechotało o zagłówek. Odbyło się to tak szybko, że Jessie nie pojęła w pierwszej chwili, co się stało. Jej dłoń nie przypominała już normalnej ludzkiej ręki, ale należała do niej i była wolna.

WOLNA!

Spoglądała to na puste zakrwawione kółko, to na swoją pokaleczoną dłoń i powoli

docierało do niej, że jest naprawdę wolna. *Moja ręka wygląda jak ptak, który wpadł w tryby maszyny, a później wyleciał z drugiej strony, ale nie jest już przykuta do łóżka* – pomyślała. – *Naprawdę nie jest.*

– Nie wierzę – wychrypiała. – Kurwa, nie wierzę...

Nieważne, Jessie. Musisz się śpieszyć!

Zachnęła się, jakby wyrwano ją z drzemki. Śpieszyć się? Tak, owszem. Nie wiedziała, ile krwi straciła – przynajmniej pół litra, sądząc po zaplamionym prześcieradle i strumyczkach ciekących po zagłówek – lecz zdawała sobie sprawę, że wkrótce zemdleje, a droga od omdlenia do śmierci będzie bardzo krótka – po prostu przeprawa promem przez wąską rzekę.

Wykluczone – rzekła w duchu głosem, który był twardy jak stal, lecz tym razem należał wyłącznie do niej, co uczyniło ją szczęśliwą. – *Nie przeszedłam przez to piekło, żeby po prostu wykrwawić się na śmierć na podłodze. Jestem pewna, że nie skończę w taki idiotyczny sposób.*

W porządku, ale twoje nogi...

Jessie pamiętała o nich aż za dobrze. Leżała plackiem od przeszło doby, a chociaż usiłowała podtrzymać krążenie krwi w nogach, zbytnie poleganie na nich byłoby poważnym błędem, przynajmniej na początku. Mógł chwycić je skurcz, mogły załamać się pod Jessie, a nawet jedno i drugie. Cóż, strzeżonego Pan Bóg strzeże, dlatego należało się przygotować. Naturalnie Jessie słyszała w życiu wiele takich dobrych rad (przypisywanych zwykle tajemniczej, wszechobecnej grupie zwanej „ludźmi”), choć żadne filmy telewizyjne ani artykuły prasowe nie przygotowały jej na to, co ją dotychczas spotkało. Powinna postępować jak najostrożniej, ale miała poważne wątpliwości, czy to w ogóle możliwe.

Przewróciła się na lewy bok, wlokąc za sobą prawe ramię, kojarzące się z ogonem latawca albo zdezelowaną rurą wydechową samochodu. Ręka była zupełnie zdrętwiała, z wyjątkiem wierzchu dłoni, gdzie płonęły żywym ogniem obnażone nerwy. Ból był nieprzyjemny, choć mniej przykry niż poczucie, że prawe ramię nie należy do reszty ciała, jednakże Jessie nie pamiętała o tym w przyływie nadziei i tryumfu. Możliwość przewrócenia się na bok, w czym nie przeszkadzały stalowe kajdanki, dostarczyła jej prawie boskiej radości. Mięśnie brzucha chwycił kolejny, piekielnie bolesny skurcz, lecz zlekceważyła go. Czy nazwała to uczucie radością? O nie. Była to rozkosz. Pełna, nieziemska rozkosz...

Jessie! Skraj łóżka! Jezu, zatrzymaj się!...

Nie wyglądało to jak skraj łóżka, już raczej skraj świata na starej mapie sprzed epoki Kolumba. *Dalej są tylko potwory i węże* – pomyślała. – *Nie wspominając o zwichniętym lewym nadgarstku. Zatrzymaj się, Jess!...*

Jednakże ciało zignorowało rozkaz. Wciąż się poruszało, miotane skurczami, i Jessie zdążyła jedynie obrócić lewy nadgarstek w stalowym kółku, po czym przetoczyła się przez skraj łóżka i spadła z niego. Uderzyła boleśnie palcami w podłogę, ale jej krzyk nie wyrażał tylko bólu. Nogi znalazły się z powrotem na podłodze. Naprawdę na podłodze!

Lewe ramię, wciąż przytrzymywane przez kajdanki, było w tej chwili sztywno

wyciągnięte w stronę zagłówek, prawe zaś znalazło się pod klatką piersiową Jessie, czuła ciepłą krew tryskającą na skórę i spływającą między piersiami.

Przekręciła głowę na bok i czekała w tej nowej, koszmarnie bolesnej pozycji, aż minie straszliwy, paraliżujący skurcz, który skuł jej plecy od karku do pośladków. Prześcieradło, do którego przycisnęła pociętą rękę, było coraz wilgotniejsze od krwi.

Muszę wstać – pomyślała. – *Muszę natychmiast wstać, bo inaczej wykrwawię się na śmierć!*

Mięśnie pleców rozluźniły się i Jessie mogła wreszcie stanąć na nogach. Nie okazały się na szczęście tak słabe, jak się obawiała, i chętnie słuchały jej rozkazów. Zaczęła się prostować. Kółko przypięte do lewego słupka przesunęło się do góry i zatrzymało na drewnianej poprzeczce, a Jessie znalazła się nagle w zupełnie nieoczekiwanej pozycji: stała na własnych nogach koło łóżka, które o mały włos nie zmieniło się w trumnę.

Zaczęło ją ogarniać poczucie głębokiej ulgi, lecz odsunęła je od siebie równie zdecydowanie jak poprzednio panikę. Przyjdzie pora i na ulgę, ale teraz należało przede wszystkim otworzyć drugą parę kajdanek, i to szybko. Owszem, nie czuła jeszcze słabości ani zawrotów głowy, lecz nie miało to chyba większego znaczenia. Omdlenie byłoby prawdopodobnie nagłe, po prostu runęłaby w mrok.

Ale czy samo stanie na nogach – tylko tyle, nic więcej – objawiło się jej kiedykolwiek jako tak fantastyczne przeżycie?

– Nie – wykrakała. – Nigdy.

Przycisnęła mocno ranę na prawym nadgarstku do dolnej części piersi, a następnie wykonała półobrót i oparła się pupą o ścianę. Stała po lewej stronie łóżka w pozycji, która przywodziła na myśl żołnierza na defiladzie. Odetchnęła głęboko, po czym zmusiła swoją biedną, obdartą ze skóry prawą dłoń z powrotem do pracy.

Ramię uniosło się opornie, jakby należało do starej, źle konserwowanej mechanicznej zabawki, i Jessie położyła dłoń na półce nad łóżkiem. Wciąż nie mogła poruszać dwoma ostatnimi palcami, ale zdołała chwycić półkę kciukiem oraz palcem środkowym i wskazującym, a później zrzucić ze wsporników. Półka wylądowała na łóżku, na którym Jessie przeleżała tyle godzin i na którym widać było ciągle jej wyciśnięty ślad, zapocone wgłębienie w różowym materacu pokrytym w górnej części bryzgami krwi. Patrząc na owo wilgotne wgłębienie, Jessie poczuła mdłości, złość i strach. Poczwała ogarniające ją szaleństwo.

Przeniosła wzrok z półki leżącej na materacu na swoją drżącą prawą rękę. Uniosła ją do ust i spróbowała wyciągnąć zębami szklaną drzazgę tkwiącą pod paznokciem kciuka. Szkło ześlizgnęło się, wcisnęło między górny kiel a siekacz i głęboko przecięło delikatne różowe dziąsło. Jessie poczuła ostre ukłucie i jej usta wypełniły się słonawą krwią, gęstą jak wiśniowy syrop przeciwkaszlowy, który musiała pić jako dziecko, gdy zachorowała na grype. Nie zwróciła uwagi na nową ranę – w ciągu ostatnich kilku minut przeżyła znacznie gorsze rzeczy – lecz chwyciła drzazgę inaczej i wyciągnęła gładko z kciuka. Wreszcie wypluła ją

przed siebie na łóżko wraz z potokiem ciepłej krwi.

– W porządku – wymamrotała i zaczęła się wciskać między ścianę a zagłówek, dysząc ciężko.

Łóżko dało się odsunąć od ściany znacznie łatwiej, niż się spodziewała, choć nigdy nie wątpiła, że zdoła je poruszyć, jeśli się o coś oprze. Pochyliła się i zaczęła pchać zniechęcone łożo po zapastowanej podłodze. Zbaczało ono nieco w prawo, bo pchała je z lewej strony, lecz wzięła odpowiednią poprawkę i nie przejmowała się tym. W istocie rzeczy stanowiło to element jej prymitywnego planu. *Kiedy człowiek zaczyna mieć szczęście – pomyślała – ma je we wszystkim. Pocięłaś sobie dziąsła, owszem, ale przynajmniej nie nastąpiłaś na żaden kawałek szklę. Po prostu pchaj tę landarę, kochana, a potem...*

Zawadziła o coś stopą. Spojrzała w dół i zobaczyła, że to pulchne lewe ramię Geralda. Na jego pierś i twarz kapała krew. Jedna z kropeł wpadła do wytrzeszczonego błękitnego oka. Jessie nie litowała się nad nim, nie nienawidziła go, nie kochała. Czuła tylko wstręt i niesmak wobec samej siebie, że wszystkie uczucia, którymi zaprzętała sobie głowę przez tyle lat – owe tak zwane kulturalne uczucia, przywoływane w kółko w operach mydlanych, debatach telewizyjnych czy programach radiowych z udziałem słuchaczy – okazały się do tego stopnia nikłe w porównaniu z instynktem samozachowawczym, bezwzględny i brutalny niczym spychacz gąsienicowy (przynajmniej w przypadku Jessie). Cóż, tak niestety było i Jessie doszła do wniosku, że gdyby Arsenio czy Oprah znaleźli się kiedykolwiek w podobnej sytuacji, postąpiliby dokładnie tak samo jak ona.

– Z drogi, Geraldzie! – powiedziała i kopnęła go (nie przyznając się przed sobą do ogromnej satysfakcji, jaką poczuła), jednakże Gerald się nie poruszył. Najwyraźniej chemiczne produkty procesów gnilnych okazały się na tyle lepkie, że przywarł mocno do podłogi. Z jego rozdętego brzucha wzbijała się chmara brzęczących much, to wszystko.

– Pieprzę to – rzekła Jessie i znów popchnęła łóżko. Przeszła prawą nogą nad Geraldem, lecz lewą nastąpiła mu prosto na brzuch. Z jego gardła wyrwał się upiorny charkot i poczuła wiew śmierzącego gazu. – Przepraszam, Geraldzie – wymamrotała i ruszyła do przodu, nie oglądając się za siebie. Spoglądała w tej chwili na kluczyki leżące na komodzie.

Kiedy tylko się oddaliła, muchy usiadły z powrotem na Geraldzie i wzięły się do roboty. Miały bardzo niewiele czasu.

Jessie najbardziej się obawiała, że łóżko utknie w drzwiach łazienki albo w kącie pokoju, tak że trzeba będzie się cofać i manewrować jak podczas wprowadzania auta do garażu. Jednakże mebel zatoczył po pokoju prawie doskonały łuk. Musiała tylko skrócić nieco bardziej w lewo, by drugi koniec łóżka nie uderzył w komodę. Właśnie wtedy – pchając je z pochyloną głową, wypiętym tyłkiem i ramionami okręconymi ciasno wokół drewnianych słupków – poczuła nagły przypływ radości. Opierała się całym ciężarem ciała o zagłówek, przywołując na myśl pijaczkę, która utrzymuje się na nogach tylko dlatego, że tańczy przytulona do partnera; zrobiło jej się ciemno przed oczami. Głównym uczuciem była pustka – nie tylko myślowa i emocjonalna, lecz polegająca również na braku wszelkich bodźców zmysłowych. Miała przez moment wrażenie, że czas nagle się zapętlił i znalazła się w miejscu, które nie jest ani jeziorem Dark Score, ani jeziorem Kashwakamak, kojarzyło się raczej z brzegiem oceanu. Nie czuła już zapachu ostryg ani skóry potartej miedzią, tylko woń morskiej bryzy. Jedyne podobieństwo polegało na tym, że było akurat zaćmienie Słońca. Wpadła w chaszcze jeżyn, uciekając przed jakimś mężczyzną, jakimś innym tatusiem, który chciał jej zrobić coś złego i nie poprzestałby na poplamieniu spermą tylnej części jej majtek. A teraz leżał na dnie studni.

Ogarnęło ją dojmujące poczucie *deja vu*.

Jezu, co to takiego?! – pomyślała, lecz nikt nie odpowiedział. Znów stanęła jej przed oczami zadziwiająca wizja, którą widziała po raz ostatni w dniu zaćmienia, gdy wróciła do sypialni, by się przebrać: koścista kobieta w sukience, z ciemnymi włosami związanymi w kucyk, klęcząca koło pofałdowanej białej halki leżącej na ziemi.

O rety! – pomyślała Jessie, chwytając pokaleczoną dłonią słupek łóżka i z całych sił starając się nie upaść. – *Wytrzymaj, Jessie, po prostu wytrzymaj. Nie zważaj na tę kobietę, nie zważaj na zapach, nie zważaj na ciemność. Wytrzymaj, a ciemność minie.*

Jessie wytrzymała i ciemność minęła. Najpierw zniknął obraz kościstej kobiety klęczącej koło swojej halki i patrzącej na potrzaskaną drewnianą pokrywę, a później sypialnia znów się rozjaśniła, pojawiły się drobinki kurzu tańczące w ukośnych promieniach popołudniowego słońca wpadających przez okno od strony jeziora i Jessie ujrzała na podłodze cień swoich nóg. Cień załamywał się na wysokości kolan i wspinał na ścianę. Ciemność się cofnęła, ale

Jessie słyszała wysokie melodyjne brzęczenie. Kiedy spojrzała na swoje stopy, spostrzegła, że są całe pokrwawione. Szła we krwi, pozostawiając krwawe ślady.

Masz coraz mniej czasu, Jessie.

Wiedziała o tym.

Znów nacisnęła piersią zagłówek. Tym razem poruszenie łóżka wymagało większego wysiłku, lecz w końcu się udało. Po dwóch minutach stała koło komody, w którą wpatrywała się tak długo z przeciwległej strony pokoju. Uśmiechała się lekko kącikami warg. – *Jestem jak kobieta, która marzyła przez całe życie o czarnych piaskach Kony, a gdy wreszcie je zobaczyła, nie może w to uwierzyć* – pomyślała. – *Wydaje jej się, że to po prostu kolejny sen, trochę realniejszy od innych, bo swędzi w nim nos.*

Jessie nie swędział nos, ale spoglądała na pognieciony krawat Geralda, przypominający zdechłego węża. Był on ciągle zawiązany – szczegóły, jakie nie pojawiają się nawet w najbardziej realistycznych snach. Koło krawata leżały dwa małe kluczyki, zupełnie identyczne. Kluczyki od kajdanek.

Jessie uniosła prawą rękę i przyjrzała jej się krytycznie. Dwa palce zwisały bezwładnie. Zastanawiała się przez chwilę, czy przecięła nerwy, po czym odrzuciła ową myśl. Mogło to mieć znaczenie później – podobnie jak inne rzeczy, o których starała się nie pamiętać podczas uciążliwej wędrówki po pokoju – ale na razie uszkodzenie nerwów prawej ręki było równie nieistotne jak cena wieprzowiny na giełdzie towarowej w Omaha. Na szczęście Jessie wciąż mogła się posługiwać kciukiem, palcem wskazującym i środkowym. Drżały one lekko, jakby wstrząsnął nimi los ich długoletnich sąsiadów, lecz mimo to były ciągle sprawne.

Pochyliła głowę i przemówiła do nich:

– Musicie się uspokoić! Później możecie dygotać jak szalone, ale w tej chwili musicie, powtarzam, MUSICIE mi pomóc. – Tak. Bo myśl o tym, że mogłaby upuścić kluczyki albo stracić je z komody teraz, gdy pokonała tak długą drogę, wprost nie mieściła się w głowie. Jessie wpatrywała się uporczywie w palce. Nie przestały się trząść, lecz po chwili dygot zmienił się w ledwo widoczne drżenie. – W porządku – powiedziała cicho. – Nie wiem, czy to wystarczy, ale pora się o tym przekonać.

Kluczyki były na szczęście identyczne, co dawało Jessie szansę na dwie próby. To, że Gerald przyniósł obydwie, nie wydało jej się wcale dziwne, był z natury bardzo zapobiegliwy.

Zawsze mawiał, że błyskotliwy prawnik powinien się przygotować nawet na najgorszą ewentualność. Nie przygotował się tylko na kopnięcie, które spowodowało zawał. I nie był już ani dobry, ani błyskotliwy, tylko martwy.

– Psi obiadek – wymamrotała Jessie, po raz kolejny nie mając pojęcia, że odzywa się głośno. – Wzięty adwokat zmienił się w psi obiadek. Prawda, Ruth? Prawda, Kruszyno?

Chwyciła niewielki stalowy kluczyk kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni (gdy dotknęła metalu, znów wydało jej się, że to tylko sen), uniosła go, spojrzała na niego, a potem na stalowe kółko opasujące lewy nadgarstek. Zamek znajdował się po lewej stronie i kojarzył

się Jessie z kołatką do kuchennych drzwi dworu. Aby otworzyć kajdanki, należało po prostu wsadzić kluczyk do dziurki, po czym obrócić go w lewo.

Jessie skierowała kluczyk w stronę zamka, lecz nim wsunęła go do dziurki, zrobiło jej się ciemno przed oczami. Zachwiała się i przypomniał jej się znowu Karl Wallenda, zaczęły jej dygotać ręce.

– Przestańcie! – wrzasnęła dziko i rozpaczliwie dziobnęła kluczykiem w zamek. – Przestańcie, do chole...

Kluczyk nie trafił w dziurkę, odbił się od twardej stali i obrócił w zakrwawionych palcach Jessie. Trzymała go jeszcze sekundę, po czym wyslizgnął jej się z dłoni i upadł na podłogę. Teraz pozostał już tylko ten drugi, a gdyby Jessie go również zgubiła...

Nie zrobisz tego, przysięgam – odezwała się Kruszyna. – *Po prostu weź go, nim stracisz resztkę odwagi.*

Jessie znów zaczęła gimnastykować swoje prawe ramię, po czym uniosła palce do twarzy i przyjrzała im się z bliska. Drzenie złagodniało, choć nie na tyle, by była całkiem zadowolona. Mimo to nie mogła czekać, bała się, że zemdleje.

Wyciągnęła drżącą rękę i o mały włos nie strąciła drugiego kluczyka ze skraju komody. Winne były zdrętwiałe palce – te przeklęte zdrętwiałe palce, które po prostu nie chciały dobrze funkcjonować. Jessie zaczerpnęła głęboko tchu, zacisnęła palce w pięść, nie zważając na ból wywołany dopływem świeżej krwi, po czym wydała z siebie długie, świszczące westchnienie. Poczula się nieco lepiej. Tym razem, zamiast natychmiast podnosić kluczyk, przycisnęła go palcem i przysunęła do krawędzi komody.

Nie upuść go, Jessie!... – jęknęła Dobra Żona. – *Och, Jessie, tylko go nie upuść...*

– Zamknij się! – mruknęła Jessie, po czym usiłując w ogóle nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli upuści kluczyk, ujęła go między kciuk a palec wskazujący, uniosła i zbliżyła do kajdanek. Uplłynęło kilka koszmarnych sekund, gdy nie była w stanie trafić w dziurkę, a później kilka następnych, jeszcze okropniejszych, kiedy zobaczyła najpierw dwie, a później cztery dziurki. Zacisnęła mocno powieki, znów zaczerpnęła głęboko tchu i otworzyła oczy. Zobaczyła tylko jedną dziurkę i prędko wsadziła do niej kluczyk.

– W porządku – szepnęła. – Spróbujmy. Przekręciła kluczyk zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

Bez efektu. Poczula przyływ paniki, gdy wtem przypomniała sobie starą zardzewiałą furgonetkę dostawczą Billa Dunna i śmieszoną nalepkę na tylnym zderzaku; przedstawiała ona dużą śrubę, pod którą znajdował się napis: LEWOSKRĘTNY.

– W lewo, w lewo... – wymamrotała Jessie i przekręciła kluczyk w drugą stronę. Przez chwilę nie pojmowała, że kajdanki naprawdę się otworzyły, myślała, że głośny trzask oznacza, iż kluczyk złamał się w zamku. Wydała z siebie piskliwy okrzyk, a z jej ust trysnęła fontanna krwi zmieszanej ze śliną, która zalała blat komody i poplamiała czerwony krawat Geralda. Wreszcie Jessie spostrzegła odchylone karbowane kółko i zrozumiała, że jest wolna

– naprawdę wolna!

Wyjęła z otwartego kółka lewą rękę, nieco spuchniętą w nadgarstku, lecz poza tym zupełnie zdrową, a dłoń opadła bezwładnie i uderzyła w zagłówek. Uniosła powoli obie ręce do twarzy i spoglądała z pełną zdumienia fascynacją to na lewą, to na prawą, nie zwracając uwagi na krew ciekącą na ziemię, nie krwią się w tej chwili interesowała. Chciała tylko uzyskać absolutną pewność, że jest naprawdę wolna.

Spoglądała to na prawą, to na lewą rękę prawie przez pół minuty, a jej oczy poruszały się tam i z powrotem, jakby śledziła mecz pingpongowy. Wreszcie zaczerpnęła głęboko powietrza, odchyliła głowę do tyłu i wydała kolejny przeciągły okrzyk. Znow zrobiło jej się ciemno przed oczami, ale zignorowała to i krzyczała dalej. Czuła, że nie ma wyboru, albo będzie krzyczeć, albo umrze. W jej krzyku słychać było piskliwe, histeryczne tony szaleństwa, a także absolutny tryumf i poczucie siły. Dwieście kroków dalej, w zaroślach na krańcu podjazdu, bezpieczeństwa pies uniósł łeb i spojrzał nerwowo w stronę domu.

Jessie nie potrafiła oderwać oczu od rąk, nie była w stanie przestać krzyczeć. Jeszcze nigdy nie czuła czegoś podobnego i pomyślała przelotnie: *Gdyby seks był równie fantastyczny, ludzie uprawialiby go na rogach ulic – po prostu nie mogliby się powstrzymać.*

Nagle zakręciło jej się w głowie i przechyliła się do tyłu. Wyciągnęła rękę w stronę zagłówek, lecz nie zdołała go uchwycić, straciła równowagę i runęła na podłogę. Padając zdała sobie sprawę, że gdzieś w głębi duszy spodziewa się, że łańcuszki od kajdanek powstrzymają upadek. Dość zabawne, gdy o tym pomyśleć.

Łądując na ziemi uderzyła się w otwartą ranę na nadgarstku i zobaczyła przed oczami fajerwerk gwiazd. Kiedy tym razem krzyknęła, w jej głosie zabrzmiał wyłącznie ból. Zdusiła go w sobie, czując, że traci przytomność. Otworzyła oczy i popatrzyła na poszarpaną twarz męża. Gerald odwzajemnił jej spojrzenie z wyrazem nieskończonego, szklatego zdziwienia: *Nie powinno mi się to przydarzyć. Jestem renomowanym adwokatem.* Nagle jedna z much, która myła sobie przednie łapki na górnej wardze Geralda, zniknęła w jego nosie, i Jessie odwróciła szybko głowę, aż uderzyła nią w podłogę i zobaczyła gwiazdy. Kiedy znowu otworzyła oczy, patrzyła na drewniany zagłówek pokryty czerwonymi strumyczkami krwi. Czy zaledwie kilka sekund temu stała prosto? Była tego prawie pewna, ale nie mogła w to uwierzyć – z tego miejsca to cholerne łóżko wyglądało jak drapacz chmur.

Ruszaj się, Jess! – krzyknęła znowu Kruzyna tym swoim irytującym głosem. Pomimo ślicznej małej twarzyczki zachowywała się niekiedy jak prawdziwa suka.

– Nie jak suka – stwierdziła Jessie, przymykając oczy i uśmiechając się lekko kącikami warg. – Jak piszczące koło.

Ruszaj się, do cholery!

Nie mogę. Najpierw muszę trochę odpocząć.

Jak natychmiast się nie ruszysz, umrzesz tutaj, nie rozumiesz? Rusz wreszcie tę swoją tłustą dupę!

To na nią podziałało.

– Wcale nie taką tłustą, moja panno! – wymamrotała opryskliwie i usiłowała wstać.

Po dwóch nieudanych próbach (drugą przerwał kolejny paraliżujący skurcz przepony), przekonała się ostatecznie, że jest to kiepski pomysł. A zresztą nic by to nie dało, bo musiała wejść do łazienki, a sama zastawiła drzwi przeciwległym szczytem łóżka.

Wpełzła pod nie powoli, prawie z gracją, i zdmuchnęła po drodze kilka zabłąkanych kłębków kurzu, które odpłynęły sennie w bok. Z jakiejś przyczyny kurz skojarzył jej się z kobietą klęczącą w chaszczach jeżyn obok białej halki. Wreszcie wczołgała się do łazienki i jej nozdrza wypełnił nowy zapach: wilgotna, mszysta woń wody kapiącej z prysznicą i kurków umywalki. Czuła nawet szczególny, nieco stęchły odór ręcznika w koszu na brudną bieliznę za drzwiami. Woda, wszędzie woda, każda kropla nadająca się do picia. Wysuszone gardło Jessie skurczyło się boleśnie, gdy wtem zdała sobie sprawę, że leży w niewielkiej kałuży na podłodze; rura pod umywalką przeciekała, a hydraulik nigdy nie był w stanie porządnie jej naprawić, choć przychodził już kilka razy. Wczołgała się głębiej w kałużę, pochyliła głowę i zaczęła lizać linoleum. Poczowała na wargach jedwabisty, cudowny smak wody, który wydał jej się kwintesencją słodkiej zmysłowości.

Rzecz jednak w tym, że woda szybko się skończyła. W całej łazience czuć było ową cudowną, zielonkawo-wilgotną woń, lecz kałuża pod zlewem zniknęła, a pragnienie nie zelżało, tylko się wzmoгло. Ów zapach, zapach cienistych leśnych źródeł i omszałych studni, dokonał tego, co nie udało się nawet Kruszynie, zmusił Jessie do wstania.

Podciągnęła się do góry, wsparła na umywalce i ujrzała na moment w lustrze pomarszczoną osiemdziesięcioletnią kobietę. Odkręciła kurek, z którego trysnął strumień świeżej wody. Znów usiłowała wydać tryumfalny okrzyk, lecz tym razem zdobyła się jedynie na ochryplę, cichy szept. Pochyliła się nad umywalką, otwierając i zamykając usta niczym ryba, po czym zbliżyła twarz do źródła niebiańskiego aromatu. Poczowała znajomy mineralny zapach, który prześladował ją przez tyle lat, odkąd ojciec wykorzystał ją seksualnie podczas zaćmienia, ale teraz wszystko było w porządku; woda nie pachniała wstydem ani lękiem, tylko życiem. Jessie zaciągnęła się głęboko owym zapachem, po czym podstawiała otwarte usta pod strumień tryskający z kurka. Piła, dopóki potężny, choć bezbolesny skurcz nie zmusił jej do zwymiotowania wszystkiego. Woda, wyrzucona natychmiast z żołądka, była ciągle lodowato zimna i zbryzgała lustro różowymi kropelkami. Jessie zaczerpnęła głęboko tchu i ponowiła próbę. Za drugim razem nie zwymiotowała.

Woda cudownie ją orzeźwiła. Kiedy zakręciła wreszcie kurek i spojrzała na siebie w lustrze, czuła się już mniej więcej normalnie – słaba, zboląta, chwiejąca się na nogach... lecz mimo to żywa i świadoma tego, co się dzieje. Przyszło jej do głowy, że już nigdy nie dozna tak fantastycznej rozkoszy, jaką dały jej owe pierwsze łyki zimnej wody tryskającej z kranu; w całym swoim dotychczasowym życiu czuła coś równie cudownego tylko w chwili, gdy miała pierwszy orgazm. W obu przypadkach przez kilka krótkich sekund pozostawała pod całkowitą władzą własnych tkanek i komórek, świadome myślenie (lecz nie świadomość) przestało istnieć, zastąpione przez ekstazę. *Nigdy tego nie zapomnę* – pomyślała, zdając sobie sprawę, że już zapomniała, podobnie jak zapomniała o swoim pierwszym orgazmie, gdy tylko nerwy nieco się ostudziły. Miała wrażenie, jakby ciało gardziło pamięcią... albo nie chciało brać za nią odpowiedzialności.

To nieważne, Jessie! Pośpiesz się!

Przestań mnie poganiać! – odrzekła.

Krew nie tryskała już z przeciętego nadgarstka, choć wciąż ciekła całkiem sporym strumieniem, a łóżko, odbite w lustrze nad umywalką, wyglądało makabrycznie; materac był przesiąknięty krwią, która zbryzgała również drewniany zagłówek. Jessie czytała gdzieś, że można stracić bardzo wiele krwi i mimo to zachowywać się w miarę normalnie, lecz kiedy już następuje utrata przytomności, dzieje się to natychmiast, w mgnieniu oka. Nie miała ani chwili do stracenia.

Otworzyła apteczkę, spojrzała na jałowe opatrunki i wydała z siebie ochryply, kraczący śmiech. Jej wzrok padł na niewielkie pudełko podpasek „Always” leżące dyskretnie za perfumami, wodami kolońskimi i płynami po goleniu. Wyjęła pudełko, przewracając przy tym kilka buteleczek, i powietrze wypełniło się duszącą mieszaniną zapachów. Zerwała papierowe opakowanie z jednej z podpasek, a następnie okręciła nią sobie nadgarstek. Na podpasce pojawiły się prawie natychmiast czerwone plamy krwi.

Kto by pomyślał, że żona adwokata ma w sobie tyle krwi? – zastanowiła się i roześmiała ochryple.

Na najwyższej półce apteczki leżała rolka plastra opatrunkowego. Jessie podniosła ją lewą ręką. Prawa do niczego się nie nadawała: krwawiła i wyła z bólu. Mimo to Jessie czuła

do niej głęboką miłość. Czemu nie? Kiedy jej potrzebowała, kiedy nie miała wyboru, chwyciła ją kluczyk, wsadziła go do zamka i przekręciła. Nie, stanowczo nie miała nic do zarzucenia swojej prawej ręce.

To ty tego dokonałaś, Jessie – odezwała się Kruszyna. – Cóż, my wszystkie, bo wszystkie jesteśmy tobą. Wiesz o tym, prawda?

Tak. Jessie doskonale o tym wiedziała.

Niezręcznie ujęła prawą ręką rolkę plastra i oddarła koniec lewym kciukiem. Przełożyła rolkę do lewej ręki, przycisnęła plaster do prowizorycznego opatrunku i okręciła kilka razy, starając się ścisnąć zakrwawioną podpaskę jak najmocniej. Oddarła zębami plaster, zawahała się, przy czym owinęła ciasno prawe ramię białą taśmą tuż pod łokciem. Nie miała pojęcia, czy taka prowizoryczna opaska uciskowa na coś się przyda, lecz na pewno nie mogła zaszkodzić.

Ponownie oddarła taśmę i odłożyła znacznie zmniejszoną rolkę na półkę, gdy wtem jej wzrok padł na zieloną fiolkę aspiryny stojącą na środkowej półce apteczki. Nie była ona wyposażona w zakrętkę zabezpieczającą przed dziećmi – chwała Bogu. Jessie ujęła fiolkę lewą ręką i zerwała zębami plastikowe wieczko. Aspiryna miała kwaśny, ostry zapach, kojarzący się nieco z octem.

To chyba niezbyt dobry pomysł – odezwała się nerwowo Dobra Żona. – Aspiryna wydłuża czas krzepnięcia krwi.

Była to zapewne prawda, jednakże obnażone nerwy na wierzchu dłoni wzniecały pożar w głowie Jessie i gdyby nie złagodziła bólu, wnet zaczęłaby się tarzać z rykiem po podłodze. Włożyła do ust dwie tabletki, zawahała się, po czym dodała jeszcze dwie. Odkręciła kurek, przełknęła tabletki, popijając je wodą, po czym spojrzała z zawstydzoną miną na prowizoryczny opatrunek na nadgarstku. Krew wciąż przesączała się przez warstwy celulozy, niedługo można będzie zdjąć podpaskę i wyjąć jak mokry ręcznik. Koszmarny obraz... a gdy już raz go sobie wyobraziła, nie była w stanie się od niego uwolnić.

Żebyś tylko nie pogorszyła sytuacji! – rzekła żałobnym tonem Dobra Żona.

Och, daj spokój! – przerwał głos Ruth, która mówiła szybko, lecz nie opryskliwie. – Przecież obdarłam sobie ze skóry prawie całą rękę! Czy cztery tabletki aspiryny mogą cokolwiek pogorszyć!? To absurdalne!

Rzeczywiście, wszystko wydawało się w tej chwili absurdalne. Choć nie było to chyba odpowiednie słowo. Właściwszym byłoby...

– ...surrealistyczne – dokończyła Jessie niskim, pełnym namysłu głosem.

O tak. Z całą pewnością. Obróciła się w stronę drzwi do łazienki i krzyknęła lekko ze strachu, gdyż poczuła nagle, że nie przestaje się obracać. Przez chwilę widziała w wyobraźni samą siebie w postaci kilkunastu nakładających się sylwetek zataczających w powietrzu łuk jak na klatkach filmu. Jej lęk pogłębił się, gdy zauważyła, że złote snopy światła wpadające ukośnie przez okno stały się wręcz namacalne – przypominały taśmy jasnożółtej wężowej

skórki. Wirujące w nich drobinki kurzu zmieniły się w roziskrzane diamenty. Słyszała szybkie, lekkie bicie własnego serca, czuła zmieszany zapach krwi i wody ze studni. Przypominało to wachanie starej miedzianej rury.

Zaraz zemdleję.

Nie, Jess, nie zemdlejesz. Nie możesz sobie na to pozwolić.

Istotnie, lecz mimo to nie miała wątpliwości, że i tak zemdleje. Nie mogła nic na to poradzić.

Owszem, możesz. I wiesz, co powinnaś zrobić.

Popatrzyła na swoją obdartą ze skóry rękę i uniosła ją. Właściwie musiała tylko rozluźnić mięśnie, resztę załatwiłaby grawitacja. Jeżeli ból jej nie otrzeźwi, nic już jej nie pomoże. Przez dłuższą chwilę trzymała dłoń w powietrzu, usiłując się zdobyć na odwagę, lecz w końcu opuściła rękę wzdłuż ciała. Nie mogła – po prostu nie mogła się uderzyć. Nie zniosłaby znowu bólu.

Wobec tego ruszaj się, zanim zemdlejesz.

Nie jestem w stanie – odpowiedziała.

Czuła się nie tylko zmęczona, kręciło jej się w głowie, jakby wypaliła przed chwilą tonę marihuany. Miała ochotę stać tutaj bez końca i patrzeć na diamentowe drobinki kurzu wirujące powoli w promieniach słońca wpadających przez zachodnie okno. A może napić się jeszcze orzeźwiającej wody z kranu.

– O Jezu... – rzekła odległym, zalęknionym głosem.

Musisz wyjść z łazienki, Jessie, po prostu musisz. To w tej chwili najważniejsze. Tym razem powinnaś chyba przejść przez łóżko, nie wiem, czy uda ci się znowu przeczłochać pod spodem.

Ale... ale na łóżku jest potłuczone szkło. A jak się skaleczę?

Obdartaś sobie ze skóry prawą rękę – myślisz, że kilka skaleczeń może coś zmienić?! Jezu Chryste, dziubdziuniu, chcesz umrzeć w tej łazience z podpaską na rękę i głupkowskim uśmiechem na ustach?! Ruszaj się, dziwko!

Jessie zrobiła dwa ostrożne kroczki i znalazła się z powrotem przy drzwiach. Stała przez chwilę, chwiejąc się na nogach i mrugając oczami jak widz wychodzący z kina na słoneczną ulicę. Następny krok i dotarła do łóżka. Dotknęła udami pokrwawionego materaca, ostrożnie uniosła lewe kolano, chwyciła ręką słupek, by utrzymać równowagę, po czym uklękła na łóżku. Nagle poczuła przyływ lęku i odrazy, na które nie była zupełnie przygotowana. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby kiedykolwiek spać znowu w tym łóżku – równie dobrze mogłaby spać we własnej trumnie. Samo uklęknięcie na nim powodowało, że miała ochotę krzyknąć.

Nie musisz się do niego czulić, po prostu przejdź na drugą stronę.

W jakiś sposób zdołała to zrobić, omijając półkę i kawałki potłuczonego szkła. Ilekroć spoglądała na zakrwawione kajdanki wiszące na zagłówku, z jej ust wyrывały się ciche jęki

wyrażające wstręt i rozpacz. Kajdanki wyglądały jak żywe, odchylony karbowany pałąk kojarzył się z paszczą głodnego zwierzęcia.

Sięgnęła lewą ręką ku przeciwległej stronie łóżka, chwyciła słupek, obróciła się niezwykle ostrożnie na kolanach, a następnie położyła na brzuchu i spuściła nogi na podłogę. W pewnej chwili obawiała się, że zabraknie jej sił, by znowu wstać, wyobraziła sobie, że będzie po prostu tak leżeć, aż zemdleje i zsunie się na podłogę. Wreszcie zaczerpnęła głęboko tchu, wsparła się na lewej ręce i wstała, kołysząc się na nogach jak marynarz po sobotniej hulance – lecz mimo to wstała, na Boga! Przez głowę przeleciała jej kolejna fala mroku niczym piracki galeon z ogromnymi czarnymi żaglami, a może zaćmienie Słońca.

Błagam Cię, Boże, nie pozwól mi zemleć! – pomyślała, chwiejąc się do przodu i do tyłu.
– *Błagam Cię!*...

W końcu światło powróciło i Jessie ruszyła powoli przez pokój do stolika telefonicznego, trzymając lewą ręką kilkanaście centymetrów od ciała, by nie stracić równowagi. Podniosła słuchawkę, która zdawała się ważyć tyle, ile opasły tom wielkiego słownika oksfordzkiego, i zbliżyła ją do ucha. Panowała w niej głucha cisza, linia była martwa. Jessie zupełnie się tym nie zdziwiła i zaczęła się zastanawiać, czy to Gerald wyłączył aparat po przyjeździe do domu, jak to niekiedy robił, czy też nocny gość przeciął druty telefoniczne.

– To nie Gerald – wychrypiała. – Zauważyłabym to.

Po chwili zdała sobie jednak sprawę, że to niekoniecznie prawda – natychmiast po przyjeździe do domku udała się do łazienki. Gerald mógł wyłączyć telefon pod jej nieobecność. Pochyliła się, chwyciła płaski biały kabel łączący aparat z gniazdkiem za fotelem i szarpnęła. Z początku kabel jakby się poruszył, później napiął się i nie chciał ustąpić. Początkowy ruch mógł być tylko złudzeniem, doskonale zdawała sobie sprawę, że nie może już polegać na swoich zmysłach. Wtyczka mogła zaczepić o fotel, ale...

Nie – przerwała Dobra Żona. – *Wtyczka siedzi ciągle w gniazdku, Gerald wcale jej nie wyjął. Telefon nie działa dlatego, że wczorajszy nocny gość przeciął przewody.*

Nie słuchaj jej, udaj odważną, a boi się własnego cienia – odezwała się Ruth. – *Wtyczka zaczepiła o tylną nogę fotela, gwarantuję ci to. Poza tym łatwo to przecież sprawdzić, prawda?*

Naturalnie, że tak. Jessie musiała tylko odsunąć fotel i zajrzeć za niego. A później, jeśli telefon jest wyłączony, wsadzić wtyczkę do gniazdko.

A jeśli ciągle będzie głuchy? – spytała Dobra Żona. – *Wówczas się przekonasz, że to robota nieznanego, co?*

Przestań się grzebać! – wtrąciła Ruth. – *Potrzebujesz pomocy, i to szybko!*

Była to prawda, ale myśl o odsunięciu fotela nappełniła Jessie ponurym znużeniem. Prawdopodobnie dałaby radę to zrobić – fotel był wprawdzie duży, lecz ważył zaledwie jedną piątą tego, co łóżko, a zdołała je przecież przeciągnąć przez cały pokój – jednakże sama taka myśl wydawała się ciężka. A byłby to dopiero początek. Później Jessie musiałaby uklęknąć,

wpełznąć do ciemnego, zakurzonego kąta i odnaleźć gniazdko w ścianie...

Jezu, dziubdziuniu! – krzyknęła Ruth. W jej głosie zabrzmiało przerażenie. – *Nie masz wyboru! Myślałam, że uzgodniłyśmy przynajmniej jedno: potrzebujesz pomocy, i to szybko...*

Jessie nagle zatrzasnęła mocno drzwi, odcinając głos Ruth. Zamiast odsuwać fotel, pochyliła się, podniosła spódnicę-spodnie i ostrożnie wciągnęła ją na nogi. Kropelki krwi z nasiąkniętego opatrunku na nadgarstku zachlapały natychmiast przednią część spódnicy, lecz ledwo to zauważyła. Skupiała uwagę na ignorowaniu chóru gniewnych, zaniepokojonych głosów i zastanawiała się, kto wpuścił tych wszystkich dziwnych ludzi do jej głowy. Czuła się trochę tak, jakby obudziła się rano i odkryła, że jej dom zmienił się przez noc w zatłoczony hotel. Wszystkie głosy protestowały chóralnie przeciwko temu, co zamierzała zrobić, lecz odkryła nagle, że gówno ją to obchodzi. Chodziło o jej życie. JEJ WŁASNE ŻYCIE.

Podniosła bluzkę i wsunęła ją przez głowę. Była kompletnie otumaniona i przerażona, fakt, że wczoraj było dostatecznie ciepło, by nosić lekką bluzkę bez rękawów, wydał jej się niepodważalnym dowodem istnienia Boga. Nigdy w życiu nie przeciągnęłaby pokaleczonej ręki przez długi rękaw.

Nieważne – pomyślała. – Jazda samochodem to głupota i nie muszą mi tego mówić żadne nie istniejące głosy. Chcę odjechać stąd mercedesem... przynajmniej spróbować, a tymczasem jedyną rzeczą, jaką muszę zrobić, jest odsunięcie fotela i włączenie z powrotem telefonu. Chyba straciłam mnóstwo krwi i na jakiś czas postradałam zmysły. Jazda samochodem to zwariowany pomysł. Chryste Panie, przecież ten fotel nie może ważyć dwudziestu kilo... Jestem prawie uratowana!...

Owszem, choć nie chodziło o fotel ani o to, że strażacy zastaną ją w pokoju wraz z nagim, nadzartym przez psa trupem męża. Jessie dobrze wiedziała, że odjechałaby samochodem, nawet gdyby telefon funkcjonował bez zarzutu, nawet gdyby zdążyła już wezwać policję, pogotowie i orkiestrę strażacką. Telefon nie miał większego znaczenia. Najważniejsze było to, że... no cóż...

Najważniejsze jest to, że muszę się natychmiast stąd wynosić – pomyślała i nagle przebiegł ją dreszcz. Na jej nagich ramionach pojawiła się gęsia skórka. – Bo on wróci.

Strzał w dziesiątkę. Nie chodziło o Geralda, fotel ani o to, co pomyślą strażacy, gdy przyjadą i zobaczą, co się stało. Nie chodziło nawet o telefon. Najważniejszy był kosmiczny kowboj, Pan Los, stary druh Jessie. To właśnie dlatego wkładała ubranie i bryzgała wokół krwią, zamiast skontaktować się jakoś ze światem.

Gdzieś w pobliżu przyczaił się Obcy, była tego pewna. Czekał tylko na zmrok, a zmrok był już blisko. Gdyby Jessie zemdląła, odsuwając fotel od ściany albo czołgając się radośnie wśród kurzu i pajęczyn, po pewnym czasie przybyłby Obcy z walizką kości i zostałaby z nim zupełnie sama. A co gorsza, mogłaby być wtedy ciągle żywa.

Poza tym nocny gość przeciął linię telefoniczną. Nie była w stanie tego sprawdzić, ale w głębi duszy nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Gdyby odsunęła fotel i włączyła

wtyczkę do kontaktu, aparat i tak pozostałby głuchy, podobnie jak ten w kuchni i w sieni.

A zresztą czy to coś wielkiego? – odpowiedziała swoim głosem. – Pojadę po prostu do autostrady. To drobnostka w porównaniu z zaimprovizowaną operacją chirurgiczną dokonaną za pomocą szklanki, a później przepchnięciem łóżka przez cały pokój i utratą pół litra krwi. Mercedes to dobry wóz, a droga biegnie prosto jak strzeł. Dojadę wolniutko do autostrady numer sto siedemnaście, a jeśli później poczuję się zbyt słaba, by dotrzeć do Dakins Store, stanę po prostu w poprzek drogi, włączę migacze i położę się na klaksonie. Wreszcie ktoś przyjedzie i udzieli mi pomocy. Na pewno tak się stanie, bo autostrada jest w tym miejscu płaska i biegnie prosto na przestrzeni pięciu kilometrów. Najważniejsze, że samochód ma zamki. Jak do niego wejść, mogę zablokować drzwiczki. On nie wejdzie do środka.

Obcy – usiłowała szydzić Ruth, ale Jessie pomyślała, że w jej głosie zabrzmiało przerażenie; tak, nawet w głosie Ruth.

Owszem – odrzekła. – Przecież to ty zawsze mi powtarzałaś, że powinnam się kierować mniej rozsądkiem, a bardziej sercem, prawda? To twoje własne słowa. I wiesz, co dyktuje mi w tej chwili serce, Ruth? Że mercedes to moja jedyna szansa. Jeśli chcesz się śmiać, proszę bardzo... ale ja podjęłam już decyzję.

Ruth najwyraźniej nie było do śmiechu. Umilkła.

Tuż przed wyjściem z auta Gerald wręczył mi kluczyki, by sięgnąć na tylne siedzenie po teczkę. Zrobił to, prawda? Boże, obym się nie myliła!...

Wsunęła dłoń do lewej kieszeni spódnicy i znalazła tylko dwie chusteczki higieniczne. Opuściła prawą rękę, dotknęła nią ostrożnie kieszeni, po czym westchnęła z ulgą, wyczuwając kluczyki i duży okrągły wisior podarowany jej przez Geralda na ostatnie urodziny. Na wisioru znajdował się napis: JESTEŚ SEKSY. Jessie jeszcze nigdy nie czuła się mniej seksy, ale nie miała nic przeciwko temu, mogła się z tym pogodzić. Najważniejsze, że miała w kieszeni kluczyki, co pozwalało opuścić to makabryczne miejsce.

Pod stolikiem na telefon stały tenisówki, ale Jessie postanowiła z nich zrezygnować. Ruszyła powoli ku drzwiom, drepcąc drobnymi kroczkami jak inwalida. Idąc przypominała sobie, by przed wyjściem z domu podnieść słuchawkę telefonu w sieni – nic to nie szkodziło.

Ledwo okrążyła łóżko, znów zrobiło jej się ciemno przed oczami. Ukośne promienie słońca wpadające przez okno przybladły, jakby ktoś zmniejszył dopływ energii do reflektora, i wirujący w nich diamentowy kurz zniknął.

– Och nie, tylko nie teraz! – rzekła błagalnie. – Proszę, tylko nie teraz! – Ale światło wciąż ciemniało i Jessie zdała sobie nagle sprawę, że znów się chwieje, że jej tors zatacza w powietrzu coraz szersze kręgi. Sięgnęła ręką ku zagłówkowi i chwyciła zamiast niego zakrwawione kajdanki, z których tak niedawno się uwolniła.

Dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku – pomyślała. – Can I get witness?

Poczuła zapach potu, nasienia i wody kolońskiej ojca. Chciała o nich zapomnieć, lecz zakręciło jej się nagle w głowie. Zrobiła jeszcze dwa chwiejne kroczki, po czym padła twarzą w dół na zakrwawiony materac. Leżała na łóżku, mrugając od czasu do czasu oczami, bezwładna i nieruchoma niczym topielica wyrzucona na pustą plażę.

34

Odzyskawszy świadomość, zobaczyła tylko ciemność i pomyślała, że jest martwa.

Później przyszło jej do głowy, że gdyby nie żyła, jej prawa dłoń nie bolałaby tak bardzo – wydawała się obdarta ze skóry. Wreszcie zdała sobie z przerażeniem sprawę, że skoro ma otwarte oczy i jest ciemno, oznacza to, iż zaszło słońce. Wyrwało ją to natychmiast ze stanu półświadomości. Z początku nie potrafiła pojąć, dlaczego zachód słońca miałby być taki przerażający, a później przypomniał jej się nagle...

Kosmiczny kowboj, upiór miłości...

...i doznała jakby wstrząsu elektrycznego. Zapadnięte trupio blade policzki, wysokie czoło, przenikliwe spojrzenie.

Kiedy leżała nieprzytomna na łóżku, wiatr znów przybrał na sile i tylne drzwi zaczęły uderzać o framugę. Przez chwilę słychać było tylko drzwi i wiatr, a później rozległo się przeciągłe, drżące wycie. Jessie jeszcze nigdy nie słyszała równie potwornego dźwięku, miała wrażenie, że mógłby wydać go człowiek, który oszalał, bo pochowano go żywcem.

Wycie odpłynęło stopniowo w ciemność (była noc, Jessie nie miała już co do tego wątpliwości), lecz po chwili znów się rozległo: nieludzkie, piskliwe, pełne obłąkańczego strachu. Jessie zadygotała, jakby dotknęło ją coś żywego i obrzydliwego, po czym sięgnęła po omacku rękami do uszu. Zdołała je jakoś zasłonić, lecz nie zagłuszyła w ten sposób straszliwego dźwięku, gdy zabrzmiał po raz trzeci.

– Och, nie... – jęknęła. Jeszcze nigdy nie było jej tak zimno, tak zimno, tak okropnie zimno. – Och, nie... nie...

Wycie rozpląnęło się w szumie wiatru i ucichło na pewien czas, a Jessie mogła wreszcie złapać oddech, zdała sobie sprawę, że to tylko pies – prawdopodobnie ten sam, który pożarł jej własnego męża. Po chwili wycie rozległo się znowu i nie sposób było uwierzyć, iż jest to dźwięk wydawany przez jakąkolwiek normalną, żywą istotę, musiał to być upiór albo wampir przebity osinowym kołkiem. Wycie wznosiło się stopniowo ku swojemu krystalicznemu apogeum, a Jessie zrozumiała nagle, czemu zwierzę wydaje ten dźwięk.

Nocny demon wrócił, jak się tego obawiała. Pies wiedział o tym, bo wyczuł jego zapach.

Dygotała na całym ciele. Gorączkowo omiotła oczami ką, gdzie widziała zeszej nocy dziwnego gościa – ką, w którym pozostał kolczyk z perłą i odcisk stopy. Panujący mrok nie

pozwalał nic dostrzec, lecz zdawało jej się przez chwilę, że widzi mężczyznę i z gardła wyrwał jej się ochryply okrzyk. Zamknęła oczy. Otworzyła je i zobaczyła tylko rozkołysane cienie drzew za oknem. W dali, za koronami sosen, wciąż tliła się na widnokręgu złotawa luna.

Powinna być co najwyżej siódma, ale skoro widzę zachodzące słońce, jest zapewne jeszcze wcześniej, czyli straciłam przytomność tylko na godzinę, co najwyżej półtorej. Może zdołam się jeszcze stąd wydostać. Może...

Tym razem pies wręcz krzyczał z bólu, a Jessie miała chęć krzyknąć w odpowiedzi. Chwyliła jeden ze słupków, by utrzymać równowagę, i nagle spostrzegła, że w ogóle nie pamięta, jak wstała z łóżka. Wycie psa kompletnie wytrąciło ją z równowagi.

Weź się w garść, dziewczyno. Odetchnij głęboko i weź się w garść!

Odetchnęła głęboko i poczuła znajomy zapach, kojarzący się ze słabą mineralną wonią, która prześladowała ją od tylu lat – wonią seksu, wody i ojca – choć tym razem wydawała się ona nieco inna. Jessie wyczuła w niej domieszkę jakiegoś fetoru, coś, co przypominało stary czosnek, przegniłą cebulę albo nie myte stopy. Cofnęła się nagle wiele lat wstecz i ogarnął ją straszliwy, paraliżujący lęk, jaki czują dzieci, gdy wyobrażają sobie, że pod łóżkiem czai się bezimienny, makabryczny stwór mogący wystawić w każdej chwili stopę albo rękę...

Szumiał wiatr. Drzwi uderzały o framugę. Gdzieś zaskrzypiała deska, jakby ktoś chodził ukradkiem po domu.

On wrócił – szepnął umysł Jessie. Wszędzie kryły się głosy, splotły się i połączyły. – *Czuje go pies, czujesz go ty i właśnie dlatego zaskrzypiała deska. Wrócił demon, który tu był zeszłej nocy.*

– O Boże, błagam, nie! – jęknęła. – O, Boże, nie! Boże, nie! Kochany Boże, nie pozwól, żeby to była prawda!...

Usiłowała się poruszyć, lecz skamieniała ze strachu jak zając pochwycony na środku szosy przez reflektory nadjeżdżającego samochodu. Wyobraziła sobie, że będzie tak stać, jęcząc cicho lub usiłując się modlić, aż przyjdzie do niej on – kosmiczny kowboj, kosiarz miłości, komiwojażer śmierci z walizeczką wypełnioną kośćmi i biżuterią.

Znów rozległo się płaczliwe wycie psa, aż Jessie przeraziła się, że za chwilę postrada zmysły.

To sen – pomyślała. – *Właśnie dlatego nie pamiętam, że wstawałam, sny to myślowy odpowiednik streszczeń książek, nie pamięta się nieistotnych szczegółów. Zemdlałam, owszem, to się zdarzyło naprawdę, choć omdlenie nie przeszło w śpiączkę, tylko w normalny sen. Czyli że ręka musiała przestać krwawić, bo człowiek umierający z upływu krwi nie może mieć marzeń sennych. Śpię, to wszystko. Śpię i śni mi się najgorszy ze wszystkich możliwych koszmarów.*

Cudownie pocieszająca myśl, tyle że niezgodna z prawdą. Ruchome cienie drzew na ścianie koło komody były rzeczywiste, podobnie jak niesamowity odór wypełniający dom.

Jessie nie spała i musiała uciekać.

Nie mogę się poruszyć! – jęknęła.

Owszem, możesz – odrzekła ponuro Ruth. – *Nie uwolniłaś się z tych zasranych kajdanek tylko po to, żeby umrzeć ze strachu, dziubdziuniu. Ruszaj się, ale już, nie potrzebuję ci chyba mówić, co masz robić, prawda?*

– Nie – szepnęła Jessie i uderzyła lekko w zagłówek wierzchem prawej dłoni, aż poczuła piekielny ból. Ściskające ją imadło lęku pękło niczym szklana tafla, a gdy rozległo się kolejne upiorne wycie, ledwo je dosłyszała, jej dłoń była znacznie bliżej i wyła znacznie głośniej.

Wiesz, co masz dalej robić, dziubdziuniu, co?

– Tak – przyszła pora, by jak najprędzej się stąd wynieść. Jessie zastanawiała się przez moment, czy nie uzbroić się w strzelbę Geralda, lecz natychmiast porzuciła ową myśl. Nie miała pojęcia, czy broń jest w ogóle w domku letniskowym.

Przeszła powoli, na chwiejnych nogach przez pokój, wyciągnąwszy przed siebie lewą rękę, by utrzymać równowagę. Śień stała się karuzelą ruchomych cieni, po prawej stronie widać było otwarte drzwi do gościnnej sypialni, po lewej zaś do niewielkiego pokoiku, gdzie Gerald urządził sobie gabinet. Dalej po lewej otwierało się łukowate przejście do kuchni i salonu. Po prawej znajdowały się nie domknięte tylne drzwi... mercedes... i może wolność.

Pięćdziesiąt kroków – pomyślała. – *Na pewno nie więcej, prawdopodobnie mniej. Więc ruszaj się, dobrze?*

Ale z początku po prostu nie mogła się zdecydować. Sypialnia stała się dla niej swego rodzaju bezpiecznym schronieniem, choć mogło się to wydać, paradoksalne dla kogoś, kto nie przeżył tego, co ona. W sieni mogło się kryć wszystko, absolutnie wszystko. Nagle coś uderzyło w ścianę domu tuż koło okna, a Jessie pomyślawszy, że to rzucony kamyk, wydała z siebie cichy okrzyk przerażenia, po czym zdała sobie sprawę, że to prostu gałąź starego siwego świerku koło werandy.

Weź się w garść – rzekła surowo Kruszyna. – *Weź się w garść i uciekaj stąd.*

Jessie szła odważnie naprzód, wyciągnąwszy przed siebie prawą rękę, przez cały czas licząc półgłosem kroki. Przy dwunastym minęła gościnną sypialnię. Przy piętnastym dotarła do gabinetu Geralda, gdy wtem usłyszała niski, jednostajny syk, przypominający odgłos pary uciekającej z przerdzewiałej chłodnicy. Z początku nie skojarzyła owego dźwięku z gabinetem, zdawało jej się, że wydaje go sama. Gdy uniosła nogę, by uczynić dziewiętnasty krok, syk stał się głośniejszy i wyraźniejszy, a Jessie wstrzymała oddech i zorientowała się, że to nie ona jest jego źródłem.

Powoli, bardzo powoli obróciła głowę w stronę gabinetu, gdzie Gerald przygotowywał analizy prawnicze, kopiąc Marlboro i nucąc pod nosem stare przeboje. Dom skrzypiał wokół Jessie w podmuchach wiatru niczym żaglowiec płynący przez wzburzone morze. Oprócz drzwi uderzających o framugę słychać było w tej chwili także trzaskającą okiennicę, ale dźwięki te dobiegały jakby z innego świata, gdzie mężowie nie zakuwają żon w kajdanki,

gdzie nie udają głuchych i gdzie nocą nie krążą demony. Obracając głowę, Jessie słyszała ciche skrzywienie mięśni własnej szyi i czuła pulsowanie w gałkach ocznych.

Nie chcę nic widzieć! – krzyknął jej umysł. – *Nie chcę patrzeć!*

Ale nie mogła nie patrzeć. Miała wrażenie, że jej głowę obracają potężne niewidzialne dłonie, a tymczasem szumiał wiatr, tylne drzwi uderzały o framugę, trzaskała okiennica i znów rozległo się przerażająco smutne, mrożące krew w żyłach wycie. Wreszcie Jessie ujrzała gabinet swojego martwego męża i wysoką postać stojącą przed rozsuwanymi szklanymi drzwiami koło fotela Geralda. Pociągnęła biała twarz przypominała w mroku trupa czaszkę. Między nogami nieznajomego stała czarna kwadratowa walizeczka z pamiątkami.

Jessie wciągnęła powietrze, by krzyknąć, ale z jej ust wydobył się tylko cichy charkot przywodzący na myśl czajnik z zepsutym gwizdkiem:

Chrrr...

Tylko tyle, nic więcej.

Gdzieś w innym świecie po jej nogach płynął gorący mocz; tego rekordowego dnia już po raz trzeci zsikała się w majtki. W innym świecie szumiał wiatr, dom trzął się i skrzypiał, a we wschodnią ścianę znów uderzyła gałąź srebrnego świerku. Gabinet Geralda wypełnił się plątaniną ruchomych cieni i Jessie zaczęła powątpiewać, czy rzeczywiście cokolwiek widzi.

Pies zawył znowu, ostro i przeraźliwie, a Jessie pomyślała:

Tak, widzę go naprawdę. Może pies czuje go lepiej, ale ja go widzę.

Nagle intruz wysunął głowę do przodu. Wstrząśnięta Jessie ujrzała przelotnie jego twarz. Była to twarz istoty z obcej planety, nieudolna karykatura ludzkich rysów. Przede wszystkim wydawała się zbyt wąska – węższa niż jakakolwiek twarz, jaką Jessie widziała. Nos kojarzył się wręcz z ostrzem noża, a wysokie czoło było groteskowo wypukłe. Nieznajomy miał czarne, bezdenne oczy, krzaczaste brwi i mięsiste, sine wargi, przedziwnie rozciągnięte.

Nie, nie rozciągnięte – pomyślała Jessie z nagłym przebłyskiem jasności, jakie zdarzają się czasami, gdy człowiek jest śmiertelnie przerażony. – *Nie, nie rozciągnięte, tylko uśmiechnięte. Próbuje się do mnie uśmiechnąć.*

Wreszcie intruz pochylił się, by podnieść walizeczkę, a jego podłużna, zniekształcona twarz zniknęła z jej pola widzenia. Jessie zrobiła krok do tyłu i usiłowała krzyknąć, lecz wydała z siebie tylko ochryply szept, cichszy nawet od wiatru świszczącego w rynnach.

Mężczyzna znów się wyprostował i otworzył klapę walizeczki. Nagle Jessie zdała sobie mimo woli sprawę z dwóch rzeczy. Przede wszystkim dotarł do niej dziwny odór, który zauważyła wcześniej. Nie był to zapach czosnku, cebuli, potu ani brudu, tylko woń gnijącego mięsa. Drugie spostrzeżenie dotyczyło ramion mężczyzny. Teraz, gdy Jessie była bliżej i widziała lepiej (wolałaby zresztą nie widzieć), zrobiły one na niej koszmarne wrażenie – niesamowite, cieniutkie patyczki, które falowały wśród ruchomych cieni niczym macki ośmiornicy. Pokazały one walizeczkę, jakby Obcy spodziewał się aprobaty, i Jessie spostrzegła teraz, że nie jest to walizeczka komiwojażera, tylko kwadratowy wiklinowy kosz.

Widziałam już gdzieś taki kosz – pomyślała. – Nie pamiętam, czy na starym filmie w telewizji, czy w rzeczywistości, ale na pewno widziałam coś takiego. Chyba jak byłam mała. Wyniesiono go z długiego czarnego samochodu.

Nagle w jej głowie rozległ się cichy, złowieszczy głos z kosmosu:

Dawno, dawno temu, Jessie, gdy prezydent Kennedy ciągle żył, gdy wszystkie małe dziewczynki były Kruszynami, a wojna w Wietnamie miała się dopiero zacząć – powiedzmy, w Epoce Zaćmienia – często się widywało takie kosze. Bywały bardzo duże, dla potężnych mężczyzn, i małe, dla poronionych niemowląt. Twój przyjaciel przechowuje swoje skarby w starym wiklinowym koszu do przewożenia zwłok.

Kiedy Jessie zdała sobie z tego sprawę, zrozumiała również coś jeszcze, coś, co wydało jej się nagle całkowicie oczywiste. Nocny gość cuchnął jak rozkładający się trup. Nie był wprawdzie ojcem Jessie, lecz tak czy owak wstał z grobu.

Nie... nie, to niemożliwe...

Jednakże tak właśnie było. Gerald pachniał w tej chwili dokładnie tak samo, a ohydna woń przybierała stale na sile, jakby zachorował na wstrętną chorobę tropikalną.

Nieznajomy znów pokazał Jessie zawartość kosza: kości wymieszane ze złotą biżuterią i lśniącymi klejnotami. Wąska ręka umarłego znów sięgnęła do środka i zaczęła przesypywać kości, a Jessie usłyszała żałobny grzechot i chrzęst, przywodzący na myśl brudne kastaniety.

Patrzyła jak zahipnotyzowana, skamieniała z przerażenia. Zaczynała tracić rozum, czuła, prawie słyszała, jak go traci, i nie mogła nic na to poradzić.

Owszem, możesz! Możesz uciec! Musisz to zrobić, i to natychmiast!... – zawołała z trwogą Kruszyna, lecz jej głos dobiegał z bardzo daleka, z jakiejś głębokiej kamienistej doliny w głowie Jessie. Było tam mnóstwo dolin, mnóstwo ciemnych, krętych parowów i jaskiń, gdzie nigdy nie docierało słońce – gdzie zaćmienie nigdy się nie skończyło. Wstrząsnęło to Jessie. Odkryła nagle, że ludzki umysł to tylko cmentarz położony w czarnej pustej kotlinie, po której dnie pełzają niesamowite gady, podobne do nocnego gościa.

Pies zawył znowu i Jessie odzyskała wreszcie głos. Zawyla razem z nim, wydając nieludzki, bezrozumny dźwięk. Wyobraziła sobie, że mogłaby wyc w ten sposób przez resztę życia w domu wariatów. Wyobraziła to sobie bez najmniejszego trudu.

Nie, Jessie! Stop! Weź się w garść i uciekaj! Uciekaj!...

Żywy trup uśmiechał się do niej, otworzywszy szeroko usta i w jego rozdziawionej paszczy mignęły złote błyski. Złote zęby. Miał złote zęby, a to znaczy...

Że jest rzeczywisty, owszem, ale to już przecież ustaliliśmy, prawda? Pozostała tylko jedna nie rozstrzygnięta kwestia: co zamierzasz teraz zrobić. Masz jakiś pomysł, Jessie? Jeśli tak, pośpiesz się, bo zostało piekielnie mało czasu.

Demon zrobił krok do przodu, wciąż trzymając otwarty kosz i pokazując Jessie jego zawartość. Zauważyła, że nosi naszyjnik – bardzo dziwny naszyjnik. Duszący, wstrętny fetor przybrał na sile, podobnie jak groźna aura otaczająca nieznanego. Jessie chciała się cofnąć i

przekonała się, że nie może poruszać nogami. Były jak przymarznięte do podłogi.

Chce cię zabić, dziubdziuniu – odezwała się Ruth, a Jessie zrozumiała, że to prawda. – *Pozwolisz mu na to?* – W głosie Ruth nie brzmiał w tej chwili gniew ani sarkazm, tylko ciekawość. – *Po tym wszystkim, co cię spotkało, naprawdę zamierzasz pozwolić mu się zabić?*

Wył pies. Grzechotały przesypywane kości. Błyskały słabo brylanty i rubiny.

Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Jessie chwyciła kciukiem i palcem wskazującym prawej dłoni pierścionek zaręczynowy i obrączkę noszone na lewej. Ściągając je, niemal nie czuła bólu. Nie rozstawała się z pierścionkiem i obrączką przez cały okres małżeństwa, gdy ostatnio je zdejmowała, musiała namydlić sobie palce. Nie tym razem. Tym razem zsunęły się bez najmniejszego trudu.

Wyciągnęła zakrwawioną prawą rękę w stronę demona, który zbliżył się już do etażerki z książkami stojącej tuż przy wejściu do gabinetu. Pierścionki leżały na jej dłoni koło prowizorycznego opatrunku z podpaski, tworząc mistyczną ósemkę. Stwór zatrzymał się. Jego zniekształcone wargi przybrały trudny do określenia wyraz – może gniewu, a może zdziwienia.

– Weź je – rzekła Jessie ochryłym, zdławionym głosem. – Weź je i zostaw mnie w spokoju.

Zanim demon zdążył się poruszyć, cisnęła pierścionek i obrączkę do otwartego kosza jak niegdyś monety przy wjeździe na autostradę. Dzieliły ich w tej chwili niespełna dwa metry, kosz był dość spory i nie spudłowała. Wyraźnie usłyszała dwa brzęknięcia, gdy pierścionek zaręczynowy i obrączka uderzyły w kości obcych ludzi.

Nieznajomy znów obnażył zęby i zaczął wydawać ów groźny świszczący dźwięk. Zrobił następny krok do przodu, a Jessie ocknęła się nagle ze strachu.

– Nie! – krzyknęła.

Obróciła się i pobiegła truchtem przez sień. Szumiał wiatr, drzwi uderzały o framugę, grzechotała okiennica, wył pies, a demon był przez cały czas tuż za Jessie, tuż za Jessie, która słyszała za plecami niesamowity syk, stwór mógł lada chwila wyciągnąć ku niej wąską białą dłoń kołyszącą się na końcu fantastycznie długiego ramienia i zacisnąć białe palce na jej szyi...

Wreszcie dotarła do tylnych drzwi, otworzyła je, wybiegła na ganek, zawadziła o coś prawą nogą i upadła, lecąc w dół pomyślała przytomnie, że powinna się obrócić i upaść na lewy bok. Udało jej się to, lecz wstrząs i tak okazał się piekielnie bolesny. Przekręciła się na plecy, uniosła głowę i popatrzyła na drzwi, spodziewając się zobaczyć za żaluzją wąską bladą twarz kosmicznego kowboja. Nie zobaczyła jej i nie słyszała już syczącego dźwięku. Nie miało to zresztą większego znaczenia, potwór miłości mógł lada chwila wyjść z domu i rozedrzeć jej gardło.

Wstała z wysiłkiem, zrobiła krok do przodu, gdy wtem nogi ugięły się pod nią i runęła na wznak na deski tuż koło metalowego pojemnika na śmieci przykrytego drucianą siatką.

Jęknęła i spojrzała w niebo, z zachodu na wschód pędziły z wariacką szybkością chmury podświetlone przez księżyc. Po twarzy Jessie przesuwaly się cienie. Nagle rozległo się wycie psa, które wydało się jej w tej chwili znacznie bliższe i dostarczyło Jessie tak potrzebnego bodźca. Wyciągnęła lewą rękę ku pokrywie pojemnika na śmieci, odszukała rączkę, wsparła się na niej i wstała. Kiedy minęły zawroty głowy, puściła uchwyt i ruszyła powoli w stronę mercedesa, wyciągnąwszy ramiona na boki, by utrzymać równowagę.

W świetle księżyca dom wygląda zupełnie jak ludzka głowa! – pomyślała, gdy po raz pierwszy obejrzała się za siebie zaleknionym wzrokiem. – *Wygląda zupełnie jak ludzka głowa! Drzwi to usta, okna to oczy, cienie drzew to włosy...*

Nagle przyszła jej do głowy jeszcze inna myśl, tak zabawna, że Jessie roześmiała się histerycznie.

Jest jeszcze mózg, nie zapominaj o mózgu. Mózg to oczywiście Gerald. Martwy, gnijący mózg domu.

Dotarwszy do auta, znów wybuchnęła wariackim śmiechem, a pies zawył w odpowiedzi.

Mój pies ma pchły, dlatego jest zły – pomyślała.

Zachwiała się na nogach i chwyciła klamkę samochodu, by nie upaść na ziemię, lecz nie przestała się śmiać. Zupełnie nie pojmowała, dlaczego właściwie się śmieje. Mogłaby to zrozumieć, gdyby jej umysł zaczął funkcjonować z powrotem normalnie, lecz było to możliwe dopiero po odjeździe znad jeziora. Oczywiście jeśli Jessie kiedykolwiek stąd odjedzie.

– Chyba będę potrzebować również transfuzji krwi – rzekła i zanosła się od śmiechu.

Sięgnęła niezgrabnie lewą ręką do prawej kieszeni, szukając kluczyków do samochodu, gdy wtem zdała sobie sprawę, że znów czuje wstrętny odór i że stwór z wiklinowym koszem stoi tuż za nią.

Obróciła głowę, wciąż się śmiejąc, i przez chwilę rzeczywiście widziała zapadnięte policzki i hipnotyczne, bezdenne oczy. Ale widziała je tylko dzięki...

...zaciemieniu...

...temu, że strasznie się bała, w rzeczywistości ganek od tyłu był pusty, a w mroku majaczył czarny prostokąt zamkniętych drzwi.

Lepiej się pośpiesz – odezwała się nerwowo Dobra Żona. – *Lepiej się pośpiesz, póki jeszcze możesz się utrzymać na nogach!*

– Dobrze, pośpiesz się! – odparła ze śmiechem Jessie i wyjęła z kieszeni kluczyki. O mało nie prześlizgnęły jej się między palcami, ale chwyciła nieproporcjonalnie duże plastikowe kółko. – Rzeczywiście, jesteś seksy! – roześmiała się szaleńczo, gdy wtem trzasnęły drzwi i z domu wypadł w białym tumanie martwy kowboj, widmo miłości, lecz kiedy obejrzała się za siebie (znów prawie upuszczając kluczyki pomimo nieproporcjonalnie dużego kółka), nic nie zobaczyła. To tylko wiatr trzasnął drzwiami – tylko wiatr, nic więcej.

Jessie otworzyła drzwiczki auta, usiadła za kierownicą i wciągnęła do środka swoje

drżące nogi. Zatrzasnęła drzwiczki, a gdy wcisnęła guzik blokujący automatycznie wszystkie drzwi (oraz oczywiście bagażnik – nic na świecie nie może się równać z niemiecką solidnością), ogarnęła ją trudna do wyrażenia ulga. Poczwała także coś jeszcze: że jest z powrotem zdrowa na umyśle, miała wrażenie, że jeszcze nigdy nie przeżyła niczego równie cudownego... chyba że pijąc pierwszy łyk wody z kranu. Przyszło jej nagle do głowy, że ostatnie kilkanaście godzin dostarczyło jej najrozkoszniejszych doznań w całym dotychczasowym życiu.

Jak niewiele brakowało, żebym zwariowała? Jak niewiele?

Może lepiej, żebyś tego nigdy nie wiedziała, dziubdziuniu – odrzekła poważnie Ruth Neary.

Święta prawda. Jessie włożyła kluczyk do stacyjki i przekręciła. Bez efektu.

Śmiech zamarł jej na ustach, lecz nie wpadła w panikę, wciąż czuła się normalna i względnie przytomna. *Myśl, Jessie!* Prawie natychmiast wpadła na rozwiązanie. Mercedes trochę się już zestarzał (choć trudno powiedzieć, czy wóz klasy mercedesa może się w ogóle zestarzyć) i w ostatnim czasie zaczął płać bardzo irytujące figle. Jednym z nich było to, że aby zapalić silnik, należało szarpnąć dźwignię zmiany biegów sterczącą między przednimi siedzeniami, i to dość mocno. Przekręcenie kluczyka i jednoczesne szarpnięcie dźwigni wymagało obu rąk, a prawa nie nadawała się przecież do niczego. Jessie wzdrygnęła się na myśl, że mogłaby szarpnąć nią dźwignię, i nie chodziło tylko o ból. Była całkiem pewna, że głęboka rana na nadgarstku natychmiast się wówczas otworzy.

– Boże, pomóż mi! – szepnęła i znów przekręciła kluczyk. Znowu nic. Nawet pstryknięcia. I nagle przyszła jej do głowy nowa myśl: niemożność zapalenia silnika nie ma nic wspólnego z usterkami mercedesa. Była to sprawka nocnego demona. Nie tylko przeciął linię telefoniczną, lecz także podniósł maskę wozu, wykręcił świece i cisnął do lasu.

Trzasnęły drzwi. Jessie zerknęła nerwowo do tyłu, całkiem pewna, że w mroku mignęła biała uśmiechnięta twarz kosmicznego kowboja. Potwór miłości chwyci kamień, rozbije okno samochodu, podniesie jeden z długich szklanych odłamków...

Jessie sięgnęła lewą ręką do dźwigni zmiany biegów i pchnęła ją z całych sił (choć prawdę mówiąc, dźwignia właściwie prawie się nie poruszyła), po czym niezgrabnie przełożyła prawą ręką przez kierownicę, ujęła palcami kluczyk i przekręciła go.

Znowu nic. Z wyjątkiem cichego, burkliwego śmiechu potwora, który ją obserwował. Słyszała go bardzo wyraźnie, choćby tylko w wyobraźni.

– Proszę cię, Boże, czy nie możesz mi choć raz pomóc?! – krzyknęła.

Drażek zmiany biegów zakołysał się lekko pod jej dłonią i gdy tym razem przekręciła kluczyk, silnik ryknął i ożył: *Ja, mein Fuhrer!* Jessie zaszlochała z ulgą i włączyła reflektory. Z podjazdu spoglądała na nią para lśniących żółtopomarańczowych ślepi. Krzyknęła, czując, że serce wyrywa jej się z piersi, podchodzi do gardła i próbuje ją zadusić. Był to oczywiście bezpański pies, w pewnym sensie ostatni klient Geralda.

Prince stał jak skamieniały, oślepiiony jaskrawymi światłami. Gdyby Jessie ruszyła ostro do przodu, prawdopodobnie by go przejechała. Przyszło jej to nawet do głowy, ale jako odległa, akademicka kwestia. Nie czuła już do niego nienawiści ani się go nie bała. Spostrzegła sterczące żebra i osty przyczepione do zmierzwionej sierści, zbyt cienkiej, by ochronić psa przed nadchodzącymi mrozami. Zauważyła, jak kuli się na łapach ze strachu przed światłem, kładąc uszy po sobie.

Nie sądziłam, że to możliwe, ale chyba spotkałam istotę jeszcze nieszczęśliwszą ode mnie.

Uderzyła nasadą lewej ręki w klakson mercedesa, który wydał jeden krótki dźwięk, przypominający burknięcie. To wystarczyło. Pies, wyrwany z transu, odwrócił się i poszedł w las, nie oglądając się za siebie.

Idź za jego przykładem, Jess. Uciekaj stąd, póki czas.

Świetny pomysł. W istocie rzeczy jedyny. Jessie znów sięgnęła lewą ręką do drążka zmiany biegów. Zaskoczył na właściwe miejsce z lekkim szarpnięciem i mercedes potoczył się powoli po podjeździe wyłożonym kamiennymi płytami. Po obu stronach kołysały się na wietrze drzewa i na ziemię spadały chmury wirujących liści. *Udało się!* – pomyślała ze zdumieniem Jessie. – *Naprawdę się udało! Uciekam!*

Zbliżała się do bezimiennej polnej drogi biegnącej w stronę Bay Lane, która z kolei prowadziła do autostrady numer sto siedemnaście i cywilizacji. Obserwując w lusterku wstecznym zmniejszający się dom (w świetle księżyca przypominał on jeszcze bardziej gigantyczną białą głowę), Jessie pomyślała: *Dlaczego pozwala mi odjechać? I czy rzeczywiście pozwala?*

Jakaś część umysłu Jessie – część oszalała ze strachu i mająca już na zawsze pozostać w głównej sypialni domku letniskowego nad jeziorem Kashwakamak – upierała się, że stwór wcale nie pozwala jej odjechać, że tylko bawi się z nią w kotka i myszkę. Już niedługo, na pewno zanim Jessie dotrze do końca podjazdu, popędzi za nią wielkimi susami na przeraźliwie długich nogach, wyciągnie niesamowite ręce, po czym chwyci samochód za tylny zderzak i zatrzyma go. Niemiecka solidność to wspaniała rzecz, ale gdy się ma do czynienia z upiorami, wówczas... no cóż...

Mimo to dom zmniejszał się ciągle w lusterku wstecznym i nie pojawił się nikt wychodzący przez tylne drzwi. Jessie skręciła z podjazdu w prawo, po czym ruszyła wąską leśną drogą w stronę Bay Lane. Każdego roku na początku sierpnia grupka ochotników spośród właścicieli domków letniskowych uprzętała drogę, ale tego lata jakoś o to nie zadbano i droga okazała się nieprzyjemnie wąska. Poruszane wiatrem gałęzie uderzały od czasu do czasu w dach lub maskę samochodu, a Jessie kuliła się lekko za każdym razem.

Mimo to uciekała. W świetle reflektorów pojawiały się po kolei znajome punkty orientacyjne: wielki głąz z rozłupanym szczytem, zarośnięta brama z odrapaną tabliczką: RIDEOUTS HIDEOUT przybitą gwoździami, wysoki przechylony świerk w środku zagajnika niższych świerków, przywodzący na myśl pijaka niesionego do domu przez

gromadkę mniejszych, bardziej przytomnych przyjaciół. Pijany świerk znajdował się zaledwie pięćset metrów od Bay Lane, a stamtąd do autostrady były już tylko trzy kilometry.

– Dam sobie radę, jeśli zachowam spokój – powiedziała Jessie i ostrożnie włączyła prawym kciukiem radio. W samochodzie rozległa się muzyka Bacha; łagodna, podniosła, a przede wszystkim racjonalna. Coraz lepiej. – Spokojnie, tylko spokojnie – powtórzyła Jessie, mówiąc nieco głośniejszym głosem. – Spokojnie, a będzie upojnie. – Zapominała już o wstrząsie, którego doznała na widok pomarańczowych ślepi bezpieczeństwa psa, choć czuła, że zaczyna dygotać. – Jeśli zachowam spokój, wszystko pójdzie jak po maśle.

Rzeczywiście, zachowywała spokój, może nawet nadmierny. Prędkościomierz wskazywał zaledwie piętnaście kilometrów na godzinę, a Jessie, bezpiecznie zamknięta we własnym, znajomym aucie, zaczęła się już zastanawiać, czy nie ucieka po prostu przed tworamii swojej wyobraźni – choć nie należało z pewnością popadać w przesadny optymizm. Jeśli w domu naprawdę ktoś był (*Obcy* – dodał upiorny głos z kosmosu), mógł wyjść frontowymi drzwiami. Mógł ścigać ją w tej chwili. I gdyby ciągle jechała w ślimaczym tempie piętnastu kilometrów na godzinę, mógłby naprawdę ją dogonić.

Zerknęła w lusterko wsteczne, chcąc się przekonać, że to tylko paranoja wywołana szokiem i wyczerpaniem, gdy wtem zamarło jej serce w piersi. Jej lewa ręka spadła z kierownicy i uderzyła w wierzch prawej dłoni, która spoczywała na kolanach. Powinno to zabołeć jak diabli, lecz Jessie nie czuła żadnego bólu – absolutnie żadnego.

Na tylnym siedzeniu siedział *Obcy* z niesamowicie długimi dłońmi przyłożonymi do uszu. Przypominał trochę nasłuchującą małpę i spoglądał na Jessie czarnymi pustymi oczyma.

Widzisz... widzę... widzimy... tylko cienie! – zawołała Kruszyna, ale jej krzyk zabrzmiał bardzo słabo, zdawał się dochodzić z drugiego końca wszechświata.

A oprócz tego Kruszyna nie mówiła prawdy. Jessie widziała w lusterku nie tylko cienie. Intruz siedział w mroku, owszem, ale nie składał się z cieni. Dostrzegała wyraźnie jego twarz: wypukłe czoło, czarne studnie oczu, wąski nos, grube, zniekształcone wargi.

Jessie! – wyszeptał z ekstazą kosmiczny kowboj. – *Nora! Ruth! Ojoj! Kruszyna-dziewczyna!...*

Jessie, wpatrzona nieruchomo w lusterko, zobaczyła, że pasażer pochyła się powoli do przodu, zbliżając wypukłe czoło do jej prawego ucha, jakby chciał szeptem jakiś sekret. Uśmiechnął się drapieżnie, obnażając ostre, pożółkłe zęby, a Jessie poczuła, że coś w niej się wali.

– Nie! – zawołała piskliwym, histerycznym głosem. – Nie, błagam, nie! To niesprawiedliwe!...

Jessie! – Cuchnący oddech, zimny jak powietrze w zamrażarce. – *Nora! Jessie! Ruth! Jessie! Kruszyna! Dobra Żona! Jessie! Mama!...*

Jessie wybałuszyła oczy i spostrzegła, że pociągła blada twarz jest już do połowy ukryta w jej włosach, a roześmiane wargi prawie całują ją w ucho, szepcząc raz po raz swoje

rozkoszne sekrety: *Jessie! Nora! Dobra Żona! Kruszyna! Jessie! Jessie! Jessie!...*

Przed oczami Jessie eksplodowała biel, po której pozostała wielka czarna dziura. Lecąc w mrok, Jessie pomyślała: *Nie powinnam była patrzeć, mimo wszystko spaliłam sobie oczy.*

Później upadła zemdlna na kierownicę. Mercedes uderzył w jedną z wysokich sosen, które rosły wzdłuż drogi, a pas bezpieczeństwa odrzucił Jessie z powrotem do tyłu. Gdyby auto było wyposażone w nowoczesną poduszkę powietrzną, z pewnością by się ona wypełniła, jednakże po prostu jej nie miało. Wstrząs okazał się nie dość mocny, by uszkodzić silnik czy choćby go zatrzymać, niemiecka solidność znów zatryumfowała. Zderzak i osłona pogięły się, a znaczek firmowy przekrzywił, lecz silnik wciąż chodził cicho na jałowym biegu.

Po około pięciu minutach czujnik ukryty koło kierownicy włączył ogrzewanie i pod deską rozdzielczą zaczęły syczeć cicho dmuchawy. Jessie leżała oparta o drzwiczki z policzkiem przyciśniętym do szyby, przywodziła na myśl zmęczone dziecko, które w końcu się poddało i poszło spać, choć chatka babci znajdowała się tuż za grzbietem wzgórza. Nad jej głową lusterko wsteczne odbijało puste tylne siedzenie i pustą drogę zalaną światłem księżyca.

Przez cały ranek sypał śnieg – pogoda nie nadająca się do spacerów, lecz dobra do pisania listów – i gdy na klawiaturę komputera padł promyk słońca, Jessie uniosła ze zdziwieniem oczy, wyrwana z zamyślenia. Pejzaż widoczny za oknem nie tylko ją oczarował, ogarnęło ją uczucie, jakiego od dawna nie doświadczała i nie spodziewała się wkrótce doświadczyć. Była to radość – głęboka, trudna radość, której Jessie nie byłaby w stanie wytłumaczyć.

Przestało padać – zresztą niezupełnie – a przez chmury na niebie przebiło się jasne lutowe słońce, zmieniając świeżą piętnastocentymetrową warstwę śniegu pokrywającą ziemię oraz śnieżynki wirujące ciągle w powietrzu w miriady skrzących się brylantów. Z okna rozciągała się panorama bulwarów nadmorskich w Portland, której widok koił i fascynował Jessie przy każdej pogodzie i o każdej porze roku, ale jeszcze nigdy nie widziała nic równie pięknego; połączenie śniegu i słońca zmieniło szare niebo nad Casco Bay w bajkową feerię splecionych tęczy.

Gdyby w śnieżynkach mieszkały żywe istoty, zawsze oglądałyby takie krajobrazy – pomyślała i roześmiała się.

Było to równie dziwne jak radość wypełniająca jej serce i już po chwili zrozumiała dlaczego, od zeszłego października w ogóle się nie śmiała. Wspominała owe dni, ostatnie, jakie spędziła nad jeziorem Kashwakamak (czy jakimkolwiek innym jeziorem) jako „mój trudny okres”. Wyrażenie to mówiło dokładnie tyle, ile trzeba, co bardzo odpowiadało Jessie.

Nie śmiałaś się od tamtej pory? Ani razu? Jesteś pewna?

Nie, nie była zupełnie pewna. Mogła się śmiać w snach – Bóg wie, ile się w nich napłakała – ale na jawie nie uniosła nawet kącików warg. Bardzo wyraźnie pamiętała swój ostatni wybuch śmiechu, sięgnęła wówczas lewą ręką do prawej kieszeni spodnicy-spodni i powiedziała, że się pośpieszy. Od tamtej pory nie roześmiała się ani razu.

– Ani razu – mruknęła, wyjęła z kieszeni spodnicy paczkę papierosów i zapaliła. Boże, znów wszystko jej się przypomniało. Podobnie działała na nią tylko ta koszmarna piosenka Marvinna Gayera. Słyszała ją niedawno w radio, wracając autem z kolejnej wizyty u lekarza, miała wrażenie, że tej zimy jej życie składa się wyłącznie z takich wizyt.

„Everybody knows... especially you girls...” – komentował Marvin swoim cichym, dwuznacznym głosem. Jessie natychmiast wyłączyła radio, ale była tak rozdygotana, że nie

mogła prowadzić. Zaparkowała na poboczu i odczekała, aż przestaną jej drżeć ręce. Wreszcie trochę się uspokoiła, lecz przez jakiś czas budziła się w środku nocy na przepoconej poduszce, i słyszała siebie nucącą: „Witness, witness...”

Zaciągnęła się głęboko dymem, wydmuchała trzy idealnie okrągłe kółka i patrzyła, jak wznoszą się powoli nad bucującym cicho komputerem.

Kiedy ludzie okazywali się na tyle głupi lub niedelikatni, by pytać o jej przeżycia (a odkryła, że ma o wiele więcej głupich, niedelikatnych znajomych, niż się spodziewała), twierdziła, że prawie nic nie pamięta. Po kilku pierwszych przesłuchaniach na policji zaczęła powtarzać to uparcie wszystkim, zarówno policjantom, jak i kolegom Geralda. Jedynym wyjątkiem był Brandon Milheron. Tylko jemu powiedziała prawdę, częściowo dlatego iż potrzebowała pomocy, lecz głównie dlatego że zdawał się choć trochę rozumieć, co przeżyła i co ciągle przeżywała. Nie dręczył jej wyrazami współczucia i była mu za to głęboko wdzięczna. Przekonała się, że współczucie jest czymś bardzo tanim, kompletnie bezwartościowym.

Tak czy owak, policjanci i dziennikarze przyjęli do wiadomości wersję Jessie i to było najważniejsze, prawda? Ludzie, którzy przeżyli poważne wstrząsy fizyczne i psychiczne, często zupełnie nie pamiętają tego, co się stało; policjanci wiedzieli o tym równie dobrze jak prawnicy, a Jessie pojmowała to jeszcze lepiej. Od zeszłego października wiele się nauczyła o wstrząsach fizycznych i psychicznych. Książki i artykuły dostarczyły jej wiarygodnych pretekstów, by zachować milczenie, lecz w istocie niezbyt pomogły. A może nie doszła jeszcze po prostu do właściwych przypadków – przypadków zakutych w kajdanki kobiet, które patrzyły, jak ich mężowie zmieniają się w „Pedigree Pal”.

Jessie, ku swojemu zdziwieniu, znów roześmiała się zdrowym, głośnym śmiechem. Czy wymyśliła coś zabawnego? Najwyraźniej tak, ale była to chyba jedna z owych zabawnych rzeczy, których nigdy, przenigdy nie można nikomu opowiedzieć. *Podobnie jak tego, że twój tata kiedyś tak podnieciło zaćmienie Słońca, iż pobrudził ci spermą cały tył majtek, a ty – rzeczywiście, boki zrywać! – naprawdę myślałaś, że trochę spermy na majtkach może spowodować zajście w ciążę.*

Tak czy inaczej, większość przypadków opisanych w książkach sugerowała, iż umysł ludzki często reaguje na ekstremalne urazy w taki sam sposób jak kałamarnice na niebezpieczeństwo – okrywając wszystko chmurą czarnego atramentu. Człowiek wie, że coś się zdarzyło, że nie był to zwykły dzień, lecz na tym się kończy. Reszta zniknęła w atramentowej chmurze. Powtarzało to wielu ludzi – ofiary gwałtów, wypadków samochodowych, osoby cudem uratowane z pożarów, a nawet spadochroniarka, której spadochron się nie otworzył i która ocalała tylko dlatego, że wpadła do bagna.

„Co pani czuła, lecąc w dół? – pytano tę kobietę. – O czym pani myślała, zorientowawszy się, że spadochron się nie otworzył?”

Odpowiedź brzmiała:

– „Pamiętam klepięcie w plecy przed wyskoczeniem z samolotu, a później przypominam sobie tylko, że leżałam na noszach i pytałam sanitariusza z karetki, czy jestem ciężko ranna. Reszta to tylko obłok mgły. Zdaje się, że się modliłam, lecz nawet tego nie wiem na pewno”.

A może ty też wszystko pamiętałaś i kłamałaś podobnie jak ja – pomyślała Jessie. – Może nawet z tych samych przyczyn? Cóż, ci przekłęci ludzie z książek prawdopodobnie łgali jak najęci.

Może tak, a może nie, lecz Jessie rzeczywiście pamiętała każdą godzinę spędzoną na łóżku – od szczęku kluczyka w drugiej parze kajdanek aż do mrożącej krew w żyłach chwili, gdy zerknęła do tyłu w lusterku i zobaczyła na tylnym siedzeniu demona z domku letniskowego. W ciągu dnia pamiętała owe chwile, a nocą przeżywała je w koszmarnych snach, w których szklanka z wodą zsuwała się po półce i roztrzaskiwała na podłodze, bezpański pies mijał zimny posiłek na podłodze, wołac ciepły na łóżku, a odrażający nocny gość pytał z kąta głosem ojca: „Kochasz mnie, Kruszynko?” i z jego sterczącego penisa wychodziły wijące się robaki.

Ale pamiętanie i doznawanie przerażenia na nowo jeszcze nikogo nie zmusiło do zwierzeń, choćby człowiek oblewał się noc w noc zimnym potem i krzyczał dręczony przez koszmary. Od października zeszłego roku Jessie straciła pięć kilogramów (cóż, może raczej osiem), znów zaczęła palić (półtorej paczki dziennie, a do tego trawka przed pójściem do łóżka), zniszczyła sobie kompletnie cerę i zaczęła siwieć w przyspieszonym tempie. Temu ostatniemu dałoby się zaradzić – czyż nie robiła tego od pięciu lat? – lecz jak dotychczas po prostu nie znalazła w sobie dość energii, by podnieść słuchawkę telefonu i umówić się z fryzjerką w Westbrook. Zresztą niby dla kogo miała ładnie wyglądać? Czyżby zamierzała odwiedzić kilka miejscowych barów dla samotnych serc?

Dobry pomysł – pomyślała. – Jakiś facet spyta, czy może mi postawić drinka, ja się zgodzę, a później, gdy będziemy czekać, powiem mu od niechcienia, że prześladowuje mnie sen o tym, jak to z penisa mojego ojca wychodzą glisty zamiast nasienia. Po takiej interesującej konwersacji facet na pewno natychmiast zaprosi mnie do siebie. Nie zażąda nawet świadectwa lekarskiego, że nie mam AIDS.

W połowie listopada, gdy uwierzyła wreszcie, że policja naprawdę zostawi ją w spokoju, a pikantne szczegóły sprawy nie dostaną się do gazet (trudno jej było w to uwierzyć, bo najbardziej się tego bała), postanowiła znów rozpocząć terapię z Norą Callighan. Nie miała ochoty beczynnienie siedzieć przez najbliższe trzydzieści lat w pustym domu, dręcząc się koszmarami. Gdyby odważyła się opowiedzieć Norze o dniu zaćmienia, jej życie mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej. Podobnie jak owego wieczoru na plebanii w Neuworth, gdyby do kuchni nie weszła tamta dziewczyna. Może nic by się nie zmieniło... może bardzo wiele...

Może wszystko.

Zatelefonowała więc do „New Today, New Tomorrow”, nieformalnego stowarzyszenia terapeutów, do którego należała Nora, i przeżyła wstrząs, dowiedziawszy się od

recepjonistki, że Nora zmarła w zeszłym roku na białaczkę – na rzadką, złośliwą odmianę, która dała pierwsze objawy dopiero wtedy, gdy było już za późno na leczenie. Czy Jessie chciałaby się spotkać z Laurel Stevenson? – spytała kobieta, lecz Jessie pamiętała Laurel – wysoką, ciemnowłosą, ciemnooką piękność, która nosiła pantofle na wysokich obcasach i wyglądała na bardzo zaborczą w łóżku. Odpowiedziała recepcjonistce, że się zastanowi, i oczywiście nigdy więcej nie zadzwoniła.

W ciągu trzech miesięcy, odkąd dowiedziała się o śmierci Nory, miewała dobre dni (gdy tylko się bała) i złe dni (gdy była zbyt przerażona, by wyjść z pokoju, a coś dopiero z domu), ale jedynie Brandon Milheron poznał w miarę pełną wersję jej historii, choć niezupełnie w nią wierzył. Współczuł, owszem, lecz nie wierzył. Przynajmniej na początku.

– Nie znaleziono żadnego kolczyka z perłą – rzekł nazajutrz po tym, jak Jessie opowiedziała o tajemniczym gościu z zapadniętą bladą twarzą. – Ani zabłoconego śladu stopy. Przynajmniej nie wspominają o tym raporty policyjne.

Jessie wzruszyła ramionami i milczała. Mogłaby dyskutować z Brandonem, lecz bezpieczniej było tego nie robić. Po ucieczce z domku letniskowego bardzo potrzebowała przyjaciela, a Brandon doskonale spełniał tę rolę. Nie chciała zrazić go do siebie zwariowaną gadaniną.

Była również inna, prostsza, bezpośredniejsza przyczyna, Brandon mógł mieć rację. Nocny gość mógł być mimo wszystko utkany ze światła księżyca.

Krok po kroku Jessie zdołała sobie wmówić, przynajmniej za dnia, że to prawda. Kowboj kosmiczny był swego rodzaju testem Rorschacha, złożonym nie z plam atramentu, tylko z cieni poruszanych przez wiatr. Nie obwiniała się jednak za nadmiar wyobraźni, wręcz przeciwnie. Gdyby nie wyobraźnia, nigdy nie dosięgnęłaby szklanki z wodą... a nawet gdyby jej się to udało, nie wpadłaby na pomysł wykorzystania karty subskrypcyjnej jako rurki. Nie, wyobraźnia zasłużyła na pobłażliwość, Jessie powinna po prostu stale pamiętać, że owej nocy była sama. Dojście do równowagi psychicznej zależało w dużej mierze od umiejętności oddzielenia rzeczywistości od fantazji. Powiedziała o tym Brandonowi. Uśmiechnął się, uściskał ją, pocałował w skroń i stwierdził, że naprawdę dochodzi stopniowo do równowagi.

Wreszcie, w zeszły piątek, wzrok Jessie padł przypadkowo na artykuł w dziale wiadomości lokalnych „Press-Heralda”. Jej dotychczasowe założenia natychmiast zaczęły ewoluować i trwało to przez cały czas, odkąd historia Raymonda Andrew Jouberta rozpoczęła długą drogę od wiadomości lokalnych, poprzez dział kryminalny, do krzyjących nagłówek na pierwszych stronach gazet. Wreszcie, wczoraj... tydzień po pojawieniu się w prasie nazwiska Jouberta...

Rozległo się pukanie do drzwi i Jessie skuliła się instynktownie ze strachu. Opuścił ją on prawie natychmiast, lecz przecież jednak się pojawił.

– To ty, Meggie?

– Ja, paniusiu.

– Wejdz!

Do pokoju weszła ze szklanką mleka na tacy Megan Landis, gospodyni zatrudniona przez Jessie w grudniu (właśnie wówczas towarzystwo ubezpieczeniowe nadesłało listem poleconym pierwszy czek na poważną sumę). Koło szklanki leżała niewielka szaroróżowa pigułka. Na ów widok prawy nadgarstek Jessie zaczął piekielnie swędzieć. Nie zawsze się to zdarzało, lecz nie była to również zupełnie nie znana reakcja. Przynajmniej nie miała już skurczów i dziwnego poczucia, że skóra odchodzi jej od kości. Przed Gwiazdką Jessie chwilami święcie wierzyła, że przez resztę życia będzie pić płyny z plastikowego kubeczka.

– Jak tam dziś twoja łapka? – spytała Meggie, jakby telepatycznie wyczuła swędzenie ręki Jessie.

Jessie nie uważała tego bynajmniej za śmieszne. Pytania Megan – jej fantastyczna intuicja – wydawały się niekiedy trochę niesamowite, ale nigdy śmieszne.

Prawa ręka Jessie, leżąca w tej chwili w promieniach słońca, które oderwały Jessie od komputera, była obleczona w czarną rękawiczkę wyściełaną cudowną masą plastyczną, produktem ery kosmicznej. Jessie podejrzewała, że rękawiczka dla poparzonych – a tak brzmiała jej oficjalna nazwa – powstała podczas jakiejś małej brudnej wojny. Zresztą nie odmówiłaby jej noszenia z tego powodu i nie była także niewdzięczna. Była bardzo wdzięczna, o tak. Po trzecim przeszczepie skóry człowiek uczy się, że wdzięczność to jedno z nielicznych skutecznych antidotów przeciwko szaleństwu.

– Nie najgorzej, Meggie.

Meggie uniosła lewą brew, jakby chciała powiedzieć: „Niezupełnie ci wierzę”, lecz się na to nie zdecydowała.

– Nie najgorzej? Pisziesz na komputerze od trzech godzin i jestem pewna, że cię boli.

– Naprawdę jestem tu już od?... – Jessie zerknęła na zegarek i przekonała się, że to prawda. Popatrzyła na licznik w górnej części ekranu i stwierdziła, że pisze piątą stronę listu, do którego zabrała się tuż po śniadaniu. W tej chwili zbliżała się pora lunchu, a najdziwniejsze było to, że Jessie nie rozminęła się z prawdą tak bardzo, jak sugerowała uniesiona brew Meggie, ręka naprawdę wcale nie bolała. Jessie mogłaby nawet zażyć tabletkę dopiero za pół godziny.

Mimo to przełknęła ją teraz, popijając mlekiem. Kiedy odstawiła pustą szklankę, jej oczy znów podążyły w stronę słów na ekranie komputera.

W nocy nikt mnie nie znalazł, obudziłam się sama o świcie. Silnik w końcu zgasł, ale w samochodzie było ciągle ciepło. Słyszałam ptaki śpiewające w lesie, a między drzewami widać było jezioro, gładkie jak lustro, z oparami mgły unoszącymi się nad wodą. Wyglądało bardzo pięknie, a jednocześnie nienawidziłam go całym sercem, podobnie jak od tamtego czasu nienawidzę nawet o nim myśleć. Rozumiesz coś z tego, Ruth? Ja za cholerę nie rozumiem.

Ręka bolała jak licho – działanie aspiryny z pewnością już dawno minęło – ale pomimo bólu miałam niewiarygodne wprost poczucie spokoju i szczęścia. Coś mnie jednak gryzło. Coś, o czym zapomniałam. Z początku nie mogłam sobie przypomnieć, co to takiego. Mam wrażenie, że mój mózg w ogóle nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Później, w jednej chwili, wszystko mi się przypomniało. Siedział na tylnym siedzeniu i pochylił się do przodu, by szeptać mi do ucha imiona moich głosów.

Popatrzyłam w lusterko i zobaczyłam, że tylne siedzenie jest puste. To mnie trochę uspokoiło, ale później...

Przestała stukać w klawisze, a kursor błyskał wyczekująco na skraju nie dokończonego zdania, mrugając do Jessie, zachęcając, by podążyła do przodu, i nagle przypomniał jej się urywek wiersza ze wspaniałego tomiku poezji Kennetha Patchena. Tomik nosił tytuł „But Even So”, a urywek brzmiał następująco: „Chodź, dziecino, czy krylibyśmy się koło ścieżki w najciemniejszym zakątku lasu, gdybyśmy chcieli cię skrzywdzić?”

Dobre pytanie – pomyślała Jessie i przeniosła wzrok z komputera na twarz Meggie Landis. Lubiła energiczną Irlandkę i cholernie dużo jej zawdzięczała, ale gdyby przyłapała niską gospodynię na ukradkowym czytaniu listu na ekranie, Meggie wyleciałaby z pracy szybciej, niż trwa wypowiedzenie zdania: „Droga Ruth, chyba się dziwisz, że piszę do ciebie po tylu latach”.

Ale Megan nie patrzyła na ekran komputera osobistego, spoglądała na urzekającą panoramę Eastern Promenade i Casco Bay. Wciąż świeciło słońce i prószył śnieg, choć stopniowo coraz słabiej.

– Diabeł bije swoją żonę – zauważyła Meggie.

– Słucham? – spytała z uśmiechem Jessie.

– Tak właśnie mawiała moja matka, gdy słońce wychodziło zza chmur, nim przestał padać śnieg. – Meggie miała nieco zażenowaną minę, gdy wyciągnęła rękę po pustą szklanekę.

– Nie jestem pewna, czy potrafię powiedzieć, co to znaczy.

Jessie skinęła głową. Zażenowanie na twarzy Meggie ustąpiło miejsca czemuś, co przypominało niepokój. Przez chwilę nie miała pojęcia, co wywołało tę zmianę, aż raptem wszystko zrozumiała, było to tak oczywiste, że łatwe do przeoczenia. Chodziło o uśmiech. Meggie nie była przyzwyczajona do widoku uśmiechniętej chlebobawczyni. Jessie chciała ją zapewnić, że wszystko w porządku, a uśmiech nie oznacza, że za chwilę zerwie się z fotela i przegryzie jej gardło. Zamiast tego powiedziała:

– Moja matka mawiała z kolei: „Słońce nie świeci codziennie na ten sam psi zadek”. Ja też nie miałam pojęcia, co to znaczy.

Gospodyni patrzyła teraz na Jessie z leciuteńkim zniecierpliwieniem. *Dość tych zabaw, panienko* – mówił jej wzrok.

– Jak czegoś nie zjesz, zrobisz się senna po pigułce. Przygotowałam ci kanapkę i

podgrzewam zupę na kuchence.

Zupa i kanapka – jedzenie dla dzieci, posiłek spożywany po długim ranku spędzonym na lodowisku w dniu, gdy odwołano zajęcia szkolne z powodu mrozu, posiłek spożywany z czerwonymi, szczypiącymi uszami i policzkami. Brzmiało to wspaniale, jednakże...

– Jakoś wytrzymam, Meg.

Meggie zmarszczyła czoło, a kąciki jej warg opadły w dół. Jessie bardzo często widywała ten wyraz twarzy w pierwszych dniach po zatrudnieniu gospodyni, gdy płaczem usiłowała wymusić na Meggie dodatkową tabletkę przeciwbólową. Megan nigdy nie uległa. Jessie miała wrażenie, że to właśnie dlatego zaangażowała niziutką Irlandkę – od razu odgadła, że nie załamuje się pod presją, w razie potrzeby potrafiła być twarda jak skała... ale dziś nie postawi na swoim.

– Musisz jeść, Jess. Wyglądasz jak strach na wróble. – Tym razem posępny wzrok Meggie padł na popielniczkę pełną niedopałków. – I powinnaś także przestać palić.

Zmuszę cię, żebyś przestała, dumna pięknotko – odezwał się zza grobu Gerald i Jessie zadygotała.

– Jessie? Nic ci nie jest? Może to przeciąg?

– Nie. Ktoś przeszedł po moim grobie, to wszystko. – Uśmiechnęła się słabo. – Bardzo dużo starych powiedzonek przychodzi nam dzisiaj do głowy, prawda?

– Już wiele razy cię ostrzegano, żebyś za długo...

Jessie wyciągnęła dłoń w czarnej rękawiczce i nieśmiało dotknęła lewej ręki Meggie.

– Moja ręka naprawdę się goi.

– Tak. Gdybyś nie pisała na komputerze po parę godzin dziennie i nie wołała o pigułkę, jak tylko mnie zobaczysz, zdrowiałabyś jeszcze szybciej, niż przewiduje doktor Magliore. Tak czy owak...

– Tak czy owak, zdrowieję, a to dobrze, prawda?

– Naturalnie, że dobrze. – Gospodyni popatrzyła na Jessie jak na wariatkę.

– Cóż, w tej chwili próbuję wyzdrowieć w środku. Najpierw muszę napisać list do starej przyjaciółki. Obiecałam to sobie w październiku, gdy wpadłam w tę kabałę, ale jak do tej pory nic z tego nie wyszło. Dziś wreszcie zaczęłam pisać i nie ośmielę się przerwać w połowie. Mogłabym stracić odwagę.

– Ale pigułka...

– Chyba zdążę jeszcze dokończyć list i włożyć wydruk do koperty. Później utnę sobie długą drzemkę i zjem wczesną kolację. – Znów dotknęła prawą ręką lewej dłoni Meggie; uspokajający gest, niezręczny, a zarazem miły. – Smaczną, obfitą kolację.

Meggie ciągle marszczyła brwi.

– Niezdrowo rezygnować z posiłków, Jessie, i sama dobrze o tym wiesz.

– Są rzeczy ważniejsze od posiłków – odparła bardzo łagodnie Jessie. – Wiesz o tym równie dobrze jak ja, prawda?

Meggie znów spojrzała w stronę ekranu komputera, westchnęła i skinęła głową. Kiedy się odezwała, zabrzmiało to trochę tak, jakby chyliła czoło przed konwencją, w którą sama nie bardzo wierzyła.

– Chyba tak. A nawet jeśli jest inaczej, to ty jesteś szefową.

Jessie kiwnęła głową, po raz pierwszy zdając sobie sprawę, że to coś więcej niż zwykła fikcja, którą obie podtrzymują dla wygody.

– Rzeczywiście, jestem szefową.

Meggie znów uniosła brwi.

– A gdybym przyniosła ci kanapkę i zostawiła na rogu biurka?

– Zgoda! – odparła z szerokim uśmiechem Jessie.

Tym razem Meggie odwzajemniła uśmiech. Kiedy po trzech minutach przyniosła kanapkę, Jessie siedziała przed ekranem, z twarzą podświetloną zielonkawym światłem, całkowicie pogrążona w tym, co powoli wystukiwała na klawiaturze. Niziutka irlandzka gospodyni w ogóle nie próbowała zachowywać się cicho – prawdopodobnie nie potrafiłaby stąpać na palcach, nawet gdyby zależało od tego jej życie – lecz Jessie i tak jej nie słyszała. Wyjęła z górnej szuflady biurka plik wycinków prasowych i zaczęła je wertować. Większości artykułów towarzyszyły fotografie mężczyzny z dziwaczną pociągłą twarzą, cofniętym podbródkiem i wypukłym czołem. Jego głęboko osadzone oczy były ciemne, okrągłe i całkowicie puste, przywodziły na myśl Dondiego, włóczęgę z komiksów, a zarazem Charlesa Masona. Pod wąskim nosem widać było grube, odęte wargi, mięsiste jak płaty owocu.

Meggie stała chwilę za plecami Jessie, czekając, aż ta ją zauważy, po czym chrząknęła cicho i opuściła pokój. Jakies trzy kwadransy później Jessie zerknęła w lewo i zauważyła tost z żółtym serem. Był już zimny, a ser stężał, lecz mimo to pochłonęła kanapkę pięcioma kęsami. Później znów spojrzała na ekran. Cursor podążył do przodu, prowadząc ją coraz głębiej w las.

36

Trochę mnie to uspokoiło, ale później pomyślałam: „Mógł się skulić na tylnym siedzeniu, więc nie widać go w lusterku”. Zdołałam się jakoś obrócić, choć byłam straszliwie słaba. Nawet najłżejsze uderzenie w rękę powodowało, że czułam się tak, jakby ktoś dźgał mnie rozgrzanym do czerwoności pogrzebaczem. Oczywiście nikogo nie zobaczyłam i próbowałam sobie wmówić, że kiedy ostatni raz go widziałam, były to tylko cienie... cienie i nadmiar wyobraźni.

Ale nie mogłam w to uwierzyć, Ruth – nawet patrząc na wschodzące słońce, bez kajdanek na rękach, poza domem, zamknięta we własnym samochodzie. Przyszło mi do głowy, że skoro nie ma go na tylnym siedzeniu, to na pewno jest w bagażniku, a jak nie w bagażniku, to przykucnął koło tylnego zderzaka. Innymi słowy, uznałam, że jest ciągle ze mną, i okazało się to poniekąd prawdą. Chciałabym, żebyś to zrozumiała, właśnie to chcę ci przekazać. Jest ciągle ze mną. Był ze mną nawet, gdy racjonalna część mojego umysłu dochodziła do wniosku, że to tylko cienie i blask księżycy. A może powinnam mówić o nim w rodzaju nijakim – TO? W dzień jest „mężczyzną z białą twarzą”, a nocą wyobrażam go sobie jako „TO z białą twarzą”. Cóż, czy jest rodzaju męskiego, czy nijakiego, racjonalna część mojego umysłu zdołała go w końcu odrzucić, ale okazało się, że to nie wystarcza. Bo za każdym razem, gdy w domu zaskrzypi nocą deska, wiem, że wrócił, za każdym razem, gdy na ścianie zatańczy niezwykle cień, wiem, że wrócił, za każdym razem, gdy słyszę przed domem obce kroki, wiem, że wrócił – wrócił, by skończyć to, co zaczął. Był w mercedesie rankiem, kiedy się obudziłam, i jest prawie każdej nocy w moim domu nad brzegiem morza – może ukryty za zasłoną, może stoi w garderobie z wiklinowym koszem między nogami. Serc prawdziwych potworów nie można przebić żadnym osinowym kołkiem; ach, Ruth, jakże mnie to męczy...

Jessie przerwała pisanie, opróżniła popielniczkę pełną niedopałków i zapaliła następnego papierosa. Zrobiła to powoli i z namysłem. Jej ręce zaczęły leciutko drżeć i nie chciała się sparzyć. Wreszcie zaciągnęła się głęboko dymem, wydmuchała go, położyła papierosa na popielniczce i wróciła do komputera.

Nie mam pojęcia, co bym zrobiła, gdyby akumulator się wyczerpał – chyba po prostu

bym tam siedziała, dopóki ktoś by się nie pojawił. Jednakże akumulator nie zawiódł i silnik zapalił natychmiast. Cofnęłam się od drzewa, w które uderzyłam, i zdołałam ustawić samochód z powrotem na drodze. Cały czas chciałam spojrzeć z powrotem w lusterko, ale się bałam. Bałam się, że mogę go zobaczyć. Nie dlatego, że tam był – rozumiesz, wiedziałam, że go nie ma – ale dlatego, że mogłam go ujrzeć w wyobraźni.

W końcu, gdy dotarłam do Bay Lane, uniosłam wzrok. Nie mogłam się powstrzymać. W lusterku widać było tylko puste tylne siedzenie, dzięki czemu dalsza jazda okazała się nieco łatwiejsza. Dotarłam do autostrady numer sto siedemnaście, a później do Dakin's Country Store – jednego z tych miejsc, gdzie kręcą się miejscowi, kiedy są splukani i nie stać ich na eskapadę do Rangely albo któregoś z barów w Motton. Siedzą przy barze, zajadając pączki i opowiadając niestworzone bajdy o tym, co robili w sobotni wieczór. Zatrzymałam się za dystrybutorami paliwa i siedziałam bez ruchu przez jakieś pięć minut, obserwując drwali, farmerów i inkasentów, którzy wchodzili i wychodzili. Nie wierzyłam, że są rzeczywiści – czy to nie śmieszne? Myślałam, że to widma, że niedługo moje oczy przyzwyczają się do dziennego światła i będę patrzeć przez nich na wylot. Znów chciało mi się pić i gdy tylko z baru wychodził ktoś z plastikowym kubeczkem kawy, pragnienie jeszcze się powiększało, lecz ciągle nie mogłam się zdobyć na to, by wysiąść z samochodu... można powiedzieć, by wejść między widma.

Chyba w końcu bym wysiadła, ale na razie zdobyłam się tylko na odwagę, by odblokować drzwi, i wtedy właśnie nadjechał Jimmy Eggart, i zaparkował koło mnie. Jimmy to emerytowany adwokat z Bostonu, mieszkający nad jeziorem przez okrągły rok, odkąd jego żona zmarła w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym czy ósmym roku. Wysiadł ze swojego bronco, popatrzył na mnie, poznał i zaczął się uśmiechać. Później wyraz jego twarzy się zmienił, najpierw pojawiła się na niej troska, a później trwoga. Podeszedł do mercedesa, pochylił się, by zajrzeć przez okno, i tak się zdziwił, że wygładziły mu się zmarszczki na twarzy. Pamiętam to bardzo wyraźnie, zdumienie uczyniło Jimmy'ego Eggarta młodym.

Jego wargi ułożyły się w słowa: „Nic ci nie jest, Jessie?” Chciałam otworzyć drzwiczki, lecz nagle zabrakło mi odwagi. Przyszedł mi do głowy zwariowany pomysł. Stwór, którego nazwałam kosmicznym kowbojem, odwiedził również Jimmy'ego, tyle że Jimmy miał mniej szczęścia ode mnie. Obcy zabił go, zdarł mu skórę z twarzy, a później włożył na siebie niczym maskę. Wiedziałam, że to idiotyczny pomysł, ale nie mogłam się od niego uwolnić. Nie potrafiłam się zdobyć na otwarcie tych cholernych drzwiczek.

Nie wiem i nie chcę wiedzieć, jak koszmarnie wyglądałam tego ranka, ale musiałam wyglądać dość makabrycznie, bo z twarzy Jimmy'ego Eggarta natychmiast zniknęło zdumienie. Miał śmiertelnie przerażoną minę, myślałam, że za chwilę ucieknie albo zwymiotuje. Na szczęście nie zrobił ani jednego, ani drugiego, niechaj go Bóg błogosławi. Zamiast tego otworzył drzwiczki mercedesa i spytał, co się stało – czy miałam wypadek, czy zostałam napadnięta.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by zrozumieć, co go tak przestraszyło. Rana na nadgarstku musiała się znów otworzyć, bo podpaska była cała zakrwawiona, podobnie jak przód sukienki. Siedziałam w kałuży krwi, która zachlapała kierownicę, deskę rozdzielczą, drążek zmiany biegów... a nawet przednią szybę. Większość wyschła, przybierając odrażający rdzawy kolor, ale część była ciągle czerwona i wilgotna. Człowiek nawet nie wie, ile ma w sobie krwi, dopóki czegoś takiego nie zobaczy, Ruth. Nic dziwnego, że Jimmy się przeraził.

Usiłowałam wstać – chyba chciałam pokazać, że jestem w stanie to zrobić o własnych siłach – ale uderzyłam prawą ręką w kierownicę i zrobiło mi się ciemno przed oczami. Nie straciłam przytomności, lecz poczułam się tak, jakby przecięto ostatnią wiązkę nerwów łączących moją głowę z ciałem. Upadłam do przodu i pomyślałam, że zakończę swoje przygody wybijając sobie zęby na asfalcie, choć w zeszłym roku wydałam fortunę na górne koronki. Na szczęście Jimmy złapał mnie prosto za cycki. Usłyszałam, jak krzyczy w stronę baru: „Hej! Hej! Potrzebuję pomocy!” Wrzeszczał wysokim, piskliwym głosem starego człowieka, aż zachciało mi się śmiać... choć nie miałam przecież na to sił. Oparłam głowę o jego pierś i dyszałam spazmatycznie. Czułam szybkie, płytkie bicie własnego serca. Zobaczyłam z powrotem światło i kolory, a z baru wyszło kilku mężczyzn, zaniepokojonych wołaniem Jimmy’ego. Jednym z nich był Lonnie Dakin. Jadł bułeczkę i nosił różową koszulkę z napisem: ZALEWAMY SIĘ NA ZMIANĘ. Śmieszne, co się zapamiętuje, kiedy człowiek jest o krok od śmierci, prawda?

– Kto ci to zrobił, Jessie? – spytał Jimmy.

Usiłowałam odpowiedzieć, lecz nie mogłam wykrztusić słowa. Zresztą może i lepiej, bo odpowiedź miała brzmieć: „Mój ojciec”.

Jessie zaciągnęła się dymem, po czym spojrzała na fotografię w gazecie. Raymond Andrew Joubert patrzył na nią nieruchomym, hipnotycznym wzrokiem, tak samo jak w sypialni domku letniskowego. Przyglądała się wąskiej, demonicznej twarzy prawie przez pięć minut. Później jakby przebudzona z krótkiej drzemki, zapaliła nowego papierosa i wróciła do listu. Napisała jak dotąd siedem stron. Przeciągnęła się, wsłuchując w cichutkie poskrzypywanie swego kręgosłupa, i znów zaczęła stukać w klawiaturę. Cursor ruszył do przodu.

Po dwudziestu minutach – dwudziestu minutach, podczas których odkryłam, jacy mili, troskliwi i zwariowani potrafią być mężczyźni (Lonnie Dakin zaproponował mi midol) – znalazłam się w karetce pogotowia, która pędziła z wyjącą syreną w stronę Northern Cumberland Hospital. Po godzinie leżałam w łóżku, patrzyłam na krew kapiącą przez rurkę do mojej żyły i słuchałam jakiejś kretyńskiej piosenki w stylu country, ktoś skarżył się, że rzuciła go dziewczyna i zepsuła mu się furgonetka.

To właściwie kończy pierwszą część mojej opowieści, Ruth – możesz ją nazwać

„Cudownym ocaleniem małej Nell”.

Są jeszcze dwie następne części: ciąg dalszy i finał. Opuścę ciąg dalszy, bo może on być interesujący tylko dla lekarza transplantologa, a ponadto chcę Ci opisać finał, nim stanę się zbyt ogłupiała od siedzenia przy komputerze. Myślę również, że po prostu zasługujesz na to, bym Ci to porządnie opowiedziała. Przyszło mi to przed chwilą do głowy i jest to najszczęśliwsza prawda. W końcu gdyby nie finał, prawdopodobnie w ogóle bym do Ciebie nie napisała.

Zanim jednak przejdę do rzeczy, muszę napisać jeszcze trochę o Brandonie Milheronie, co w istocie podsumuje tę część, którą nazywam dalszym ciągiem. Brandon pojawił się na początku mojej rekonwalescencji i w pewnym sensie zastąpił mi ojca. Chętnie nazwałabym go miłym, bo pomógł mi w najbardziej makabrycznym okresie mojego życia, ale tak naprawdę nie byłoby to właściwe słowo – Brandon jest miłośnikiem porządku, wcieleniem sumienności i solidności. Nie, nie wyraziłam się dokładnie – Brandon ma w sobie coś więcej i jest znacznie lepszy – ale robi się już późno i to na razie musi wystarczyć. Dość powiedzieć, że zachował się bardzo po ludzku jak na kogoś, kto ma dbać o interesy renomowanej kancelarii adwokackiej zagrożonej skandalem. Poza tym zawsze znosił cierpliwie moje zwierzenia i to, że plamię mu łzami elegancki garnitur. Gdyby to było wszystko, prawdopodobnie nie pisałabym o nim tak wiele, ale jest coś jeszcze, coś co zrobił dla mnie wczoraj. Miej trochę cierpliwości, za chwilę do tego dojdę.

Brandon i Gerald współpracowali ze sobą w ciągu ostatnich czternastu miesięcy – prowadzili proces przeciwko dużej sieci supermarketów. Wygrali, a co najważniejsze, zaczęli się dobrze rozumieć. Odnoszę wrażenie, że to właśnie Brandon jest głównym kandydatem do zajęcia miejsca Geralda jako wspólnik firmy. Tymczasem nadawał się świetnie do roli doradcy prawnego młodej wdowy, jak to określił podczas pierwszej rozmowy w szpitalu.

Brandon jest naprawdę bardzo miły – o tak, niewątpliwie – i od samego początku traktuje mnie uczciwie, choć naturalnie dba również o swoje interesy. Wierz mi, moja droga, nie mam co do tego złudzeń, byłam przez dwadzieścia lat żoną prawnika i wiem, jak ostro oddzielają życie osobiste od zawodowego. Pozwala im to uniknąć załamania nerwowych i czyni wielu z nich bezdusznymi.

Brandon nie zachowywał się ani przez chwilę bezdusznie, ale miał zadanie do wykonania: nie dopuścić, by sprawa nabrała rozgłosu i została skojarzona z kancelarią. Oczywiście znaczyło to, że w ogóle nie wolno dopuścić do rozgłosu, co bywa często dość trudne. Niekiedy drobny pech powoduje, że człowiek ponosi fiasko, jednakże Brandon podjął się tej pracy z entuzjazmem i trzeba mu przyznać, iż nigdy nie próbował mnie przekonać, że zrobił to z szacunku dla pamięci Geralda. Podjął się jej, bo mogła mu ułatwić karierę – sukces z reguły oznacza w takich przypadkach natychmiastowy awans. Brandon jest bliski sukcesu i cieszę się z tego powodu. Traktuje mnie z wielką dobrocią i łagodnością, za co jestem mu bardzo wdzięczna, a ponadto nigdy nie dostał ataku hysterii, gdy powiedziałam, że dzwonił

lub wpadł ktoś z prasy, i nigdy nie zachowywał się, jakbym była tylko sprawą do załatwienia. Chcesz wiedzieć, co naprawdę myślę, Ruth? Chociaż jestem siedem lat starsza od mężczyzny, o którym piszę, i wciąż wyglądam jak przepuszczona przez wyżymaczkę, podejrzewam, że Brandon Milheron trochę się we mnie podkochuje... albo w heroicznej małej Nell, którą widzi we mnie oczyma duszy. Nie ma to chyba dla niego znaczenia seksualnego (przynajmniej na razie; ważę pięćdziesiąt trzy kilo i wyglądam jak oskubany kurczak) i bardzo mi to odpowiada – nie pójdę już nigdy w życiu do łóżka z żadnym mężczyzną. Mimo to skłamałabym, gdybym twierdziła, że nie lubię wyrazu jego oczu, świadczącego, że mu się podobam – ja, Jessie Angela Mahout Burlingame – i że nie jestem dla niego tylko poćciem mięsa, który jego szefowie nazywają prawdopodobnie „wdową po biednym Geraldzie Burlingame”. Nie mam pojęcia, czy gdyby Brandon musiał wybierać, wybrałby mnie czy firmę, i nic mnie to nie obchodzi. Wystarczy świadomość, że mu się podobam i że jestem czymś więcej niż tylko...

Jessie przerwała pisanie, przyłożyła lewy palec wskazujący do ust i zamyśliła się na chwilę. Zaciągnęła się głęboko dymem, po czym ciągnęła.

...dobroczynnym skutkiem ubocznym.

Brandon siedział koło mnie w trakcie przesłuchań na policji, trzymając włączony magnetofon. Grzecznie, lecz bez ogródek informował wszystkich obecnych – nie wyłączając stenotypistek i pielęgniarek – że jeśli ktoś przekaze prasie sensacyjne szczegóły sprawy, musi się liczyć z wyjątkowo przykrymi konsekwencjami prawnymi ze strony renomowanej i niezwykle mściwej kancelarii adwokackiej z Nowej Anglii. Chyba brzmiało to bardzo przekonująco, bo o ile wiem, nikt nie przekazał prasie żadnych szczegółów.

Najgorsze były przesłuchania w ciągu trzech dni, które spędziłam w szpitalu Northern Cumberland, otrzymując kroplówki z krwi, glukozy i elektrolitów. Sporządzone wtedy protokoły brzmiały tak dziwnie, że gdy przedrukowały je gazety, wszystko wyglądało w miarę wiarygodnie i przywodziło na myśl fantastyczne historyjki o pogryzieniu psa przez człowieka ukazujące się niekiedy w gazetach. Tyle że w tej historyjce chodziło o pożarcie mężczyzny przez psa... Chcesz wiedzieć, co się znalazło w protokołach? Proszę bardzo:

Postanowiliśmy spędzić dzień w domku letniskowym w zachodniej części stanu Maine. Po dość brutalnym stosunku seksualnym wzięliśmy razem prysznic. Gerald wyszedł z łazienki, gdy myłam głowę. Skarżył się na bóle brzucha, prawdopodobnie po kanapkach zjedzonych w drodze z Portland, i spytał, czy mamy coś na trawienie. Odpowiedziałam, że nie wiem, ale powinien sprawdzić na komodzie i półce nad łóżkiem. Po kilku minutach, płucząc włosy, usłyszałam nagle krzyk Geralda, zwiastujący prawdopodobnie początek ataku serca. Nastąpiło po nim głucho uderzenie ciała padającego na podłogę. Wskoczyłam spod

prysznic, a kiedy wpadłam do sypialni, potknęłam się, uderzyłam głową w kant komody i straciłam przytomność.

Wedle tej wersji, wymyślonej przeze mnie wspólnie z Brandonem i zaakceptowanej entuzjastycznie przez policję, odzyskiwałam kilkakrotnie świadomość, lecz za każdym razem znowu mdlałam. Kiedy ocknęłam się po raz ostatni, pies znudził się Geraldem i zabierał do mnie. Wdrapałam się na łóżko (wedle naszej historyjki Gerald i ja zastaliśmy je tam, gdzie stało, prawdopodobnie przesunięte przez ekipę sprzątaczy, i byliśmy tak rozognieni, że nie przestawiliśmy go na właściwe miejsce), a następnie odpędziłam psa, ciskając w niego szklanką i popielniczką. Później znów zemdlałam i leżałam przez kilka godzin na łóżku, plamiąc je krwią. Wreszcie znów się ocknęłam, dotarłam do samochodu i odjechałam w bezpieczne miejsce, choć wcześniej jeszcze raz straciłam przytomność, uderzywszy w przydrożne drzewo.

Tylko raz spytałam, jak Brandon przekonał policjantów, by uwierzyli w te bzdury.

– Śledztwo prowadzi policja stanowa, Jessie – odparł – a my, to znaczy kancelaria, mamy tam mnóstwo przyjaciół. Prosiłem ich, żeby zatuszowali sprawę, i szczerze mówiąc, nie musiałem nawet nalegać. Policjanci to też ludzie. Jak tylko zobaczyli kajdanki wiszące na zagłówku, od razu się zorientowali, co się stało. Wierz mi, nie pierwszy raz widzą kajdanki po czyjejś śmierci, i nie ma ani jednego gliniarza, który chciałby, by ciebie i twojego męża szargano w prasie z powodu czegoś, co jest w istocie rzeczy tylko groteskowym zbiegiem okoliczności.

Na początku nie wspomniałam Brandonowi o nocnym gościu, śladzie stopy ani kolczyku z perłą. Czekałam, jak widzisz, choć sama nie wiem na co.

Jessie spojrzała na ostatnie zdanie, pokręciła głową i znów zaczęła stukać w klawisze.

Nie, bzdura. Czekałam, aż przyjdzie policjant z pierścieniem i obrączką w małej plastikowej torebce i poprosi, bym je zidentyfikowała. „Jesteśmy całkiem pewni, że należą do pani, bo mają inicjały wygrawerowane w środku i znaleziono je na podłodze gabinetu pani męża”.

Czekałam i czekałam, bo gdyby znaleźli pierścionek i obrączkę, wiedziałabym na pewno, że nocny gość stanowił tylko twór mojej wyobraźni. Czekałam i czekałam, lecz nikt się nie pojawił. Na koniec, tuż przed pierwszym przeszczepem skóry, powiedziałam Brandonowi, że chyba nie byłam w domku letniskowym sama, przynajmniej nie przez cały czas. Stwierdziłam, że może to tylko moja wyobraźnia, ale wówczas intruz wydawał się bardzo realny. Nie wspomniałam o pierścionku i obrączce, lecz rozwodziłam się długo na temat śladu stopy i kolczyka z perłą. Chyba nawet trochę bełkotałam, zresztą wiem dlaczego; kolczyk musiał zastąpić wszystko, o czym nie ośmieliłam się mówić, rozumiesz? Relacjonując to wszystko Brandonowi, posługiwałam się bez przerwy zwrotami takimi jak: „Później

wydawało mi się, że widzę...” albo: „Byłam prawie pewna, że...” Musiałam mu opowiedzieć, musiałam komuś opowiedzieć, bo strach zżerał mnie od środka niczym kwas, ale pragnęłam pokazać, że nie myślę subiektywnych przeżyć z rzeczywistością. Przede wszystkim nie chciałam, by zauważył, jak bardzo się boję – mógłby mnie uznać za wariatkę. Nie obchodziło mnie, że przypisze moje zachowanie histerii, była to cena, jaką godziłam się zapłacić, by nie wspominać o swoim wstydlwym sekrecie, o tym, co ojciec zrobił mi podczas zaćmienia. Natomiast rozpaczliwie nie chciałam dopuścić do tego, by Brandon myślał, że zwariowałam. Nie chciałam, żeby bodaj spekulował na ten temat.

Brandon pogładził mnie po dłoni i rzekł, że wszystko rozumie, w takim stanie mogłam widzieć najróżniejsze rzeczy. Później dodał, że powinnam pamiętać, iż nocny gość był równie rzeczywisty jak prysznic, który wzięłam rzekomo z Geraldem po dzikich harcach na łóżku. Policja przeszukała dokładnie dom i gdyby ktoś tam był, prawie na pewno znaleziono by jakieś ślady. To, że niedawno dokładnie go wysprzątało, czyniło to jeszcze bardziej prawdopodobnym.

– Może znaleziono ślady? – spytałam. – Może jakiś gliniarz wsadził ten kolczyk do własnej kieszeni?

– Na świecie jest mnóstwo policjantów o lepkich palcach, przyznaję – odpowiedział Brandon – ale trudno uwierzyć, że nawet głupi gliniarz ryzykowałby karierę dla jednego kolczyka. Łatwiej przyjąć, że wrócił po niego ten facet, który był jakoby w domu.

– Tak! – zgodziłam się. – To przecież możliwe, prawda?

Miał zamiar pokręcić głową, lecz zamiast tego wzruszył ramionami.

– Wszystko jest możliwe, czyli możliwa jest także kradzież lub błąd ze strony policjantów prowadzących śledztwo, ale... – Urwał, po czym ujął moją lewą rękę i obrzucił mnie pobłażliwym spojrzeniem dobrego wujka. – Twoja wersja oparta jest w dużej mierze na podejrzeniu, że policjanci przeszukali dom bardzo pobieżnie. To nieprawda. Gdyby był tam ktoś trzeci, prawie na pewno znaleźliby jakieś ślady. A gdyby je znaleźli, wiedziałbym o tym.

– Dlaczego? – spytałam.

– Bo coś takiego mogłoby cię postawić w bardzo nieprzyjemnej sytuacji, w sytuacji, gdy policja przestaje być miłą i zaczyna zadawać dociekliwe pytania.

– Nie rozumiem, o czym mówisz – odrzekłam, ale zaczynałam rozumieć, Ruth, o tak, zaczynałam rozumieć. Gerald był maniakiem polis ubezpieczeniowych na życie, agenci trzech różnych towarzystw asekuracyjnych poinformowali mnie już, że spędzę okres oficjalnej żałoby (i kilka następnych lat) w bardzo dobrej sytuacji materialnej.

– John Harrelson z Augusty przeprowadził bardzo skrupulatną sekcję zwłok twojego męża – ciągnął Brandon. – Wedle protokołu, Gerald zmarł na tak zwany „niepowikłany atak serca”, to znaczy nie wywołało go zatrucie pokarmowe, nadmierny wysiłek ani uraz. – Najwyraźniej pragnął kontynuować, ale dostrzegł coś na mojej twarzy i urwał. – Co się stało, Jessie?

– Nic – odpowiedziałam.

– Nie, coś się stało. Wyglądasz okropnie. Masz skurcz?

W końcu udało mi się go przekonać, że nic mi nie jest, i w istocie przyszedłam trochę do siebie. Na pewno wiesz, o czym myślałam, Ruth, bo wspomniałam o tym wcześniej w liście, o dwóch kopnięciach, którymi poczęstowałam Geralda, gdy nie chciał być grzeczny i mnie uwolnić. Jednym w brzuch, a drugim w jaja. Miałam wielkie szczęście, że określiłam seks jako brutalny – tłumaczyło to siniaki. Domyślałam się zresztą, że i tak były prawie niewidoczne, bo zawał nastąpił zaraz potem i zatrzymał proces powstawania wybroczyn.

To oczywiście rodzi następne pytanie: czy kopiąc Geralda, doprowadziłam go do zawału? Żadna z książek medycznych, do których zaglądałam, nie odpowiada na to jednoznacznie, ale spójrzmy prawdzie w oczy, prawdopodobnie go przyspieszyłam. Mimo to nie chcę wziąć na siebie całej winy. Gerald miał nadwagę, pił za dużo i palił jak komin. Zawał i tak by go nie ominął, jeśli nie tego dnia, to za tydzień albo za miesiąc. Nikt nie ucieknie przed swoim przeznaczeniem, Ruth. Wierzę w to. Jeśli ty nie wierzysz, możesz zmiąć ten list i wyrzucić do kosza. Myślę, że zapracowałam na to, by mieć prawo wierzyć, w co chcę, przynajmniej w kwestii przeznaczenia. Zwłaszcza w tej kwestii.

– Może i wyglądałam, jakbym się napiła octu, ale po prostu usiłowałam się przyzwyczaić do myśli, iż ktoś sądzi, że zamordowałam Geralda, by zrealizować jego polisy ubezpieczeniowe – powiedziałam Brandonowi.

Znów pokręcił głową, przez cały czas spoglądając mi prosto w oczy.

– Nikt cię o to nie podejrzewa. Harrelson twierdzi, że podniecenie seksualne mogło przyspieszyć atak serca Geralda, a policja stanowa akceptuje tę opinię, bo John Harrelson to jeden z najlepszych lekarzy sądowych. Co najwyżej znalazłoby się kilku cyników, którzy uznają, że odegrałaś rolę Salome i celowo drażniłaś Geralda.

– A ty jak uważasz? – spytałam.

Sądziłam, że wstrząsnę go swoją bezpośredniością, i byłam ciekawa, jak też wygląda wstrząśnięty Brandon Milheron, ale powinnam się spodziewać jego reakcji. Tylko się uśmiechnął.

– Czy uważam, że potrafiłaś celowo doprowadzić Geralda do zawału, lecz zabrakło ci wyobraźni, by przewidzieć, iż w rezultacie sama możesz umrzeć zakuta w kajdanki? Nie, Jess, wierzę, że wszystko potoczyło się mniej więcej tak, jak mi opowiedziałaś. Mogę być z tobą szczerą?

– Całkowicie – odrzekłam.

– W porządku. Współpracowałam z Geraldem i nasze stosunki układały się całkiem nieźle, czego nie można niestety powiedzieć o bardzo wielu ludziach z naszej kancelarii. Był niesamowitym skrupulantem. Nic dziwnego, że wariował na myśl o tym, by kochać się z kobietą przykutą kajdankami do łóżka.

Obrzuciłam go prędkim wzrokiem. Była już noc, w pokoju paliła się tylko lampka u

węzłowiec mojego łóżka, Brandon siedział w cieniu, ale jestem pewna, że się zarumienił.

– Przepraszam, jeśli cię obraziłem – powiedział niespodziewanie zażenowanym tonem.

O mało się nie roześmiałam. Byłoby to niegrzeczne, ale Brandon mówił nieśmiało jak gimnazjalista.

– Nie obraziłeś mnie, Brandon – odrzekłam.

– Dobrze. Uspokoiliś mnie. Ale mimo to policja miała przynajmniej obowiązek wziąć pod uwagę możliwość, że to brudna sprawa, że nie tylko liczyłeś na zawał serca Geralda, ale że w jakiś sposób go przyśpieszyłeś.

– Nie miałam pojęcia, że ma jakiekolwiek problemy z sercem! – zawołałam. – Najwyraźniej nie wiedziały tego także towarzystwa ubezpieczeniowe. Gdyby wiedziały, nie wystawiłyby przecież tych polis, prawda?

– Towarzystwa ubezpieczeniowe akceptują każdego, kto jest gotów zapłacić składkę – odparł Brandon – a agenci ubezpieczeniowi nie widzieli Geralda palącego jak komin ani pijącego whisky. Ty widziałaś. Nie zaprzeczaj, musiałaś zdawać sobie sprawę, że grozi mu atak serca. Policjanci nie mają co do tego złudzeń. Więc myślą sobie: „Przypuśćmy, że zaprosiła do domku przyjaciela, który wyskoczył nagle z łazienki i wrzasnął na całe gardło, doprowadzając męża do zawału”. Gdyby policja dysponowała jakimikolwiek dowodami, że coś takiego mogło się zdarzyć, miałybyś straszne kłopoty, Jessie. Bo w pewnych rzadkich przypadkach głośny okrzyk może być uznany za morderstwo z premedytacją. To, że spędziłaś prawie dwie doby w kajdankach i musiałaś zedrzeć sobie skórę z ręki, by się uwolnić, czyni hipotezę współnika znacznie mniej prawdopodobną, lecz z innego punktu widzenia kajdanki mogą wręcz przemawiać za obecnością współnika... naturalnie, jeśli ktoś ma dość specyficzny typ umysłu.

Wpatrywałam się w niego zafascynowana. Poczułam się niczym kobieta, która spostrzegła nagle, że balansuje na skraju przepaści. Do tej pory, spoglądając na cienie na twarzy Brandona siedzącego poza kręgiem światła rzucanego przez lampę, nie zastanawiałam się prawie nad tym, że ktoś mógłby mnie podejrzewać o zamordowanie Geralda, przyszło mi to do głowy zaledwie kilka razy, niczym makabryczny żart. Bogu dzięki, że nie żartowałam o tym z policjantami, Ruth!

– Rozumiesz już, dlaczego rozsądniej nie wspominać o tym, że w domu mógł ktoś być? – spytał Brandon.

– Tak – odrzekłam. – Lepiej nie budzić licha, prawda?

Nagle stanął mi przed oczami ten przeklęty kundel ciągnący Geralda za prawe ramię po podłodze – widziałam nawet oderwany strzęp skóry, która opadła mu na pysk. Nawiasem mówiąc, zabili go w kilka dni później. Wygrzebał sobie niewielką norę pod szopą na łodzie Laglanów, około pół kilometra dalej brzegiem jeziora. Przechowywał w norze spory kawałek Geralda, toteż musiał przynajmniej raz wrócić do domu po moim odjeździe, gdy uciekł przestraszony światłem i klaksonem. Zastrzelili go. Nosił brązową plaketkę z imieniem –

niestety nie taką standardową, pozwalającą ustalić właściciela i dobrać się do niego – plakietkę z imieniem Prince. Prince, wyobrażasz sobie?! Kiedy policjant Teagarden przyszedł mi powiedzieć, że go zastrzelili, byłam zadowolona. Nie winiłam tego psa za to, co zrobił – był w niewiele lepszym stanie niż ja, Ruth – ale byłam zadowolona wówczas i jestem teraz.

Ale odbiegłam od tematu – opowiadałam ci o swojej rozmowie z Brandonem. Kiedy zwierzyłam mu się, że do domu mógł się zakraść jakiś intruz, stwierdził, i to z naciskiem, że lepiej nie budzić licha. Chyba byłabym w stanie się z nim zgodzić – podzielenie się tym z choćby jedną osobą i tak sprawiło mi ogromną ulgę – ale nie miałam jeszcze ochoty zakończyć tej rozmowy.

– Przekonał mnie o tym telefon – ciągnęłam. – Kiedy uwolniłam się z kajdanek, w słuchawce panowała cisza. Zrozumiałam wtedy, że mam rację, że w domu jest jakiś facet, który w pewnym momencie przeciął linię telefoniczną biegnącą od szosy. Później natychmiast pobiegłam do mercedesa. Nigdy nie będziesz wiedział, czym jest strach, Brandon, dopóki nie znajdziesz się w domu na pustkowiu sam na sam z nieproszonym gościem.

Brandon uśmiechał się, lecz tym razem nieco mniej ujmująco. Był to ten rodzaj uśmiechu, jaki pojawia się zawsze na twarzach mężczyzn, gdy myślą, że kobiety to dziecinne, niemądre istoty, których nie powinno się wypuszczać z domów bez opiekunów.

– Kiedy telefon w sypialni okazał się głuchy, doszłaś do wniosku, że ktoś przeciął przewody, tak?

Choć nie odpowiadało to dokładnie prawdzie, skinęłam potakująco głową – częściowo dlatego, że wydawało się to najprostsze, lecz głównie dlatego, że nie ma sensu rozmawiać z mężczyzną, na którego twarzy pojawia się ów szczególny wyraz. Wyraz politowania dla niskiej inteligencji kobiet. Dobrze wiesz, o czym mówię, Ruth, chyba że całkowicie się zmieniłaś, i jestem pewna, że rozumiesz, jak bardzo w tej chwili pragnęłam zakończyć tę rozmowę.

– Telefon był wyłączony, to wszystko – stwierdził Brandon. Mówił do mnie w tej chwili jak do dziecka, któremu trzeba wyjaśniać, że od czasu do czasu rzeczywiście może się wydawać, iż pod łóżkiem kryje się potwór, ale tak naprawdę wcale go tam nie ma. – Gerald wyjął wtyczkę z gniazdka. Prawdopodobnie nie chciał, żeby zakłócono mu telefonami wolne popołudnie, nie wspominając nawet o małej perwersji z kajdankami. Wyłączył także telefon w sieni, ale aparat w kuchni działał bez zarzutu. Wiem to wszystko z raportów policyjnych.

Doznałam wówczas olśnienia, Ruth. Zrozumiałam nagle, że wszyscy mężczyźni prowadzący śledztwo w sprawie śmierci Geralda przyjęli z góry pewne założenia na temat mojego postępowania i motywów. Większość z owych założeń przemawiała na moją korzyść, ale rozwściecza mnie, że wnioski wyciągnięto nie na podstawie moich zeznań ani dowodów rzeczowych, tylko na podstawie faktu, że jestem kobietą, co pozwalało mi przypisać pewne przewidywalne zachowania.

Kiedy spojrzeć na to w taki sposób, nie ma żadnej różnicy pomiędzy Brandonem Milheronem, ubranym w elegancki, odpowiedni dla prawnika garnitur, a starym policjantem nazwiskiem Teagarden w dżinsach i czerwonych strażackich szelkach. Mężczyźni przypisują kobietom te same cechy co zawsze, Ruth – jestem tego pewna. Wielu nauczyło się mówić stosowne rzeczy w stosownych momentach, ale jak mawiała moja matka: „Nawet ludożerca może się nauczyć klepać pacierz”. I jeszcze co? Brandon podziwia mnie za to, jak się zachowywałam po śmierci Geralda. Owszem, podziwia. Widziałam to wielokrotnie na jego twarzy, a jeśli wpadnie do mnie tego wieczoru, jak ma w zwyczaju, jestem pewna, że znów to ujrzę. Uważa, że zachowałam się wyjątkowo mądrze i dzielnie... jak na kobietę. Mam nawet wrażenie, że jeszcze przed naszą pierwszą rozmową o moim hipotetycznym gościu Brandon doszedł do wniosku, iż w podobnej sytuacji sam postępowałby podobnie... oczywiście pod warunkiem, że miałby akurat wysoką gorączkę. Zdaje się, iż większość mężczyzn uważa, że tak właśnie myślą kobiety, niczym adwokaci cierpiący na malarię. Z pewnością nieźle to tłumaczy zachowanie mężczyzn, prawda?

Mówię o protekcjonalności – protekcjonalności mężczyzn wobec kobiet – ale także o czymś znacznie ważniejszym i znacznie bardziej przerażającym. Brandon nic nie zrozumiał i nie ma to wiele wspólnego z różnicą płci, to wieczne ludzkie przekleństwo i najlepszy dowód, że tak naprawdę jesteśmy samotni. W domku letniskowym nad jeziorem działy się rzeczy straszliwe, Ruth, dopiero później przekonałam się, jak straszliwe, a Brandon nic nie rozumiał. Opowiedziałam mu o wszystkim, by strach nie pożarł mnie żywcem, a Brandon kiwał głową, uśmiechał się i współczuł. Oczywiście, trochę mi pomógł, lecz choć zachowywał się bardzo przyzwoicie, nawet nie zbliżył się do prawdy... nie pojął, że horror narastał i narastał, aż stał się wielkim, czarnym nawiedzonym domem w mojej głowie. Jest tam ciągle, za otwartymi drzwiami, które zapraszają do powrotu. Nie chcę tam wracać, ale niekiedy przyłapuję się na tym, że i tak wracam, a w chwili gdy wchodzę do środka, drzwi same się za mną zatraskują.

Cóż, nieważne. Chyba powinnam była poczuć ulgę, że nikt nie przeciął linii telefonicznej, lecz wcale jej nie poczułam. Gdzieś w głębi duszy wierzyłam – i ciągle wierzę – że telefon w sypialni nie działałby, gdybym wczłogała się za fotel i wsadziła wtyczkę do gniazdka, że aparat w kuchni mógł działać później, ale na pewno nie działał owej nocy i że mogłam albo odjechać mercedesem, albo zginąć z rąk tego potwora.

Brandon pochylił się do przodu, aż lampa przy łóżku oświetliła jego twarz, i rzekł:

– W domu nie było nikogo, Jessie. Myślę, że najrozsądniej jest o tym zapomnieć.

O mało nie powiedziałam mu wówczas o pierścionku i obrączce, ale byłam zmęczona, rozboleła mnie ręka i w końcu nic nie powiedziałam. Po jego wyjściu długo nie mogłam zasnąć – tamtej nocy nie zasnęłam nawet po tabletkce przeciwbólowej. Myślałam o przeszczepie skóry czekającym mnie nazajutrz, ale nie przejmowałam się nim tak bardzo, jak można by się spodziewać. Myślałam głównie o pierścionku i obrączce, o odcisku stopy, który

widziałam tylko ja, zastanawiałam się, czy potwór wrócił później do domu, by zatrzeć ślady. Wreszcie, tuż przed zaśnięciem, doszłam do wniosku, że nie było żadnego odcisku stopy ani kolczyka z perłą. Że jakiś policjant zauważył pierścionek i obrączkę leżące na podłodze gabinetu koło szafy z książkami i po prostu schował je do kieszeni. *Prawdopodobnie są w tej chwili na wystawie jakiegoś lombardu* – pomyślałam. Może powinno mnie to rozgniewać, lecz tak się nie stało. Poczułam się nagle jak owego ranka, gdy obudziłam się za kierownicą mercedesa – ogarnął mnie niewiarygodny spokój i szczęście. Żaden Obcy nie istniał. Po prostu jakiś gliniarz o lepkich palcach obejrzał się prędko za siebie, by się upewnić, że nikt nie patrzy, i schował obrączkę i pierścionek do kieszeni. Nie interesowało mnie, co się z nimi stało, i dalej mniej nie interesuje. W ciągu ostatnich kilku miesięcy doszłam stopniowo do przekonania, iż mężowie wkładają żonom obrączki na palce tylko dlatego, że nie mogą im instalować kółek w nosach. Zresztą nieważne, ranek stał się popołudniem, zbliża się wieczór i nie pora na debaty o prawach kobiet. Pora pomówić o Raymondzie Andrew Joubercie.

Jessie usiadła wygodnie w fotelu i zapaliła następnego papierosa, zdając sobie z roztargnieniem sprawę z pieczenia czubka języka, podrażnionego nadmiarem tytoniu. Bolała ją głowa i plecy, protestujące przeciwko maratonowi przed komputerem. Protestujące gwałtownie. W domu panowała śmiertelna cisza, mogąca oznaczać tylko, że niziutka i nieugięta Megan Landis wybrała się do supermarketu i pralni. Jessie zdziwiła się trochę, że Meggie nie podjęła ostatniej próby oderwania jej od komputera. Wreszcie domyśliła się, że gospodyni uznała to za marnowanie czasu. Przede wszystkim powinna to z siebie wyrzucić – musiała pomyśleć Irlandka. A ponadto przecież tylko pracowała u Jessie. Ostatnia myśl spowodowała, że Jessie zakłuło lekko serce.

Na piętrze zaskrzypiała deska. Papieros zatrzymał się nagle centymetr od warg Jessie.

Wrócił! – krzyknęła Dobra Żona. – *Och, Jessie, on wrócił!...*

Nie wrócił. Jessie popatrzyła na pociągniętą twarz widoczną na fotografii w gazecie i pomyślała: *Doskonale wiem, gdzie jesteś, kurewski psie.*

Rzeczywiście, wiedziała, ale część jej umysłu dalej się upierała, że to i tak on – kosmiczny kowboj, upiór miłości, który wrócił, by pojąć ją za żonę. Czekał tylko, aż dom opustoszeje, a gdyby Jessie podniosła słuchawkę telefonu na rogu biurka, panowałaby w niej głucha cisza, podobnie jak tamtej nocy w domku letniskowym nad jeziorem.

Twój przyjaciel Brandon może się uśmiechać do woli, ale my znamy prawdę, co, Jessie?

Błyskawicznie wyciągnęła zdrową rękę, chwyciła słuchawkę i podniosła do ucha. Usłyszała uspokajający ton sygnału. W kącikach jej warg zagościł dziwny, smutny uśmiech.

Tak, doskonale wiem, gdzie jesteś, sukinsynu. Cokolwiek sugeruje Dobra Żona i inne głosy w mojej głowie, Kruszyna i ja wiemy, że nosisz pomarańczowy drelich i siedzisz w celi więzienia okręgowego – na skraju starego skrzydła, jak twierdzi Brandon, by pozostali więźniowie nie mogli cię dopaść i rozszarpać, nim prokurator postawi cię przed ławą

przysięgłych złożoną z równych tobie obywateli... Nie uwolniłyśmy się jeszcze od ciebie, ale wkrótce się uwolnimy. Obiecuję ci to.

Oczy Jessie spoczęły znowu na ekranie komputera, a chociaż opuściła ją już lekka senność wywołana przez tabletkę i kanapkę, była zmęczona do szpiku kości i zupełnie straciła wiarę w to, że zdoła dokończyć list.

„Pora pomówić o Raymondzie Andrew Joubercie” – napisała, ale czy rzeczywiście powinna to robić akurat teraz? Czy jest w stanie o nim pisać? Była taka znużona. Nic dziwnego, podążała przez ekran za tym przeklętym kursorem prawie przez cały dzień. Przeciągała strunę, a kto przeciąga strunę, wreszcie ją zrywa. Może sensowniej byłoby iść na górę i trochę się zdrzemnąć? W końcu lepiej późno niż wcale. Wprowadzi list do pamięci, odtworzy jutro, a później znów zabierze się do pisania...

Powstrzymał ją głos Kruszyny. Pojawiał się on obecnie bardzo rzadko i Jessie wysłuchiwała go z wielką uwagą.

Jeśli teraz przerwiesz, Jessie, możesz nie wpisywać tego listu do pamięci, równie dobrze możesz go skasować. Obie wiemy, że nigdy nie starczy ci odwagi, by ponownie zająć się Joubertem, że nie starczy ci odwagi, by o nim pisać. Niekiedy trzeba dużo serca, by o czymś pisać, prawda? Uwolnić coś z jakiegoś zakamarka umysłu i przenieść na ekran.

– Tak – mruknęła Jessie. – Mnóstwo serca. Mnóstwo, mnóstwo serca.

Zaciągnęła się papierosem, po czym zgasła go, nie wypaliwszy nawet połowy. Ostatni raz przejrzała wycinki prasowe i popatrzyła przez okno na Eastern Promenade. Śnieg przestał już padać i świeciło jasno słońce, lecz taka pogoda nie mogła utrzymywać się długo, luty w stanie Maine jest z reguły paskudny.

– Co powiesz, Kruszyno? – zwróciła się Jessie do pustego pokoju. Mówiła wyniosłym głosem Elizabeth Taylor, który uwielbiała jako dziecko i który doprowadzał matkę do furii. – Kontynuujemy, moja droga?

Nie było odpowiedzi, lecz wcale jej nie potrzebowała. Pochyliła się i znów wprawiła kursor w ruch. Przez dłuższy czas pisała, nie robiąc nawet przerwy na papierosa.

Pora pomówić o Raymondzie Andrew Joubercie. Nie będzie to łatwe, ale zrobię, co w mojej mocy. Lepiej nalej sobie następną filiżankę kawy, kochana, możesz ją trochę wzmocnić brandy, jeśli masz pod ręką butelkę. Oto finał.

Leży koło mnie na biurku komplet wycinków prasowych, ale nie mówią one wszystkiego, co wiem, a już na pewno nie mówią wszystkiego, czego można się dowiedzieć – wątpię, czy ktokolwiek na świecie zna całą prawdę o działalności Jouberta (nie wyłączając jego samego, jak mi się zdaje), i z pewnością tak jest lepiej. Rzeczy, o których gazety mogły pisać tylko aluzyjnie i o których w ogóle nie mogły pisać, to istny koszmar i ja sama nawet nie chciałabym poznać całej prawdy. Większości tego, co pominięto w prasie, dowiedziałam się dzięki uprzejmości dziwnie cichego, dziwnie spokojnego Brandona Milherona. Poprosiłam go, by do mnie przyszedł, gdy tylko analogie między sprawą Jouberta a moją stały się zbyt oczywiste, by je ignorować.

– Myślisz, że to ten sam facet, prawda? – spytał. – Ten, który był z tobą w domu?

– Wiem, że to on, Brandonie – odparłam.

Westchnął, patrzył długo na swoje ręce, po czym znów spojrzał na mnie; siedzieliśmy w tym pokoju, była dziewiąta rano i tym razem jego twarz nie kryła się w cieniu.

– Jestem ci winien przeprosiny – powiedział. – Nie wierzyłem ci wtedy...

– Wiem – odpowiedziałam tak łagodnie, jak tylko umiałam.

– ...ale teraz wierzę. Wielki Boże. Co chcesz wiedzieć, Jess?

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

– Wszystko.

Chciał mieć zupełną pewność.

– Jeśli stwierdzisz, że to twoja sprawa, a ja nie mam prawa wściubiać do tego nosa, będę chyba musiał zaakceptować. Żądasz jednak ode mnie, bym się zajął na nowo sprawą, którą kancelaria uważa za zamkniętą. Zeszłej jesieni opiekowałem się tobą i jeżeli ktoś zauważy, że węższą wokół sprawy Jouberta, nie można absolutnie wykluczyć, że...

– Że możesz mieć kłopoty – wtrąciłam. Nie przyszło mi to jak dotąd do głowy.

– Tak – odpowiedział – ale niespecjalnie się tym przejmuję, jestem dorosły i potrafię dać sobie radę... przynajmniej tak myślę. Znacznie bardziej niepokoję się o ciebie, Jessie. Możesz

znów trafić na pierwsze strony gazet, choć staraliśmy się, żebyś z nich jak najszybciej zniknęła. Nawet to nie jest jeszcze najważniejsze, istotna jest inna kwestia. To najohydniejsza sprawa kryminalna, jaka zdarzyła się w Nowej Anglii od czasu drugiej wojny światowej. Niektóre szczegóły są tak odrażające, że nikt nie powinien się w tym babrać bez bardzo ważnych powodów. – Zaśmiał się nerwowo. – Do licha, ja też nie powinienem się w tym babrać bez bardzo ważnych powodów. Wstałam, podeszłam do niego i ujęłam lewą ręką jego dłoń.

– Nawet gdybym mówiła przez milion lat, nie potrafiłabym wyjaśnić, dlaczego chcę to wiedzieć – rzekłam – ale chyba umiem wytłumaczyć, o co mi chodzi. Czy to wystarczy, tak na początek?

Położył łagodnie prawą dłoń na mojej ręce i skinął głową.

– Chodzi o trzy rzeczy – powiedziałam. – Po pierwsze, muszę mieć pewność, że istnieje naprawdę. Po drugie, muszę mieć pewność, że robił to wszystko naprawdę. Po trzecie, muszę mieć pewność, że obudziwszy się w nocy nie zastanę go w swojej sypialni.

Po tych słowach wszystko sobie przypomniałam, Ruth, i rozpłakałam się. W moich łzach nie było niczego teatralnego ani wyrachowanego, po prostu napłynęły mi do oczu. Nic by ich nie powstrzymało.

– Proszę, pomóż mi, Brandonie! – powiedziałam. – Za każdym razem, gdy wyłączam światło, stoi w mroku po drugiej stronie pokoju i boję się, że nigdy się od niego nie uwolnię. Tylko ciebie mogę o to prosić, a muszę się wszystkiego dowiedzieć. Proszę, pomóż mi!

Puścił moją rękę, wyjął chusteczkę z wewnętrznej kieszeni nieskazitelnego adwokackiego garnituru i otarł mi nią oczy. Zrobił to tak delikatnie jak moja mama, gdy wchodziłam becząc do kuchni, bo otarłam sobie kolano – jeszcze zanim stałam się piszczącym kołem u wozu, rozumiesz.

– W porządku – rzekł w końcu. – Dowiem się wszystkiego, co możliwe, i przekażę ci... Chyba że wcześniej każesz mi przestać zbierać te informacje. Ale myślę, że powinnaś się przygotować na bardzo przykre przeżycia.

Dowiedział się bardzo wiele, a teraz ja zamierzam ci to przekazać, Ruth, ale uczciwie cię ostrzegam: miał rację, jeśli chodzi o przykre przeżycia. Jeśli postanowisz opuścić kilka następnych stron, zrozumieć to. Szkoda, że sama nie mogę ich pominąć, ale mam wrażenie, że to również częśćka terapii. Ostatnia, mam nadzieję.

Ta część historii – chyba powinnam ją nazwać „Relacją Brandona” – zaczyna się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym czy piątym roku. Właśnie wówczas w zachodniej części stanu Maine zaczęły się powtarzać przypadki bezczeszczenia grobów. Do podobnych przestępstw doszło również w kilkunastu małych miasteczkach w stanie New Hampshire. Na wiejskich cmentarzach często zdarzają się akty wandalizmu w rodzaju rozbijania nagrobków czy pisania na nich sprayem wulgarnych słów, jednakże tym razem sprawa wydawała się znacznie poważniejsza. Kiedy Brandon przyniósł mi pod koniec tygodnia pierwszy raport

policyjny, użył zwrotu „bezczeszczenie zwłok”; określenie to weszło na stałe do raportów policji w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku.

Same przestępstwa wydawały się policjantom monstrualne i anormalne, jednakże dokonano ich w całkiem normalny sposób, wszystko starannie zaplanowano i przygotowano. Ktoś – może dwie lub trzy osoby, lecz najprawdopodobniej jedna – włamywał się z wprawą zawodowego złodzieja do krypt niewielkich prowincjonalnych cmentarzy. Najwyraźniej przybywał na miejsce wyposażony w wiertarkę elektryczną, bogaty zestaw narzędzi ślusarskich i prawdopodobnie wyciągarkę – Brandon twierdzi, że ma je obecnie wiele zwyczajnych furgonetek.

Włamań dokonywano zawsze do krypt, nigdy do pojedynczych grobów, i prawie wszystkie miały miejsce w zimie, gdy ziemia jest zbyt twarda, by wykopać grób, i zwłoki przechowuje się zamrożone do wiosny. Po wejściu do krypty przestępca otwierał trumny przywiezionymi narzędziami, po czym systematycznie obdzierał trupy z biżuterii i wrywał im obcęgami złote zęby.

Czyny te, choć godne pogardy, są przynajmniej zrozumiałe, lecz przestępca na tym nie poprzestawał. Wydłubywał zwłokom oczy, odrywał uszy, przecinał gardła. W lutym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku na cmentarzu Chilton odkryto dwa trupy pozbawione nosów – najwyraźniej Joubert odłupał je młotkiem i dłutem. Policjant, który prowadził dochodzenie, powiedział Brandonowi: „Nie miał z tym żadnych trudności, było tam zimno jak w zamrażarce i na pewno odpadły przy pierwszym uderzeniu. Rzecz jednak w tym, do czego ich potrzebował. Co można zrobić z dwoma nosami? Usmażyć i zjeść?”

Prawie wszystkie zwłoki pozbawiono stóp i dłoni, niekiedy całych rąk i nóg, a w kilku przypadkach również głów i genitaliów. Sprawca posługiwał się zapewne siekierką, nożem rzeźnickim oraz kilkoma skalpelami różnej wielkości. Nie był bynajmniej niezręczny. „Utalentowany amator – określił go jeden z zastępców szeryfa w okręgu Chamberlain. – Nie chciałbym, żeby zoperował mi wyrostek, ale chyba pozwoliłbym mu usunąć sobie pieprzyk, naturalnie w znieczuleniu”.

Kilkakrotnie sprawca napełnił brzuchy lub czaszki trupów zwierzęcymi ekskrementami, a w miarę upływu czasu zaczął coraz częściej uprawiać nekrofilie. Kradł biżuterię, złote zęby i części ciała. Zarówno kobietom, jak i mężczyznom, ale gdy chodziło o stosunki seksualne z umarłymi, interesował się wyłącznie panami.

Jak widzisz, miałam chyba niesłychane szczęście.

W ciągu miesiąca po ucieczce z domku letniskowego dobrze poznałam metody działania prowincjonalnej policji, ale to nic w porównaniu z tym, czego się dowiedziałam w ostatnim tygodniu. Najbardziej zdumiewająca jest dyskrecja i takt policjantów z małych miasteczek. Domyślałam się, że gdy człowiek zna wszystkich sąsiadów i jest z większością po imieniu, gdy ma w swoim rejonie wielu krewnych, dyskrecja staje się wręcz drugą naturą.

Moja sprawa i sprawa Jouberta to dwa różne przykłady owej dziwnej, wysublimowanej

dyskrecji. Nie zapominaj, że śledztwo w sprawie bezczeszczenia zwłok ciągnęło się przez siedem lat i że uczestniczyło w nim wiele osób – dwie stanowe komendy policji, czterech szeryfów okręgowych, trzydziestu jeden zastępców i Bóg jeden wie, ilu miejscowych policjantów. Wszyscy ci ludzie stale się tym zajmowali, a w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku nadali nawet sprawcy pseudonim – Rudolf, od Rudolfa Valentino. Rozmawiali o Rudolfie w poczekalni sądu okręgowego, gdzie mieli zeznawać jako świadkowie, dyskutowali o Rudolfie na seminariach dla policjantów w Auguście, Derry i Waterville, rozmawiali o nim podczas przerw na kawę. „Zajmowaliśmy się tym również w domu – powiedział Brandonowi jeden z nich, ten sam, który mówił o nosach. – Prowincjonalni policjanci zawsze zabierają pracę do domu. Dzielią się ostatnimi szczegółami piekąc kiełbaski przy ognisku, plotkują z kumplem z innego wydziału obserwując dzieciaki grające w piłkę. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy uda się zestawzić fakty w nowy sposób i rozgryźć sprawę”.

Tu następuje najbardziej zadziwiająca część owej historii (chyba już się domyślasz, naturalnie jeśli nie rzygasz w tej chwili w łazience), przez wszystkie te lata policjanci doskonale się orientowali, że w zachodniej części stanu grasuje prawdziwy potwór – w istocie rzeczy żywy trup – lecz do chwili schwywania Jouberta nie przeciekły o tym do prasy żadne informacje! Wydaje mi się to dziwne i nieco niesamowite, lecz także w pewien sposób cudowne. W wielu wielkich miastach policja nie działa może zbyt skutecznie, ale tu, na prowincji, w East Overshoe, funkcjonuje naprawdę świetnie.

Oczywiście, ktoś mógłby powiedzieć, że powinno się wiele ulepszyć, skoro schwywanie wariata takiego jak Joubert zajmuje siedem lat, ale Brandon szybko mi to wyjaśnił. Stwierdził, że Joubert działał wyłącznie w małych miasteczkach, gdzie cięcia budżetowe zmuszają policjantów do zajmowania się jedynie najpoważniejszymi, najpilniejszymi problemami... czyli przestępstwami przeciwko żywym, a nie umarłym. W zachodniej części stanu działają aktywnie przynajmniej dwa gangi złodziei samochodów, a poza tym są przecież także mordercy, mężowie znęcający się nad żonami, włamywacze, piraci drogowi i pijacy, i wieczny problem narkotyków, produkowanych, sprzedawanych, doprowadzających ludzi do samobójstw i zabójstw. Podobno szef policji w Norway nie uznaje już w ogóle słowa kokaina – nazywa ją „białym gównem”, a w pisemnych raportach posługuje się określeniem „białe g...”. Zrozumiałam, co Brandon ma na myśli. Kiedy jest się policjantem z małego miasteczka usiłującym utrzymać porządek w tym burdelu, gdy jeździ się czteroletnim plymouthem, który może się rozsypać po przekroczeniu prędkości stu kilometrów na godzinę, człowiek szybko tworzy sobie pewną hierarchię celów, a nekrofil ląduje na dość dalekim miejscu.

Wysłuchałam Brandona bardzo uważnie i przyznałam mu rację, choć nie we wszystkim.

– Wygląda to częściowo na prawdę, częściowo na samousprawiedliwienie – rzekłam. – Rzeczy robione przez Jouberta... cóż, przecież nie była to tylko zwykła nekrofilia, prawda? A może się mylę?

– Nie mylisz się – odpowiedział poważnie.

Żadne z nas nie chciało wypowiedzieć na głos myśli, że ów makabryczny zboczeniec grasował po stanie przez siedem lat, przenosząc się z miasteczka do miasteczka i uprawiając seks z umarłymi, schwywanie go wydawało mi się znacznie istotniejszą sprawą niż tropienie nastolatek podwędzających kosmetyki w miejscowym sklepie czy wykrycie, kto uprawia marihuanę na poletku za kościołem baptystów.

Ale ważne jest, że nikt o nim nie zapomniał i że wszyscy interesowali się sprawą. Zboczeniec taki jak Rudolf niepokoi policję z wielu powodów, przede wszystkim dlatego, że wariat zdolny wydłubywać oczy umarłym może nagle postanowić wydłubywać oczy żywym, choć naturalnie nikt nie żyłby zbyt długo dostawszy się w łapy Rudolfa. Policjantów niepokoiły także brakujące części ciała – do czego ich potrzebował? Brandon twierdzi, że w biurze szeryfa okręgu Oxford krążyło krótko memorandum o następującej treści: „Może Rudolf Valentino to w rzeczywistości Hannibal Kanibal?” Szeryf kazał je zniszczyć, lecz nie dlatego, iż notatkę uznano za głupi dowcip, bał się po prostu, że cała sprawa przecieknie do prasy.

Od czasu do czasu policja urządzała zasadzki na którymś z wiejskich cmentarzy. W zachodniej części stanu Maine jest ich bardzo wiele i domyślam się, że stało się to w końcu swego rodzaju hobby niektórych miejscowych policjantów. Uważali oni, że jeśli będą próbować dostatecznie długo, prędzej czy później złapią Rudolfa, i w istocie rzeczy ich przewidywania się sprawdziły.

Na początku zeszłego tygodnia – mniej więcej dziesięć dni temu – Norris Ridgewick, szeryf okręgu Castle, i jeden z jego zastępców zaparkowali swój wóz w bramie opuszczonej stodoły nieopodal cmentarza Homeland. Stodoła znajdowała się przy polnej drodze biegnącej na tyłach cmentarza. Była już druga w nocy i policjanci zamierzali odjechać do domu, gdy zastępca szeryfa, John La Pointe, usłyszał warkot motoru. Policjanci dostrzegli furgonetkę dopiero, gdy zatrzymała się przed bramą cmentarza, bo padał śnieg i jechała bez świateł. Kierowca wysiadł i zaczął piłować kłódkę na bramie. La Pointe chciał go natychmiast aresztować, lecz szeryf powstrzymał go. „Ridgewick to zabawny gość – rzekł Brandon – ale zna wartość dowodów mogących mieć znaczenie na sali sądowej i wie, że najlepiej przyłapać sprawcę na gorącym uczynku. Nauczył się tego od Alana Pangborna, swojego poprzednika, czyli od największego autorytetu w tej dziedzinie.

Furgonetka przejechała przez bramę, a po dziesięciu minutach Ridgewick i La Pointe ruszyli za nią z wyłączonymi światłami, posuwając się w ślimaczym tempie. Podążali śladami furgonetki, aż nabrali całkowitej pewności, dokąd zmierza – do krypty w zboczu wzgórza. Obaj pomyśleli o Rudolfie, ale żaden z nich nie wypowiedział tego na głos. Bali się, jak później stwierdził La Pointe, że przyniesie im to pecha.

Ridgewick kazał zastępcy zatrzymać wóz patrolowy tuż za wzgórzem, w którym znajdowała się krypta – powiedział, że chce dać włamywaczowi czas na splecenie liny, na

której zadynda. Jak się okazało, Rudolf splótł tak długą linę, że mógłby zadyndać nawet z księżycą. Kiedy Ridgewick i La Pointe wkroczyli w końcu do krypty z wyciągniętymi rewolwerami i zapalonymi latarkami, Raymond Andrew Joubert stał w otwartej trumnie, trzymając w prawej ręce siekierkę, w lewej zaś swojego ptaszka, i właśnie zamierzał przystąpić do akcji.

Domyślam się, że Joubert piekielnie ich przeraził, gdy ujrzeli go po raz pierwszy w świetle laterek, i wcale mnie to nie dziwi – doskonale sobie wyobrażam, jakie wrażenie mógł zrobić taki potwór w krypcie cmentarnej o drugiej nad ranem. Przede wszystkim Joubert cierpi na akromegalię, chorobę wywołaną nadczynnością płata przysadki mózgowej i objawiającą się przerostem dłoni, stóp i twarzy, właśnie dlatego ma zniekształcone, wypukłe czoło i grube, mięsiste wargi. Ma również nieproporcjonalnie długie ramiona, które sięgają prawie do kolan.

Odkąd rok temu wybuchł w Castle Rock wielki pożar – spłonęła wówczas duża część miasteczka – sprawców najcięższych przestępstw przewozi się do Chamberlain lub Norway, jednakże ani Ridgewick, ani La Pointe nie mieli ochoty jechać tam zaśnieżonymi drogami o trzeciej nad ranem, toteż zamknęli Jouberta w szopie, gdzie mieści się obecnie posterunek policji.

– Twierdzili, że to z powodu późnej pory i ślizgawicy – powiedział Brandon – ale kryło się w tym chyba coś jeszcze. Ridgewick nie chciał przekazywać tego zbrodźcy innym, nie przeprowadziwszy własnego śledztwa. Zresztą Joubert nie sprawiał kłopotów: siedział na tylnym siedzeniu wozu patrolowego niczym monstrum wzięte żywcem z opowieści grozy, wesół jak skowronek, i nucił „Happy Together”, stary przebój zespołu „Turtles”... Obaj przysięgają, że to prawda...

Ridgewick wezwał przez radio kilku ochotniczych zastępców szeryfa, zamknął Jouberta w areszcie, rozstawił warty wokół budynku, po czym pojechał z La Pointe'em do Homeland po furgonetkę. Ridgewick naciągnął rękawiczki, rozłożył na siedzeniu kierowcy dużą zieloną plastikową torbę na dowody rzeczowe i dopiero wtedy wrócił furgonetką do miasta. Otworzył wszystkie okna, lecz samochód i tak śmierdział niczym sklep mięsny, w którym od tygodnia nie ma prądu.

Ridgewick ulokował furgonetkę w miejskim warsztacie samochodowym, oświetlił ją i zajrzał do środka. W bocznych schowkach znajdowało się kilkanaście gnijących kończyn ludzkich. Był także wiklinowy kosz, znacznie mniejszy niż ten, który widziałam, oraz drewniane pudło z kompletem narzędzi ślusarskich i wytrychów. Otworzywszy wiklinowy kosz, Ridgewick ujrział sześć penisów nawleczonych na kawałek sznurka i natychmiast zorientował się, co to takiego: naszyjnik. Joubert zeznał później, że nosił go często podczas złodziejskich wypraw na cmentarze, i dodał, iż gdyby włożył go i tym razem, nigdy by go nie złapano. „Przyniósł mi mnóstwo szczęścia” – rzekł i myślę, że trzeba mu przyznać sporo racji, Ruth, skoro grasował bezkarnie aż przez siedem lat.

Jednakże najgorsza okazała się kanapka na siedzeniu dla pasażera w szoferce. Spomiędzy dwóch kromek wystawał ludzki język posmarowany jasnożółtą musztardą.

– Ridgewick zdążył wyskoczyć z furgonetki, nim zwymiotował – powiedział Brandon. – Miał szczęście, gdyby zarzygał materiał dowodowy, policja stanowa dałaby mu nieźle w kość. Gdyby jednak nie zwymiotował, sugerowałbym odsunięcie go od pracy operacyjnej w policji z powodów psychologicznych.

Tuż po wschodzie słońca przewieziono Jouberta do Chamberlain. Kiedy Ridgewick obrócił się na przednim siedzeniu wozu policyjnego i odczytywał Joubertowi przez drucianą siatkę urzędową formułkę wyliczającą prawa przysługujące aresztowanemu (już po raz drugi czy trzeci – Ridgewick jest najwyraźniej wyjątkowo skrupulatny), Joubert przerwał i powiedział, że „mógł zrobić coś złego tatusiowi-mamuni i bardzo przeprasza”. W owym czasie policja wiedziała już z dokumentów znalezionych w portfelu Jouberta, że mieszka on w Motton, wiosce leżącej nad rzeką w okolicy Chamberlain, i gdy tylko Joubert znalazł się pod kluczem w więzieniu stanowym, Ridgewick poinformował policję z Chamberlain i Motton o tym, czego się dowiedział od zatrzymanego.

W drodze powrotnej do Castle Rock La Pointe spytał Ridgewicka, co mogą znaleźć policjanci jadący do domu Jouberta. „Nie wiem, ale mam nadzieję, że nie zapomną zabrać masek przeciwigazowych” – odparł Ridgewick.

Informacje o tym, co znaleziono w domu, i inne mrożące krew w żyłach szczegóły przeciekły do prasy w ciągu następnego tygodnia, jednakże policja i prokurator stanowy uzyskali w miarę pełny obraz rezultatów rewizji na farmie przy Kingston Road już wieczorem w pierwszym dniu pobytu Jouberta za kratkami. Para, którą określił mianem „tatuś-mamunia” – w istocie rzeczy jego macocha i jej konkubent – nie żyła. I to od wielu miesięcy, choć Joubert mówił o tym tak, jakby coś złego spotkało ich zaledwie kilka dni czy godzin temu. Oskalpował oboje i zjadł większość tatusia.

W całym domu walały się części ludzkich ciał, niektóre zgniłe i pełne robaków pomimo zimy, inne starannie zakonserwowane. Zakonserwował głównie męskie genitalia. Na półce koło schodów do piwnicy policjanci znaleźli około pięćdziesięciu weków zawierających oczy, wargi, palce od rąk i nóg oraz jądra. Joubert okazał się mistrzem wekowania. Dom był także pełen – i to naprawdę pełen – łupów pochodzących z kradzieży, głównie w domkach letniskowych i obozowiskach. Joubert nazywał je „swoimi rzeczami” – na farmie odkryto mnóstwo sprzętu gospodarstwa domowego, narzędzi ogrodniczych oraz ogromną ilość damskiej bielizny. Najwyraźniej lubił ją nosić.

Policja wciąż próbuje wyselekcjonować części ciała pochodzące z wypraw cmentarnych Jouberta i oddzielić je od tych, które są wynikiem innych przestępstw. Uważa się, iż w ciągu ostatnich pięciu lat mógł zamordować co najmniej kilkanaście osób – bezdomnych autostopowiczów, których podwoził furgonetką. Liczba ofiar może się okazać jeszcze większa, ale prace laboratoryjne posuwają się bardzo powoli. Sam Joubert nie udziela policji

żadnej pomocy, nie dlatego, że nie chce mówić, lecz dlatego, że mówi zbyt wiele. Wedle Brandona przyznał się już do przeszło trzystu przestępstw, w tym do zamachu na George'a Busha. Najwyraźniej wierzy, iż Bush to w istocie Dana Carvey, popularny aktor telewizyjny.

Przebywał w wielu szpitalach psychiatrycznych, odkąd w wieku piętnastu lat aresztowano go za czyny lubieżne z cioteczną siostrą. Siostra miała wówczas dwa lata. Oczywiście jego również nadużywano seksualnie w dzieciństwie – najwyraźniej dobierał się doń zarówno ojciec, jak ojczym i macocha. Jak to się mówi? Nie ma to jak rodzina?

Jouberta umieszczono w Cage Point – zakładzie psychiatrycznym dla nastolatków w okręgu Hancock – a po czterech latach, w wieku dziewiętnastu lat, zwolniono jako wyleczonego. Było to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Drugą połowę siedemdziesiątego piątego i większość siedemdziesiątego szóstego spędził w szpitalu psychiatrycznym w Augustie, aresztowany wskutek organizowania happeningów ze zwierzętami. Wiem, że nie powinnam żartować na ten temat, Ruth – uznasz to za niesmaczne – ale szczerze mówiąc, nie wiem, co innego mogę zrobić. Czuję czasami, że jeśli nie zacznę żartować, to się rozplaczę, a jak się już rozplaczę, nigdy nie przestanę płakać. Joubert wsadzał koty do pojemników na śmieci, po czym wrzucał do środka sztuczne ognie, a od czasu do czasu, prawdopodobnie dla odmiany, przybijał gwoździami do drzewa małego pieska.

W siedemdziesiątym dziewiątym ulokowano go w Juniper Hill za zgwałcenie i osłepienie sześciolatniego chłopca. Tym razem miał tam pozostać do końca swoich dni, jednakże polityka instytucji państwowych – a zwłaszcza państwowych zakładów psychiatrycznych – nigdy nie jest konsekwentna. Zwolniono go z Juniper Hill w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym, znów jako wyleczonego. Brandon uważa – podobnie jak ja – że owo drugie wyleczenie to raczej skutek cięć w budżecie stanowym, nie zaś tryumf współczesnej psychiatrii. Tak czy owak Joubert wrócił do Motton, gdzie zamieszkał z macochą i jej konkubentem, a państwo o nim zapomniało... choć wydało mu prawo jazdy. Zdał test i otrzymał je całkowicie legalnie – w jakiś sposób wydaje mi się to najbardziej zdumiewającym aspektem całej sprawy – i gdzieś na przełomie tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego i piątego roku zaczął objeżdżać okoliczne cmentarze.

Był wyjątkowo pracowity. Zimą zajmował się kryptami, a wiosną i jesienią włamywał się do kolonii domków letniskowych w całej zachodniej części stanu Maine, kradnąc wszystko, co popadnie. Najwyraźniej odznaczał się szczególnym zamiłowaniem do kolekcjonowania fotografii w ramkach. Na strychu domu przy Kingston Road znaleziono cztery skrzynie takich zdjęć. Brandon twierdzi, że policja ciągle je liczy, lecz jest ich zapewne przeszło siedemset.

Trudno powiedzieć, w jakim stopniu „tatusz-mamunia” uczestniczyli w przestępczej działalności Jouberta, nim się ich pozbył. Stopień ten musiał być jednak dość znaczny, albowiem nie starał się bynajmniej ukryć żadnych łupów. Jeśli zaś idzie o sąsiadów, najwyraźniej kierowali się oni zasadą: „Płacili rachunki i nic nas więcej nie obchodziło”. Zawiera się w tym jakaś ponura perfekcja, prawda? Przedziwne połączenie powieści

gotyckiej i psychiatrii zbroczeń.

W piwnicy znaleziono drugi, większy wiklinowy kosz. Brandon zdobył kserokopie fotografii dokumentujących owo znalezisko, lecz z początku wahał się, czy mi je pokazać. Cóż... „wahał się” to trochę za łagodnie powiedziane. Był to w istocie jedyny moment, gdy uległ klasycznej męskiej pokusie, by zgrywać przede mną Johna Wayne. No, wiesz: „Jedźmy, panienko, i niech panienska nie patrzy na tych martwych Indian. Powiem paniencie, jak ich miniemy”.

– Jestem gotów przyjąć, że Joubert był w domku letniskowym – oznajmił. – Nie mogę dłużej chować głowy w piasek, wszystko idealnie pasuje. Ale odpowiedz mi na pewne pytanie, Jessie: Dlaczego chcesz się w tym babrać? Co ci to da?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, Ruth, ale wiedziałam jedno: moja sytuacja jest już tak zła, że nie mogę jej w żaden sposób pogorszyć. Uparłam się, a Brandon wreszcie zrozumiał, że panienska nie wejdzie z powrotem do dyliżansu, nie popatrzysz przedtem na martwych Indian, i w końcu pokazał mi fotografie. Najdłużej spoglądałam na zdjęcie z napisem: DOWÓD RZECZOWY 217 w górnym rogu. Przypominało to trochę patrzenie na film nakręcony na podstawie własnego najgorszego koszmaru. Fotografia przedstawiała otwarty wiklinowy kosz zawierający dziką mieszankę kości i biżuterii, tanich imitacji i cennych kosztowności, częściowo skradzionych w domkach letniskowych, częściowo ściągniętych z lodowatych rąk trupów w kryptach małomiasteczkowych cmentarzy.

Patrzyłam na tę fotografię, wyraźną i w pewien sposób nagą, jak wszystkie zdjęcia policyjne przedstawiające dowody rzeczowe, i w mgnieniu oka znalazłam się z powrotem w domku letniskowym nad jeziorem. Nie przypominałam sobie, tylko przeniosłam się tam, rozumiesz? Leżę na łóżku, zakuta w kajdanki i bezbronna, patrząc na cienie przelatujące po uśmiechniętej twarzy i słysząc własny głos, który mówi Obcemu, że mnie przestraszył. On pochyla się, by podnieść kosz, ani na chwilę nie spuszczając ze mnie gorączkowego wzroku, i widzę, jak wyciąga powykręcaną, niekształtną dłoń i zaczyna przesypywać kości i klejnoty, słyszę wydawany przez nie cichy grzechot kojarzący się z brudnymi kastanietami.

Wiesz, co najbardziej mnie przesładuje? Myślałam, że to mój ojciec, TATUŚ, który powstał z martwych, by mnie wreszcie zgwałcić. „Zrób to, co masz zrobić – powiedziałam. – Zrób to, co masz zrobić, ale obiecaj, że mnie później uwolnisz. Po prostu mi to obiecaj”.

Gdybym wiedziała, kim naprawdę jest, chyba powiedziałabym to samo, Ruth. Wiem, że powiedziałabym to samo, rozumiesz? Pozwoliłabym mu wsadzić w siebie swojego chuja – chuja, którego wtykał w rozkładające się gardła trupów – gdyby tylko przyrzekł, że nie zdechnę jak pies, torturowana skurczami mięśni i drgawkami. Gdyby tylko obiecał, że mnie uwolni.

Jessie przestała na chwilę pisać, dysząc spazmatycznie. Spoglądała na słowa na ekranie – na niewiarygodne, monstrialne zwierzenia na ekranie i zapragnęła nagle je wymazać. Nie

dlatego, że wstydziła się Ruth, owszem, wstydziła się, lecz nie o to chodziło. W istocie rzeczy nie chciała stawić im czoła, a podejrzewała, że jeśli ich nie wymaże, będzie jednak musiała to zrobić. Słowa potrafią kreować własne imperatywy.

Ale dopiero wtedy, gdy przeczyta je ktoś inny – pomyślała i wyciągnęła palec wskazujący prawej ręki, odzianej w czarną rękawiczkę. Dotknęła klawisza z napisem DELETE – właściwie pogłaskała go – po czym cofnęła dłoń. Była to przecież prawda, nie?

– Tak – rzekła niewyraźnym głosem, którym posługiwała się często, gdy była przykuta do łóżka, choć tym razem nie mówiła do Dobrej Żony ani do Ruth, stała się z powrotem sobą i był to pewien postęp. – Tak, to prawda, wszystko się zgadza.

Koniec, kropka, tak mi dopomóż Bóg. Jessie nie naciśnie klawisza DELETE, by wymazać prawdę, niezależnie od tego, jaka jest nieprzyjemna. Pozostawi list bez zmian. Może mimo wszystko go nie wyśle (sama się zastanawiała, czy uczciwie jest obarczać dawno nie widzianą przyjaciółkę takim brzemieniem bólu i szaleństwa), lecz nie wymaże tych słów. I dlatego najlepiej dokończyć list teraz, nim straci resztkę odwagi i wyczerpią się jej siły.

Pochyliła się i znów zaczęła stukać w klawiaturę.

– Musisz pamiętać o jednym, Jessie, nie ma żadnych konkretnych dowodów – powiedział Brandon. – Tak, wiem, że obrączka i pierścionek zniknęły, ale twoja pierwotna hipoteza może być słuszna, zapewne zwędził je jakiś policjant o lepkich palcach.

– A dowód rzeczowy numer dwieście siedemnaście, czyli wiklinowy kosz? – spytałam.

Wzruszył ramionami, a ja doznałam jednej z owych iluminacji, które poeci nazywają epifaniami. Brandon wciąż nie wykluczał, że wiklinowy kosz to tylko niezwykle zbieg okoliczności. Było to wyjątkowo mało prawdopodobne, lecz łatwiejsze do zaakceptowania niż cała reszta – a zwłaszcza fakt, że ktoś znajomy i lubiany mógł się zetknąć z potworem takim jak Joubert. Intencje Brandona Milherona były całkowicie jasne: zamierzał ignorować poszlaki i koncentrować się na braku niepodważalnych dowodów. Wołał przyjąć, że to po prostu moja bujna wyobraźnia, że będąc przykuta do łóżka miałam wyjątkowo realistyczną halucynację, a teraz łączę ją ze sprawą Jouberta.

A po owym olśnieniu nastąpiło drugie, jeszcze wyraźniejsze: otóż sama również mogłabym założyć coś takiego, i mogłabym uwierzyć, że się pomyliłam, tylko że gdyby udało mi się to zrobić, moje życie byłoby zrujnowane. Znów pojawiłyby się głosy – nie tylko twój, Kruszyny czy Nory Callighan, lecz także matki, siostry, brata, koleżanek ze szkoły średniej, przypadkowych ludzi poznanych w poczekalni u lekarza i Bóg jeden wie, kogo jeszcze. Większość z nich byłaby zapewne niesamowitymi głosami z kosmosu.

Nie mogłabym tego znieść, Ruth, bo przez te dwa miesiące po przygodzie w domku letniskowym przypominałam sobie wiele rzeczy, o których latami usilnie starałam się zapomnieć. Najważniejsze z owych wspomnień wypłynęło na powierzchnię między pierwszym a drugim przeszczepem skóry, gdy stale zażywałam środki przeciwbólowe.

Przypomniałam sobie coś następującego: w ciągu dwóch lat pomiędzy zaćmieniem Słońca a przyjęciem urodzinowym mojego brata Willa, który połaskotał mnie w pupę podczas gry w krokieta, stale słyszałam te wszystkie głosy. Może połaskotanie przez Willa okazało się przypadkową terapią szokową? Niewykluczone, czy nasi zamierzchli przodkowie nie nauczyli się piec mięsa jedząc zwierzęta upieczone w pożarach lasów? Jeśli rzeczywiście coś mi wtedy pomogło, to raczej nie samo łaskotanie, poczułam się lepiej dlatego, że uderzyłam Willa w twarz... choć nie ma to w tej chwili żadnego znaczenia. Ważne jest to, iż przez dwa lata nosiłam w swojej głowie dziwne zbiorowisko ludzi osądających każde moje słowo i każdy postępek. Niektóre głosy brzmiały łagodnie i dodawały mi otuchy, lecz większość należała do kobiet drżących ze strachu, kobiet mających zamęt w głowie, kobiet uważających Jessie za bezwartościową szmacianą lalę zasługującą na wszystko, co najgorsze. Słyszałam te głosy przez dwa lata, Ruth, i nagle o nich zapomniałam. Nie stopniowo, lecz w jednej chwili.

Jak mogło się zdarzyć coś takiego? Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi. Mogłoby mnie obchodzić, gdyby coś się pogorszyło, lecz nic się przecież nie pogorszyło, tylko polepszyło. Dwa lata między zaćmieniem a przyjęciem urodzinowym Willa były swego rodzaju fugą, gdy moja świadomość uległa rozszczepieniu na wiele paplających okrucichów, toteż prawdziwy sens mojego objawienia jest następujący: jeśli pozwolę miłemu, dobremu Brandonowi Milheronowi postawić na swoim, wrócę natychmiast tam, skąd wyruszyłam – do domu wariatów. A tym razem nie mam żadnego małego braciszka, który mógłby zastosować brutalną terapię szokową, tym razem muszę to zrobić sama, podobnie jak sama musiałam się uwolnić z tych przeklętych kajdanek Geralda.

Brandon przyglądał mi się uważnie, usiłując ocenić, jak przyjęłam jego argumentację. Prawdopodobnie nie potrafił, bo znów powiedział to samo, tym razem nieco innymi słowami:

– Powinnaś pamiętać, że niezależnie od tego, jak sprawa wygląda, możesz się mylić. Chyba musisz się pogodzić z faktem, że nigdy nie uzyskasz całkowitej pewności.

– Nie, nie muszę się z tym godzić.

Uniósł lekko brwi.

– Istnieje świetny sposób, bym uzyskała całkowitą pewność, i ty mi w tym pomożesz, Brandon.

Znów zaczął się uśmiechać tym swoim niezbyt przyjemnym uśmiechem mężczyzny, który żywi instynktowną, nie do końca uświadomioną pogardę dla niskiej inteligencji kobiet.

– Doprawdy? A w jaki sposób?

– Zabierzesz mnie ze sobą do Jouberta.

– O, nie! – zaprotestował. – Nigdy tego nie zrobię, Jessie! Wykluczone!

Oszczędzę ci opisu godzinnej sprzeczki, jaka później nastąpiła i zakończyła się chaotyczną wymianą głębokich stwierdzeń w rodzaju: „Zwariowałaś, Jess!” i: „Nie próbuj kierować moim życiem, Brandon!” Zastanawiałam się, czy nie postraszyć go prasą – byłam zupełnie pewna, że skłoni go to do kapitulacji – ale na szczęście nie musiałam. Wystarczyło,

że się rozpląkałam. W pewnym sensie bardzo się tego wstydzę, lecz nie do końca, jest to po prostu kolejny symptom tego, że stosunki między mężczyznami a kobietami opierają się na całkowicie chorych zasadach. Widzisz, dopóki nie zaczęłam płakać, Brandon nie wierzył nawet, że mówię poważnie.

Będę się streszczać: Brandon podszedł do telefonu, zadzwonił szybko do kilku znajomych, po czym wrócił z wiadomością, że nazajutrz Joubert ma stanąć przed sądem okręgu Cumberland pod zarzutem kilkunastu mniej poważnych przestępstw – głównie kradzieży. Stwierdził, że jeśli mam kapelusz z woalką, zabierze mnie na rozprawę. Natychmiast się zgodziłam, a on dotrzymał słowa, choć miał taką minę, jakby sądził, iż popełnia jeden z najpoważniejszych błędów w całej swojej karierze.

Jessie znów przerwała pisanie. Kiedy zaczęła stukać w klawiaturę, robiła to bardzo powoli, patrząc przez ekran na wczorajszy dzień, gdy piętnastocentymetrowa warstwa nocnego śniegu była ciągle nieskazitelnie czysta. Zobaczyła błękitne światła wozów policyjnych błyskające na autostradzie i poczuła, jak granatowy samochód Brandona zwalnia.

Spóźniliśmy się nieco na rozprawę, bo na miejskiej obwodnicy I-295 leżała przewrócona ciężarówka z przyczepą. Brandon nic nie mówił, ale miał chyba nadzieję, że w ogóle nie zdążymy, że Joubert wróci już do swojej celi w więzieniu okręgowym, jednakże strażnik przy wejściu do sądu stwierdził, że rozprawa ciągle trwa, choć zbliża się właśnie ku końcowi. Otworzywszy przede mną drzwi, Brandon pochylił się i szepnął mi do ucha:

– Opuść woalkę, Jessie, i nie podnoś jej.

Spełniłam polecenie, a Brandon położył dłoń na mojej talii i wprowadził mnie do środka. Sala rozpraw...

Jessie przerwała pisanie i wyjrzała przez okno na ciemniejącą zatokę. Jej szeroko otwarte oczy były szare i puste. Wspominała.

Salę rozpraw oświetlają szklane kuliste klosze, które kojarzą się Jessie z tanimi sklepikami z okresu dzieciństwa, i panuje w niej senna atmosfera klasy szkolnej w zimowy wieczór. Jessie kroczy między ławkami, czując na kibici dłoń Brandona, woalka łaskocze ją w policzki niczym pajęczyna. Owe połączone doznania powodują, że Jessie czuje się trochę jak panna młoda.

Przed ławą sędziowską stoi dwóch adwokatów. Sędzia pochyla się, spoglądając na ich uniesione twarze, wszyscy trzej debatują półgłosem o jakimś skomplikowanym problemie prawniczym i nieodparcie kojarzą się Jessie z wiktoriańskimi ilustracjami do powieści Dickensa. Po lewej stronie, koło flagi amerykańskiej, stoi woźny, a obok niego czeka stenograf sądowy, najwyraźniej wyłączony z toczącej się debaty prawnej. A przy długim stole, tuż za barierką dzielącą salę rozpraw na część przeznaczoną dla widzów i uczestników procesu, siedzi koścista, niemożliwie wysoka postać odziana w jasnopomarańczowy drelich więzienny. Obok widać mężczyznę w garniturze, najprawdopodobniej drugiego adwokata. Więzień w pomarańczowym kombinezonie zgarbił się nad kartką papieru i coś pisze.

Jessie czuje dłoń Brandona Milherona naciskającą mocniej jej kibić.

– Jesteśmy już dość blisko – mruczy prawnik.

Jessie odsuwa się od niego. Brandon się myli, nie są jeszcze dość blisko. Nie zdaje sobie zupełnie sprawy z jej myśli i uczuć, ale to nic złego, ona zdaje sobie z nich sprawę. Tymczasem wszystkie jej głosy wewnętrzne stają się jednym głosem, Jessie cieszy się niespodziewaną jednomyślnością i wie tylko tyle: jeżeli w tej chwili nie podejdzie bliżej, jeśli nie podejdzie tak blisko, jak to możliwe, nigdy nie znajdzie się dostatecznie daleko. Joubert zawsze będzie się krył w ciemnej garderobie, tuż za oknem albo pod łóżkiem, wystawi spod niego o północy swoją bladą pomarszczoną twarz i wyszczerzy zęby, aż zalśnią złote plomby.

Jessie kroczy prędko między ławkami w stronę barierki, a woalka muska jej policzki niczym czyjeś drobne, zatroskane palce. Słyszy, jak Brandon mamrocze coś nieszczerliwym głosem, lecz dźwięki te dochodzą z odległości co najmniej dziesięciu lat świetlnych. Bliżej (lecz mimo to wciąż na innym kontynencie) jeden z adwokatów stojących przed ławą sędziowską mruczy: „...stanowisko legislatury stanowej było w tej materii zawsze nieprzejednane, panie sędzio, a gdyby pan sędzia zechciał się łaskawie zapoznać z

powołanymi przez nas precedensami, zwłaszcza z wyrokiem w sprawie Castonguay przeciwko Hollisowi...”

Jessie jest coraz bliżej. Woźny spogląda na nią podejrzliwie, lecz po chwili odpręża się, gdy Jessie unosi woalkę i uśmiecha się do niego. Spoglądając jej prosto w oczy, woźny wskazuje kciukiem Jouberta i kręci leciutko głową. Jessie, znajdującą się w stanie podwyższonego napięcia emocjonalnego, natychmiast rozumie jego gest. Woźny chce powiedzieć: „To tygrys, proszę pani. Proszę się trzymać od niego z dala”. Później mężczyzna odpręża się jeszcze bardziej, widząc nadchodzącego Brandona, niedościgły wzór rycerskiej kurtuazji, lecz najwyraźniej nie słyszy groźnego pomruku adwokata:

– Opuść woalkę, Jessie, albo sam ją opuszczę!

Jessie nie tylko nie słucha Brandona, lecz nawet nie patrzy w jego stronę. Wie, że to tylko puste groźby – Brandon nie ośmieli się zrobić sceny w sądzie – ale nawet gdyby tak nie było, nie miałyby to żadnego znaczenia. Lubi Brandona, szczerze go lubi, ale minęły już dni, gdy spełniała potulnie polecenia mężczyzn. Zdaje sobie mglście sprawę, że Brandon syczy ze złością, że sędzia wciąż konferuje z adwokatem Jouberta i prokuratorem okręgowym, że woźny sądowy zapadł w stan półśpiączki. Na twarzy Jessie zastygł miły uśmiech, który rozbroił woźnego, ale w piersi bije jej wściekle serce. Jest już tylko dwa kroki od barierki – dwa małe kroczyki – i widzi, że się pomyliła. Joubert nie pisze, tylko rysuje. Narysował mężczyznę ze sterczącym penisem wielkości kija do baseballu. Mężczyzna na rysunku opuścił głowę i uprawia sam ze sobą seks oralny. Jessie doskonale widzi rysunek, lecz dostrzega tylko niewielki fragment bladego policzka artysty, na który opadają wilgotne kosmyki włosów.

– Jessie, nie możesz... – zaczyna Brandon i chwyta ją za ramię.

Jessie wyrывa się, nie patrząc za siebie, cała jej uwaga skupia się w tej chwili na Joubercie.

– Hej! – odzywa się do niego teatralnym szeptem. – Hej, ty!

Nic, przynajmniej na razie. Jessie ma wrażenie, że śni. Czy to możliwe, że mówi do tego człowieka? A zresztą czy rzeczywiście coś mówi? Nikt nie zwraca na nią żadnej uwagi, absolutnie nikt.

– Hej! Dupku! – odzywa się głośniejszym głosem, z większą złością, ciągle szepce, ale jej głos brzmi już prawie normalnie. – Mówię do ciebie!

Sędzia unosi wzrok i marszczy brwi, a zatem głos Jessie jednak do kogoś dociera. Brandon stęka rozpaczliwie i kładzie jej rękę na ramieniu. Gdyby próbował ją odciągnąć między ławkami, wyrwałaby mu się, nawet jeśli miałyby zedrzeć z siebie przy tym górę sukienki, być może Brandon o tym wie, bo usiłuje już tylko zmusić ją do zajęcia miejsca na pustej ławce tuż za stołem obrony (wszystkie ławki są puste – z prawnego punktu widzenia jest to sesja niejawna). I nagle Raymond Andrew Joubert obraca wreszcie głowę.

Jego groteskowa, zniekształcona twarz, z odętymi, mięsistymi wargami, ostrym nosem i

wypukłym czołem, wydaje się całkowicie pusta, całkowicie martwa... lecz jest to przynajmniej ludzka twarz, Jessie zauważa to od razu i nie czuje trwogi, tylko ogromną ulgę.

Później, zupełnie nagle, Joubert się rozpromienia. Na jego pociągłych policzkach zakwita niezdrowy rumieniec, a w oczach otoczonych czerwonymi obwódkami pojawiają się odrażające iskry, które Jessie już widziała. Spogląda na nią tak samo jak w domku nad jeziorem Kashwakamak, znieruchomiałym, ekstatycznym wzrokiem szaleńca, i zahipnotyzowana Jessie nie może oderwać od niego oczu.

– Mecenasio Milheron? – pyta ostro sędziego, którego głos zdaje się dobiegać z innego wszechświata. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, co pan tu robi i kim jest ta kobieta?

Raymond Andrew Joubert zniknął, na jego miejscu siedzi kowboj kosmiczny, widmo miłości. Grube, mięsiste wargi unoszą się obnażając żółte, brzydkie, ostre zęby dzikiego zwierzęcia. Jessie widzi w głębi lśniące złote punkciki przypominające oczy drapieznika w jaskini. Powoli, och, jakże powoli, koszmar powraca do życia i zaczyna się poruszać, koszmar unosi swoje niesamowicie długie pomarańczowe ramiona.

– Mecenasio Milheron, proszę natychmiast podejść do mnie wraz ze swoim nieproszonym gościem!

Woźny, zaalarmowany ostrym tonem sędziego, budzi się nagle z drzemki. Stenograf rozgląda się po sali. Jessie czuje mgliście, że Brandon ujmuje ją za ramię, by zmusić do wykonania polecenia, ale nie wie tego na pewno, a zresztą nie ma to i tak żadnego znaczenia, bo nie jest w stanie się poruszyć, równie dobrze mogłaby tkwić po pas w zastygłym cemencie. Znow zaczęło się zaćmienie, całkowite, ostateczne zaćmienie Słońca. Po tylu latach gwiazdy znow świecą w ciągu dnia. Świecą w jej umyśle.

Siada na ławce i patrzy na szczerzące zęby stwora w pomarańczowym drelichu, który unosi nienaturalnie długie ramiona, nie spuszczać z niej mętnych oczu w czerwonych obwódkach.

Stwór unosi ramiona, dopóki jego wąskie dłonie nie zawisną w powietrzu około trzydziestu centymetrów od białych uszu. Wstrząśnięta Jessie prawie widzi drewniany zagłówek łóżka, a pomarańczowy stwór kręci chudymi dłońmi o długich palcach i potrząsa nimi lekko, jakby krępowały je więzy, które dostrzega tylko on i kobieta w kapeluszu z uniesioną woalką. Głos dobywający się z uśmiechniętych ust kontrastuje niesamowicie z pomarszczoną twarzą – jest to kruchy, skomlący głosik upośledzonego dziecka.

– Jesteś nikim! – woła piskliwie Raymond Andrew Joubert. Jego drżące słowa przecinają duszne, przegrzane powietrze sali rozpraw niczym lśniące ostrze miecza. – Jesteś utkana ze światła księżyca!...

Później zaczyna się śmiać. Potrząsa swoimi odrażającymi dłońmi, zakutymi w kajdanki, które widzą tylko oni dwoje, i śmieje się... śmieje... śmieje...

39

Jessie sięgnęła po papierosy, lecz strąciła je niechcący na podłogę. Znów spojrzała na ekran komputera, nie próbując nawet podnosić papierosów.

Czułam, że wariuję, Ruth – i to naprawdę. Później usłyszałam jakiś głos wewnętrzny. Była to chyba Kruszyna, która najpierw pokazała mi, jak się uwolnić z kajdanek, a później zmusiła do działania, gdy Dobra Żona usiłowała przeszkadzać – Dobra Żona ze swoją smutną, oszukańczą logiką. Kruszyna, niechaj ją Bóg błogosławi.

Nie daj mu tej satysfakcji, Jessie! – powiedziała. – *I nie pozwól Brandonowi się odciągnąć!*

Brandon rzeczywiście próbował mnie odciągnąć. Położył obie dłonie na moich ramionach, jakbyśmy uprawiali przeciąganie liny. Sędzia tłukł młotkiem, rzucił się ku mnie woźny sądowy i wiedziałam, że mam tylko sekundę, by zrobić coś znaczącego, mogącego coś zmienić, świadczącego, że żadne zaćmienie nie trwa wiecznie, a więc...

Jessie pochyliła się i plunęła Joubertowi w twarz.

40

Wyprostowała się nagle na krześle przy biurku, zasłoniła dłońmi oczy i rozplakała się. Płakała prawie przez dziesięć minut, szlochając głośno w pustym domu. Wreszcie zaczęła stukać w klawiaturę. Często przerywała pisanie, by otrzeć ramieniem łzy, które mąciły jej wzrok. Po chwili przejaśniło jej się w oczach.

...pochyliłam się do przodu i plunęłam mu w twarz, trafiając go sporą grudką śliny. Chyba w ogóle nie zauważył, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie zrobiłam tego dla niego, prawda?

Będę musiała zapłacić grzywnę, Brandon twierdzi, że prawdopodobnie dość słoń, sam jednakże wykreślił się tylko reprimendą sędziego, a to jest dla mnie znacznie ważniejsze niż jakakolwiek grzywna, jaką mogłabym zapłacić, gdyż to przecież ja zmusiłam go do pójścia na rozprawę.

I to już chyba wszystko. W końcu wszystko. Myślę, że naprawdę wyślę ten list, Ruth, i spędzę następne dwa tygodnie czekając niecierpliwie na odpowiedź. Przed wielu laty źle cię potraktowałam, a chociaż wina nie leżała wyłącznie po mojej stronie, chciałabym cię mimo to przeprosić – dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, jak bardzo wpływają na nas inni ludzie, nawet gdy szcycimy się swoją samokontrolą i umiejętnością polegania na sobie. I chcę ci powiedzieć coś jeszcze, w co naprawdę zaczynam wierzyć: wyjdę z tego bez szwanku. Nie dzisiaj, nie jutro, nie w przyszłym tygodniu, ale ostatecznie. Wyjdę z tego bez szwanku o tyle, o ile mamy do tego prawo my, śmiertelnicy. Dobrze to wiedzieć – dobrze wiedzieć, że jednak można przetrwać i że czasami bywa to nawet miłe. Że niekiedy smakuje wręcz jak zwycięstwo.

Kocham cię, Ruth. Ty i twój twardy głos w dużym stopniu ocaliły mi życie w październiku zeszłego roku, choć sama nic o tym nie wiedziałaś. Bardzo cię kocham.

Twoja stara przyjaciółka, Jessie.

PS: Proszę, napisz. A jeszcze lepiej zadzwoń... Proszę.

J.

Po dziesięciu minutach Jessie położyła na stoliku w holu zapieczętowaną szarą kopertę z wydrukowanym listem (był on tak długi, że nie mieścił się w zwykłej kopercie). Dostała adres

Ruth od Carol Rittenhouse i wypisała go na kopercie koślawymi drukowanymi literami, jakie potrafiła kreślić lewą ręką. Koło listu położyła notatkę napisaną tymi samymi koślawymi literami:

Proszę, wyślij ten list, Meggie. Gdybym zeszła na dół i zakazała ci tego, zgódź się... a potem i tak go wyślij.

Podeszła do okna w salonie i stała przed nim przez chwilę, spoglądając na zatokę. Zapadał zmrok. Po raz pierwszy od dłuższego czasu ów prosty fakt nie napełniał Jessie trwogą.

– Och, i co z tego? – rzekła na głos do pustego domu. – Niechaj się ściemnia! – Później odwróciła się i powoli wdrapała po schodach na pierwsze piętro.

Kiedy w godzinę później Megan Landis wróciła ze sprawunków i zobaczyła list leżący na stoliku w holu, Jessie spała jak suseł pod dwiema puchowymi kołdrami w gościnnym pokoju na piętrze... który był teraz jej pokojem. Pierwszy raz od miesiący nie miała koszmarów i w kącikach jej ust błąkał się lekki koci uśmieszek. I kiedy zimny lutowy wiatr gwizdał pod oknami i jęczał w kominie, Jessie otuliła się ciaśniej kołdrą, ale ów lekki, mądry uśmiech nie zniknął.

16 listopada 1991

Bangor, Maine